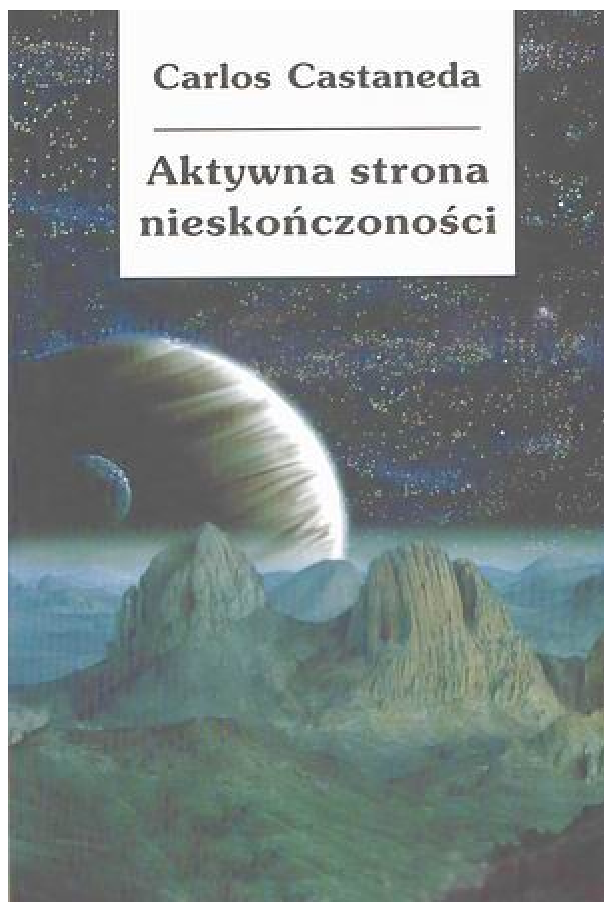
Powrót do spisu KIPPIN
PRZEDRUK

CARLOS CASTANEDA
AKTYWNA STRONA NIESKOŃCZONOŚCI
(The Active Side of Infinity / wyd. orygin. 1998)



Inne książki Carlosa Castanedy wydane dotychczas w Polsce:

NAUKI DON JUANA
ODRĘBNA RZECZYWISTOŚĆ
PODRÓŻ DO IXTLAN
OPOWIEŚCI O MOCY
DRUGI KRĄG MOCY
DAR ORŁA
WEWNĘTRZNY OGIEŃ
POTĘGA MILCZENIA
SZTUKA ŚNIENIA
MAGICZNE KROKI

SPIS TREŚCI:

* * *

Carlos Castaneda zmarł w 1998 roku
ta książka została wydana po jego śmierci

Książkę tę dedykuję dwóm ludziom, którzy dali mi siłę i zaopatrzyli w metody niezbędne w terenowych badaniach antropologicznych: profesorowi Clementowi Meighanowi i profesorowi Haroldowi Garfinkelowi. Idąc za ich sugestiami, bez reszty oddałem się pewnemu projektowi badawczemu, który pochłonął mnie na zawsze. Jeżeli nie udało mi się urzeczywistnić ducha uprawianej przez nich nauki, trudno. Nie mogłem na to nic poradzić. Zanim zdążyłem sformułować spójne, naukowe hipotezy, zagarnęła mnie siła jeszcze większa, którą szamani nazywają nieskończonością.

Język

Człowiek wnikliwie wpatrywał się w swoje równania
i rzekł, że wszechświat miał swój początek.
– To była eksplozja – rzekł.
Wybuch nad wybuchami – i tak oto narodził się wszechświat.
– I ciągle się rozszerza – rzekł.
Obliczył nawet długość jego żywota:
dziesięć miliardów obrotów Ziemi dokoła Słońca.
Na całym globie zagrzmiały wiwaty;
wszyscy dostrzegli w obliczeniach naukę.
Nikt nie pomyślał, że postulując początek wszechświata,
człowiek odwzorował jedynie składnię swojego języka;
zwykłą składnię, której dla stwierdzania faktów potrzeba
początków – jak narodziny, rozwinięć – jak dorastanie,
i zakończeń – jak śmierć.
Wszechświat miał swój początek
i wszechświat się starzeje, zapewnił nas,
i wszechświat umrze, tak jak wszystko,
i jak on sam umarł, gdy już znalazł matematyczny obraz
składni swojego języka.

Inny język

Czy wszechświat naprawdę miał początek?
Czy teoria Wielkiego Wybuchu jest prawdziwa?
To nie są pytania, chociaż brzmią podobnie.
Czy język, w którym stwierdzanie faktów wymaga początków,
rozwinięć i zakończeń, jest jedynym istniejącym językiem?
Oto prawdziwe pytanie.
Istnieją inne języki.
Istnieje na przykład taki, który postuluje, by faktami były
różne stopnie natężenia.
W tym języku nic się nie rozpoczyna i nic nie kończy;
i tak narodziny nie są wyraźnym, osobnym wydarzeniem,
lecz jedynie szczególnym rodzajem natężenia;
i tak też jest z dorastaniem i tak jest ze śmiercią.
W tym języku człowiek wodzi wzrokiem po swoich równaniach
i odkrywa,
że wyliczył już tyle stopni natężenia, by z przekonaniem
stwierdzić,
iż wszechświat nigdy nie miał początku
i nigdy nie będzie miał końca,
przechodził za to, i przechodzi nadal, i będzie przechodził
przez nie kończące się fale natężenia.
Człowiek taki nie zawahałby się orzec, że cały wszechświat
jest jednym wielkim rydwanem natężenia,
w który można wsiąść
i ruszyć w podróż pośród zmian bez końca.
Oprócz tego wysnułby wiele innych wniosków,
a być może nawet by mu przez myśl nie przemknęło,
że obrazuje jedynie
składnię swojego języka.

Wstęp

Książka ta jest zbiorem pamiętnych wydarzeń mojego życia. Zebrałem je, idąc za radą don Juana Matusa, szamana z indiańskiego plemienia Yaqui z Meksyku, który był moim nauczycielem i przez trzynaście lat nie szczędził wysiłków, by otworzyć przede mną kognitywny świat szamanów żyjących w starożytności w Meksyku. Don Juan zaproponował mi, bym sporządził sobie taki zbiór pamiętnych wydarzeń, zupełnie mimochodem, wiedziony jakby spontanicznym odruchem. Taki był styl nauczania don Juana. Maskował wagę pewnych posunięć, nadając im pozór banału. W ten sposób skrywał szpilę ich nieodwołalności, przedstawiając je tak, że w ogóle nie różniły się od innych przyziemnych spraw.

Z biegiem czasu don Juan wyjawił mi, że ów proces gromadzenia pamiętnych wydarzeń życia był dla szamanów starożytnego Meksyku, którzy go opracowali, uznawaną metodą pobudzania ukrytych w każdym człowieku pokładów energii. W ich rozumieniu na pokłady te składa się pochodząca z ciała fizycznego energia, która uległa dyslokacji – została wypchnięta z naszego zasięgu poprzez okoliczności powszedniego życia. Tak więc dla don Juana i szamanów z jego linii ów zbiór pamiętnych wydarzeń życia był sposobem rozprowadzania nie wykorzystywanej energii.

Niezbędnym warunkiem przystąpienia do tworzenia zbioru była absolutna szczerość i pogrążenie się bez reszty w proces łączenia w jedną całość wszystkich przeżytych emocji i objawień, bez pomijania czegokolwiek. Według don Juana, szamani jego linii byli przekonani, że zbieranie pamiętnych wydarzeń życia jest sposobem osiągnięcia emocjonalnego i energetycznego dostrojenia, niezbędnego do podjęcia ryzykownej podróży w nieznane sfery postrzegania.

Według słów don Juana, nadrzędnym celem stosowania dostępnej mu wiedzy szamańskiej było przygotowanie do wyruszenia w ostateczną podróż: podróż, którą każdy człowiek musi podjąć pod koniec swojego życia. Powiedział, że dzięki dyscyplinie i stanowczości szamani są w stanie zachować po śmierci indywidualną świadomość i wolę. Ów nieokreślony, idealistyczny stan, określany przez współczesnego człowieka mianem “życia po śmierci", dla nich jest konkretną areną praktycznego działania, odmiennego w swej naturze od praktycznego działania w naszym codziennym życiu, lecz cechującego się podobną funkcjonalnością. Don Juan przypuszczał, że zbieranie pamiętnych wydarzeń swego życia było dla szamanów przygotowaniem do chwili, gdy wkroczą na ową konkretną arenę, którą oni sami nazywali aktywną stroną nieskończoności.

Don Juan i ja rozmawialiśmy któregoś dnia pod jego ramadą; była to lekka konstrukcja sklecona z cienkich bambusowych palików, rodzaj werandy, częściowo zacienionej, lecz zupełnie nie chroniącej przed deszczem. Stało w niej kilka małych, mocnych skrzynek, których używano jako ławeczek. Napisy na skrzynkach wyblakły i bardziej służyły ozdobie niż identyfikacji. Siedziałem na jednej z nich. Plecami byłem zwrócony w kierunku frontowej ściany domu. Don Juan siedział na innej skrzynce, oparty o drąg wspierający całą ramadę. Zajechałem samochodem pod jego dom dopiero kilka minut wcześniej. Podróżowałem przez cały dzień w gorącym, parnym powietrzu. Byłem podenerwowany, spocony i wierciłem się niespokojnie.

Zaledwie wygodnie rozsiadłem się na skrzynce, don Juan zaczai mówić. Uśmiechając się szeroko, zauważył, że ludzie grubi w zasadzie nie wiedzą, jak walczyć ze swoją otyłością. Z uśmiechu, który igrał na jego twarzy, domyśliłem się, że nie stroi sobie żartów. Niezwykle bezpośrednio, a zarazem bardzo oględnie, zwrócił moją uwagę na to, że mam nadwagę.

Tak mnie to zdenerwowało, że wychyliłem się za daleko w tył na mojej skrzynce i z wielką siłą wyrżnąłem plecami o cienką ścianę. Uderzenie zatrzęsło całym domem aż po fundamenty. Don Juan spojrzał na mnie badawczo, ale zamiast spytać, czy nic mi się nie stało, zapewnił, że ściany nie popękały. Następnie długo mi wyjaśniał, że dom służy mu tylko za tymczasowe schronienie i tak naprawdę mieszka gdzie indziej. Kiedy zapytałem go, gdzie to w takim razie jest, utkwił we mnie wzrok. Jego spojrzenie nie było groźne; było bardziej skutecznym paralizatorem niewłaściwych pytań. Nie pojąłem, czego ode mnie oczekuje. Już miałem powtórzyć pytanie, ale mnie powstrzymał.

– Tutaj się nie zadaje podobnych pytań – powiedział stanowczo. – Możesz pytać do woli o procedury i pojęcia. Kiedy będę gotów ci powiedzieć, gdzie mieszkam – jeśli w ogóle będę – powiem ci sam i nie będziesz musiał mnie pytać.

Natychmiast poczułem się odrzucony. Moja twarz oblała się rumieńcem. Czułem się dotknięty do

żywego. Wybuch śmiechu don Juana tylko podsycił moje upokorzenie. Nie dość, że mnie odrzucił, to jeszcze mnie poniżył i wyśmiał.

– Mieszkam tutaj tymczasowo – ciągnął, nie zważając na mój paskudny humor – ponieważ jest to magiczne miejsce. Prawdę powiedziawszy, mieszkam tutaj z twojego powodu.

Jego oświadczenie powaliło mnie na łopatki. Nie mogłem w to uwierzyć. Pomyślałem, że pewnie tak mówi, żeby złagodzić moje rozdrażnienie faktem, iż mnie obraził.

– Naprawdę mieszkasz tutaj z mojego powodu? – zapytałem, niezdolny pohamować ciekawości.

– Tak – odparł beznamiętnie. – Muszę cię odpowiednio przygotować. Jesteś taki jak ja. Powtórzę ci teraz coś, co już ci wcześniej mówiłem: wyzwaniem dla każdego naguala, czyli przywódcy, każdego pokolenia czarowników jest odszukanie nowego mężczyzny czy nowej kobiety, która podobnie jak on wykazuje podwójną strukturę energetyczną; zobaczyłem tę cechę w tobie, kiedy byliśmy na dworcu autobusowym w Nogales. Gdy widzę twoją energię, widzę dwie nałożone na siebie świetliste kule, jedną na drugiej, i ta cecha wiąże nas ze sobą. Ani ja nie mogę zrezygnować z ciebie, ani ty nie możesz zrezygnować ze mnie.

Jego słowa wywołały we mnie niezwykle dziwne roztrzęsienie. Jeszcze chwilę przedtem byłem zły, teraz zbierało mi się na płacz.

Don Juan mówił dalej. Powiedział, że chce mnie zapoznać z czymś, co szamani nazywają drogą wojownika, wykorzystując do tego siłę okolicy, w której mieszka, gdyż jest ona miejscem bardzo silnych emocji i gwałtownych reakcji. Od tysiącleci zamieszkuje ją bardzo wojowniczy lud, który nasączył tę ziemię swoim zamiłowaniem do wojny.

W owym czasie don Juan mieszkał w stanie Sonora w północnym Meksyku, około stu sześćdziesięciu kilometrów na południe od miasta Guaymas. Tam zawsze jeździłem go odwiedzać, pod pozorem prowadzenia badań w terenie.

– Don Juanie, czy będę musiał toczyć jakąś wojnę? – spytałem poważnie zaniepokojony jego oświadczeniem, że zamiłowanie do wojny będzie mi pewnego dnia potrzebne. Nauczyłem się już traktować jego słowa z absolutną powagą.

– Nie ulega wątpliwości – odrzekł z uśmiechem. – Kiedy już wchłoniesz wszystko, co można w tej okolicy wchłonąć, ja wyjadę.

Nie miałem żadnych podstaw, by powątpiewać w to, co mówi, ale nie potrafiłem sobie wyobrazić jego życia gdzie indziej. Był bez reszty częścią wszystkiego, co go otaczało. Jednakże jego dom faktycznie sprawiał wrażenie tymczasowego schronienia. Była to typowa lepianka farmerów z plemienia Yaqui; miała splatane ściany obrzucone gliną, przykryte płaską strzechą. Wnętrze stanowiło jedno duże pomieszczenie służące do jedzenia i spania oraz nie zadaszona kuchnia.

– Bardzo ciężko o dobry kontakt z grubymi ludźmi – powiedział.

Jego stwierdzenie wydawało się nie na temat, ale faktycznie było inaczej. Don Juan po prostu wrócił do kwestii, którą poruszył, zanim mu przerwałem, uderzając plecami w ścianę.

– Minutę temu walnąłeś w mój dom jak meteor – powiedział, kręcąc powoli głową. – Ależ to było uderzenie! Uderzenie godne solidnego mężczyzny.

Miałem nieprzyjemne uczucie, że rozmawia ze mną tak,

jakby spisał mnie na straty. Natychmiast przyjąłem postawę obronną. Z drwiącym uśmieszkiem na ustach słuchał moich pospiesznych zapewnień, że moja waga jest normalna, zważywszy na grubość kośćca.

– To prawda – żartobliwym tonem przyznał mi rację. – Masz grube kości. Zapewne swobodnie mógłbyś ważyć piętnaście kilo więcej i nikt, daję słowo, nikt by nic nie zauważył. Ja na pewno bym nie zauważył.

Z jego ironicznego uśmiechu wyczytałem, że faktycznie muszę wydawać mu się bardzo tęgi. Następnie spytał mnie o ogólny stan zdrowia, a ja się rozgadałem, usilnie starając się uniknąć wszelkich dalszych komentarzy na temat mojej wagi. Don Juan sam zmienił temat.

– Jak tam twoje dziwactwa i wariactwa? – spytał z kamiennym wyrazem twarzy.

Idiotycznie odrzekłem mu, że w porządku. “Dziwactwami i wariactwami" don Juan ochrzcił moje zainteresowania kolekcjonerskie. W owym czasie bowiem ze wzmożonym zapałem powróciłem do mojego starego hobby, które trwało przez całe życie: do kolekcjonowania wszystkiego, co tylko dało

się kolekcjonować. Zbierałem czasopisma, znaczki, płyty, militaria z czasów drugiej wojny światowej – sztylety, hełmy, flagi i tym podobne przedmioty.

– Jedyne, don Juanie, co mogę ci powiedzieć o moich wariactwach, to to, że staram się sprzedać moje zbiory – powiedziałem, przybierając maskę męczennika, którego zmuszają do popełnienia ohydztwa.

– Kolekcjonowanie to nie jest wcale taki zły pomysł – wyrzekł takim tonem, jakby naprawdę był o tym przekonany. – Sedno sprawy nie tkwi w samym zbieraniu, ale w tym, co się zbiera. Ty zbierasz śmieci, przedmioty bez wartości, które uwiązują cię przy sobie równie skutecznie jak domowy pies. Nie możesz tak po prostu sobie wyjechać, kiedy ci się podoba, jeśli masz psa, którym musisz się zajmować, albo gdy nie możesz przestać myśleć, co by się stało z twoimi zbiorami, gdybyś musiał je zostawić.

– Naprawdę szukam kupców, don Juanie, uwierz mi – starałem się go przekonać.

– Nie, nie, nie, w porządku; niech ci się nie wydaje, że cię o cokolwiek posądzam – odpowiedział pospiesznie. – Prawdę rzekłszy, podoba mi się ta twoja żyłka kolekcjonerska. Nie podobają mi się tylko twoje zbiory, to wszystko. Chciałbym się jednak odwołać do twej natury zbieracza. Chciałbym zaproponować ci zgromadzenie kolekcji, której warto poświęcić nieco zachodu.

Don Juan zrobił długą pauzę. Sprawiał wrażenie, jakby zastanawiał się nad doborem słów; a może był to po prostu teatralny, dobrze przemyślany moment zawahania. Obrzucił mnie głębokim, świdrującym spojrzeniem.

– Każdy wojownik w ramach swych obowiązków tworzy specjalny album – ciągnął. – Album ten daje świadectwo okolicznościom jego życia.

– Dlaczego nazywasz coś takiego kolekcją, don Juanie? – spytałem zaczepnie. – Albo – lepiej jeszcze – albumem?

– Ponieważ jest tym i tym – odparował. – Nade wszystko jednak jest to poniekąd album z obrazami, które powstały ze wspomnień; obrazami, które powstały z sięgania pamięcią do pamiętnych wydarzeń życia.

– Czy owe pamiętne wydarzenia życia są pamiętne w jakimś szczególnym sensie? – zapytałem.

– Są pamiętne, ponieważ mają szczególne znaczenie w życiu człowieka – odrzekł. – Chciałbym ci zaproponować, żebyś stworzył taki album, zawierając w nim wyczerpujące relacje z różnych zdarzeń, które miały dla ciebie głębokie znaczenie.

– Don Juanie, każde zdarzenie w moim życiu miało dla mnie głębokie znaczenie! – odparłem z emfazą, rażony natychmiast siłą własnego patosu.

– Niezupełnie – odrzekł z uśmiechem, najwyraźniej niezwykle ubawiony moimi reakcjami. – Nie każde zdarzenie w twoim życiu miało dla ciebie głębokie znaczenie. Było jednak kilka takich, które w moim odczuciu prawdopodobnie coś w twoim życiu odmieniły, które oświeciły twą drogę. Zazwyczaj wydarzenia, które zmieniają bieg naszej drogi, nie dotyczą nas osobiście; a jednak – pomimo to – dotykają nas w niezwykle osobisty sposób.

– Nie próbuję utrudniać ci zadania, don Juanie, ale uwierz mi, że wszystko, co mi się przydarzyło, spełnia te kryteria – powiedziałem świadomy tego, że kłamię.

Zaledwie wypowiedziałem te słowa, chciałem go przeprosić, ale don Juan nie zwrócił na mnie uwagi. Zupełnie, jakbym się w ogóle nie odezwał.

– Niech ci się nie wydaje, że ten album to zbiór banałów albo trywialnych historyjek o tym, co ci się przydarzyło w życiu – rzekł.

Wziąłem głęboki oddech, zamknąłem oczy i starałem się uciszyć umysł. W myślach gorączkowo wałkowałem problem, którego nie potrafiłem rozwiązać: nie miałem najmniejszej wątpliwości co do tego, że nie znoszę wizyt u don Juana. W jego obecności czułem się zagrożony. Napastował mnie słownie i nie dawał mi żadnych okazji, by mu pokazać, co jestem wart. Nie mogłem znieść tego, że tracę twarz za każdym razem, kiedy otwieram usta; nie mogłem znieść tego, że to ja wychodzę zawsze na durnia.

Ale przemawiał do mnie wewnątrz również inny głos; głos, który dobiegał gdzieś z głębi, z dala, niemal niedosłyszalny. Poprzez rozgwar znajomego dialogu dochodziły do mnie moje własne słowa, że jest już za późno i nie mogę się wycofać. Ale tak naprawdę to, co pobrzmiewało w mojej głowie, nie było moim głosem ani moimi myślami; był to raczej jakiś obcy głos, który mówił, że już zbyt daleko

zabrnąłem w świat don Juana i że potrzebuję go bardziej niż powietrza.

– Mów, co ci się żywnie podoba – zdawał się przemawiać do mnie ów obcy głos – ale gdybyś nie był takim egocentrykiem, nie czułbyś się teraz tak upokorzony.

– To głos twojego drugiego umysłu – rzekł don Juan, zupełnie jakby słyszał moje myśli albo czytał z nich jak z książki.

Moim ciałem szarpnęło mimowolne drgnięcie. Mój strach urósł do takich rozmiarów, że oczy zaszły mi łzami. Zwierzyłem się don Juanowi, w czym tkwi sedno mojego roztrzęsienia.

– Twój konflikt jest najzupełniej naturalny – odrzekł. – I możesz mi wierzyć, że ja go wcale tak bardzo nie podsycam. Nie jestem z tych. Ale musiałbyś posłuchać, co wyrabiał ze mną mój nauczyciel, nagual Julian. Nie cierpiałem go całym sercem i duszą. Byłem bardzo młody i widziałem, jakim uwielbieniem darzyły go kobiety, jak oddawały mu się tak po prostu, a kiedy ja próbowałem się do nich odzywać, rzucały się na mnie jak lwice, gotowe odgryźć mi głowę. Mnie nienawidziły z całego serca, jego zaś kochały. Jak myślisz, jak się wtedy czułem?

– I jak rozwiązałeś ten konflikt, don Juanie? – spytałem z niekłamaną ciekawością.

– Niczego nie rozwiązałem – obwieścił. – Moja sytuacja – konflikt czy jak to sobie nazwiesz – była wynikiem starcia moich dwóch umysłów. Każdy z nas, każdy człowiek, ma dwa umysły. Jeden całkowicie należy do nas i przypomina cichutki głos, który zawsze przynosi ze sobą ład, szczerość, ukierunkowanie. Drugi umysł to obca instalacja. Przynosi ze sobą konflikt, zadufanie w sobie, wątpliwości, beznadzieję.

Byłem tak zaabsorbowany gonitwą moich myśli, że w ogóle nie dotarło do mnie nic z tego, co powiedział don Juan. Dokładnie zapamiętałem każde jego słowa, ale nic one dla mnie nie znaczyły. Don Juan spojrzał mi prosto w oczy i bardzo spokojnie powtórzył swoją wypowiedź. Nadal nie potrafiłem pojąć, co ma na myśli. Nie potrafiłem się skupić na j ego słowach.

– Z niezrozumiałego powodu nie potrafię się skoncentrować na tym, co do mnie mówisz, don Juanie – powiedziałem.

– Doskonale wiem, dlaczego – odrzekł, uśmiechając się od ucha do ucha – i pewnego dnia ty również się dowiesz. Tego samego dnia rozwikłasz swój dylemat, czy mnie lubisz, czy nie, i wtedy też przestaniesz uważać się za centrum wszechświata i powtarzać ciągle “ja, ja, ja".

Tymczasem jednak – ciągnął dalej – odłóżmy temat dwóch umysłów na bok i powróćmy do kwestii przygotowania twojego albumu pamiętnych wydarzeń życia. Powinienem tu dodać, że jest to ćwiczenie z dyscypliny i bezstronności. Traktuj przygotowywanie swojego albumu jak prowadzenie wojny.

Niezachwiana pewność don Juana, że mój wewnętrzny konflikt – fakt, iż równocześnie lubię i nie lubię go odwiedzać – zostanie rozwiązany, gdy tylko się wyzbędę egocentryzmu, nic mi nie dawała. Prawdę powiedziawszy, jego słowa jeszcze bardziej mnie rozzłościły, co z kolei pogłębiło tylko moje rozgoryczenie. A kiedy usłyszałem, jak przyrównuje przygotowywanie albumu do prowadzenia wojny, wybuchnąłem i wylałem wreszcie całą moją żółć.

– Już samo stwierdzenie, że jest to zbiór wydarzeń, jest trudne do zrozumienia – powiedziałem w tonie sprzeciwu. – Ale jakby tego było mało, ty nazywasz to jeszcze “albumem" i mówisz mi, że przygotowywanie tego albumu jest prowadzeniem wojny – to już dla mnie za dużo. Zbyt pogmatwane. Pogmatwana metafora traci sens.

– A to dziwne! Ze mną jest na odwrót – odparł spokojnie don Juan. – Tylko wtedy, gdy traktuję przygotowywanie takiego albumu jak prowadzenie wojny, ma to dla mnie sens. Nie wyobrażam sobie, by mój album pamiętnych wydarzeń życia mógł być czymś innym niż prowadzenie wojny.

Chciałem dalej się z nim kłócić i wyjaśnić mu, że tak naprawdę rozumiem, co oznacza album pamiętnych wydarzeń życia. Miałem obiekcje co do sposobu opisu, który zupełnie mącił mi w głowie. W owym czasie uważałem siebie za rzecznika klarowności i funkcjonalności w posługiwaniu się językiem.

Don Juan nie komentował moich agresywnych reakcji. Kiwał jedynie głową, jakby całkowicie się ze mną zgadzał. Po krótkiej chwili albo zupełnie straciłem energię, albo poczułem jej potężny przypływ. Nieoczekiwanie, bez żadnego wysiłku z mojej strony, uzmysłowiłem sobie bezsens moich wybuchów. Poczułem bezgraniczne zażenowanie.

– Co we mnie wstąpiło? – spytałem zupełnie poważnie don Juana. W tym momencie czułem się

kompletnie zbity z tropu. Byłem tak wstrząśnięty tym, co sobie uświadomiłem, że zupełnie mimowolnie zacząłem szlochać.

– Nie przejmuj się głupimi drobiazgami – powiedział don Juan uspokajającym tonem. – Wszyscy, kobiety i mężczyźni, jesteśmy tacy sami.

– Chcesz mi powiedzieć, don Juanie, że jesteśmy z natury małostkowi i wewnętrznie rozdarci?

– Nie, nie jesteśmy z natury małostkowi i wewnętrznie rozdarci – odrzekł. – Wynika to raczej z pewnego transcendentalnego konfliktu, którym zostaliśmy wszyscy dotknięci, choć jedynie udziałem czarowników jest cierpienie i beznadziejność płynąca z jego uświadomienia; chodzi o konflikt naszych dwóch umysłów.

Don Juan przyglądał mi się z uwagą; jego oczy przypominały dwa czarne węgielki.

– Bez przerwy mi o tym mówisz – odezwałem się – ale do mojego mózgu to nie dociera. Dlaczego tak jest?

– Dowiesz się, dlaczego, w swoim czasie – odrzekł. – Tymczasem zaś wystarczy, jak ci powtórzę to, co wcześniej powiedziałem o naszych dwóch umysłach. Jeden z nich jest naszym prawdziwym umysłem, wytworem naszych doświadczeń życiowych, i rzadko do nas przemawia, gdyż został pokonany i zdegradowany do poziomu niejasnego podszeptu. Drugi, ten którego używamy na co dzień we wszystkim, co robimy, to obca instalacja.

– Sęk chyba w tym, że koncepcja umysłu jako jakiejś obcej instalacji jest tak dziwaczna, iż nie potrafię traktować jej poważnie – powiedziałem z odczuciem, że dokonałem prawdziwego odkrycia.

Don Juan nie skomentował mojej wypowiedzi. Dalej tłumaczył zagadnienie dwóch umysłów, jakbym w ogóle się nie odezwał.

– Rozwiązanie konfliktu dwóch umysłów jest kwestią jego zamierzenia – rzekł. – Szamani przywołuj ą intencję, siłę istniejącą we wszechświecie, wymawiając słowo “intencja" głośno i wyraźnie. Kiedy ją przyzywają, przychodzi do nich i wyznacza im ścieżkę prowadzącą do realizacji celu; znaczy to tyle, że czarownicy zawsze osiągają to, do czego zmierzają.

– Chcesz przez to powiedzieć, don Juanie, że czarownicy zdobywają wszystko, czego chcą, nawet jeśli kieruje nimi małostkowość i kaprys? – spytałem.

– Nie, nie to chciałem powiedzieć – odparł. – Można oczywiście zawezwać intencję z każdego powodu, ale metodą mozolnych prób i błędów czarownicy ustalili, że pojawia się ona jedynie wówczas, gdy powód jest abstrakcyjny. To taki wentyl bezpieczeństwa czarowników; gdyby go nie było, czarownicy byliby nie do zniesienia. Jeśli chodzi o ciebie, przywołanie intencji w celu rozwiązania konfliktu twoich dwóch umysłów albo po to, by dosłyszeć głos prawdziwego umysłu, nie jest małostkowością ani kaprysem. Wręcz przeciwnie – jest to sprawa eteryczna i abstrakcyjna, a jednak ma ona dla ciebie niezwykle żywotne znaczenie.

Don Juan zrobił krótką przerwę, po czym znowu zaczął mówić o albumie.

– Przygotowywanie albumu, które było dla mnie równoznaczne z prowadzeniem wojny, zmusiło mnie do przeprowadzenia nadzwyczaj starannego doboru – rzekł. – Teraz mój album stanowi precyzyjnie opracowaną kolekcję niezapomnianych momentów z mojego życia i tego wszystkiego, co do nich wiodło. Zamieściłem w nim to, co miało, ma i będzie mieć dla mnie olbrzymie znaczenie. Jestem zdania, że album wojownika jest czymś nadzwyczaj konkretnym, czymś tak głęboko wnikającym w istotę rzeczy, że musi budzić grozę.

Choć nie miałem bladego pojęcia, czego chce ode mnie don Juan, jednak w rzeczywistości doskonale go zrozumiałem. Poradził mi, bym usiadł w samotności i nie blokował swobodnego przepływu myśli i wspomnień. Zalecił, bym się postarał i pozwolił mojemu głosowi wewnętrznemu przemówić i podpowiedzieć mi, które wspomnienia mam wybrać. Następnie nakazał mi iść do domu i położyć się na posłaniu, które sobie przygotowałem. Składały się nań drewniane skrzynki i kilkadziesiąt pustych worków jutowych, służących za materac. Byłem cały obolały i kiedy położyłem się na tym legowisku, stwierdziłem, że w istocie jest nadzwyczaj wygodne.

Wziąłem sobie sugestie don Juana głęboko do serca i zacząłem myśleć o swojej przeszłości, starając się przypomnieć sobie wydarzenia, które odcisnęły na mnie swoje piętno. Szybko zdałem sobie sprawę z tego, że moje przekonanie, iż każde zdarzenie w moim życiu miało dla mnie głębokie znaczenie, było absurdalne. Gdy usiłowałem coś sobie przypomnieć, stwierdziłem, że nie wiem nawet, od czego należałoby zacząć. Przez mój umysł rwał nie kończący się strumień myśli i wspomnień, ale

nie potrafiłem określić, czy wydarzenia te miały dla mnie jakiekolwiek znaczenie. Odniosłem wrażenie, że absolutnie nic się dla mnie w życiu nie liczyło. Zupełnie jakbym przeszedł przez nie niczym automat zdolny mówić i chodzić, lecz niezdolny do odczuwania czegokolwiek. Nie będąc w stanie się bardziej skoncentrować i wykonać zadania, zrezygnowałem i zapadłem w sen.

– No i co, złapałeś coś? – spytał mnie don Juan, gdy się przebudziłem z tego długiego snu.

Zamiast czuć się rozluźniony i wypoczęty, znów miałem kiepski humor i wojowniczy nastrój.

– Nie, nie złapałem! – warknąłem.

– Słyszałeś głos dochodzący głęboko z twego wnętrza? – indagował dalej.

– Chyba tak – skłamałem.

– Co ci powiedział? – zainteresował się don Juan z nutą napięcia w głosie.

– Nie potrafię o tym myśleć, don Juanie – wymamrotałem.

– Aha, znowu tkwisz w swoim codziennym umyśle – powiedział i poklepał mnie mocno po plecach. – Twój codzienny umysł znów tobą zawładnął. Rozluźnijmy go i pomówmy o twojej kolekcji pamiętnych wydarzeń życia. Muszę ci powiedzieć, że decyzja o tym, co umieścić w swoim albumie, nie jest sprawą łatwą. Z tego powodu mówię, że przygotowywanie go jest jak prowadzenie wojny. Trzeba się przeistoczyć dziesięć razy, zanim się wie, co wybrać.

W tamtym momencie wyraźnie, choć tylko przez bardzo krótką chwilę, zrozumiałem, że mam dwa umysły; myśl ta była jednakże tak ulotna, że natychmiast mi umknęła. Pozostało po niej jedynie wrażenie, że nie podołam poleceniu don Juana. Zamiast jednak spokojnie pogodzić się z własną niemocą, dopuściłem do tego, że przybrała ona pozory zagrożenia. W owym okresie mojego życia głównym motorem moich działań było dążenie do tego, by postrzegano mnie zawsze w dobrym świetle. Niemożność zrobienia czegoś równała się w moim odczuciu przyznaniu się do porażki, a to było absolutnie nie do przyjęcia. Ponieważ nie wiedziałem, jak odpowiedzieć na wyzwanie, które rzucił mi don Juan, zrobiłem jedną jedyną rzecz, którą umiałem robić dobrze: rozzłościłem się.

– Muszę się nad tym głębiej zastanowić, don Juanie – powiedziałem. – Muszę dać mojemu umysłowi trochę czasu na oswojenie się z tą koncepcją.

– Oczywiście, oczywiście – zgodził się ze mną. – Daj sobie tyle czasu, ile to konieczne, ale pospiesz się.

Tego dnia już więcej o tym nie rozmawialiśmy. W domu całkowicie zapomniałem o całej sprawie, aż pewnego razu, kiedy to nagle, w samym środku wykładu, któremu się przysłuchiwałem, szarpnął mną fizycznie bezwarunkowy imperatyw przypomnienia sobie pamiętnych wydarzeń mojego życia; poczułem potężny nerwowy spazm, który wstrząsnął całym moim ciałem od czubka głowy po palce stóp.

Zabrałem się do pracy na poważnie. Całe miesiące strawiłem na odgrzebywaniu w pamięci przeżyć, które w moim odczuciu miały dla mnie jakieś znaczenie. Kiedy jednak dokładnie przyjrzałem się mojej kolekcji, uzmysłowiłem sobie, że zajmuję się tylko takimi sprawami, które nie posiadają absolutnie żadnej treści. Zdarzenia, o których myślałem, były jedynie niejasno zapamiętanymi, abstrakcyjnymi punktami odniesienia. Raz jeszcze poczułem się niezwykle rozstrojony mrocznym podejrzeniem, że wychowano mnie tak, abym jedynie działał, nie próbując nigdy nawet czegokolwiek poczuć.

Jednym z najbardziej ulotnych wspomnień, które za wszelką cenę chciałem uczynić pamiętnym, był dzień, kiedy dowiedziałem się, że przyjęto mnie na studia magisterskie na Uniwersytecie Kalifornijskim. Pomimo wielkich starań nie mogłem sobie za nic przypomnieć, co tamtego dnia robiłem. Dzień ten nie kojarzył mi się z niczym interesującym czy wyjątkowym – jedynie z myślą, że powinien być dla mnie pamiętny. Z faktem, że dostałem się na uniwersytet, powinno się łączyć zadowolenie albo duma z samego siebie, ale tak nie było.

Innym elementem mojej kolekcji był dzień, w którym omal nie ożeniłem się z Kay Condor. Naprawdę nie nazywała się Condor, ale zmieniła nazwisko, ponieważ chciała być aktorką. Przepustką do sławy miał być fakt, że z twarzy bardzo przypominała Carole Lombard. Dzień ów zapisał się w mojej pamięci nie tyle z powodu tego, co się wówczas wydarzyło, ile dlatego, że Kay była piękna i chciała za mnie wyjść. Była wyższa ode mnie o głowę, co jeszcze bardziej pobudzało moje zainteresowanie jej osobą.

Byłem niezwykle podekscytowany myślą o poślubieniu wysokiej kobiety, i to na dodatek w kościele.

Wypożyczyłem na tę okazję szary garnitur. Przy moim wzroście spodnie robiły wrażenie zbyt luźnych. Nie były to dzwony, lecz po prostu szerokie spodnie, i to niesamowicie mnie drażniło. Oprócz tego irytowało mnie niezmiernie to, że rękawy różowej koszuli, którą sobie kupiłem na tę okoliczność, były prawie dziesięć centymetrów za długie; żeby je skrócić, musiałem nałożyć na ręce gumowe ściągacze. Poza tym wszystko szło doskonale do momentu, w którym goście i ja sam stwierdziliśmy, że Kay Condor zrejterowała i nie zjawi się w kościele.

Ponieważ była bardzo dobrze wychowaną młodą damą, przesłała mi kartkę z przeprosinami przez posłańca na motocyklu. Napisała, że nie uznaje rozwodów i nie potrafi związać się do końca swoich dni z mężczyzną, który w dużym stopniu nie podziela jej poglądów na życie. Wypomniała mi, że prycham pogardliwym śmiechem za każdym razem, gdy wypowiadam jej nazwisko, co zdradza całkowity brak szacunku dla jej osoby. Napisała, że omówiła całą sprawę ze swoją matką. Obie bardzo mnie kochają, ale nie na tyle, bym mógł się stać częścią ich rodziny. Dodała, że wszyscy – mężnie i mądrze – powinniśmy zapomnieć o całej sprawie i żyć dalej.

Odzwierciedleniem stanu mojego umysłu był całkowity paraliż. Kiedy starałem się przywołać wspomnienia tego dnia, nie mogłem sobie przypomnieć, czy czułem się potwornie upokorzony, bo mnie zostawiła i stałem tak sam przed całą masą ludzi w moim szarym, wypożyczonym garniturze z szerokimi spodniami, czy też byłem zdruzgotany tym, że Kay Condor nie wyszła za mnie.

Były to jedyne dwa wydarzenia, które potrafiłem wyraźnie wydzielić. Były to raczej marne próbki, ale po odpowiedniej aranżacji udało mi się nadać im formę opowieści o filozoficznym pogodzeniu się z losem. Wyobraziłem sobie samego siebie jako istotę, która kroczy przez życie pozbawiona prawdziwych uczuć, oceniająca wszystko jedynie z intelektualnego punktu widzenia. Wzorując się na przenośniach don Juana, stworzyłem nawet swój własny metaforyczny obraz: istota, która żyje wyobrażeniami na temat tego, jak jej życie powinno wyglądać.

Na przykład, byłem przekonany, że dzień, w którym zostałem przyjęty na studia magisterskie na Uniwersytecie Kalifornijskim, powinien być dla mnie dniem pamiętnym. Ponieważ tak nie było, robiłem co mogłem, żeby przydać mu ważności, której absolutnie nie odczuwałem. Podobnie było z dniem, w którym nieomal poślubiłem Kay Condor. Powinien to być dzień miażdżącej klęski, a nie był. Przypominając go sobie, miałem świadomość, że nie zapisał się on w mej pamięci niczym szczególnym, zacząłem więc na siłę wymyślać odczucia, które powinienem był wówczas mieć. Kiedy następnym razem pojechałem odwiedzić don Juana, zaraz po przyjeździe przedstawiłem mu moje dwie próbki. – To stek bzdur – oświadczył. – Żadna z tych historii się nie nadaje. Odnoszą się wyłącznie do ciebie jako osoby, która myśli, odczuwa, płacze albo nie odczuwa niczego. Pamiętne zdarzenia z albumu szamana to rzeczy, które wytrzymają próbę czasu, ponieważ mimo że nie mają one z nim nic wspólnego, to jednak on w nich tkwi po uszy i zawsze będzie, przez całe życie i może nawet jeszcze dłużej, ale niezupełnie osobiście.

Po wysłuchaniu jego słów poczułem się przybity, ostatecznie pokonany. W owym czasie byłem absolutnie pewny, że don Juan jest zawziętym, starym człowiekiem, który czerpie szczególną przyjemność z robienia ze mnie durnia. Przypominał mi mistrza rzemiosła z odlewni rzeźbiarskiej, gdzie pracowałem w czasach, gdy chodziłem do szkoły artystycznej. Mistrz ów krytykował wszystkie prace swoich uczniów i wytykał im błędy, żądając wykonania poprawek zgodnie ze swoimi zaleceniami. Uczniowie odwracali się i udawali, że poprawiają swoje prace. Pamiętam promienny uśmiech radości mistrza i jego słowa, gdy pokazywano mu tę samą pracę: “No, teraz to rozumiem!"

– Nie łam się – powiedział don Juan, wyrywając mnie z zamyślenia. – W swoim czasie byłem w podobnym położeniu. Przez długie lata nie dość, że nie wiedziałem, co wybrać, to jeszcze sądziłem, iż nie mam żadnych przeżyć, z których mógłbym wybierać. Miałem wrażenie, że nigdy nic mi się nie przydarzyło. Rzecz jasna, spotkało mnie wszystko, co tylko może spotkać człowieka, ale moje usilne starania zachowania pewnego wyobrażenia o sobie samym nie pozostawiały mi w ogóle czasu ani ochoty na to, by cokolwiek zauważyć.

– Czy możesz mi powiedzieć konkretnie, don Juanie, co jest nie tak z moimi historiami? Wiem, że są do niczego, ale cała reszta mojego życia jest taka sama.

– Powiem ci coś raz jeszcze – odparł. – Historie z albumu wojownika nie są osobiste. Twoja opowieść o dniu, kiedy dostałeś się na uniwersytet, stawia cię po trochu w centrum wszystkiego. Czujesz, nie czujesz; uzmysławiasz sobie, nie uzmysławiasz sobie. Rozumiesz, o co mi chodzi? Cała ta historia to po prostu ty sam.

– Ale jakże mogłoby być inaczej? – zapytałem.

– W twojej drugiej opowieści niemal dotykasz tego, o co mi chodzi, ale znów obracasz to w coś

skrajnie osobistego. Wiem, że mogłeś dodać więcej szczegółów, ale wszystkie one byłyby jedynie przedłużeniem twojej osoby i niczym więcej.

– Naprawdę nie rozumiem, do czego zmierzasz, don Juanie – wyraziłem moje wątpliwości. – Każda historia widziana oczyma świadka jest, siłą rzeczy, osobista.

– Tak, tak, oczywiście – odrzekł z uśmiechem, jak zwykle pysznie ubawiony moją konsternacją. – Ale w takim razie nie jest to historia do albumu wojownika. Jest to historia, która służy czemu innemu. Pamiętne zdarzenia, których my poszukujemy, kryją w sobie mroczny dotyk tego, co bezosobowe. Są nim przesycone. Nie wiem, jak to inaczej wytłumaczyć.

Wydawało mi się wówczas, że miałem chwilę olśnienia i zrozumiałem, co miał na myśli, mówiąc o mrocznym dotyku tego, co bezosobowe. Sądziłem, że chodzi mu o coś odrobinę makabrycznego. Z tym właśnie kojarzyła mi się mroczność. Opowiedziałem mu więc historię z czasów dzieciństwa.

Jeden z moich starszych kuzynów studiował w szkole medycznej. Robił specjalizację i pewnego dnia zabrał mnie do kostnicy. Zapewnił mnie, że młody człowiek ma niejako obowiązek oglądać martwych ludzi, ponieważ jest to bardzo pouczający widok; ma on demonstrować przemijalność życia. Pouczał mnie bez przerwy, chcąc mnie przekonać, bym poszedł z nim do kostnicy. Im więcej mówił o tym, jak bardzo w obliczu śmierci stajemy się nieważni, tym bardziej byłem zaintrygowany. Nigdy w życiu nie widziałem nieboszczyka. W końcu ciekawość zawładnęła mną całkowicie i zgodziłem się z nim pójść.

Pokazał mi kilka trupów, czym udało mu się śmiertelnie mnie przerazić. Nie dostrzegłem w nich niczego pouczającego ani metafizycznego. Było to coś tak przerażającego, że w życiu jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Kiedy kuzyn mówił, co chwila spoglądał na zegarek, jak gdyby czekał na kogoś, kto ma się w każdej chwili zjawić. Zapewne chciał przetrzymać mnie w kostnicy dłużej, niż byłem w stanie wytrzymać. Ponieważ zawsze lubiłem rywalizację, byłem przekonany, że sprawdza moją wytrzymałość, moje męstwo. Zacisnąłem więc zęby i postanowiłem zostać z nim do samiuteńkiego końca.

Samiuteńki koniec przeszedł moje najśmielsze wyobrażenia. Nagle jeden z przykrytych prześcieradłem trupów zaczął się ze skrzypieniem unosić na marmurowym stole, zupełnie jakby zamierzał usiąść prosto. Z jego wnętrza wydobyło się beknięcie tak ohydne, że przeszyło mnie na wylot i pozostanie w mojej pamięci do końca życia. Mój kuzyn – pan lekarz i naukowiec – wytłumaczył mi, że są to zwłoki człowieka zmarłego na gruźlicę i że jego płuca trawione są przez prątki, które pozostawiają olbrzymie dziury wypełnione powietrzem, i w podobnych przypadkach, przy zmianie temperatury otoczenia, górna część ciała czasami unosi się do pionu, a najczęściej konwulsyjnie podryguje.

– Nie, jeszcze nie trafiłeś – powiedział don Juan, kręcąc głową. – To po prostu opowieść o twoim strachu. Sam byłbym śmiertelnie przerażony. Jednakże podobny strach nie oświetli niczyjej drogi. Ale jestem ciekaw, co było dalej.

– Zacząłem się drzeć, jakbym zobaczył ducha – odparłem. – Mój kuzyn zaś wyzwał mnie od tchórzy i mięczaków, bo wtuliłem głowę w poły jego kitla i zwymiotowałem na niego.

Najwyraźniej podchwyciłem makabryczne wątki z mojego życia. Przypomniała mi się kolejna historia o szesnastolatku z mojej szkoły średniej, który miał jakieś zaburzenia hormonalne i niesamowicie wyrósł. Jego serce nie rozrastało się w takim samym tempie co reszta ciała, i pewnego dnia chłopak zmarł na zawał. Wiedzeni niezdrową ciekawością, wybraliśmy się z kolegą do domu pogrzebowego. Jego pracownik, który prawdopodobnie sam był bardziej makabryczny niż my dwaj razem wzięci, wpuścił nas przez tylne drzwi do środka. Pokazał nam swoje arcydzieło. Zmieścił owego gigantycznego chłopca, który mierzył ponad dwa metry i trzydzieści centymetrów, w trumnie normalnych rozmiarów, odcinając mu nogi. Pokazał nam staranne ułożenie kończyn, które chłopiec obejmował ramionami niczym dwa trofea.

Przerażenie, które mnie ogarnęło, było porównywalne z tym, którego doświadczyłem w kostnicy jako dziecko, ale tym razem nie była to reakcja fizyczna; była to odraza psychiczna.

– Prawie ci się udało – powiedział don Juan. – Jednak twoja historia ciągle jest zbyt osobista. Jest odrażająca. Rzygać mi się chce, ale wyczuwam tu wielki potencjał.

Śmialiśmy się z horroru, jakim często stają się zwykłe, codzienne sytuacje. Byłem już wówczas beznadziejnie pogrążony w makabrycznych wątkach, które udało mi się uchwycić i wydobyć na światło dzienne. Opowiedziałem więc historię mojego najlepszego przyjaciela, Roya Goldpissa. Tak naprawdę

nosił on polskie nazwisko, ale koledzy nazywali go

Goldpiss, ponieważ czegokolwiek się tknął, przemieniał to w złoto; Goldpiss był wielkim biznesmenem.

Jego talent handlowy uczynił z niego osobę skrajnie ambitną. Chciał zostać najbogatszym człowiekiem na świecie. Stwierdził jednak, że konkurencja jest zbyt twarda. Powiadał, że jako indywidualny biznesmen nie ma najmniejszych szans rywalizować, na przykład, ze zwierzchnikiem pewnej sekty islamskiej, który w owym czasie otrzymywał roczne wynagrodzenie w złocie o wadze równej wadze jego ciała. Przed każdym ważeniem zwierzchnik rzeczonej sekty tuczył się do granic możliwości.

Wobec tego mój przyjaciel Roy zawęził perspektywę i zdecydował się zostać najbogatszym człowiekiem w Stanach Zjednoczonych. Konkurencja w tym sektorze była niesłychanie zażarta. Roy obniżył poprzeczkę: być może uda mu się zostać najbogatszym człowiekiem w Kalifornii. Ale i tutaj był już spóźniony. Porzucił nadzieję, by ze swymi sieciami pizzerii i lodziarni dał radę zajść na tyle wysoko w świecie biznesu, by móc konkurować z rodzinami, które od pokoleń miały Kalifornię na własność. Zadowolił się więc dążeniem do tego, by być najbogatszym człowiekiem w Woodland Hills, dzielnicy Los Angeles, w której mieszkał. Na nieszczęście dla niego na tej samej ulicy mieszkał pan Marsh, właściciel licznych zakładów produkujących najwyższej klasy materace łóżkowe w całych Stanach Zjednoczonych; i był on niewyobrażalnie bogatym człowiekiem. Frustracja Roya przeszła ludzkie pojęcie. Jego pęd do sukcesu był tak ogromny, że w końcu podupadł na zdrowiu. Pewnego dnia zmarł z powodu tętniaka w mózgu.

Jego śmierć stała się przyczyną mojej trzeciej wizyty w kostnicy. Żona Roya błagała mnie, abym jako jego najlepszy przyjaciel poszedł sprawdzić, czy ciało zostało odpowiednio ubrane. Udałem się do zakładu pogrzebowego, gdzie pracownik biura poprowadził mnie do pomieszczenia, w którym przygotowywano zwłoki do pogrzebu. Dokładnie w chwili, gdy tam wkroczyłem, pracownik stojący przy wysokim stole z marmurową płytą trudził się nad wypchnięciem do góry kącików ust nieboszczyka, który osiągnął już stan stężenia pośmiertnego, naciskając wskazującym i małym palcem prawej dłoni, ze środkowym palcem podgiętym do wnętrza dłoni. Kiedy na martwej twarzy Roya pojawił się groteskowy uśmiech, pracownik obrócił się nieznacznie w moją stronę i odezwał się służalczo: “Mam nadzieję, że łaskawy pan jest zadowolony".

Żona Roya – nigdy się nie dowiem, czy go lubiła, czy nie – postanowiła go pochować tak wystawnie, jak, jej zdaniem, na to zasługiwał. Kupiła niezwykle drogą trumnę, cacko na zamówienie, które przypominało wyglądem budkę telefoniczną; pomysł zaczerpnęła z jakiegoś filmu. Roy miał zostać pochowany w pozycji siedzącej, jak gdyby właśnie telefonował do kogoś w interesach.

Nie zostałem na pogrzebie. Oddaliłem się ogarnięty niezwykle gwałtownym uczuciem, mieszaniną niemocy i gniewu, gniewu takiego, jakiego nie da się na nikim wyładować.

– Nie ma co, masz dzisiaj makabryczny nastrój – podsumował don Juan ze śmiechem. – Ale pomimo to – a może właśnie dlatego – prawie ci się udało. Zaczynasz dotykać sedna.

Nigdy nie mogłem się nadziwić, jakim zmianom podlegał mój nastrój za każdym razem, gdy byłem w odwiedzinach u don Juana. Zawsze przyjeżdżałem do niego grymaśny, zrzędliwy, zadufany w sobie i pełen wątpliwości. Po chwili mój humor ulegał tajemniczej metamorfozie i stopniowo stawałem się bardziej wylewny, aż osiągałem stan nie znanego mi wcześniej spokoju. Charakterystyczny dla mnie sposób mówienia pozwalał jednak uzewnętrznić się temu stanowi ducha. Zwyczajowo mówiłem jak osoba dogłębnie niezadowolona, która powstrzymuje się od głośnego narzekania, ale jej nie kończące się skargi przebijają w każdej wypowiedzi.

– Czy możesz podać mi przykład pamiętnego wydarzenia z twojego albumu, don Juanie? – spytałem moim zwyczajowym tonem źle maskowanej skargi. – Gdybym znał schemat, o który ci chodzi, może wówczas mógłbym na coś wpaść. Inaczej jest to porywanie się z motyką na słońce.

– Nie tłumacz się za dużo – odrzekł don Juan, rzucając mi surowe spojrzenie. – Czarownicy powiadają, że w każdym tłumaczeniu zawierają się ukryte przeprosiny. Kiedy się więc usprawiedliwiasz, dlaczego nie możesz zrobić tego czy tamtego, tak naprawdę przepraszasz za swoje braki, w nadziei, że osoba, która cię słucha, będzie łaskawa je zrozumieć.

Moim ulubionym wybiegiem, do którego uciekałem się zawsze, gdy ktoś mnie atakował, było ostudzenie zapędów napastnika poprzez jego ignorowanie. Don Juan miał jednak wstrętną zdolność całkowitego absorbowania mojej uwagi. Bez względu na to, jak bardzo mnie atakował, bez względu na to, co powiedział, zawsze udawało mu się przykuć moją uwagę do każdego swojego słowa. Tamtego

razu to, co mówił na mój temat, wcale mnie nie zachwycało, ponieważ była to szczera prawda.

Unikałem jego spojrzenia. Jak zwykle czułem się pokonany, choć tym razem była to porażka osobliwa. Wcale mnie nie obeszła, choć gdyby zdarzyła się w moim powszednim życiu czy zaraz po przyjeździe do domu don Juana, byłoby inaczej.

Po długiej chwili milczenia don Juan znów się do mnie odezwał.

– Mam lepszy pomysł niż podanie ci przykładu pamiętnego wydarzenia z mojego albumu – powiedział. – Podam ci przykład z twojego życia, taki, który bez dwóch zdań powinien się znaleźć w twojej kolekcji. Albo inaczej: gdybym był tobą, bez wątpienia zamieściłbym je w moim zbiorze pamiętnych wydarzeń z mojego życia.

Pomyślałem sobie, że don Juan żartuje, i zaśmiałem się głupio.

– Nie ma tu nic do śmiechu – rzucił ostro. – Mówię poważnie. Raz opowiedziałeś mi historię, która spełnia wszelkie kryteria.

– Co to była za historia, don Juanie?

– Historia o "figurach przed lustrem" – odrzekł. – Opowiedz mi tę historię raz jeszcze. Ale opowiedz mija ze wszystkimi szczegółami, które zapamiętałeś.

Zacząłem powierzchownie relacjonować moją historię. Przerwał mi i zażyczył sobie przemyślanej, drobiazgowej narracji, od samego początku. Spróbowałem raz jeszcze, ale moje kolejne podejście również go nie zadowoliło.

– Chodźmy się przejść – zaproponował. – Kiedy chodzisz, jesteś o wiele dokładniejszy, niż wtedy gdy siedzisz. To wcale nie wymysł, że człowiek powinien chodzić w tę i z powrotem, kiedy chce coś zrelacjonować.

Siedzieliśmy wówczas, jak to mieliśmy w zwyczaju podczas dnia, pod jego ramadą. Miałem już swój schemat: zawsze zajmowałem to samo miejsce, zwracając się plecami do ściany. Don Juan siadywał pod swoją ramadą różnie, ale nigdy na tym samym miejscu.

Wyruszyliśmy o najgorszej porze dnia, w południe. Don Juan miał nade mną przewagę, dysponując starym słomianym kapeluszem, który zawsze nakładał na głowę, ilekroć wychodziliśmy na ostre słońce. Szliśmy długi czas w kompletnej ciszy. Robiłem wszystko, co mogłem, żeby się zmusić do przypomnienia sobie wszystkich szczegółów tamtej historii. Po kilku godzinach usiedliśmy w cieniu wysokich krzewów i raz jeszcze opowiedziałem całą historię.

Kiedy studiowałem rzeźbę w akademii sztuk pięknych we Włoszech, wiele lat wcześniej, miałem bliskiego przyjaciela, Szkota, który studiował sztuki, gdyż chciał zostać krytykiem artystycznym. Tym, co najżywiej utkwiło mi w pamięci w związku z nim i co miało związek z historią, którą opowiadałem don Juanowi, była jego bombastyczna wizja własnej osoby; uważał siebie za niezwykle rozpustnego, jurnego, wszechstronnego uczonego i artystę. Rozpustny to on był, ale jurność pozostawała w całkowitej sprzeczności z jego kościstym, suchym, poważnym wyglądem. W swych wyobrażeniach wiernie podążał za koncepcjami angielskiego filozofa Bertranda Russella i marzył o zastosowaniu zasad pozytywizmu logicznego w krytyce artystycznej. Idea zostania wszechstronnym uczonym i artystą była prawdopodobnie najśmielszą z jego fantazji, gdyż miał on w zwyczaju zwlekać ze wszystkim do ostatniej chwili; praca była jego nemezis.

Jego – moralnie niejednoznaczną – specjalnością była nie krytyka artystyczna, lecz rozeznanie we wszystkich lokalnych burdelach, a było ich mnóstwo. Barwne i rozwlekłe relacje, którymi mnie raczył – abym, jak to mówił, był na bieżąco ze wszystkimi cudami, których dokonał na tym polu – były kapitalne. Nie zdziwiło mnie więc wcale, gdy pewnego dnia wpadł do mojego mieszkania niezwykle podekscytowany, niemal bez tchu, i powiedział mi, że przydarzyła mu się rzecz niezwykła i chce się nią ze mną podzielić.

– Powiadam ci, stary, musisz to zobaczyć na własne oczy! – rzucił rozemocjonowany, z afektowanym akcentem oksfordzkim, którego zawsze używał, gdy ze mną rozmawiał. Nerwowo przechadzał się po pokoju. – Trudno to opisać, ale wiem, że jest to coś, co ty potrafiłbyś docenić. Coś, czego obraz zachowasz w pamięci na całe życie. Zamierzam dać ci na zawsze coś cudownego. Rozumiesz mnie?

Rozumiałem tyle, że jest rozhisteryzowanym Szkotem. Zawsze z przyjemnością ulegałem jego nastrojom i pozwalałem mu się zabierać ze sobą. Nigdy tego nie żałowałem.

– Spokojnie, Eddie, spokojnie – odparłem. – O co ci chodzi?

Opowiedział mi, że był w pewnym burdelu, gdzie znalazł niewiarygodną kobietę, która wykonywała niesamowity numer, nazywany przez nią “figurami przed lustrem". Wielokrotnie, niemal jąkając się, przekonywał mnie, że koniecznie muszę być świadkiem tego niewiarygodnego wydarzenia.

– Nie przejmuj się pieniędzmi! – powiedział, gdyż wiedział, że ich nie mam. – Już zapłaciłem. Musisz teraz tylko pójść ze mną. Madame Ludmiła pokaże ci swoje “figury przed lustrem". Bomba!

W napadzie nie kontrolowanej radości Eddie zaczął się śmiać na całe gardło, nie zważając na swoje zepsute zęby, które normalnie, gdy się uśmiechał czy śmiał, ukrywał za ciasno ściśniętymi wargami.

– Mówię ci, to absolutna rewelacja!

Moja ciekawość rosła z każdą chwilą. Niemal rwałem się do tego, by zakosztować jego nowej rozkoszy. Eddie wywiózł mnie na przedmieście. Zatrzymaliśmy się przed przybrudzonym, zaniedbanym budynkiem; na ścianach łuszczyły się płaty farby. Budynek starał się sprawiać wrażenie, że niegdyś mieścił się w nim hotel, który później przekształcono w budynek mieszkalny. Dostrzegłem resztki szyldu hotelu, który wyglądał tak, jakby go rozerwano na drobne części. Od frontu budynek miał kilka rzędów brudnych, pojedynczych balkonów wypełnionych donicami z kwiatami albo przybranych schnącymi dywanami.

Przy wejściu stało dwóch ciemnych, podejrzanie wyglądających mężczyzn; na nogach mieli czarne buty ze szpicem, które sprawiały wrażenie za małych na ich stopy. Powitali Eddiego z przesadną wylewnością. Mieli czarne, chytre, złowrogie oczy. Obaj nosili błyszczące, jasnoniebieskie garnitury, również zbyt ciasne na ich przysadziste tułowia. Jeden z mężczyzn otworzył Eddiemu drzwi. Na mnie nawet nie spojrzeli.

Weszliśmy do góry, na piętro zrujnowaną klatką schodową, która w swoim czasie musiała być luksusowo urządzona. Eddie poprowadził mnie przez długi, pusty korytarz z drzwiami pokojów po obu stronach, jak w hotelu. Wszystkie pomalowane były taką samą mdłą, ciemnooliwkową farbą, na wszystkich widniał mosiężny numer, zmatowiały ze starości i ledwo widoczny na tle ciemno pomalowanego drewna.

Przy jednych z drzwi Eddie się zatrzymał. Na drzwiach dostrzegłem numer 112. Eddie zapukał kilka razy. Drzwi się otworzyły i pulchna, niska kobieta z rozjaśnionymi na blond włosami skinęła na nas, abyśmy weszli, nie odzywając się słowem. Miała na sobie podomkę z czerwonego jedwabiu, z pierzastymi, falbaniastymi rękawami, a na nogach czerwone kapcie z puszystymi pomponami. Kiedy już weszliśmy do małego holu, kobieta zamknęła za nami drzwi i powitała Eddiego okropnie kaleczoną angielszczyzną.

– Witaj, Eddie. Przyszedłeś z przyjacielem, co?

Eddie ujął jej dłoń i z galanterią pocałował. Jego zachowanie nosiło pozory doskonałego opanowania, ja jednak dostrzegłem jego nieświadome gesty zdradzające, że czuje się nieswojo.

– Jak się pani dziś miewa, Madame Ludmiło? – rzekł, bez powodzenia starając się naśladować amerykański akcent.

Nigdy nie doszedłem do tego, dlaczego Eddie usiłował naśladować amerykański akcent za każdym razem, gdy odwiedzał swoje ulubione domy rozpusty. Podejrzewałem, że robi to dlatego, iż Amerykanie znani byli ze swej zamożności, a on chciał zyskać w ich oczach renomę człowieka bogatego.

Eddie obrócił się w moją stronę i rzekł ze swym nieudolnym amerykańskim akcentem:

– No, młody, zostawiam cię w dobrych rękach.

Zabrzmiało to tak okropnie, tak obco w moich uszach, że roześmiałem się w głos. Madame Ludmiłę mój wybuch wesołości jakby w ogóle nie obszedł. Eddie raz jeszcze ucałował jej dłoń i wyszedł.

– Mówisz po angielsku, mój mały? – spytała, krzycząc, jakbym był głuchy. – Wyglądasz jak Egipczyk albo jak Turki.

Zapewniłem Madame Ludmiłę, że nie jestem ani jednym, ani drugim, i że mówię po angielsku. Zapytała mnie wówczas, czy rajcują mnie jej “figury przed lustrem". Nie wiedziałem, co powiedzieć. Pokiwałem jedynie potakująco głową.

– Dostaniesz dobry show – rzekła z pewnością w głosie. – Figury przed lustrem to tylko

rozgrzewka. Gdy będziesz napalony i gotowy, mów, że dosyć.

Z małego holu przeszliśmy do mrocznego i nieco strasznego pokoju. Okna były szczelnie zasłonięte ciężkimi storami. W oprawkach przymocowanych do ścian paliło się kilka słabych żarówek. Żarówki miały cylindryczny kształt i od-stawały od ścian pod kątem prostym. Pokój wypełniało mnóstwo różnych mebli: małe komody, antyczne stoły i krzesła, ustawiony pod ścianą sekretarzyk z piętrzącymi się nań stosami papierów, mnóstwem ołówków, linijek i przynajmniej kilkunastoma parami nożyczek. Madame Ludmiła posadziła mnie na starym, obitym krześle.

– Łóżko jest w drugim pokoju, kochanie – powiedziała, wskazując drugą stronę pokoju. – To jest moja antisala. Tutaj pokażę ci show, żebyś się napalił i był gotowy.

Zrzuciła z ramion swoją czerwoną podomkę, strząsnęła ze stóp kapcie i otwarła podwójne drzwi dwóch dużych szaf ustawionych obok siebie pod ścianą. Całą wewnętrzną stronę każdego skrzydła zajmowało wielkie lustro.

– A teraz muzyka, mój mały – rzekła Madame Ludmiła, po czym zakręciła korbką starej Victroli, która wyglądała na zupełnie nie używaną i błyszczała jak nowa. Nastawiła płytę. Muzyką okazała się niezwykle poruszająca melodia, która kojarzyła mi się z marszem cyrkowym.

– A teraz mój show – powiedziała i zaczęła wirować w takt melancholijnej melodii. Skóra niemal całego ciała Madame Ludmiły była jędrna i niezwyczajnie biała, chociaż nie była ona osobą młodą. Musiała mieć dobrze pod pięćdziesiątkę i było widać, że używała życia. Brzuch miała nieco obwisły, niezbyt mocno, ale wyraźnie, podobnie jak olbrzymie piersi, a skórę na policzkach wyraźnie sflaczałą. Miała mały nos i mocno wymalowane czerwienią usta. Na rzęsach miała grubą warstwę tuszu. Przywodziła mi na myśl typową, starzejącą się prostytutkę. Mimo to miała w sobie coś dziecinnego, dziewczęcą, nieskrępowaną swobodę i ufność, słodycz, która poruszyła mnie do głębi.

– A teraz figury przed lustrem – zapowiedziała Madame Ludmiła. Muzyka ciągle grała.

– Noga, noga, noga! – rzekła, wyrzucając wysoko w górę jedną nogę, a potem drugą, w rytm melodii. Prawą dłoń położyła sobie na głowie, przypominając dziewczynkę, która nie jest pewna, czy może się poruszać w ten sposób.

– Obrót, obrót, obrót! – powiedziała, obracając się jak bąk.

– Pupa, pupa, pupa! – powiedziała dalej, pokazując mi nagie pośladki jak w kankanie.

Powtarzała tę sekwencję bez ustanku, aż muzyka zaczęła cichnąć, gdy rozkręciła się sprężyna patefonu. Miałem wrażenie, że wraz z cichnięciem melodii Madame Ludmiła, wirując, znika w oddali, coraz to mniejsza i mniejsza. Z najbardziej ukrytych głębin mojej istoty podniosło się poczucie nieokreślonej rozpaczy i samotności, z której istnienia nawet nie zdawałem sobie sprawy, i wyrzuciło mnie z krzesła, wypchnęło z pokoju, nagląc do szaleńczego biegu w dół po schodach, na zewnątrz, na ulicę.

Eddie stał pod drzwiami i rozmawiał z dwoma mężczyznami w jasnoniebieskich, błyszczących garniturach. Widząc mój szaleńczy bieg, zaczął się śmiać na całe gardło.

– No i co, bomba, nie? – spytał, nadal siląc się na amerykański akcent. – “Figury przed lustrem to tylko rozgrzewka". Coś wspaniałego! Coś wspaniałego!

Gdy wspomniałem o tym wydarzeniu don Juanowi po raz pierwszy, powiedziałem mu, że głęboko poruszyła mnie ta nie dająca spokoju muzyka i stara prostytutka, niezdarnie wirująca w rytm melodii. Byłem też wstrząśnięty odkryciem, jak niesamowicie bezduszny jest mój przyjaciel.

Kiedy teraz skończyłem po raz drugi opowiadać moją historię don Juanowi, gdy tak siedzieliśmy wśród wzgórz na tle szczytów Sonory, czułem, że się trzęsę, poruszony tajemniczym dotykiem czegoś zupełnie nieokreślonego.

– Ta historia – odezwał się don Juan – powinna się znaleźć w twoim albumie pamiętnych wydarzeń życia. Twój przyjaciel, nie mając bladego pojęcia o tym, co robi, dał ci – jak sam powiedział – coś, co pozostanie z tobą na zawsze.

– Dla mnie jest to jedynie smutna opowieść, don Juanie, i to wszystko – stwierdziłem.

– To rzeczywiście smutna opowieść, podobnie jak wszystkie pozostałe – odrzekł – ale tym, co odróżnia ją od innych i nie pozwala mi o niej zapomnieć, jest fakt, że dotyka każdego z nas, każdego człowieka, a nie tylko ciebie, tak jak w pozostałych historiach. Bo widzisz, podobnie jak Madame Ludmiła, każdy z nas, stary i młody, robi figury przed lustrem – w taki czy inny sposób. Porównaj to sobie z tym, co wiesz o ludziach. Pomyśl sobie o dowolnej istocie na tej Ziemi, a przekonasz się, bez

cienia wątpliwości, że bez względu na to, kim są, co myślą na swój temat albo co robią, ich działania zawsze sprowadzają się do tego samego: bezsensownych figur przed lustrem.

Podróż mocy

W czasie, gdy poznałem don Juana, byłem bardzo sumiennym studentem antropologii i chciałem rozpocząć karierę naukowca, publikując tyle, ile się tylko da. Miałem silną wolę podjęcia wspinaczki po szczeblach kariery akademickiej i w swoich obliczeniach ustaliłem, że pierwszym krokiem będzie zgromadzenie danych na temat wykorzystania roślin leczniczych przez Indian z południowego zachodu Stanów Zjednoczonych.

Na początku wybrałem się do profesora antropologii, który prowadził badania w tych rejonach, z prośbą o poradę w kwestii mojego przedsięwzięcia. Był on wybitnym etnologiem, autorem mnóstwa publikacji z przełomu lat trzydziestych i czterdziestych o Indianach kalifornijskich, Indianach z południowego zachodu Stanów i z Sonory w Meksyku. Profesor cierpliwie wysłuchał mojego wywodu. Myślałem o tym, aby napisać artykuł, zatytułować go “Dane Etnobotaniczne" i opublikować w czasopiśmie poświęconym wyłącznie zagadnieniom antropologicznym związanym z południowym zachodem Stanów Zjednoczonych.

Zamierzałem zgromadzić rośliny lecznicze, dostarczyć próbki do Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Kalifornijskiego w celu dokładnej identyfikacji, a następnie opisać, dlaczego i w jaki sposób Indianie z południowego zachodu Stanów ich używają. Marzyło mi się zebranie tysięcy próbek. Marzyło mi się nawet wydanie małej encyklopedii traktującej o tym zagadnieniu.

Profesor uśmiechnął się do mnie wyrozumiale.

– Nie chcę gasić pana entuzjazmu – wyrzekł zmęczonym głosem – ale nie mogę się powstrzymać od negatywnej oceny pańskiego zapału. Zapał w antropologii jest jak najmilej widziany, ale trzeba go właściwie ukierunkować. Ciągle przeżywamy złoty wiek antropologii. Miałem szczęście studiować z Alfredem Kröberem i Robertem Lowie, autorytetami, jeśli chodzi o nauki społeczne. Nie zawiodłem ich zaufania. Antropologia ciągle jest dziedziną nadrzędną. Każda inna powinna czerpać z antropologii. Historia na przykład w całym swoim zakresie powinna być nazywana “antropologią historyczną", a zakres badań filozofa “antropologią filozoficzną". Człowiek powinien być miarą wszystkiego. Dlatego też antropologia, studia nad człowiekiem, powinna być rdzeniem każdej innej dyscypliny naukowej. Pewnego dnia tak właśnie będzie.

Spojrzałem na niego oniemiały. W mojej ocenie był to całkowicie bierny, dobroduszny, stary profesor, który ostatnio przeszedł zawał serca. Wyglądało na to, że za moją sprawą zadrgała w nim jakaś pasja.

– Nie sądzi pan, że powinien pan poświęcić więcej uwagi studiom formalnym? – ciągnął. – Zamiast prowadzić badania w terenie, nie lepiej byłoby studiować językoznawstwo? Na tutejszym wydziale mamy jednego z najbardziej uznanych językoznawców na świecie. Na pana miejscu siedziałbym u jego stóp, starając się nie uronić żadnej jego myśli.

Wykłada u nas również – ciągnął dalej – wielki autorytet w dziedzinie religioznawstwa porównawczego, jest też kilku bardzo uczonych antropologów, którzy prowadzili badania nad systemami pokrewieństwa w kulturach całego świata z lingwistycznego i kognitywnego punktu widzenia. Pan potrzebuje ogromnego przygotowania. Wyobrażać sobie, że mógłby pan teraz prowadzić badania w terenie, to parodia. Proszę się zakopać w swoich podręcznikach, młody człowieku. Oto moja rada.

Nie dając za wygraną, udałem się z moją propozycją do innego młodszego profesora. Nie okazał się jednak bardziej pomocny. Wyśmiał mnie otwarcie. Powiedział, że artykuł, który chcę napisać, nadawałby się do Disneylandu i nie można nazwać tego antropologią nawet przy dużej dozie dobrej woli.

– W dzisiejszych czasach – powiedział profesorskim tonem – antropologów zajmują zagadnienia, które mają swoją wagę. Na polu nauk medycznych i farmaceutycznych przeprowadzono niezliczone badania nad wszelkimi możliwymi roślinami leczniczymi świata. Nie ma już w tej materii nad czym się pastwić. Gromadzenie danych, o czym pan mówi, należy do początków dziewiętnastego wieku. Teraz jest już prawie dwieście lat później. Pan rozumie, istnieje coś takiego jak postęp.

Następnie przystąpił do zdefiniowania i uzasadnienia postępu oraz procesu udoskonalania jako zagadnień natury filozoficznej, które, jak powiedział, są w antropologii niezwykle relewantne.

– Antropologia to jedyna istniejąca gałąź wiedzy – ciągnął – która potrafi jasno i wyraźnie udokumentować słuszność koncepcji postępu i procesu udoskonalania. Dzięki Bogu, ciągle widać promyk nadziei, pomimo cynizmu naszych czasów. Jedynie antropologia potrafi ukazać faktyczny rozwój kultury i organizacji społecznej. Jedynie antropologowie potrafią udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że wiedza ludzka podlega postępowi. Kultury ewoluują i jedynie antropologowie mogą zademonstrować pozostałości po społecznościach, które zajmują ściśle określone szczeble procesu postępu i udoskonalania. Oto antropologia dla pana! Nie jakieś lipne badania w terenie, które są zwykłym onanizmem, a nie żadnymi badaniami.

To był dla mnie prawdziwy cios. Ostatnią deską ratunku wydawał się wyjazd do Arizony, gdzie chciałem porozmawiać z antropologami prowadzącymi tam badania terenowe. Już wtedy byłem gotów zrezygnować z całego przedsięwzięcia. Zrozumiałem, co moi profesorowie starali się mi przekazać. Całkowicie się z nimi zgadzałem. Moje próby prowadzenia badań w terenie były zdecydowanie prymitywne; pomimo to chciałem zakosztować prawdziwej pracy w terenie; nie chciałem tylko wysiadywać po bibliotekach.

W Arizonie poznałem wytrawnego antropologa, który pisywał obszernie na temat Indian Yaqui z Arizony i z Sonory w Meksyku. Był niebywale uprzejmy. Nie zmieszał mnie z błotem, nie dał mi też żadnej rady. Zauważył jedynie, że społeczności indiańskie południowego zachodu Stanów są niezwykle izolacjonistyczne i traktują obcych, zwłaszcza tych hiszpańskiego pochodzenia, z nieufnością, a czasem z obrzydzeniem.

Bardziej rozmowny okazał się za to jego młodszy kolega. Powiedział, że lepiej bym zrobił, gdybym poczytał księgi zielarskie. Był on autorytetem w tej dziedzinie i uważał, że cała wiedza, którą można było zgromadzić na temat roślin leczniczych z południowego zachodu Stanów, została już sklasyfikowana i przerobiona w najróżniejszych publikacjach. Powiedział wręcz, że dla każdego współczesnego indiańskiego znachora właśnie owe publikacje, a nie tradycyjnie przekazywana wiedza ludowa, stanowią źródło informacji. Dobił mnie jeszcze zapewnieniem, że jeśli istnieją jeszcze jakiekolwiek tradycyjne praktyki znachorskie, Indianie nie ujawnią ich nikomu z zewnątrz.

– Niech się pan zajmie czymś opłacalnym – doradził mi. – Proszę się przyjrzeć antropologii miejskiej. Na przykład, mnóstwo pieniędzy przeznacza się na badania nad alkoholizmem wśród Indian z dużych aglomeracji. A jest to coś, czego każdy antropolog może się z łatwością podjąć. Iść do baru i upić się z miejscowymi Indianami. Potem przedstawić wszystko, czego się o nich dowiedziało w formie statystyki. Przerobić wszystko na cyfry. Antropologia miejska to całkiem niezła dziedzina.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko pójść za radą doświadczonych naukowców. Zdecydowałem się wsiąść do samolotu lecącego z powrotem do Los Angeles, ale dowiedziałem się wówczas od innego antropologa, mojego przyjaciela, że wybiera się samochodem na objazd całej Arizony i Nowego Meksyku, gdyż chce odwiedzić wszystkie miejsca, w których prowadził w przeszłości badania, odświeżając w ten sposób znajomości z ludźmi, którzy byli jego informatorami.

– Bardzo chętnie zabiorę cię ze sobą – powiedział. – Nie zamierzam prowadzić żadnych badań. Chcę po prostu ich odwiedzić, wypić z nimi trochę, pogadać o pierdołach. Kupiłem dla nich prezenty – koce, gorzałę, kurtki, amunicję do strzelb. Samochód mam zapchany towarem. Zazwyczaj jeżdżę na te spotkania sam, ale zawsze jest to ryzyko, że mogę zasnąć za kółkiem. Mógłbyś dotrzymywać mi towarzystwa, nie dać mi zasnąć albo nawet trochę sam prowadzić, jeżeli będę zbyt mocno wstawiony.

Byłem tak przybity, że odmówiłem.

– Bardzo mi przykro, Bill – odpowiedziałem. – Nic mi z tej wyprawy nie przyjdzie. Nie widzę sensu dłużej zaprzątać sobie głowy badaniami w terenie.

– Nie poddawaj się bez walki – odrzekł Bill tonem ojcowskiej troski. – Daj z siebie w tej walce wszystko, na co cię stać; jeśli dostaniesz w ucho, wówczas masz prawo się poddać, ale nie wcześniej. Zabierz się ze mną i sam się przekonaj, jak ci się podoba południowy zachód.

Objął mnie ramieniem. Nie mogłem nie poczuć ogromnego ciężaru jego ręki. Był wysokim i potężnym mężczyzną, ale w ostatnich latach jego ciało nabrało dziwnej sztywności. Stracił swoje chłopięce cechy. Jego twarz nie była już pulchna i młodzieńcza jak niegdyś. Teraz była to twarz człowieka mającego wiele zmartwień. Sądziłem, że gryzie się swoim łysieniem, ale chwilami odnosiłem wrażenie, że chodzi o coś więcej. Przy tym wszystkim nie był wcale grubszy niż dawniej; ciężar jego ciała był czymś, czego nie można było wyjaśnić. Dostrzegałem go w sposobie, w jaki chodził, podnosił się i siadał. Wydawało mi się, że Bill walczy z grawitacją każdą cząstką swojej istoty we wszystkim, co robi.

Tłumiąc w sobie uczucie porażki, zabrałem się z nim. Odwiedziliśmy wszystkie miejsca w Arizonie i Nowym Meksyku, gdzie mieszkali Indianie. W następstwie tej wyprawy odkryłem między innymi dwa wyraźne rysy osobowości mojego przyjaciela. Wyjaśnił mi, że jego poglądy jako antropologa są bardzo wyważone i zgodne ze współczesną myślą antropologiczną, ale jemu jako osobie prywatnej badania w terenie przyniosły ogrom doświadczeń, o których nigdy nie mówi. Nie są one zgodne ze współczesną myślą antropologiczną, ponieważ nie sposób ich zaklasyfikować.

Podczas podróży mój przyjaciel zawsze wypijał kilka kolejek ze swymi byłymi informatorami, co wprawiało go w bardzo swobodny nastrój. Wówczas przejmowałem kierownicę i prowadziłem samochód, a on siadał w fotelu pasażera i pociągał ze swojej butelki trzydziestoletniego Ballantinesa. To właśnie w takich chwilach Bill opowiadał mi o swoich dziwnych doświadczeniach.

– Nigdy nie wierzyłem w duchy – powiedział ni stąd, ni zowąd pewnego dnia. – Nigdy nie zajmowały mnie zjawy, materia eteryczna i głosy w ciemności, te rzeczy. Byłem wychowywany w bardzo pragmatycznym, poważnym środowisku. Nauka zawsze była moim drogowskazem. Ale potem, kiedy pracowałem w terenie, zaczęły do mnie powoli docierać najróżniejsze dziwaczne bzdury. Na przykład jednej nocy wybrałem się z kilkoma Indianami na rytualne poszukiwanie wizji. Faktycznie mieli dokonać mojej inicjacji, a jest to dość bolesna impreza, z przekłuwaniem mięśni na klatce piersiowej. Zaczęli przygotowywać w lesie szałas z paleniskiem. Pogodziłem się z tym, że będę musiał wytrzymać ten ból. Łyknąłem sobie trochę dla odwagi. I wtem mężczyzna, który miał się za mną wstawić u ludzi, którzy przeprowadzali samą ceremonię, wrzasnął przerażony i wskazał na ciemną, niewyraźną postać zbliżającą się do nas.

Kiedy owa niewyraźna postać podeszła do mnie – ciągnął dalej Bill – stwierdziłem, że to stary Indianin ubrany w strój tak dziwaczny, że trudno to sobie wyobrazić. Nosił znamiona szamana. Mężczyzna, z którym poszedłem tamtej nocy do lasu, na widok tego starego bezwstydnie zemdlał. Stary Indianin podszedł do mnie i wskazał palcem na moją pierś. Jego palec to była sama kość pokryta skórą. Bełkotał coś do mnie, ale go nie zrozumiałem. W tym momencie spostrzegli go inni ludzie i bez słowa pospiesznie ruszyli w moją stronę. Stary odwrócił się do nich i wszyscy zamarli pod jego spojrzeniem. Przez chwilę coś im gniewnie prawił. Nigdy nie zapomnę tego głosu. Brzmiało to tak, jakby mówił z wnętrza jakiejś rury albo miał przymocowane do ust coś, co wyciągało zeń słowa. Przysięgam, że widziałem, jak stary przemawia z wnętrza swojego ciała, a jego usta są tylko mechanicznym urządzeniem przekazującym jego słowa. Gdy skończył ich strofować, ruszył dalej przed siebie, minął mnie, minął ich i zniknął, pochłonięty przez ciemności.

Bill powiedział, że cały plan przeprowadzenia ceremonii inicjacji wziął w łeb; nigdy nie został zrealizowany, a wszyscy mężczyźni, w tym również sprawujący pieczę nad całością szamani, trzęśli się jak galareta. Powiedział też, że byli tak przerażeni, iż zostawili wszystko i opuścili miejsce zdarzenia.

– Ludzie, którzy znali się od lat – ciągnął – nigdy więcej nie zamienili ze sobą jednego słowa. Utrzymywali, że to, co widzieli, było zjawą niewiarygodnie starego szamana, i że rozmawianie o tym pomiędzy sobą sprowadzi na nich nieszczęście. Prawdę rzekłszy, mówili, że już samo patrzenie na siebie nawzajem sprowadzi na nich nieszczęście. Większość z nich wyprowadziła się z okolicy.

– Dlaczego byli przekonani, że rozmawianie między sobą czy patrzenie na siebie sprowadzi na nich nieszczęście? – spytałem go.

– Oni wierzą w takie rzeczy – odrzekł. – Wizja podobnej natury znaczy dla nich tyle, że zjawa przemawiała do każdego z nich z osobna. Mieć taką wizję to dla nich uśmiech losu, który trafia się tylko raz w życiu.

– Więc cóż takiego każdemu z nich z osobna powiedziała ta zjawa? – zapytałem.

– Pytaj mnie – odparł. – Nigdy nie udzielili mi żadnych wyjaśnień. Za każdym razem, gdy ich o to pytałem, wpadali w głęboki stan odrętwienia. Niczego nie widzieli, niczego nie słyszeli. Wiele lat po tym zdarzeniu mężczyzna, który zemdlał obok mnie, przysięgał mi, że tylko udał, iż stracił przytomność, bo był tak przerażony, że nie chciał stać ze starym twarzą w twarz, a to, co ten miał do powiedzenia, zrozumieli wszyscy na innym poziomie niż rozumienie mowy.

Bill powiedział, że jeśli o niego chodzi, to pojął, iż przemowa zjawy miała coś wspólnego z jego zdrowiem i życiowymi planami.

– Jak to rozumieć? – zapytałem go.

– Nie układa mi się najlepiej – wyznał. – Moje ciało nie jest w najlepszej formie.

– Ale wiesz, co ci tak naprawdę dolega? – spytałem.

– O tak – odparł nonszalancko. – Lekarze mi powiedzieli. Ale nie mam zamiaru się tym przejmować ani nawet o tym myśleć.

Po wyznaniach Billa czułem się bardzo zaniepokojony. Tej cechy jego osobowości nie znałem wcześniej. Zawsze uważałem go za starego wyjadacza i twardego gościa. Nigdy bym nie pomyślał, że może być wrażliwy. Nie podobała mi się nasza rozmowa. Było już jednak za późno na odwrót. Byliśmy w trakcie podróży.

Przy innej okazji zdradził mi, że szamani z południowego zachodu Stanów są w stanie przekształcać się w inne formy bytu, i że określeń w rodzaju “szaman niedźwiedzi" czy “szaman pum" nie powinno się traktować jako eufemizmów albo metafor, ponieważ nimi nie są.

– Dałbyś wiarę – powiedział z nutą wielkiego podziwu w głosie – że istnieją tacy szamani, którzy rzeczywiście stają się niedźwiedziami czy pumami albo orłami? Nie przesadzam ani niczego nie wymyślam, kiedy mówię, że raz byłem świadkiem metamorfozy pewnego szamana, który nazywał samego siebie “Człowiekiem-Rzeką", “Szamanem Rzeki" albo “Przychodzącym z Rzeki, Wracającym do Rzeki". Byłem z tym szamanem głęboko w górach Nowego Meksyku. Byłem jego kierowcą; ufał mi. Udał się tam na poszukiwania swojego pochodzenia, tak przynajmniej utrzymywał. Szliśmy wzdłuż rzeki, gdy nagle coś go bardzo podekscytowało. Kazał mi się cofnąć od brzegu i schować wysoko pomiędzy skałami, przykrywając głowę i barki kocem, spod którego będę się mógł z ukrycia przyglądać temu, co zaraz zacznie robić.

– A co miał zacząć robić? – zapytałem go, nie mogąc się powstrzymać.

– Tego nie wiedziałem – odrzekł. – Mogłem się domyślać tak samo jak ty teraz. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co zamierza. A on po prostu wszedł do rzeki, kompletnie ubrany. Kiedy woda sięgała mu do połowy łydki – bo była to rzeka szeroka, lecz płytka – mój szaman po prostu zniknął, rozpłynął się. Zanim wszedł do wody, wyszeptał mi do ucha, żebym poszedł w dół rzeki i zaczekał na niego. Dokładnie określił miejsce. Ja oczywiście nie wierzyłem w ani jedno jego słowo, tak więc z początku nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie kazał mi czekać, ale w końcu mi się udało. Poszedłem tam i zobaczyłem, jak szaman wychodzi z wody. Brzmi to idiotycznie: “wychodzi z wody". Widziałem, jak ten szaman zmienia się w wodę, a później na powrót z niej powstaje. Potrafisz w to uwierzyć?

Nie miałem żadnych komentarzy do jego opowieści. Uwierzyć mu było dla mnie niemożliwością, ale też nie mogłem mu nie wierzyć. Był bardzo poważnym człowiekiem. Jedyne możliwe wytłumaczenie, które przychodziło mi do głowy, było takie, że podczas naszej podróży Bill z każdym dniem pił coraz więcej. W bagażniku miał kastę z dwudziestoma czterema butelkami szkockiej – tylko dla siebie. Rzeczywiście, pił jak stary.

– Zawsze zachwycały mnie ezoteryczne przemiany szamanów – powiedział mi innego dnia. – Nie chodzi mi o to, że potrafię te metamorfozy wyjaśnić czy nawet uwierzyć, że faktycznie nastąpiły, ale w ramach ćwiczenia umysłu bardzo mnie pociąga myśl, że przemiany w węże i pumy nie są tak trudne jak to, czego dokonał szaman wody. W takich właśnie chwilach, kiedy angażuję swój intelekt w podobny sposób, przestaję być antropologiem i zaczynam reagować wiedziony wewnętrznym przeczuciem. Moje wewnętrzne przeczucie mówi mi, że owi szamani bez wątpienia dokonują rzeczy, których nie da się zbadać naukowo i o których nie da się nawet inteligentnie rozmawiać.

– Istnieją na przykład szamani chmur, którzy przemieniają się w chmury, we mgłę. Nigdy nie widziałem takiej metamorfozy, ale znałem jednego szamana chmur. Nigdy nie widziałem na własne oczy, jak znika czy przemienia się w mgłę, tak jak widziałem tamtego szamana, który w mojej obecności stał się wodą. Ale raz goniłem jednego szamana chmur, a ten po prostu rozpłynął się w okolicy, gdzie nie było nawet jednego miejsca, w którym mógłby się przede mną ukryć. Chociaż nie widziałem, by przemieniał się w chmurę, ten zniknął. Nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, dokąd się udał. W okolicy miejsca, gdzie go ostatnio widziałem, nie było, ani skał, ani żadnej roślinności. Byłem tam pół minuty po nim, ale on zniknął.

Goniłem człowieka po całej okolicy, bo chciałem od niego informacji – ciągnął Bill. – Traktował mnie jak powietrze. Był bardzo przyjacielski, ale na tym koniec.

Opowiedział mi mnóstwo innych historii o waśniach i tarciach politycznych wśród Indian z różnych rezerwatów, a także historie o zemście, nienawiści, przyjaźni i tak dalej, i tak dalej. W najmniejszym stopniu mnie one nie interesowały. Z drugiej strony, jego opowieści o przemianach szamanów i wizjach wywołały we mnie prawdziwy emocjonalny przewrót. Od samego początku jednocześnie fascynowały mnie i bulwersowały. Zastanawiałem się nad tym, dlaczego odczuwam fascynację czy

zbulwersowanie, ale nie potrafiłem tego dociec. Mogłem jedynie stwierdzić, że opowieści Billa o szamanach uderzyły we mnie w nie znany mi, instynktownie jedynie wyczuwalny sposób.

Dzięki naszej wyprawie uzmysłowiłem sobie również – bo mogłem się o tym sam na własnej skórze przekonać – że społeczności indiańskie południowego zachodu Stanów są faktycznie hermetyczne dla ludzi z zewnątrz. W końcu musiałem się pogodzić z tym, że rzeczywiście potrzeba mi ogromnego przygotowania w zakresie nauk antropologicznych i że większy sens ma prowadzenie badań terenowych na obszarze, który jest mi znany, lub w społecznościach, w których mam jakieś kontakty.

Kiedy nasza wyprawa dobiegła końca, Bill zawiózł mnie na dworzec autobusowy linii Greyhound w Nogales w Arizonie, skąd miałem wrócić do Los Angeles. Kiedy siedzieliśmy w poczekalni, wypatrując przyjazdu autobusu, Bill po ojcowsku mnie pocieszał, przypominając, że porażki są codziennością antropologa w pracy w terenie i że ich zadaniem jest jedynie utwierdzenie go w dążeniu do wytyczonego celu oraz pomoc w staniu się dojrzałym naukowcem.

Nagle wychylił się do przodu i lekkim skinięciem podbródka wskazał w kierunku drugiej strony sali.

– Wydaje mi się, że ten starzec na ławce, tam w rogu, to człowiek, o którym ci mówiłem – wyszeptał mi do ucha. – Nie jestem zupełnie pewien, bo widziałem się z nim twarzą w twarz tylko jeden raz.

– Jaki człowiek? Co mi o nim mówiłeś? – spytałem.

– Kiedy rozmawialiśmy o szamanach i ich przekształceniach, powiedziałem ci, że raz spotkałem szamana chmur.

– Tak, tak, przypominam sobie – odrzekłem. – Czy to właśnie ten szaman?

– Nie – odparł z naciskiem. – Ale wydaje mi się, że to jego towarzysz albo nauczyciel. Widywałem ich obu razem niejeden raz z daleka, wiele lat temu.

Rzeczywiście, przypomniałem sobie, że Bill wspominał mi kiedyś mimochodem, choć nie przy okazji rozmowy o szamanie chmur, iż słyszał o tym, jakoby żył gdzieś tajemniczy starzec, były szaman, stary indiański mizantrop z Yumy, który kiedyś był siejącym postrach czarownikiem. Mój przyjaciel nigdy nie wspomniał nawet słowem o powiązaniu owego starca z szamanem chmur, ale najwidoczniej była to dla niego rzecz oczywista do tego stopnia, że był przekonany, iż o tym wiedziałem.

Nagle opanował mnie dziwny niepokój, który kazał mi gwałtownie podnieść się z siedzenia. Działając jakby wbrew własnej woli, podszedłem do starca i natychmiast rozpocząłem długą tyradę o tym, jak to ja dużo wiem o roślinach leczniczych i praktykach szamańskich amerykańskich Indian z równin i ich przodków z Syberii. W ramach dygresji wspomniałem również, że wiem o tym, iż jest szamanem. Zakończyłem zapewnieniem, że niezwykle dobrze by na tym wyszedł, gdyby dłużej ze mną porozmawiał.

– W najgorszym wypadku – powiedziałem nadętym tonem – moglibyśmy wymienić doświadczenia. Pan opowie mi swoje, a ja panu moje.

Stary trzymał oczy spuszczone do ostatniej chwili. Później zaczął mi się przypatrywać.

– Jestem Juan Matus – powiedział, spoglądając mi prosto w oczy.

Za nic nie powinienem był kończyć mojej przemowy w takim momencie, ale z nieodgadnionego powodu poczułem, że nie mam już nic więcej do powiedzenia. Chciałem mu się przedstawić. Starzec uniósł dłoń na wysokość moich ust, jak gdyby chcąc mnie powstrzymać przed wypowiedzeniem mojego imienia.

W tym momencie na przystanek zajechał jakiś autobus. Starzec wymamrotał, że to właśnie jego autobus, po czym gorąco zaprosił mnie, bym go odwiedził w jego domu, gdzie będziemy mogli bardziej swobodnie porozmawiać i wymienić doświadczenia. Gdy to mówił, w kąciku jego ust drgał ironiczny uśmieszek. Z niewiarygodną jak na człowieka w jego wieku sprawnością – oceniałem go na ponad osiemdziesiąt lat – przesadził w kilku skokach pięćdziesiąt metrów dzielących ławkę, na której siedzieliśmy, od drzwi autobusu. I zupełnie, jak gdyby autobus zatrzymał się tylko dla niego, ruszył dalej, kiedy tylko starzec wskoczył na stopnie i zamknęły się za nim drzwi.

Gdy stary odjechał, wróciłem na ławkę do Billa.

– Co mówił? Co mówił? – dopytywał się podekscytowany.

– Powiedział mi, żebym go odwiedził w jego domu – odrzekłem. – Dodał nawet, że będziemy mogli tam swobodnie porozmawiać.

– Ale co mu powiedziałeś, że cię zaprosił do swojego domu? – natarczywie dopytywał się Bill.

Wyjaśniłem, że zastosowałem mój najlepszy perswazyjny ton i obiecałem wyjawić staremu wszystko, co wiem – z naukowego punktu widzenia – na temat roślin leczniczych.

Bill najwyraźniej mi nie dowierzał. Posądzał mnie, że coś przed nim ukrywam.

– Znam ludzi z tych stron – powiedział wojowniczo – i ten stary to bardzo dziwaczny ramol. Nie rozmawia z nikim, nawet z Indianami. Dlaczego miałby ochotę dyskutować z tobą, kimś zupełnie obcym? Nie jesteś nawet sympatyczny.

Było oczywiste, że Bill jest na mnie zły. Nie potrafiłem jednak zrozumieć dlaczego. Nie odważyłem się poprosić go o wyjaśnienie. Odniosłem wrażenie, że był nieco zazdrosny. Być może przeczuwał, że powiodło mi się coś, co jemu się nie udało. Ten sukces był jednak do tego stopnia nie zamierzony, że nie miał dla mnie żadnego znaczenia. Wyjąwszy zdawkowe uwagi Billa, nie miałem w ogóle wyobrażenia na temat tego, jak trudno jest spotkać owego starca, i absolutnie mnie to nie obchodziło. W owym czasie nie widziałem w naszym spotkaniu nic godnego uwagi. Byłem zupełnie zbity z tropu tą niezrozumiałą irytacją Billa.

– Wiesz może, gdzie jest jego dom? – spytałem.

– Nie mam bladego pojęcia – odparł szorstko. – Słyszałem, jak ludzie stąd powiadają, że on nie mieszka nigdzie, że po prostu nieoczekiwanie pojawia się to tu, to tam, ale to takie pierdolenie. Pewnie żyje w jakiejś lepiance w Nogales w Meksyku.

– Dlaczego jest taki ważny? – spytałem. Zebrawszy się na odwagę, dodałem jeszcze:

– Wydajesz się poirytowany tym, że rozmawiał ze mną. Dlaczego?

Bez żadnych oporów przyznał, że jest rozgoryczony, bo wie, jak próżne są z reguły wszelkie starania, by porozmawiać z tym człowiekiem.

– Ten stary jest tak chamski, że aż trudno uwierzyć – dodał. – W najlepszym razie, kiedy do niego coś mówisz, gapi się na ciebie bez jednego słowa. Kiedy indziej znów w ogóle na ciebie nie patrzy; traktuje cię tak, jakby cię w ogóle nie było. Jeden jedyny raz, kiedy usiłowałem z nim porozmawiać, spławił mnie bez żadnych ceregieli. Wiesz, co mi powiedział? “Gdybym był na twoim miejscu, nie traciłbym energii na otwieranie ust. Oszczędzaj ją. Jest ci potrzebna". Gdyby nie to, że to taki stary ramol, to bym mu przywalił.

Zwróciłem uwagę Billa na fakt, że nazywanie go człowiekiem “starym" było raczej przenośnią niż stwierdzeniem rzeczywistego faktu. Naprawdę nie wyglądał na swój wiek, choć bez wątpienia był stary. Miał olbrzymi wigor i świetną kondycję. Miałem wrażenie, że Bill poniósłby sromotną klęskę, gdyby spróbował mu przywalić. Stary Indianin posiadał jakąś moc. Prawdę rzekłszy, wzbudzał ogromny lęk.

Nie wypowiedziałem moich myśli na głos. Pozwoliłem Billowi dalej opowiadać o tym, jaki był zdegustowany nieokrzesaniem starca i co by mu zrobił, gdyby nie to, że był tak mizernej postury.

– Jak myślisz, kto mógłby udzielić mi informacji o możliwym miejscu jego zamieszkania? – spytałem go.

– Być może ludzie z Yumy – odrzekł nieco swobodniej. – Może ci, którym cię przedstawiłem na początku naszej wyprawy. Nic nie stracisz, jeśli ich zapytasz. Powiedz im, że ja cię do nich wysłałem.

Wobec tego od razu zmieniłem plany i zamiast wracać do Los Angeles, pojechałem prosto do Yumy w Arizonie. Odwiedziłem ludzi, którym Bill mnie przedstawił. Nie wiedzieli, gdzie starzec mieszka, ale ich komentarze na jego temat jeszcze bardziej podsyciły moją ciekawość. Powiedzieli mi, że nie pochodzi on z Yumy, lecz z Sonory w Meksyku, i że w młodości był wzbudzającym grozę czarownikiem, który znał zaklęcia i rzucał czary na ludzi, lecz z wiekiem złagodniał, stając się ascetycznym pustelnikiem. Dodali też, że chociaż jest on Indianinem Yaqui, kiedyś widywano go z grupą Meksykanów, którzy byli podobno niezwykle biegli w sztuce czarnej magii. Wszyscy zgodnie przyznali, że nie widzieli nikogo z nich w okolicy od wieków.

Jeden z mężczyzn dodał, że starzec jest rówieśnikiem jego dziadka, i podczas gdy ten jest już zniedołężniały i obłożnie chory, czarownikowi jakby tylko przybywało wigoru. Ten sam mężczyzna polecił mi, bym się udał do pewnych ludzi w Hermosillo, stolicy Sonory, którzy mogą znać starca i wiedzieć o nim więcej. Perspektywa wyjazdu do Meksyku wcale nie przypadła mi do gustu. Sonora

była zbyt odległa od interesujących mnie terenów. Poza tym, doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jak zajmę się jednak antropologią miejską, i wróciłem do Los Angeles. Zanim jednak wyruszyłem w drogę, objechałem cały rejon Yumy, starając się uzyskać jakieś informacje o starym. Nikt nic o nim nie wiedział.

W drodze powrotnej do Los Angeles poczułem się niesamowicie. Z jednej strony, byłem jakby całkowicie wyleczony z obsesji na punkcie badań w terenie i zainteresowania starcem. Z drugiej strony, dopadła mnie dziwna nostalgia. Było to uczucie, którego wcześniej nie znałem. Ta świeżość głęboko mną wstrząsnęła. Była to mieszanina niepokoju i tęsknoty, zupełnie, jakbym tracił coś o ogromnym znaczeniu. Gdy dojeżdżałem do Los Angeles, miałem nieodparte wrażenie, że ów nieopisany wpływ czegoś, co oddziaływało na mnie w okolicach Yumy, zaczyna wraz z odległością słabnąć. To słabnące echo jednak tylko powiększało moją niewytłumaczalną tęsknotę.

Intencja nieskończoności

– Masz się ze spokojem zastanowić nad każdym szczegółem twoich spotkań z tamtymi dwoma mężczyznami, Jorgem Camposem i Lucasem Coronado, bo to oni tak naprawdę naprowadzili cię na mnie – rzekł do mnie don Juan. – A potem wszystko mi opowiesz.

Chociaż było mi bardzo trudno zastosować się do tego polecenia, jednak z przyjemnością przypominałem sobie wszystko, co mi ci dwaj ludzie mówili. Don Juan chciał usłyszeć każdy, najdrobniejszy nawet szczegół, musiałem więc maksymalnie wytężyć pamięć.

Historia, którą don Juan pragnął poznać, rozpoczęła się w mieście Guaymas w Sonorze w Meksyku. W Yumie w stanie Arizona otrzymałem imiona i adresy pewnych ludzi, którzy – jak mi powiedziano – mogą rzucić nieco światła na tajemnicę starca, którego spotkałem na dworcu autobusowym. Ludzie, do których się udałem, nie tylko nie znali żadnego starego eks-szamana, ale powątpiewali w to, czy taki człowiek kiedykolwiek żył. Pozostała im jednak w pamięci cała masa budzących grozę opowieści o szamanach z plemienia Yaqui i o wojowniczości tak charakterystycznej dla wszystkich Indian z tego plemienia. Bardzo oględnie podsunęli mi myśl, że może w Vicam, miasteczku położonym wokół stacji kolejowej na trasie pomiędzy Guaymas i Ciudad Obregon, znalazłbym kogoś, kto – być może – mógłby skierować mnie na właściwą drogę.

– Czy wiadomo konkretnie, kogo miałbym odszukać?

– Najlepiej byś zrobił, gdybyś porozmawiał z jednym z inspektorów terenowych banku państwowego – zasugerował jeden z mężczyzn. – Ten bank ma mnóstwo takich inspektorów terenowych. Ci znają wszystkich Indian na tym obszarze, bo bank jako instytucja rządowa skupuje ich zbiory, a każdy Yaqui jest farmerem i właścicielem kawałka ziemi, który może nazwać swoim własnym polem, jeśli tylko będzie je uprawiał.

– Czy znacie osobiście jakichś inspektorów terenowych? – zapytałem.

Spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się do mnie przepraszająco. Nie mogli mi niestety pomóc, ale gorąco namawiali, abym poszukał któregoś na własną rękę i przedstawił mu swoją sprawę.

W Vicam moje próby nawiązania kontaktu z inspektorami terenowymi rzeczonego banku państwowego skończyły się całkowitym fiaskiem. Umówiłem się z trzema i gdy wyjaśniłem, kogo szukam, każdy z nich zaczynał mi się przyglądać ze skrajną nieufnością. Od razu nabierali podejrzeń, że jestem szpiegiem nasłanym przez Jankesów, by narobić im problemów, i choć nie potrafili ich sobie jasno uzmysłowić, ich fantastyczne domysły na ten temat błądziły od agitacji politycznej po szpiegostwo przemysłowe. Każdy człowiek z tamtych stron żywił opaczne przekonanie, że w ziemi Indian Yaqui są pokłady miedzi i że stanowią one przedmiot pożądania Jankesów.

Po tej druzgocącej porażce wycofałem się do Guaymas, gdzie zatrzymałem się w hotelu, który znajdował się tuż obok wspaniałej restauracji. Chodziłem do niej trzy razy dziennie. Jedzenie było wyśmienite. Tak bardzo mi smakowało, że zatrzymałem się w Guaymas ponad tydzień. Praktycznie rzecz biorąc, cały czas spędzałem w restauracji, dzięki czemu zaznajomiłem się z właścicielem, panem Reyesem.

Pewnego popołudnia właśnie jadłem, gdy do mojego stolika podszedł pan Reyes z jeszcze jednym mężczyzną, którego przedstawił mi jako Jorgego Camposa, pełnej krwi Indianina Yaqui i przedsiębiorcę, który w młodości mieszkał w Arizonie, mówił biegle po angielsku i był bardziej amerykański niż każdy prawdziwy Amerykanin. Pan Reyes wychwalał go jako żywy dowód na to, jak ciężka praca i sumienność potrafią uczynić z człowieka osobę wyjątkową.

Zostawił nas samych, a Jorge Campos usiadł obok mnie przy stoliku i natychmiast przejął inicjatywę. Udawał skromnego i zaprzeczył wszystkim pochwałom pod swoim adresem, ale było widać, że jest dumny jak paw z tego, co pan Reyes o nim powiedział. Od pierwszej chwili miałem nieodparte wrażenie, że Jorge Campos jest przedsiębiorcą owego szczególnego rodzaju, którego przedstawicieli spotyka się w barach albo na zatłoczonych rogach głównych ulic, gdzie usiłują sprzedawać swoje pomysły albo po prostu znaleźć sposób na to, by mniej lub bardziej uczciwie wyciągnąć od ludzi pieniądze.

Pan Campos miał bardzo miłą powierzchowność, mierzył nieco ponad metr osiemdziesiąt centymetrów, ale miał duży, odstający brzuch, jakby lubił sobie wypić coś mocniejszego. Jego

karnacja była ciemna, z lekkim odcieniem zieleni; nosił drogie, niebieskie dżinsy, na nogach zaś błyszczące kowbojki ze spiczastymi noskami i kanciastymi piętami, zupełnie jakby łapał na lasso byki i potrzebował takich butów, by móc zaryć piętami w ziemię, nie pozwalając się pociągnąć. Ubrany był w nienagannie wyprasowaną, szarą, kraciastą koszulę; w prawej kieszeni miał plastykową wkładkę, w której znajdował się rząd długopisów. Takie same wkładki widywałem u pracowników biurowych, którzy nie chcieli sobie poplamić kieszeni koszul atramentem. Do jego ubioru należała także chyba dość droga, czerwonawo-brązowa zamszowa bluza z frędzlami i wysoki kapelusz kowbojski w teksańskim stylu. Pucołowata twarz mężczyzny była pozbawiona wyrazu. Nie miał zmarszczek, choć był już chyba po pięćdziesiątce. Instynkt mówił mi, że mój towarzysz jest człowiekiem niebezpiecznym.

– Bardzo mi miło pana poznać, panie Campos – powiedziałem po hiszpańsku, wyciągając do niego dłoń.

– Dajmy sobie spokój z konwenansami – odparł, również po hiszpańsku, energicznie potrząsając moją dłonią. – Lubię traktować młodych jak równych, bez względu na różnicę wieku. Mów mi Jorge.

Przez chwilę się nie odzywał, oceniając zapewne moją reakcję. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Było dla mnie jasne, że nie będę traktować go jak dziecko, ale nie chciałem też brać go zbyt poważnie.

– Bardzo mnie ciekawi, co robisz w Guaymas – ciągnął swobodnie. – Nie wyglądasz na turystę, nie wydajesz się też zainteresowany łowieniem w morzu.

– Jestem studentem antropologii – powiedziałem – i staram się wyrobić sobie jakąś pozycję wśród miejscowych Indian, żeby później móc przeprowadzić pewne badania.

– A ja jestem biznesmenem – odrzekł. – Moja branża to dostarczanie informacji, występowanie w roli łącznika. Potrzebujesz towaru, a ja go mam. Za moje usługi pobieram opłatę. Daję jednakże na nie gwarancję. Jeżeli nie jesteś usatysfakcjonowany, możesz mi nie zapłacić.

– Jeżeli twoja branża to dostarczanie informacji – powiedziałem – z chęcią ci zapłacę, ile tylko zażądasz.

– Ach! – wykrzyknął. – Na pewno potrzebny ci przewodnik, ktoś bardziej wykształcony od przeciętnego miejscowego Indianina, kto by cię oprowadził po okolicy. Masz stypendium rządu Stanów Zjednoczonych albo jakiejś innej poważnej instytucji?

– Tak – skłamałem. – Mam stypendium Fundacji Ezoterycznej Los Angeles.

Gdy to powiedziałem, wyraźnie dostrzegłem błysk chciwości w jego oczach.

– Ach! – wykrzyknął znowu. – Czy to duża instytucja?

– Dość duża – odparłem.

– Proszę, proszę! A więc to tak! – powiedział takim tonem, jakby moje słowa były wyjaśnieniem, którego oczekiwał. – A czy mogę jeszcze zapytać, jeśli nie masz nic przeciwko, jakie masz stypendium? Ile pieniędzy ci dali?

– Kilka tysięcy dolarów na przeprowadzenie wstępnych badań w terenie – znów skłamałem, chcąc zobaczyć, co powie.

– Ach! Lubię ludzi bezpośrednich – odrzekł, smakując własne słowa. – Jestem pewien, że ty i ja dojdziemy do porozumienia. Oferuję ci moje usługi jako przewodnik i klucz do wielu tajemnych drzwi. Jak się zapewne zorientowałeś po moim wyglądzie, mam gust i spore możliwości.

– O tak, nie ulega wątpliwości, że jesteś człowiekiem z dobrym gustem – odparłem z przekonaniem.

– Tak więc – powiedział – chodzi o to, że za niewielkie wynagrodzenie – którego z pewnością nie uznasz za wygórowane – skieruję cię do właściwych ludzi: ludzi, którym będziesz mógł zadawać pytania, jakie tylko chcesz. A za bardzo skromną dodatkową opłatą przetłumaczę ci ich słowa, co do joty, na hiszpański albo angielski. Mówię również po francusku i niemiecku, ale mam przeczucie, że te języki cię nie interesują.

– Masz rację, masz całkowitą rację – odparłem. – Te języki zupełnie mnie nie interesują. Ale ile miałoby wynosić twoje wynagrodzenie?

– Ach! Moje wynagrodzenie! – powiedział, po czym z tylnej kieszeni spodni wyciągnął oprawiony w skórę notes i otworzył go szybkim ruchem nadgarstka na wysokości mojej twarzy; bardzo prędko coś w nim zanotował, kolejnym szybkim ruchem nadgarstka zamknął go i błyskawicznie schował z

powrotem do kieszeni z niebywałą precyzją. Byłem pewien, że chciał zrobić na mnie wrażenie kogoś, kto szybko i sprawnie potrafi przeprowadzać obliczenia.

– Będziesz mi płacił pięćdziesiąt dolarów na dzień – powiedział. – Do tego transport i posiłki. To znaczy, kiedy jesz, ja jem z tobą. Co ty na to?

W tym momencie pochylił się w moim kierunku i ściszając głos niemal do szeptu, powiedział mi, że powinniśmy przejść na angielski, bo nie chce, żeby inni znali naturę naszej transakcji. Następnie zaczął do mnie mówić w języku, który w niczym angielskiego nie przypominał. Byłem zbity z pantałyku. Nie wiedziałem, jak zareagować. Zacząłem się nerwowo wiercić, on zaś dalej plótł androny, jak gdyby nigdy nic. Nawet okiem nie mrugnął. Z wielkim ożywieniem poruszał rękoma i wskazywał nimi w różnych kierunkach, jakby udzielał mi jakichś instrukcji. Nie odniosłem wrażenia, jakoby miał ekstatyczną wizję; być może mówił językiem Yaqui.

Gdy jacyś ludzie zbliżyli się do naszego stolika i spojrzeli na nas, pokiwałem głową i powiedziałem: “Tak, tak, to prawda". W innym momencie wtrąciłem: “Dokładnie tak jak mówisz", i zabrzmiało to dla mnie tak zabawnie, że wybuchnąłem gromkim śmiechem. On również zaśmiał się szczerze, jak gdybym powiedział najzabawniejszą rzecz na świecie.

Musiał zauważyć, że jestem już zupełnie skołowany, i zanim zdążyłem się podnieść z krzesła i wysłać go do diabła, znów zaczął mówić po hiszpańsku.

– Nie chcę cię zanudzać moimi głupimi spostrzeżeniami – oświadczył. – Ale jeśli mam być twoim przewodnikiem, a wydaje mi się, że tak będzie, czekają nas długie godziny spędzone na pogawędkach. Teraz właśnie chciałem sprawdzić, czy jesteś dobrym rozmówcą. Jeżeli mamy razem jeździć samochodem, muszę mieć obok siebie kogoś, kto będzie dobrym słuchaczem i inicjatorem rozmowy. Miło mi stwierdzić, że jesteś i jednym, i drugim.

Następnie wstał z krzesła, uścisnął moją dłoń i wyszedł. Jakby na umówiony sygnał, do stolika podszedł właściciel restauracji, uśmiechając się i kręcąc głową na boki jak mały niedźwiedź.

– Czyż nie rewelacyjny facet? – zagadnął mnie.

Nie spieszyłem się z udzieleniem zobowiązującej odpowiedzi, więc pan Reyes sam rozpoczął rozmowę, mówiąc, że Jorge Campos pośredniczy właśnie w niezwykle delikatnej i lukratywnej transakcji. Dodał, że kilka kompanii górniczych ze Stanów Zjednoczonych interesuje się złożami żelaza i miedzi należącymi do Indian Yaqui, i że Jorge Campos bierze udział w całej sprawie, z perspektywą otrzymania nawet pięciomilionowej gaży. W tym momencie byłem już pewny, że Jorge Campos to kanciarz. Na ziemiach należących do Indian Yaqui nie było żadnych złóż żelaza ani miedzi. W przeciwnym wypadku prywatne firmy już dawno wyparłyby Indian z ich ziemi i przerzuciły w inne miejsce.

– Jest rewelacyjny – potwierdziłem. – Najwspanialszy facet, jakiego w życiu spotkałem. Jak mogę się z nim skontaktować?

– Proszę się o to nie martwić – odrzekł. – Jorge wypytał mnie o pana dokładnie. Obserwował pana od chwili pańskiego przyjazdu. Prawdopodobnie zjawi się tu i zapuka do pańskich drzwi jeszcze dziś albo jutro.

Pan Reyes miał rację. Dwie godziny później ktoś zbudził mnie z popołudniowej drzemki. Był to Jorge Campos. Już przedtem postanowiłem wyjechać z Guaymas przed wieczorem i w ciągu nocy dotrzeć do Kalifornii. Wyjaśniłem mu, że wyjeżdżam, ale zamierzam wrócić za miesiąc albo coś koło tego.

– Ach! Ale teraz musisz zostać, skoro zdecydowałem się być twoim przewodnikiem – powiedział.

– Przykro mi, ale będziemy musieli z tym poczekać, ponieważ mam w tej chwili ograniczoną ilość czasu – odparłem.

Wiedziałem, że Jorge Campos to oszust; mimo to postanowiłem jednak wyjawić mu, że mam już informatora, który czeka na mnie, i że poznałem go w Arizonie. Opisałem starca, powiedziałem, że nazywa się Juan Matus, i z tego, co słyszałem, jest szamanem. Jorge Campos uśmiechnął się do mnie szeroko. Spytałem, czy zna starego.

– Atak, znam go – odparł jowialnie. – Można powiedzieć, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

Bez zaproszenia wszedł do mojego pokoju i usiadł przy stoliku na progu balkonu.

– Czy on mieszka gdzieś w pobliżu? – zapytałem.

– A mieszka – odrzekł z przekonaniem.

– Zabrałbyś mnie do niego?

– Nie widzę powodów, żeby tego nie zrobić – powiedział. – Będę potrzebował dwóch dni na własne rozpoznanie, tylko żeby się upewnić, że przebywa w okolicy, i potem możemy do niego pojechać.

Czułem, że kłamie, jednak nie chciałem w to uwierzyć. Pomyślałem nawet, że moja początkowa nieufność była, być może, bezpodstawna. Wydawał mi się w tamtej chwili bardzo przekonujący.

– Jednakże za zabranie cię do tego człowieka – ciągnął – opłata będzie stała. Moje wynagrodzenie to dwieście dolarów.

Była to kwota większa od tej, którą dysponowałem. Grzecznie odmówiłem i powiedziałem, że nie mam przy sobie tylu pieniędzy.

– Nie chcę wyjść na najemnika – powiedział ze swym zniewalającym uśmiechem – ale na ile cię stać? Musisz wziąć pod uwagę to, że nie obejdzie się bez kilku łapówek. Indianie Yaqui są bardzo zamknięci, ale zawsze jest jakiś sposób; zawsze są drzwi, które można otworzyć magicznym kluczem – pieniędzmi.

Pomimo wszystkich moich obaw byłem przekonany, że Jorge Campos wprowadzi mnie nie tylko do świata Yaqui, lecz również umożliwi dotarcie do starca, który tak bardzo mnie intrygował. Nie zamierzałem się targować o pieniądze. Z zażenowaniem nieomal zaoferowałem mu pięćdziesiąt dolarów, które miałem w kieszeni.

– Mój pobyt tutaj dobiega końca – rzekłem w ramach przeprosin – tak więc prawie skończyły mi się pieniądze. Zostało mi tylko pięćdziesiąt dolarów.

Jorge Campos wyprostował swoje długie nogi pod stołem i zaplótł ramiona za głową, zsuwając sobie kapelusz na twarz.

– Wezmę te pięćdziesiąt dolarów i twój zegarek – oświadczył bezwstydnie. – Ale za te pieniądze zabiorę cię do pośledniejszego szamana. Nie denerwuj się – ostrzegł mnie, jak gdybym miał zaraz zaprotestować. – Musimy ostrożnie piąć się w górę, od niższych rangą, aż do twojego człowieka, który – zapewniam cię – jest na samym szczycie hierarchii.

– A kiedy mógłbym spotkać się z tym pośledniejszym szamanem? – spytałem, wręczając mu pieniądze i zegarek.

– Od razu! – odparł, siadając prosto i skwapliwie zgarniając pieniądze i zegarki. – Jedziemy! Nie ma czasu do stracenia!

Wsiedliśmy do mojego samochodu i nakazał mi się kierować na zamieszkałe przez Indian Yaqui miasteczko Podam, jedną z tradycyjnych osad indiańskich, położonych wzdłuż rzeki Yaqui. Podczas drogi wyjawił mi, że jedziemy się spotkać z Lucasem Coronado, człowiekiem znanym ze swych czarodziejskich wyczynów, szamańskich transów i cudownych masek, które wyrabia na indiańskie obchody wielkiego postu.

Następnie zmienił temat rozmowy i zaczął mówić o starcu; to, co powiedział, pozostawało w całkowitej sprzeczności z tym, co mi opowiadali o nim inni. Podczas gdy oni opisywali go jako pustelnika i byłego szamana, Jorge Campos przedstawiał go jako najbardziej znamienitego znachora i czarownika na tamtych terenach, człowieka, którego sława uczyniła go niemalże niedostępnym... Zrobił przerwę, niczym aktor, po czym wypalił z grubej rury: powiedział, że możliwość regularnego spotykania się ze starcem i prowadzenia z nim rozmów zadowalających antropologa będzie mnie kosztować przynajmniej dwa tysiące dolarów.

Już miałem zaprotestować przeciwko tak drastycznemu skokowi ceny, ale uprzedził mnie.

– Mógłbym cię zabrać do niego za dwieście dolarów – powiedział. – Z tych dwustu dolarów dla mnie zostałoby około trzydziestu. Reszta poszłaby na łapówki. Ale dłuższa rozmowa z nim będzie kosztować więcej. Sam byś na to wpadł. On ma normalnych ochroniarzy, ludzi, którzy go strzegą. Muszę się im przypodobać i przynieść dla nich forsę.

Na samym końcu – ciągnął – dam ci ogólny kosztorys z rachunkami i wszystkimi kwitami do podatków. Wtedy sam się przekonasz, że moja marża za załatwienie ci całej sprawy jest minimalna.

Poczułem przypływ podziwu dla niego. Wiedział o wszystkim, nawet o rachunkach do rozliczenia podatkowego. Przez chwilę nic nie mówił, jakby obliczał swój minimalny zarobek. Nie miałem nic do powiedzenia. Sam pilnie rachowałem, próbując wymyślić, skąd wziąć dwa tysiące dolarów.

Rozważałem nawet, czy naprawdę nie postarać się o stypendium.

– Ale jesteś pewien, że starzec będzie chciał ze mną rozmawiać? – zapytałem.

– Oczywiście – odparł z przekonaniem. – Nie tylko będzie chciał z tobą rozmawiać, lecz również pokaże ci magię, w takim zakresie, za jaki mu zapłacisz. Później będziesz mógł dojść z nim do jakiegoś porozumienia w kwestii kwoty, za którą udzieliłby ci kolejnych lekcji.

Przez chwilę znów się nie odzywał, patrząc mi badawczo w oczy.

– Myślisz, że byłbyś w stanie zapłacić mi te dwa tysiące dolarów? – zapytał z tak doskonałą obojętnością, że od razu się zorientowałem, iż udaje.

– O tak, spokojnie dam radę – skłamałem uspokajająco. Jorge Campos nie potrafił ukryć swojego rozradowania.

– Zuch z ciebie! Zuch! – wykrzyknął. – No to będzie bal! Próbowałem zadać mu kilka ogólnych pytań dotyczących starca; brutalnie mi przerwał.

– Zaczekaj z tym wszystkim, aż się z nim spotkasz. Będziesz go miał wyłącznie dla siebie – powiedział z uśmiechem.

Zaczai mi opowiadać o swoim pobycie w Stanach Zjednoczonych i ambicjach handlowych, i ku mojemu całkowitemu osłupieniu – wynikłemu z tego, że zakwalifikowałem go już jako naciągacza – przeszedł na angielski.

– Więc jednak mówisz po angielsku! – wykrzyknąłem, nie starając się w ogóle ukryć zaskoczenia.

– Oczywiście, że tak, mój chłopcze – odrzekł, naśladując teksański akcent, z którym mówił przez cały czas naszej rozmowy. – Mówiłem ci, chciałem cię sprawdzić, zobaczyć, czy jesteś zaradny. Jesteś. Właściwie mógłbym rzec, że jesteś całkiem bystry.

Posługiwał się angielskim wybornie i zabawiał mnie żartami i historyjkami. Byliśmy w Potam, zanim się obejrzałem. Skierował mnie do domu na przedmieściach. Wyszliśmy z samochodu. On prowadził, głośno wołając Lucasa Coronado.

Usłyszeliśmy głos dochodzący z tyłu domu:

– Chodź tutaj.

Za małą lepianką znaleźliśmy mężczyznę; siedział na ziemi, na koziej skórze. Gołymi stopami trzymał kawałek drewna, który obrabiał dłutem i pobijakiem. Trzymając obrabiane drewno nieruchomo pomiędzy stopami, sprokurował jakby niesamowite koło garncarskie. Stopami obracał drewno, a dłońmi operował narzędziami. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. Pracował właśnie nad maską, drążąc ją zakrzywionym dłutem. Wprawa, z jaką posługiwał się stopami przy trzymaniu i obracaniu maski, była nadzwyczajna.

Mężczyzna był bardzo szczupły; miał pociągłą twarz o kanciastych rysach i wysokich kościach policzkowych oraz ciemną karnację o miedzianym zabarwieniu. Skóra na jego twarzy i szyi wydawała się napięta do granic możliwości. Nosił cienkie, opadające wąsiki, które nadawały jego kanciastej twarzy wyraz srogości. Miał orli, mocno zaostrzony nos i dzikie czarne oczy. Jego niesamowicie ciemne brwi sprawiały wrażenie, jakby nakreślono je ołówkiem, podobnie jak kruczoczarne włosy, zaczesane ku tyłowi głowy. Nigdy w życiu nie widziałem twarzy równie groźnej. Obraz, który pojawił się w mojej głowie, gdy na niego patrzyłem, przedstawiał włoskiego truciciela z epoki Medyceuszy. Słowa “srogi" i “posępny" wydały mi się najtrafniejszymi określeniami, gdy przyglądałem się twarzy Lucasa Coronado.

Kiedy tak siedział na ziemi, trzymając pomiędzy stopami kawałek drewna, zauważyłem, że kości jego nóg są tak długie, iż kolana sięgają mu do barków. Gdy podeszliśmy bliżej, przestał pracować i wstał. Był wyższy od Jorgego Camposa i chudy jak patyk. W geście poważania dla nas, jak sądzę, włożył swoje sandały.

– Chodźcie, chodźcie – powiedział bez uśmiechu. Odniosłem wówczas dziwne wrażenie, że Lucas Coronado nie wie, jak się uśmiechać.

– Czemuż zawdzięczam tę przyjemność? – spytał Jorgego Camposa.

– Przyprowadziłem tutaj tego młodego człowieka, ponieważ chce ci zadać kilka pytań dotyczących twojej sztuki – odpowiedział Jorge Campos niezwykle protekcjonalnym tonem. – Zaręczyłem, że szczerze mu odpowiesz.

– O, nie ma sprawy, nie ma sprawy – zapewnił Lucas Coronado, mierząc mnie swym zimnym, badawczym spojrzeniem.

Następnie przeszedł na inny język; przypuszczam, że była to mowa Indian Yaqui. Wdali się z Jorgem Camposem w ożywioną wymianę zdań, która trwała jakiś czas. Obaj zachowywali się tak, jakby mnie w ogóle tam nie było.

– Mamy tu mały problem – rzekł Jorge Campos. – Lucas właśnie mi zakomunikował, że ma teraz bardzo pracowity okres, bo zbliża się święto, tak więc nie będzie mógł teraz odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania, ale z chęcią zrobi to kiedy indziej.

– Tak, tak, jak najbardziej – odezwał się do mnie Lucas Coronado po hiszpańsku. – Kiedy indziej, właśnie, właśnie. Kiedy indziej.

– Musimy skrócić naszą wizytę – rzekł Jorge Campos – ale przyprowadzę cię tutaj jeszcze.

Gdy zbieraliśmy się do odejścia, czułem się w obowiązku wyrazić Lucasowi Coronado mój podziw dla jego niesamowitej techniki pracy rękoma i stopami. Spojrzał na mnie, jakbym był szalony; zaskoczony, otworzył szeroko oczy.

– Nigdy nie widziałeś, jak się robi maskę? – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Skąd się tutaj wziąłeś? Z Marsa?

Poczułem się głupio. Próbowałem mu wyjaśnić, że stosowana przez niego technika jest dla mnie zupełnie nowa. Wyglądało na to, że zaraz mi przywali. Jorge Campos powiedział po angielsku, że swoimi uwagami obraziłem Lucasa Coronado. Odebrał moją pochwałę jako ukrytą drwinę z jego nędzy; moje słowa miały komentować w ironiczny sposób jego biedę i bezradność.

– Ależ wręcz odwrotnie – powiedziałem. – Uważam, że jego technika jest rewelacyjna!

– Nawet nie próbuj mu mówić niczego takiego – rzucił sucho Jorge Campos. – Tych ludzi uczy się przyjmować i samemu czynić zniewagi w niezwykle zawoalowanej formie. Uważa on za rzecz osobliwą, że go lekceważysz, chociaż go nawet nie znasz, i że wyśmiewasz się z tego, iż nie ma pieniędzy na to, by sobie kupić imadło.

Czułem się zupełnie zbity z pantałyku. Niczego wówczas nie chciałem uniknąć bardziej niż utraty jedynego możliwego kontaktu. Jorge Campos jakby zdawał sobie sprawę z mojego rozgoryczenia.

– Kup którąś z jego masek – doradził mi.

Odrzekłem, że mam tylko tyle pieniędzy, by kupić paliwo i jedzenie na drogę, i że zamierzam dojechać do Los Angeles bez zatrzymywania się.

– W takim razie daj mu swoją skórę – powiedział tonem rzeczowym, a zarazem poufałym i życzliwym. – W przeciwnym razie będzie zagniewany i zapamięta jedynie twoje zniewagi. Ale nie mów mu, że jego maski są piękne. Po prostu którąś kup.

Kiedy powiedziałem Lucasowi Coronado, że chciałbym •wymienić moją skórzaną kurtkę na jedną z jego masek, uśmiechnął się z zadowoleniem. Wziął ode mnie skórę i włożył ją na siebie. Poszedł w niej do domu, ale zanim przekroczył próg, wykonał kilka dziwnych piruetów. Uklęknął przed czymś, co wyglądało na ołtarzyk, i zrobił parę ruchów ramionami, jakby chciał je rozprostować, po czym potarł dłońmi o boki kurtki.

Z domu przyniósł małą paczkę zawiniętą w gazetę i podał mi ją. Chciałem zadać mu kilka pytań. Wykręcił się, mówiąc, że musi pracować, ale dodał, że jeśli chcę, mogę przyjechać kiedy indziej.

W drodze powrotnej do Guaymas Jorge Campos poprosił mnie, żebym otworzył paczkę. Chciał się upewnić, że Lucas Coronado mnie nie oszukał. Paczka mnie nie interesowała; myślałem jedynie o tym, że będę mógł sam odwiedzić Lucasa Coronado i z nim porozmawiać. Byłem w siódmym niebie.

– Muszę zobaczyć, co tam masz – nalegał Jorge Campos. – Proszę, zatrzymaj się. W żadnych okolicznościach i pod żadnym pozorem nie mogę narażać moich klientów. Zapłaciłeś mi za wykonanie określonej usługi. Ten człowiek to autentyczny szaman i dlatego jest bardzo niebezpieczny. Ponieważ go znieważyłeś, mógł rzucić czary na przedmioty w paczce. Jeżeli tak jest w istocie, musimy ją gdzieś tutaj szybko zakopać.

Poczułem, że zbiera mi się na mdłości, i zatrzymałem samochód. Z największą ostrożnością ująłem pakunek. Jorge Campos wyrwał mi go z rąk i rozwinął papier. W środku były trzy pięknie wykonane, tradycyjne maski Indian Yaqui. Swobodnym i obojętnym tonem Jorge Campos zauważył, że postąpiłbym jak najbardziej właściwie, gdybym jedną z nich mu dał. Pomyślałem, że ponieważ nie

doprowadził mnie jeszcze do starca, muszę utrzymać z nim kontakt. Ochoczo ofiarowałem mu jedną z masek.

– Jeżeli mógłbym wybierać, wziąłbym raczej tę – powiedział, wskazując na inną.

Odparłem, że może ją sobie wziąć. Maski nie miały dla mnie żadnego znaczenia; dostałem już to, czego mi było trzeba. Dałbym mu również pozostałe dwie, ale chciałem je pokazać moim znajomym antropologom.

– Te maski to nic takiego – oświadczył. – Możesz je kupić w każdym sklepie w miasteczku. Miejscowi sprzedają je turystom.

Widziałem wcześniej indiańskie maski, które sprzedawano w sklepach w miasteczku. W porównaniu z tymi, które ja dostałem, były bardzo ordynarne; a z moich Jorge Campos rzeczywiście wybrał najlepszą.

Zostawiłem go w mieście i ruszyłem w kierunku Los Angeles. Zanim się pożegnałem, przypomniał mi, że praktycznie jestem mu winien dwa tysiące dolarów, gdyż zacznie już rozdawanie łapówek i załatwianie mi spotkania z wielkim bonzem.

– Myślisz, że mógłbyś mi dać te dwa tysiące dolarów przy następnej wizycie? – spytał odważnie.

Jego pytanie postawiło mnie w trudnej sytuacji. Sądziłem, że jeśli powiem mu prawdę – czyli że to bardzo wątpliwe – da sobie ze mną spokój. Byłem wówczas przekonany, że choć jego chciwość aż kłuje w oczy, będę go potrzebował jako przewodnika.

– Zrobię, co będę mógł, żeby mieć te pieniądze – odparłem niezobowiązującym tonem.

– Ty się lepiej bardziej postaraj, synek – rzucił ostro, nieomal gniewnie. – Będę tu wydawał własne pieniądze, żeby ci załatwić to spotkanie, i muszę jeszcze raz usłyszeć od ciebie zapewnienie. Wiem, że jesteś bardzo poważnym młodzieńcem. Ile jest wart twój samochód? Masz jakiś dowód własności?

Powiedziałem mu, ile jest wart mój samochód, i że oczywiście mam dowód własności, ale wyglądał na zadowolonego dopiero wówczas, kiedy dałem mu słowo, że następnym razem przywiozę mu gotówkę.

Pięć miesięcy później wybrałem się ponownie do Guaymas zobaczyć się z Jorgem Camposem. Dwa tysiące dolarów w owym czasie było znaczącą sumą pieniędzy, zwłaszcza dla studenta. Myślałem sobie, że gdyby się zgodził brać zaliczki, z największą radością zobowiązałbym się do zapłacenia mu tej kwoty w ratach.

Nigdzie w Guaymas nie mogłem odszukać Jorgego Camposa. Pytałem właściciela restauracji. Był zbity z tropu jego zniknięciem tak samo jak ja.

– Po prostu wyparował – powiedział. – Jestem pewien, że wrócił do Arizony albo do Teksasu, gdzie prowadzi interesy.

Postanowiłem zaryzykować i sam udać się na spotkanie z Lucasem Coronado. Zajechałem pod jego dom w południe, ale znów szczęście mi nie dopisało. Zapytałem sąsiadów, czy wiedzą może, gdzie mógłby być. Popatrzyli na mnie groźnie i nie zaszczycili mnie żadną odpowiedzią. Odjechałem, ale wróciłem późnym popołudniem. Nie nastawiałem się absolutnie na nic. W rzeczywistości byłem gotów od razu wracać do Los Angeles. Ku mojemu zaskoczeniu, nie dość, że zastałem Lucasa Coronado, to na dodatek był dla mnie niezwykle uprzejmy. Szczerze wyraził swoją aprobatę, zorientowawszy się, że przyjechałem bez Jorgego Camposa, który, jak się wyraził, jest ostatnim skurwielem. Ubolewał, że Jorge Campos, którego określał jako zdrajcę Yaqui, czerpie szczególną radość z wyzyskiwania swoich indiańskich pobratymców.

Wręczyłem gospodarzowi kilka prezentów, które dla niego przywiozłem, i kupiłem trzy maski – przepięknie rzeźbione dzieła – oraz parę grzechoczących getrów, wykonanych z kokonów jakichś pustynnych owadów, zakładanych przez Indian Yaqui do tradycyjnych tańców. Potem zabrałem go do Guaymas na obiad.

Spotykałem się z nim codziennie przez pięć dni, które spędziłem w tamtej okolicy. Podał mi całą masę informacji o Indianach Yaqui: o ich historii i organizacji społecznej, o znaczeniu i naturze ich świąt. Tak dobrze się bawiłem w roli badacza terenowego, że wręcz ociągałem się z zapytaniem go o to, czy wie coś na temat starego szamana. W końcu, przezwyciężając wątpliwości, spytałem Lucasa Coronado, czy zna starca, który według zapewnień Jorgego Camposa jest wybitnym czarownikiem. Mój towarzysz sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Z przekonaniem oświadczył, że według jego najlepszej wiedzy taki człowiek nigdy nie mieszkał w tej części kraju i że Jorge Campos to oszust,

którego jedynym celem było wyłudzenie ode mnie pieniędzy.

Słowa Lucasa Coronado, które zaprzeczały istnieniu owego starca, wywarły na mnie potworny, nieoczekiwany wpływ. W jednej chwili stało się dla mnie jasne, że tak naprawdę mam gdzieś badania terenowe. Liczyło się tylko odnalezienie tego starego. Zrozumiałem wtedy, że tamto spotkanie w istocie było punktem kulminacyjnym czegoś, co nie miało nic wspólnego z moimi pragnieniami, aspiracjami ani poglądami w dziedzinie antropologii.

Zacząłem jeszcze bardziej zachodzić w głowę, kim, do cholery, jest ten stary. Ogarnęła mnie frustracja i bez najmniejszych zahamowań zacząłem pomstować i wrzeszczeć. Tupałem nogami. Lucas Coronado był bardzo zdumiony moim wybuchem. Spojrzał na mnie oniemiały, po czym zaczai się śmiać. Nie miałem pojęcia, że potrafi to robić. Przeprosiłem go za okazanie w taki sposób gniewu i rozgoryczenia. Nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, dlaczego byłem tak wytrącony z równowagi. Lucas Coronado jakby zdawał sobie sprawę z mojego wewnętrznego rozbicia.

– Takie rzeczy się tutaj zdarzają – powiedział.

Nie miałem pojęcia, do czego nawiązywał; nie chciałem też o to pytać. Byłem śmiertelnie przerażony łatwością, z jaką można go było obrazić. Osobliwością Indian Yaqui była nadzwyczajna skłonność do urazy. Sprawiali wrażenie ludzi żyjących w nieustannym napięciu, wyczulonych na zniewagi zbyt subtelne, by normalny człowiek był w stanie je wyłapać.

– W górach, tu w okolicy, żyją magiczne istoty – ciągnął – i one mogą działać na ludzi. Sprawiają, że ludzie rzeczywiście dostają na głowę. Pod ich wpływem zaczynają pomstować i bredzić, a gdy się w końcu uspokajają, zupełnie wyczerpani, nie mają bladego pojęcia, skąd się wziął ich szał.

– Myślisz, że to właśnie mi się przydarzyło? – zapytałem.

– Zdecydowanie tak – odparł z całkowitym przekonaniem. – I bez tego masz skłonności do świrowania z byle powodu, ale też jesteś bardzo powściągliwy. Dzisiaj nie byłeś powściągliwy. Odbiło ci zupełnie bez powodu.

– Wcale nie bez powodu – powiedziałem stanowczo. – Aż do tej chwili tego nie wiedziałem, ale ten starzec jest motorem wszystkich moich poczynań.

Lucas Coronado milczał, pogrążony jakby w głębokich rozmyślaniach. Po chwili zaczął chodzić w tę i z powrotem.

– Znasz może jakiegoś starca, który mieszka w okolicy, ale nie pochodzi z tych stron? – zapytałem go.

Nie zrozumiał mojego pytania. Musiałem mu wyjaśnić, że być może ten stary Indianin, którego spotkałem, był jak Jorge Campos Indianinem Yaqui, który mieszka gdzieś indziej. Lucas Coronado wytłumaczył mi, że nazwisko “Matus" jest bardzo popularne w tych stronach, ale on nie zna żadnego Matusa, który miałby na imię Juan. Wyglądał na przygnębionego. Nagle zaświtała mu w głowie myśl, że skoro ów człowiek jest stary, być może ma jeszcze inne imię i może podał mi wówczas przybrane, a nie prawdziwe.

– Jedynym człowiekiem w bardzo podeszłym wieku, którego znam – kontynuował – jest ojciec Ignacia Floresa. Od czasu do czasu przyjeżdża odwiedzić syna, ale mieszka w Mexico City. Kiedy się lepiej nad tym zastanowić, to choć jest on ojcem Ignacia, nie wygląda tak bardzo staro. Ale stary jest. Ignacio zresztą również. Mimo to, jego ojciec sprawia wrażenie młodszego od niego.

Gdy to sobie uświadomił, zaśmiał się serdecznie. Najwidoczniej nigdy przedtem, aż do tamtej chwili, nie zastanawiał się nad zadziwiającą młodzieńczością starca. Nie przestawał kręcić głową, jakby nie mógł w to uwierzyć. Moja radość natomiast nie miała granic.

– To on! – wydarłem się, zupełnie nie wiedząc, dlaczego krzyczę.

Lucas Coronado nie potrafił powiedzieć, gdzie mieszka Ignacio Flores, ale był bardzo uczynny; skierował mnie do najbliższego miasta Indian Yaqui i tam go odszukał.

Ignacio Flores był potężnym, korpulentnym mężczyzną, około sześćdziesięciopięcioletnim. Lucas Coronado uprzedził mnie wcześniej, że olbrzym był w młodości zawodowym żołnierzem i ciągle nosi się po wojskowemu. Miał ciemną karnację, sumiaste wąsy i dzikie oczy – czyniło to z niego uosobienie bezwzględnego żołnierza. Pomimo podeszłego wieku jego włosy ciągle były kruczoczarne. Potężny, ochrypły głos był szkolony bodajże tylko i wyłącznie po to, by wydawać komendy. Odniosłem wrażenie, że służył w kawalerii. Chodził tak, jakby ciągle jeszcze nosił buty z ostrogami, i z jakiegoś dziwnego powodu, którego nie byłem w stanie ustalić, gdy się poruszał, słyszałem dzwonienie ostróg.

Lucas Coronado przedstawił mu mnie i powiedział, że przyjechałem z Arizony zobaczyć się z jego ojcem, którego spotkałem w Nogales. Ignacio Flores nie był ani trochę zaskoczony.

– O tak – powiedział. – Mój ojciec sporo podróżuje.

Bez żadnych dalszych ceregieli wyjaśnił nam, gdzie możemy go znaleźć. Nie pojechał z nami; z grzeczności, jak sądzę. Przeprosił nas i odmaszerował, stawiając kroki jak na paradzie.

Byłem przygotowany na zabranie Lucasa Coronado do domu starca. Ten jednak grzecznie się wymówił i poprosił, żebym odwiózł go z powrotem.

– Wydaje mi się, że znalazłeś człowieka, którego poszukiwałeś, i uważam, że powinieneś pojechać sam – powiedział.

Nie mogłem się nadziwić, jak niezwyczajnie uprzejmi są Indianie Yaqui, choć zarazem tak dzicy. Mówiono mi wcześniej, że to barbarzyńcy gotowi bez wahania zabić każdego; jednak jeśli o mnie chodzi, zauważałem przede wszystkim niezwykłą uprzejmość i szacunek dla drugiego człowieka.

Pojechałem do domu ojca Ignacia Floresa i znalazłem tam człowieka, którego szukałem.

– Zastanawiam się, dlaczego Jorge Campos mnie okłamał, mówiąc mi, że cię zna – powiedziałem przy końcu mojej opowieści.

– Nie okłamał cię – odrzekł don Juan z takim przekonaniem, jakby aprobował zachowanie Jorgego Camposa. – Nie próbował się nawet kryć. Uważał cię za frajera i chciał cię okpić. Nie zdołał jednak wykonać swojego planu, gdyż nieskończoność była silniejsza od niego. Wiesz, że wkrótce po waszym spotkaniu zniknął i nigdy go nie odnaleziono?

Jorge Campos był niezwykle znaczącą postacią dla ciebie – ciągnął – – We wszystkim, co się między wami zdarzyło, odnajdziesz swego rodzaju ukryty schemat, ponieważ Jorge Campos przedstawia twoje życie.

– Jak to? Nie jestem oszustem! – zaprotestowałem.

Zaśmiał się, zupełnie jakby wiedział coś, czego nie wiem ja. Chwilę później usłyszałem samego siebie w trakcie długiej tyrady na temat mojego zachowania, moich ideałów, moich oczekiwań. Jednakże dziwna myśl – równie gorączkowa co moje usprawiedliwienia – zmusiła mnie do stwierdzenia, że w pewnych okolicznościach mogę przypominać Jorgego Camposa. Myśl ta wydała mi się nie do przyjęcia i ze wszystkich sił starałem się znaleźć kontrargumenty. Jednakże gdzieś głęboko w środku czułem, że nie mam ochoty się usprawiedliwiać, nawet jeśli jestem taki sam jak Jorge Campos.

Kiedy powiedziałem don Juanowi o moim dylemacie, śmiał się tak bardzo, że kilkakrotnie aż się dusił ze śmiechu.

– Gdybym był tobą – podsumował – słuchałbym swego wewnętrznego głosu. Co by to zmieniło, gdybyś był, tak jak Jorge Campos, oszustem? Był to tani oszust. Ty jesteś bardziej wyrafinowany. Oto potęga przywoływania z pamięci dawnych wydarzeń. Dlatego czarownicy to wykorzystują. Dzięki temu uzyskujesz kontakt z czymś, czego istnienia w sobie nawet się nie domyślałeś.

Chciałem od razu jechać z powrotem. Don Juan dokładnie wiedział, co odczuwam.

– Nie słuchaj tego powierzchownego głosu, który każe ci się wściekać – rzekł rozkazująco. – Słuchaj tego głębszego głosu, który od tej pory będzie cię prowadzić; głosu, który się śmieje. Słuchaj go! I śmiej się razem z nim. Śmiej się! Śmiej!

Jego słowa zadziałały niczym polecenia hipnotyzera. Wbrew własnej woli zacząłem się śmiać. Nigdy nie byłem tak szczęśliwy. Czułem się wolny, pozbawiony maski.

– Przypominaj sobie historię Jorgego Camposa, cały czas – powiedział don Juan. – Odnajdziesz w niej nieprzebrane bogactwo. Każdy szczegół jest częścią mapy. Taka jest natura nieskończoności: kiedy przekraczamy pewien próg, rysuje przed nami określony schemat.

Długo i uważnie mi się przypatrywał. Nie obrzucił mnie krótkim spojrzeniem, jak robił to wcześniej, lecz utkwił we mnie przenikliwy wzrok.

– Krokiem, którego Jorge Campos nie zdołał uniknąć – odezwał się w końcu – było doprowadzenie do twojego spotkania z tym drugim człowiekiem: z Lucasem Coronado, który jest dla ciebie osobą równie znaczącą jak sam Jorge Campos, a może nawet bardziej.

Podczas relacjonowania historii tych dwóch ludzi, uzmysłowiłem sobie, że spędziłem więcej czasu

z Lucasem Coronado niż z Jorgem Camposem; niemniej jednak nasze spotkania nie były tak naładowane napięciem i cechowały się długimi okresami milczenia. Lucas Coronado nie był człowiekiem rozmownym z natury i coś dziwnego w jego charakterze sprawiało, że za każdym razem, gdy pogrążał się w milczeniu, udawało mu się pociągnąć mnie za sobą.

– Lucas Coronado to druga strona twojej mapy – rzekł don Juan. – Nie zastanowiło cię to, że jest rzeźbiarzem jak ty, niezwykle wrażliwym artystą, który – podobnie jak ty swego czasu – szuka sponsora dla swej sztuki? Szukał go tak samo, jak ty szukałeś kobiety, miłośniczki sztuki, która finansowałaby twoją twórczość.

Znów zacząłem się straszliwie zmagać z samym sobą. Tym razem absolutna pewność, że nigdy wcześniej nie wspominałem mu o tym aspekcie mojego życia, walczyła z faktem, że wszystko, co powiedział, jest prawdą, i że nie jestem w stanie znaleźć wytłumaczenia, jak mógł zdobyć te informacje. Ponownie poczułem, że chcę natychmiast stamtąd wyjechać. I raz jeszcze impuls ten został stłumiony przez głos, który dochodził gdzieś z głębi mnie. Bez żadnej zachęty ze strony don Juana zacząłem się serdecznie śmiać. Jakaś cząstka mnie samego, głęboko w środku, mówiła mi, że to zupełnie obojętne, jak don Juan się o tym dowiedział. Fakt, że był tego świadom i przedstawił to w tak delikatny, a zarazem przekonujący sposób, był godny podziwu. A to, że oceniając sytuację z poziomu mojej płytkiej świadomości, wpadłem w gniew i chciałem wyjechać, nie miało absolutnie żadnego znaczenia.

– Bardzo dobrze – odezwał się do mnie don Juan, klepiąc mnie mocno w plecy. – Bardzo dobrze.

Przez chwilę był pogrążony w zadumie, jakby przyglądał się rzeczom niewidocznym dla ludzkiego oka.

– Jorge Campos i Lucas Coronado to dwa końce jednej osi – stwierdził. – Tą osią jesteś ty, z jednej strony pozbawiony skrupułów, bezwstydny, nieokrzesany najemnik, który przejmuje się tylko sobą samym; ohydny, lecz niezniszczalny. Z drugiej strony jest niezwykle wrażliwy, udręczony artysta, słaby i czuły na swoim punkcie. Tak powinna była wyglądać mapa twojego życia, lecz oto pojawiła się jeszcze inna możliwość; możliwość, która otwarła się przed tobą z chwilą, gdy przekroczyłeś próg nieskończoności. Poszukiwałeś mnie i znalazłeś; tak oto przekroczyłeś ów próg. Intencja nieskończoności kazała mi szukać kogoś takiego jak ty. Znalazłem cię, sam w ten sposób przekraczając ów próg.

Na tym nasza rozmowa się skończyła. Don Juan zapadł w jeden ze swoich zwyczajowych długich stanów całkowitego milczenia. Dopiero pod koniec dnia – kiedy dotarliśmy z powrotem do jego domu i siedzieliśmy pod ramadą, zażywając ochłody po długim marszu – przerwał ciszę.

– Gdy mi tak opowiadałeś, co się wydarzyło pomiędzy tobą a Jorgem Camposem i tobą a Lucasem Coronado – podjął – dostrzegłem – i mam nadzieję, że ty również – bardzo niepokojącą rzecz. Dla mnie jest to omen. Wskazuje on na koniec pewnej epoki, co oznacza, że cokolwiek było do tej pory, musi odejść. Przywiodła cię do mnie kombinacja bardzo niewyraźnych czynników. Żaden z nich z osobna nie był wystarczający. Tyle właśnie udało mi się wyciągnąć z twojej opowieści.

Przypomniało mi się, że pewnego dnia don Juan wyjawił mi, że Lucas Coronado jest śmiertelnie chory. Miał jakieś schorzenie, które go z wolna trawiło.

– Przesłałem mu przez mojego syna Ignacio wiadomość, co ma zrobić, żeby się wyleczyć – ciągnął don Juan – ale on uważa to za bzdury i nie chce nawet o tym słyszeć. To nie jest wina Lucasa. Cała ludzkość nie chce niczego słyszeć. Słyszą tylko to, co chcą usłyszeć.

Pamiętałem też, że nakłoniłem don Juana, by mi wytłumaczył, co mam powiedzieć Lucasowi Coronado, żeby mu pomóc złagodzić fizyczny ból i psychiczną udrękę. Don Juan nie tylko wszystko mi wytłumaczył, co mam mu powiedzieć, lecz również z przekonaniem oświadczył, że gdyby Lucas Coronado tylko zechciał, sam mógłby z łatwością się wyleczyć. Niemniej jednak, gdy przekazałem mu słowa don Juana, spojrzał na mnie, jakbym postradał rozum. Następnie we wspaniałych słowach – a także, gdybym był Indianinem Yaqui, z pewnością niezwykle dla mnie obraźliwych – nakreślił mi obraz człowieka, który jest już śmiertelnie znużony czyimś niczym nie usprawiedliwionym natręctwem. Pomyślałem sobie, że tylko Indianin z jego plemienia może być tak subtelny.

– Takie rzeczy mi nie pomogą – odrzekł w końcu z hardością w głosie, zły na mnie za brak wrażliwości. – Tak naprawdę nie ma to żadnego znaczenia. Wszyscy musimy umrzeć. Ale nie waż się nawet myśleć, że postradałem nadzieję. Dostanę trochę pieniędzy z banku państwowego. Dostanę zaliczkę na poczet moich zbiorów; i tak będę miał dość pieniędzy, żeby kupić sobie coś, co mnie uleczy, ot tak. Nazywa się to Vi-ta-mi-nol.

– Co to jest Vitaminol? – zapytałem.

– To środek, który reklamują w radiu – odparł z niewinnością dziecka. – Leczy wszystko. Zaleca się go ludziom, którzy nie jedzą codziennie mięsa ani ryb, ani drobiu. Zaleca ludziom, którzy z ledwością sobie radzą z utrzymaniem swojego ciała i duszy w kupie.

Tak bardzo się rwałem do tego, żeby pomóc Lucasowi Coronado, że natychmiast popełniłem największą gafę, jaką tylko można sobie wyobrazić w społeczności tak niezwykle przewrażliwionych istot jak Indianie Yaqui: zaofiarowałem się, że dam mu pieniądze na Vitaminol. Jego zimne, przeciągłe spojrzenie świadczyło niezbicie o tym, jak bardzo go dotknąłem. Moja głupota była niewybaczalna. Lucas Coronado bardzo cichym głosem oświadczył, że stać go na to, by samemu kupić sobie Vitaminol.

Wróciłem do domu don Juana. Chciało mi się płakać. Zgubiła mnie moja nadgorliwość.

– Nie trać energii na zamartwianie się podobnymi rzeczami – powiedział chłodno don Juan. – Lucas Coronado jest zamknięty w błędnym kole, ale podobnie jest z tobą, i z każdym – On ma swój Vitaminol i wierzy, że może on wyleczyć każdą chorobę i rozwiązać wszelkie jego problemy. Tymczasem nie może sobie na niego pozwolić, ale ma wielkie nadzieje, że pewnego dnia będzie go w końcu na niego stać.

Obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem.

– Mówiłem ci już, że zachowanie Lucasa Coronado to mapa twojego życia – rzekł. – Możesz mi wierzyć, że tak jest. Lucas Coronado wytknął ci Vitaminol i zrobił to tak miażdżąco i boleśnie, że poczułeś się dotknięty do żywego i zebrało ci się na płacz.

Wtem don Juan przestał mówić. Była to długa i poruszająca pauza.

– I nie mów mi, że nie rozumiesz, co mam na myśli – powiedział. – Wszyscy mamy swój własny Vitaminol, taki czy inny.

Kim tak naprawdę był Juan Matus?

Część mojej relacji o tym, jak poznałem don Juana – ta, której on nie chciał słyszeć – traktowała o moich odczuciach i wrażeniach z owego przełomowego dnia, kiedy to wkroczyłem do jego domu: o sprzeczności moich oczekiwań i rzeczywistości, w której się znalazłem, jak również o wpływie, który wywarł na mnie zestaw najbardziej kuriozalnych poglądów, jakie w życiu słyszałem.

– To bardziej zahacza o wyznanie niż o ciąg zdarzeń – powiedział mi kiedyś, gdy chciałem się z nim tym podzielić.

– Nie mogłeś się bardziej pomylić, don Juanie – zacząłem, ale urwałem. Coś w sposobie, w jaki na mnie spojrzał, uzmysłowiło mi, że ma rację. Cokolwiek bym powiedział, mogłoby zabrzmieć jedynie jak nieszczery komplement, pochlebstwo. Jednakże to, co zaszło podczas naszego pierwszego prawdziwego spotkania, miało dla mnie wartość transcendentalną; było to wydarzenie najwyższej wagi.

Przy pierwszym moim spotkaniu z don Juanem na dworcu autobusowym w Nogales w Arizonie przydarzyła mi się rzecz niezwykłej natury, lecz przykryło ją całkowicie moje wielkie zaaferowanie prezentacją samego siebie. Chciałem wówczas zaimponować don Juanowi, i starając się to osiągnąć, całą moją uwagę skupiłem na tym, żeby dobrze się sprzedać, że tak powiem. Dopiero wiele miesięcy później zaczął się odsłaniać dziwny osad zapomnianych wydarzeń.

Pewnego dnia ni stąd, ni zowąd, bez żadnej inicjatywy z mojej strony, z niezwykłą wyrazistością przypomniałem sobie coś, co zupełnie mi umknęło podczas pierwszego spotkania z don Juanem. Kiedy powstrzymał mnie przed podaniem mego imienia, spojrzał mi uważnie w oczy i sparaliżował wzrokiem. Była cała masa rzeczy, które mogłem mu jeszcze o sobie powiedzieć. Mógłbym się rozwodzić nad własną wiedzą i wartością przez długie godziny, gdyby nie to, że i ego spojrzenie całkowicie mnie ścięło.

W świetle tego nowego odkrycia raz jeszcze zacząłem się zastanawiać nad wszystkim, co się wówczas wydarzyło. Nasunął mi się nieodparty wniosek, że to, co poczułem, było wynikiem powstrzymania jakiegoś tajemniczego przepływu, który utrzymywał mnie w nieustannym ruchu; przepływu, którego nigdy wcześniej nie powstrzymywano – w każdym razie nie tak, jak to uczynił don Juan. Gdy próbowałem wyjaśnić znajomym, jakie były tego skutki fizyczne, całe moje ciało pokryło się dziwnym potem, tak samo jak wtedy, gdy don Juan na mnie spojrzał. W tamtej chwili nie tylko nie byłem w stanie wykrztusić z siebie choćby jednego słowa, lecz również o czymkolwiek pomyśleć.

Później przez jakiś czas głowiłem się nad fizycznym odczuciem powstrzymania owego przepływu, którego nie udało mi się w żaden sposób racjonalnie wytłumaczyć. Przez pewien czas byłem przekonany, że don Juan musiał mnie zahipnotyzować, lecz dobrze pamiętałem, iż nie wydawał mi żadnych nakazów ani nie wykonywał żadnych ruchów, które mogły zaabsorbować moją uwagę. Prawdę powiedziawszy, po prostu rzucił mi krótkie spojrzenie. To natężenie owego spojrzenia sprawiło, że odniosłem wrażenie, jakby uważnie wpatrywał się we mnie przez dłuższy czas. To spojrzenie mnie prześladowało, powodując chaos w głębokich warstwach mojej psychiki.

Kiedy w końcu miałem go znów przed sobą, zauważyłem po pierwsze, że wcale nie wyglądał tak, jak go sobie wyobrażałem przez cały ten czas, gdy usiłowałem go odszukać. Stworzyłem sobie pewien wizerunek mężczyzny spotkanego na dworcu autobusowym, który codziennie udoskonalałem, przypominając sobie rzekomo coraz to nowe szczegóły. W głowie miałem więc obraz starca, który choć nadal bardzo silny i żwawy, wyglądał jednak dość mizernie. Człowiek, który stał przede mną, był dobrze zbudowany i stanowczy. Poruszał się bardzo sprawnie, ale nie była to żwawość. Kroki stawiał pewnie, lecz zarazem lekko. Biła od niego witalność i nieugięta wola. Jego obraz, który sam skomponowałem, absolutnie nie harmonizował z rzeczywistością. Myślałem, że ma krótkie siwe włosy i nadzwyczaj ciemną karnację. Włosy miał jednak dłuższe i nie tak mocno posiwiałe, jak to sobie wyobrażałem. Również jego skóra nie była aż tak ciemna. Przedtem gotów byłem przysiąc, że z powodu podeszłego wieku rysy jego twarzy przywodzą na myśl ptaka. Ale i to nie było prawdą. Twarz miał pełną, niemal okrągłą. Przy pierwszym kontakcie w człowieku, który na mnie patrzył, najbardziej uderzały ciemne oczy, emanujące dziwnym, igrającym poblaskiem.

Cechą, którą całkowicie pominąłem przy pierwotnej ocenie jego osoby, była wysportowana sylwetka. Ramiona miał szerokie, brzuch płaski; sprawiał wrażenie mocno osadzonego w ziemi. Jego

kolana nie były zwiotczałe i uda mu nie drżały. Wcześniej byłem przeświadczony, że podczas naszego pierwszego spotkania dostrzegłem lekkie drżenie głowy i ramion, jakby był nerwowy i rozdygotany. Wyobrażałem też sobie, że mierzy nieco poniżej metra siedemdziesięciu centymetrów, choć faktycznie był wyższy prawie o dziesięć centymetrów.

Don Juan nie wydawał się zaskoczony moim widokiem. Chciałem mu powiedzieć, ile trudności przysporzyło mi odszukanie go. Byłoby mi przyjemnie, gdyby mnie pochwalił za nadludzkie wysiłki, ale on tylko zaczął się śmiać, jakby się ze mną droczył.

– Twoje wysiłki są nieważne – rzekł. – Ważne jest to, że odnalazłeś mój dom. Siadaj, siadaj – powiedział, zachęcając mnie gestem do zajęcia miejsca na jednej ze skrzynek, które stały pod ramadą jego domu, i klepiąc mnie w plecy; nie było to przyjacielskie klepnięcie.

Odczułem je tak, jakby mocno mnie uderzył otwartą dłonią, choć faktycznie nawet mnie nie dotknął. Skutkiem owego niby-klepnięcia było dziwne, nietrwałe wrażenie; pojawiło się gwałtownie i zniknęło, zanim zdążyłem pojąć, co to było. Pozostał mi po nim natomiast dziwny spokój. Czułem się bardzo swobodnie. Mój umysł był krystalicznie czysty. Opuściły mnie wszelkie oczekiwania, wszelkie pragnienia.

Zwykła nerwowość i potliwość dłoni – nieodłączne atrybuty mojej egzystencji – nagle zniknęły.

– Teraz zrozumiesz wszystko, co mam ci do powiedzenia – odezwał się don Juan, zaglądając mi w oczy tak samo, jak zrobił to na dworcu autobusowym.

W normalnych okolicznościach uznałbym jego słowa za zdawkową, być może retoryczną uwagę, lecz gdy je wtedy usłyszałem, byłem w stanie jedynie kilkakrotnie z całą szczerością go zapewnić, że zrozumiem wszystko, co tylko mi powie. Ponownie spojrzał mi w oczy z niesamowitą mocą.

– Jestem Juan Matus – powiedział, siadając przede mną na jednej ze skrzynek, półtora metra ode mnie. – To moje imię i wypowiadam je dlatego, że tym samym przerzucam dla ciebie most, po którym przejdziesz tu, gdzie ja jestem.

Przez chwilę wpatrywał się we mnie, zanim znów zaczął mówić.

– Jestem czarownikiem – ciągnął. – Należę do linii czarowników, która istnieje od dwudziestu siedmiu pokoleń. Jestem nagualem mojego pokolenia.

Wytłumaczył mi, że nagualem nazywa się przywódcę grupy czarowników i że określa się tak jedną osobę z każdego ich pokolenia, charakteryzującą się pewną określoną konfiguracją energetyczną, która wyróżniają spośród reszty. Nie w tym sensie, że jest lepsza czy gorsza od innych, lecz w tym, że jest odpowiedzialna.

– Tylko nagual – powiedział –jest z energetycznego punktu widzenia zdolny do wzięcia na siebie odpowiedzialności za los swych kompanów. Wie o tym każdy z nich i każdy z nich się na to godzi. Nagualem może być mężczyzna albo kobieta. Za czasów czarowników, którzy byli założycielami mojej linii, reguła stanowiła, że nagualami są kobiety. Ich naturalny pragmatyzm – wytwór ich kobiecości – wpędził moją linię w pułapkę praktycyzmu, z której z ledwością zdołaliśmy się wydostać. Następnie kontrolę przejęli mężczyźni, a ci z kolei wpędzili nas w pułapkę głupoty, z której z ledwością zaczynamy się wydostawać.

Od czasów naguala Lujana, który żył około dwustu lat temu – ciągnął – połączono w jeden tandem wysiłki dwojga ludzi, mężczyzny i kobiety. Mężczyzna-nagual wnosi powściągliwość; kobieta-nagual wnosi odmianę.

W tym momencie chciałem go zapytać, czy w jego życiu jest jakaś kobieta-nagual, ale głębia mojej koncentracji nie pozwoliła mi sformułować tego pytania. On sam uczynił to za mnie.

– Czy w moim życiu jest jakaś kobieta-nagual? – zapytał. – Nie, nie ma. Jestem samotnym czarownikiem. Mam jednak kompanów. W tej chwili nie ma ich tutaj.

W głowie zaświtała mi myśl, nad którą nie potrafiłem zapanować. W owym momencie przypomniało mi się, co mówili mi o don Juanie ludzie z Yumy; twierdzili, że zadawał się z grupą Meksykanów, biegłych podobno w sztuce czarnej magii.

– Bycie czarownikiem – kontynuował don Juan – to nie praktykowanie czarnej magii czy staranie się o uzyskanie kontroli nad ludźmi albo opętanie przez demony. Bycie czarownikiem to osiągnięcie pewnego poziomu świadomości, na którym stają się dostępne rzeczy niewyobrażalne. Nazwa "czarna magia" nie jest właściwym słowem na oddanie tego, co robią czarownicy, podobnie jak nazwa "szamanizm". Działania czarowników zachodzą wyłącznie w sferze abstraktu; tego, co nieosobowe.

Czarownicy podejmują wielkie wysiłki, by osiągnąć cel, który nie ma nic wspólnego ze zmaganiami przeciętnego człowieka. Ambicją czarowników jest osiągnąć nieskończoność i mieć tego świadomość.

Dalej don Juan powiedział, że zadaniem czarowników jest stawiać czoło nieskończoności i że zagłębiają się w nią codziennie, tak jak rybacy zagłębiają się w morze. Jest to tak przytłaczające zadanie, że przed wyruszeniem w nieskończoność czarownicy muszą wypowiedzieć swoje imię. Przypomniał mi, że w Nogales uczynił to, zanim doszło do jakiejkolwiek wymiany zdań. Był to sposób na wytyczenie granic własnej odrębności w obliczu nieskończonego.

Rozumiałem jego słowa z niezwykłą jasnością. Nie musiałem go prosić o dalsze wyjaśnienia. Moja przenikliwość powinna mnie była zdumiewać, ale wcale nie byłem zdziwiony. W owej chwili wiedziałem, że mój umysł był zawsze krystalicznie czysty, a ja tylko udawałem głupiego z uwagi na innych.

– Nawet nie podejrzewałeś – ciągnął – że dokonałem już twojej inicjacji na tradycyjnej ścieżce poszukiwań. Jesteś człowiekiem, którego szukałem. Moje poszukiwania się skończyły, kiedy cię odnalazłem, a twoje teraz, gdy ty odnalazłeś mnie.

Don Juan wyjaśnił mi, że jako nagual swojego pokolenia poszukiwał osobnika, który miałby szczególną konfigurację energetyczną, odpowiednią do tego, by zapewnić ciągłość jego linii. Powiedział, że w określonym czasie nagual każdego z dwudziestu siedmiu kolejnych pokoleń czarowników rozpoczynał najbardziej wyczerpujący nerwowo okres swojego życia: okres poszukiwania następcy.

Patrząc mi prosto w oczy, oświadczył, że tym, co zmienia ludzi w czarowników, jest ich zdolność bezpośredniego postrzegania energii w jej ruchu we wszechświecie, i kiedy czarownicy postrzegają w ten sposób człowieka, widzą świetlistą kulę albo świetlistą figurę, kształtem przypominającą jajo. Twierdził, że ludzie są zdolni do widzenia energii bezpośrednio w jej ruchu we wszechświecie, lecz iż w rzeczywistości faktycznie ją widzą w ten sposób, choć nie są w stanie sobie tego uzmysłowić.

Następnie dokonał bardzo ważnego rozróżnienia, które ma dla czarowników znaczenie fundamentalne; chodziło o rozróżnienie pomiędzy ogólnym stanem świadomości a szczególnym stanem samodzielnego uzmysłowienia sobie czegoś. Według jego klasyfikacji, wszyscy ludzie posiadają świadomość w sensie ogólnym, która pozwala im na bezpośrednie widzenie energii, czarownicy zaś jako jedyni mają zdolność samodzielnego uzmysłowienia sobie owego bezpośredniego widzenia energii. Dalej zdefiniował "świadomość" jako energię, a energię jako niezmienny przepływ, świetlistą wibrację, która nigdy nie jest statyczna, porusza się zawsze sama z siebie. Z przekonaniem twierdził, że podczas widzenia człowieka postrzega się go jako skupisko pól energetycznych, utrzymywanych razem przez najbardziej tajemniczą siłę We wszechświecie: wiążącą, spajającą, wibrującą siłę, która utrzymuje pola energii w jednej, spójnej całości. Następnie wytłumaczył mi, że nagual jest w każdym pokoleniu czarownikiem szczególnym, którego pozostali widzą nie jako pojedynczą świetlistą kulę, lecz jako zestaw dwóch stopionych ze sobą świetlistych sfer, jedna na drugiej.

– Ta dwoistość – rzekł – pozwala nagualowi na przeprowadzanie operacji raczej trudnych dla przeciętnego czarownika. Jest on na przykład wytrawnym znawcą owej siły, który utrzymuje nas w spójnej całości. Nagual na ułamek sekundy potrafi skupić na niej całą swą uwagę i w ten sposób sparaliżować drugiego człowieka. To właśnie zrobiłem z tobą wtenczas na dworcu autobusowym, bo chciałem zatrzymać ten twój słowotok, że ja, ja, ja, ja i ja. Chciałem, żebyś mnie odszukał i skończył z tym gównem.

Czarownicy mojej linii utrzymywali – ciągnął dalej don Juan – że sama obecność takiej podwojonej istoty – naguala – wystarczy, by wszystko stało się dla nas jasne. Co jednak dziwne, dzięki obecności naguala wszystko staje się jasne w sposób zamaskowany. Mnie się to przydarzyło, gdy spotkałem naguala Juliana, mojego nauczyciela. W jego obecności czułem się zbity z tropu przez całe lata, ponieważ za każdym razem, gdy był w pobliżu, nie mogłem jasno myśleć, a kiedy odchodził, stawałem się tym samym idiotą, którym zawsze byłem.

Byłem uprzywilejowany – mówił dalej don Juan – gdyż miałem możność poznania i obcowania z dwoma naguala-mi. Na prośbę naguala Eliasa, nauczyciela naguala Juliana, mieszkałem z nim przez sześć lat. Można powiedzieć, że to on mnie wychowywał. Rzadki to był przywilej. Nie istniał lepszy sposób, żeby się nauczyć, kim naprawdę jest nagual. Nagual Elias i nagual Julian to byli mężczyźni o skrajnie odmiennych temperamentach. Nagual Elias był bardziej wyciszony i pogrążony w mroku swego milczenia. Nagual Julian był pompatyczny i gadał jak najęty. Sprawiał wrażenie, jakby żył tylko po to, by olśniewać kobiety. W jego życiu było tyle kobiet, że nie starczyłoby ci ochoty na liczenie.

Pomimo to obaj byli zaskakująco podobni w tym, że nie mieli w sobie nic. Byli puści. Nagual Elias był żywym zbiorem zdumiewających, zapadających w pamięć opowieści o nikomu nie znanych miejscach. Nagual Julian był żywym zbiorem opowieści, które kładły na ziemię każdego w konwulsjach śmiechu. Zawsze, gdy próbowałem wytropić w nich człowieka, prawdziwego człowieka – tak jak potrafiłem wyodrębnić człowieka w moim ojcu i w każdym, kogo znałem – nie odnajdywałem niczego. W miejsce prawdziwej osoby, ukrytej w środku, była tylko garstka opowieści o nieznanych osobach. Obaj mężczyźni mieli swój własny styl, lecz rezultat był zawsze taki sam: pustka, i to pustka, która nie odzwierciedlała świata, lecz nieskończoność.

Don Juan mówił dalej, wyjaśniając mi, że z chwilą przekroczenia osobliwego progu nieskończoności – czy to rozmyślnie, czy to, jak w moim przypadku, bezwiednie – wszystko, co się człowiekowi przydarza, nie leży już wyłącznie w jego prywatnej sferze, lecz wkracza w obszar nieskończoności.

– Kiedy spotkaliśmy się w Arizonie, obaj przekroczyliśmy pewien osobliwy próg – kontynuował. – I nie zdecydował o tym żaden z nas, lecz sama nieskończoność. Nieskończoność jest wszystkim, co nas otacza.

Wypowiedziawszy te słowa, wykonał szeroki gest ramionami.

– Czarownicy mojej linii nazywają to nieskończonością, duchem, mrocznym morzem świadomości i powiadają, że jest to coś, co istnieje poza nami i rządzi naszym życiem.

Choć potrafiłem w pełni pojąć wszystko, co mówił, to jednak za cholerę nie wiedziałem, o co mu chodzi. Zapytałem, czy przekroczenie tego progu było zdarzeniem przypadkowym, efektem nie dających się przewidzieć okoliczności, rządzonych przez ślepy traf. Odpowiedział, że zarówno jego, jak i moimi krokami kierowała nieskończoność i że okolicznościami, pozornie rządzonymi przez ślepy traf, w istocie władała aktywna strona nieskończoności. Nazwał ją intencją.

– To, co nas połączyło – ciągnął – to intencja nieskończoności. Pomimo tego, że nie ma możliwości określenia, czym ta intencja nieskończoności jest, ona istnieje i stanowi coś tak samo namacalnego jak ty czy ja. Czarownicy powiadają, że to drżenie powietrza. Przewaga czarowników nad innymi ludźmi polega na tym, że wiedzą oni o owym drżeniu powietrza i że mu ulegają bez zbędnych ceregieli. Nie znają roztrząsania, zastanawiania się ani gdybania. Wiedzą, że wszystko, co mają, to sposobność stopienia się z tą intencją nieskończoności. I tak po prostu robią.

Trudno było o słowa bardziej zrozumiałe. Dla mnie prawda zawarta w tym, co mi mówił, była tak oczywista, że nie pozwalała mi na roztrząsanie problemu, jak to jest, iż tak absurdalne twierdzenia mogą brzmieć tak sensownie. Wiedziałem, że wszystko, co mówi don Juan, jest nie tylko truizmem, lecz również ja sam mogę to potwierdzić, odwołując się do własnego doświadczenia. Wszystko, co usłyszałem, było mi znane. Miałem uczucie, że przeżyłem każdą cząstkę tego, co opisywał.

Na tym się wówczas skończyła nasza wymiana zdań. We mnie coś jakby się skurczyło. W owej chwili przez głowę przebiegła mi myśl, że tracę rozum. Dałem się otumanić kuriozalnym twierdzeniom i postradałem resztki obiektywizmu. Wiedziony tą myślą, w wielkim pośpiechu wyszedłem z domu don Juana, czując, że grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony jakiegoś niewidzialnego wroga. Don Juan odprowadził mnie do samochodu; w pełni zdawał sobie sprawę z tego, jaką walkę toczę.

– Nie martw się – rzekł, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Nie tracisz zmysłów. To, co poczułeś, to delikatne klepnięcie nieskończoności.

Po upływie jakiegoś czasu mogłem potwierdzić to, co powiedział mi o swoich dwóch nauczycielach. Don Juan Matus był dokładnie taki sam jak opisani przez niego mężczyźni. Posunąłbym się nawet do twierdzenia, że stanowił ich niezwykłe połączenie: z jednej strony nadzwyczaj cichy i zamknięty; z drugiej – ogromnie otwarty i wesoły. Według najtrafniejszej definicji, którą usłyszałem od niego w dniu, gdy go odnalazłem, nagual jest pusty i pustka ta nie jest odzwierciedleniem świata, lecz odzwierciedleniem nieskończoności.

Trudno o prawdziwsze słowa, gdy mowa o don Juanie Matusie. Jego pustka była odzwierciedleniem nieskończoności.

Nie było w nim ani śladu hałaśliwości ani próżności. Nie było nawet cienia potrzeby, by żywić jakiekolwiek urazy albo mieć wyrzuty sumienia. Jego pustka była pustką wojownika w podróży – dojrzałą tak bardzo, że don Juan niczego już nie zakładał z góry. Wojownika w podróży, który zarówno niczego nie przecenia, jak i niczego nie lekceważy. Wojownika cichego i zdyscyplinowanego, którego elegancja jest tak doskonała, że nikomu – choćby nie wiadomo jak się starał – nigdy nie uda się

dostrzec spoiny, gdzie cała jego złożoność zbiega się w jedno.

Wstecz / Spis Treści / Dalej

Głębokie troski powszedniego życia

Pojechałem do Sonory zobaczyć się z don Juanem. Musiałem przedyskutować coś, co było dla mnie w owym czasie najpoważniejszą sprawą życia. Potrzebowałem jego rady. Gdy zajechałem pod jego dom, nieledwie w ogóle pominąłem zwyczajowe powitanie. Usiadłem i wyrzuciłem z siebie dręczące mnie myśli.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział don Juan. – Nie może być aż tak źle!

– Co się ze mną dzieje, don Juanie? – spytałem. Było to z mojej strony pytanie retoryczne.

– To działanie nieskończoności – odrzekł. – W dniu, w którym mnie spotkałeś, coś się zmieniło w twoim sposobie postrzegania. Twoje odczucie podenerwowania wynika z podświadomego zrozumienia, że twój czas dobiegł końca. Masz tego świadomość, ale nie potrafisz sobie tego samodzielnie uświadomić. Odczuwasz brak czasu i stąd się bierze twoja niecierpliwość. Znam to, bo sam to przeżyłem i przeżywali to wszyscy czarownicy mojej linii. W pewnym momencie zakończyła się cała epoka w moim życiu – i w ich życiu. Teraz twoja kolej. Po prostu nie masz już więcej czasu.

Następnie zażyczył sobie pełnego sprawozdania z tego, co mi się przydarzyło. Powiedział, że sprawozdanie musi być kompletne, bez pomijania jakichkolwiek szczegółów. Nie interesowały go opisy schematyczne. Kazał mi zwerbalizować wszystkie uczucia, które mną targają.

– Przeprowadźmy tę rozmowę, jak to mówią w twoim świecie, zgodnie z regulaminem – rzekł. – Przejdźmy do sfery rozmów oficjalnych.

Don Juan wytłumaczył mi, że szamani starożytnego Meksyku stworzyli koncepcję rozmów oficjalnych i rozmów nieoficjalnych i korzystali z nich w nauczaniu swoich uczniów i kierowaniu ich zachowaniem. Rozmowy oficjalne były okresowym podsumowaniem wszystkiego, czego uczyli wychowanków i co im mówili. Rozmowy nieoficjalne polegały na codziennych objaśnieniach, tłumaczeniu pewnych określonych zjawisk, w oderwaniu od pozostałych.

– Czarownicy nie zachowują niczego dla siebie – ciągnął. – Takie opróżnianie samego siebie to jeden z tradycyjnych wybiegów. Służy do opuszczenia fortecy własnego ego.

Rozpocząłem opowieść słowami, że okoliczności mojego życia nigdy nie pozwalały mi na introspekcję. Od kiedy tylko sięgałem pamięcią, każdy dzień miałem całkowicie wypełniony problemami natury praktycznej, które domagały się natychmiastowego rozwiązania. Przypomniałem sobie, jak mój ulubiony wuj przyznał, że był zbulwersowany, dowiedziawszy się, iż nigdy nie dostałem żadnego prezentu pod choinkę ani na urodziny. Na krótko przed tym, gdy mi to powiedział, zamieszkałem w domu krewnych mojego ojca. Wuj użalał się nade mną z powodu niesprawiedliwości, jaka mnie dotknęła. Nawet mnie przeprosił, choć nic go z moim ojcem nie łączyło.

– To ohydne, mój chłopcze – rzekł, trzęsąc się z wrażenia. – Wiedz, że na sto procent będę stał za tobą, jeśli kiedyś przyjdzie do naprawiania krzywd.

Ciągle mi powtarzał, że muszę wybaczyć ludziom, którzy mnie skrzywdzili. Z tego, co mówił, wywnioskowałem, że chciałby, abym stanął twarzą w twarz z moim ojcem, oskarżył go o lenistwo i lekceważenie, po czym – rzecz jasna – wybaczył mu. Nie potrafił zrozumieć, że ja w ogóle nie czułem się pokrzywdzony. To, o co mnie prosił, wymagało introspekcji, która popchnęłaby mnie do reakcji na urazy psychiczne, skoro zwrócono mi na nie uwagę. Zapewniłem wuja, że się nad tym zastanowię, lecz nie tak od razu, gdyż właśnie w tym momencie moja dziewczyna, która czekała na mnie w pokoju gościnnym, gorączkowo gestykulując, dawała mi znać, bym się pospieszył.

Nigdy nie miałem sposobności, by się nad tym zastanowić, ale wuj musiał rozmawiać z moim ojcem, gdyż dostałem od niego prezent; była to zgrabna paczuszka, owinięta wstążką, z dołączoną karteczką z napisem: “Przepraszam". Z wielką ciekawością pospiesznie rozerwałem opakowanie. W środku było kartonowe pudełko, a w nim piękna zabawka, malutki stateczek nakręcany kluczykiem przymocowanym do komina. Można go było dać dzieciom do zabawy podczas kąpieli w wannie. Mój ojciec zupełnie zapomniał, że mam piętnaście lat i jestem już, praktycznie rzecz biorąc, mężczyzną.

Ponieważ, osiągając wiek dojrzały, nadal nie byłem zdolny do poważnej introspekcji, poczułem się bardzo zaskoczony, gdy pewnego dnia stwierdziłem, że targają mną jakieś dziwne, gwałtowne emocje, które z upływem czasu zdawały się jeszcze przybierać na sile. Zignorowałem je, przypisując

naturalnym procesom bądź to umysłowym, bądź fizjologicznym, które uaktywniają się okresowo, zupełnie bez powodu, lub też mają swój początek w procesach biochemicznych zachodzących w organizmie. W ogóle się nimi nie przejmowałem. Niemniej jednak moje wzburzenie narastało i pod ową wewnętrzną presją zacząłem wierzyć, że osiągnąłem w moim życiu etap, na którym potrzeba mi było jakiejś drastycznej odmiany. Coś we mnie domagało się, bym ułożył sobie życie od nowa. Ów pęd do wszechogarniającej przemiany nie był mi obcy. Odczuwałem go i wcześniej, ale przez dłuższy czas trwał w stanie uśpienia.

Byłem wówczas oddany moim studiom antropologicznym i to oddanie było tak całkowite, że zaniechanie studiów w ogóle nie weszło do scenariusza drastycznej przemiany mojego życia. Nawet mi nie przyszło do głowy, żeby rzucić naukę i robić coś innego. Pierwszą rzeczą, która mi się nasunęła, była zmiana uczelni i wyjazd do innego miasta, bardzo daleko od Los Angeles.

Przed zainicjowaniem przemiany tak wielkiego formatu postanowiłem niejako zbadać grunt. Zapisałem się na wypełniony zajęciami semestr letni na uczelni w innym mieście. Najważniejszym przedmiotem była dla mnie antropologia, prowadzona przez naukowca uznanego za autorytet w kwestii Indian z regionu Andów. Byłem przekonany, że ograniczenie moich studiów do obszaru, z którym potrafię się utożsamić, da mi w późniejszym czasie lepszy start do prowadzenia poważnych badań antropologicznych w terenie. Wyobrażałem sobie, że dzięki mojej wiedzy o Ameryce Południowej będę mógł łatwiej przemknąć do każdej indiańskiej społeczności na tym kontynencie.

W tym samym czasie, gdy zapisałem się na zajęcia na nowej uczelni, zostałem przyjęty do pracy w charakterze asystenta psychiatry, który był starszym bratem jednego z moich znajomych. Planował poddać analizie treść fragmentów wywiadów, które przeprowadzono niegdyś z młodymi mężczyznami i kobietami na temat ich problemów wynikających z przeładowania zajęciami w szkołach, nie spełnionych oczekiwań, braku zrozumienia w domu, rozgoryczenia nieudanymi związkami partnerskimi i tak dalej. Taśmy z nagraniami miały ponad pięć lat i były przeznaczone do kasacji; każdej szpuli przypisano numer, po czym psychiatra i jego asystenci w poszukiwaniu fragmentów nadających się do analizy przesłuchiwali taśmy ze szpul, których numery uprzednio wybrali w drodze losowania.

Pierwszego dnia zajęć na nowej uczelni profesor antropologii opowiadał o swojej pozycji w świecie naukowym oraz olśniewał studentów zakresem swojej wiedzy i swych publikacji. Był to wysoki, szczupły mężczyzna w wieku około czterdziestu pięciu lat, o niebieskich, chytrych oczach. Najbardziej w jego powierzchowności uderzyły mnie niesamowicie wielkie oczy, powiększone przez okulary do korekcji dalekowzroczności; gdy mówiąc, poruszał głową, obie gałki oczne sprawiały wrażenie, jakby się obracały w przeciwnych kierunkach. Wiedziałem, że w rzeczywistości nie jest to możliwe; był to jednak widok bardzo irytujący. Jak na antropologa, był on wspaniale ubrany; w moich czasach to środowisko słynęło z nadzwyczaj swobodnego sposobu ubierania. Archeolodzy na przykład byli opisywani przez swych studentów jako okazy gatunku, który zatracił się w radiodatowaniu węglowym i nigdy nie zażywa kąpieli.

Jednakże z przyczyn zupełnie mi nie znanych tym, co tak naprawdę go wyróżniało, nie była jego powierzchowność ani erudycja, lecz sposób mówienia. Jeszcze nigdy nie słyszałem, by ktoś wymawiał każdy wyraz tak wyraźnie i akcentował pewne słowa wypowiedzi, wydłużając je. Jego intonacja miała charakterystyczną, cudzoziemską melodię, ale wiedziałem, że to tylko maniera. Pewne wyrażenia wymawiał jak Brytyjczyk, inne zaś jak nawiedzony kaznodzieja.

Pomimo swego niewiarygodnego nadęcia, zafascynował mnie od samego początku. Jego poczucie własnej ważności było tak jawne, że nie było w tej kwestii żadnych wątpliwości po pierwszych pięciu minutach wykładu; jego zajęcia zawsze były napuszonymi popisami wiedzy, obfitującymi w bardzo śmiałe, zdecydowane opinie na własny temat. Jego panowanie nad audytorium było fenomenalne. Wszyscy studenci, z którymi rozmawiałem, odczuwali tylko i wyłącznie najwyższy podziw dla człowieka tak niezwykłego. Byłem szczerze przekonany, że wszystko całkiem dobrze idzie i że przeniesienie się na inną uczelnię w innym mieście okaże się posunięciem łatwym i pozbawionym przygód, a przy tym jak najbardziej pozytywnym. Podobało mi się moje nowe otoczenie.

W pracy odsłuchiwanie nagranego materiału pochłonęło mnie całkowicie, do tego stopnia, że zakradałem się do biura i słuchałem nie tylko wybranych fragmentów, lecz całych taśm. Tym, co z początku zafascynowało mnie bezgranicznie, było spostrzeżenie, że na każdej z tych taśm słyszę samego siebie. Gdy z upływem tygodni przesłuchałem ich więcej, moja fascynacja przerodziła się w obłędne przerażenie. Każda wypowiedziana kwestia, włącznie z pytaniami psychiatry, była moja. Ci wszyscy ludzie przemawiali z głębi mnie samego. Obrzydzenie, które odczuwałem, było dla mnie czymś nieznanym. Nigdy mi nawet przez myśl nie przeszło, że mogę się tak bez końca powtarzać w

każdej osobie – mężczyźnie i kobiecie – której słowom się przysłuchiwałem. Pod wpływem tego oszałamiającego odkrycia moje poczucie odrębności, zakorzenione we mnie od urodzenia, legło w gruzach.

Rozpoczął się wówczas wstrętny proces odbudowy własnego “ja". Nieświadomie podjąłem doprawdy śmieszną próbę przeprowadzenia introspekcji; usiłowałem wybawić się z opresji, bez końca rozmawiając z samym sobą. Żonglowałem w myślach wszelkimi możliwymi argumentami, które wspierałyby moje poczucie niepowtarzalności, po czym przedstawiałem je sobie na głos. Zdarzały mi się nawet rzeczy radykalne: wielokrotnie budziłem się w nocy, wyrwany ze snu własnymi głośnymi wywodami na temat mojej wartości i wyjątkowości.

Później nadszedł ten potworny dzień, kiedy otrzymałem kolejny śmiertelny cios. W głębokiej nocy obudziło mnie natarczywe pukanie do drzwi. Nie było to delikatne, nieśmiałe stukanie, lecz dobijanie, które moi znajomi określali mianem “pukania gestapowców". Drzwi ledwo trzymały się w futrynie. Wyskoczyłem z łóżka i zajrzałem przez wizjer. Do drzwi dobijał się mój szef, psychiatra. Ponieważ byłem znajomym jego młodszego brata, zawiązała się pomiędzy nami jakaś nić porozumienia. Bez żadnych oporów zaofiarował mi swą przyjaźń; teraz stał w progu mojego mieszkania. Włączyłem światło i otwarłem drzwi.

– Wejdź, proszę – odezwałem się. – Co się stało?

Była trzecia w nocy; widząc jego poszarzałą twarz i zapadnięte oczy, domyśliłem się, że jest bardzo wzburzony. Wszedł do środka i usiadł. Czarna grzywa długich włosów, przedmiot jego dumy i radości, bezładnie pokrywała mu całą twarz. Nawet nie próbował zaczesać włosów do tyłu, jak to zawsze robił. Bardzo go lubiłem, gdyż był starszą kopią mojego przyjaciela z Los Angeles: miał czarne, grube brwi, przenikliwe brązowe oczy, kwadratową szczękę i mocne usta. Jego górna warga miała od wewnątrz dodatkową fałdę, co czasami, gdy uśmiechał się w szczególny sposób, sprawiało wrażenie, że ma podwójną wargę. Zawsze opowiadał o kształcie swojego nosa, który nazywał nosem impertynenckim i wścibskim. Wydawało mi się, że jest niezwykle pewny siebie i niewiarygodnie w sobie zadufany. Zawsze powtarzał, że w jego profesji te cechy to atuty.

– Co się stało! – powtórzył, przedrzeźniając mnie; jego podwójna górna warga drżała nerwowo. – Przecież to widać, że tej nocy stało się wszystko.

Usiadł na krześle. Sprawiał wrażenie rozkojarzonego i zdezorientowanego; szukał słów. Wstał i podszedł do tapczanu, na który osunął się bezwładnie.

– Nie dość, że mam na głowie pacjentów – podjął – i jeszcze ten fundusz na moje badania, żonę i dzieciaki, to teraz dochodzi do tego jeszcze jedno kurewstwo, i co mnie dobija, to to, że to wszystko moja wina, że byłem taki głupi i zaufałem jednej głupiej piździe!

Mówię ci, Carlos – ciągnął dalej – nie ma, kurwa, nic bardziej potwornego, ohydnego i obrzydliwego od kobiecej nie-czułości. Wiesz, że nie jestem z tych, co nie cierpią kobiet! Ale w tej chwili coś mi się tak zdaje, że każda jedna pizda to tylko pizda i tyle! Obłudna i zepsuta!

Nie wiedziałem, co mu odrzec. To, co mi mówił, nie wymagało potaknięcia ani zaprzeczenia. Zresztą i tak nie ośmieliłbym się zaprzeczyć. Nie miałem czym walczyć. Byłem bardzo zmęczony. Chciałem wrócić do łóżka, ale on gadał tak, jakby była to sprawa życia albo śmierci.

– Znasz Teresę Manning, prawda? – zapytał mnie natarczywym, oskarżycielskim tonem.

Przez chwilę byłem przekonany, że posądza mnie o jakieś kontakty z jego młodą, piękną sekretarką, również studentką. Nie dając mi czasu na odpowiedź, podjął wątek.

– Teresa Manning to kretynka. To szmata! Głupia, niewrażliwa kobieta, której jedyną podnietą w życiu jest pierdolenie się z każdym, kto jest choć trochę sławny albo niesławny. Myślałem, że jest inteligentna i wrażliwa. Myślałem, że ma coś w sobie, zrozumienie, empatię, coś, w czym chciałoby się uczestniczyć albo zatrzymać tylko dla siebie jak coś drogocennego. Nie wiem, ale taki właśnie obraz siebie mi nakreśliła, choć faktycznie jest wyuzdana, zdegenerowana i – nie zawaham się dodać – nieuleczalnie chamska.

Gdy tak mówił i mówił, zaczął się z tego wyłaniać dziwny obraz. Najwyraźniej mój psychiatra dopiero co przeżył złą przygodę z udziałem swojej sekretarki.

– Od dnia, kiedy zaczęła u mnie pracować – ciągnął – wiedziałem, że czuje do mnie pociąg, ale jakoś nigdy nie przyznała tego otwarcie. Wszystko rozgrywało się w aluzjach i spojrzeniach. Kurwa, miałem już dosyć! Dziś po południu zbrzydła mi już ta zabawa w kotka i myszkę i wyłożyłem kawę na

ławę. Podszedłem do jej biurka i powiedziałem: “Wiem, czego chcesz, a ty wiesz, czego ja chcę".

Następnie wspaniale i ze szczegółami odtworzył mi, z jaką stanowczością oznajmił jej, że będzie czekał w swoim mieszkaniu po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko uczelni, o wpół do dwunastej wieczorem i że nie zmienia swojego rozkładu dnia dla nikogo, że czytał, pracował i pił wino do pierwszej, kiedy to poszedł do sypialni. Miał w mieście mieszkanie; miał też dom na przedmieściach, w którym mieszkał wraz z żoną i dziećmi.

– Byłem święcie przekonany, że z tego romansu coś wyjdzie, że przerodzi się w coś pamiętnego – powiedział i westchnął. Jego ton nabrał miękkości intymnego wyznania. – Dałem jej nawet klucz do mieszkania – dodał i głos mu się załamał.

Przyszła posłusznie o wpół do dwunastej – ciągnął. – Otwarła drzwi swoim kluczem i wśliznęła się do sypialni jak duch. Niesamowicie mnie to podnieciło. Wiedziałem, że nie będzie sprawiać żadnych trudności. Znała swoją rolę. Prawdopodobnie zasnęła na łóżku. A może oglądała telewizję. Byłem pochłonięty pracą i chuj mnie obchodziło, co ona robi. Wiedziałem, że mam ją w garści.

Ale w chwili, gdy wszedłem do sypialni – kontynuował bardziej napiętym głosem, jakby za gardło ściskał go moralny wstręt – Teresa rzuciła się na mnie jak zwierzę i zaczęła się dobierać do mojego fiuta. Nie zdążyłem nawet odstawić butelki i dwóch kieliszków, które miałem ze sobą. Były to kieliszki od Baccarata i dobrze, że starczyło mi przytomności, by postawić je na podłodze, zanim się stłukły. Butelka pofrunęła przez cały pokój, gdy ścisnęła mnie za jaja, jakby były z kamienia. Chciałem ją uderzyć. Ryknąłem z bólu, ale jej to nie speszyło. Zachichotała jak idiotka, bo uznała, że jestem taki seksowny i słodki. Tak powiedziała, pewnie chcąc mnie udobruchać.

Kręcąc głową w tłumionym gniewie, powiedział, że Teresa była tak kurewsko napalona i tak totalnie samolubna, iż nie wzięła pod uwagę, że mężczyzna potrzebuje chwili spokoju, że musi się poczuć swobodnie, jak w domu, w przyjaznym otoczeniu. Zamiast uszanować to i zrozumieć, co należy do jej roli, Teresa Manning wydobyła jego organy płciowe ze spodni z biegłością osoby, która robiła to już setki razy.

– Skutek całej tej szopki był taki – powiedział – że moja zmysłowość przerodziła się w zgrozę. Byłem wykastrowany emocjonalnie. Poczułem fizyczne obrzydzenie do tej pierdolonej jędzy, natychmiast. Tylko moje pożądanie powstrzymało mnie przed wyrzuceniem jej na ulicę.

Powiedział, że postanowił wówczas, iż zamiast w tak żałosny sposób, z powodu impotencji, tracić twarz, co z pewnością go czeka, całkowicie ją sobie podporządkuje, doprowadzając ją do orgazmu oralnie – ale jego ciało odrzuciło kobietę tak zdecydowanie, że nie mógł tego zrobić.

– Nie była już nawet piękna – powiedział – lecz nieatrakcyjna. Kiedy jest w ubraniu, rzeczy zakrywają wydatne biodra. Wówczas wygląda całkiem do rzeczy. Ale kiedy jest nago, wygląda jak worek białej, pofałdowanej skóry! Szczupłość, którą eksponuje, gdy jest w ubraniu, to lipa. To cecha, której nie posiada.

Słowa mojego psychiatry ociekały takim jadem, że nigdy bym się tego po nim nie spodziewał. Trząsł się z wściekłości. Za wszelką cenę usiłował sprawiać wrażenie opanowanego; palił papierosa za papierosem.

Powiedział mi, że seks oralny był jeszcze bardziej frustrujący i obrzydliwy i już miał zwymiotować, gdy ta pierdolona jędza najzwyczajniej w świecie kopnęła go w brzuch, wypchnęła z łóżka na podłogę i wyzwała od impotentów i pedałów.

W tym momencie narracji oczy psychiatry zapłonęły nienawiścią. Wargi mu drżały. Był blady.

– Muszę skorzystać z twojej łazienki – powiedział. – Chcę się wykąpać. Cały cuchnę. Wierz lub nie, ale z ust mi wali cipą.

Spostrzegłem, że szlocha, i oddałbym wszystko na tym świecie, byleby tylko móc być w tamtej chwili gdzie indziej. Być może sprawiło to moje zmęczenie, może hipnotyzujący ton jego głosu, a może niedorzeczność całej tej sytuacji, ale miałem wrażenie, że słuchani nie psychiatry, ale głosu któregoś z ankietowanych mężczyzn na jednej z taśm, skarżącego się z powodu jakichś błahostek, które nagle urosły do rozmiarów gigantycznych problemów wraz z obsesyjną potrzebą rozmowy na ich temat. Koszmar zakończył się około dziewiątej rano. Ja musiałem iść na zajęcia, a mój psychiatra do swojego psychoanalityka.

Poszedłem wówczas na uczelnię przepełniony palącym niepokojem i zażenowaniem oraz poczuciem kompletnego bezsensu. Tam zostałem ostatecznie dobity, co spowodowało, że próba przeprowadzenia drastycznej przemiany w moim życiu zakończyła się porażką. Fiasko moich planów

nie wiązało się absolutnie z moją wolą, a zdarzyło się to w sposób nie tylko nasuwający na myśl założony z góry scenariusz, lecz również przyspieszenie tempa akcji przez jakąś niewidzialną rękę.

Profesor antropologii rozpoczął wykład o pewnej grupie Indian z płaskowyżów Boliwii i Peru, aymara. Wymawiał ich nazwę “ej-MEJ-ra", przeciągając ją, tak jakby jego sposób wymowy był wersją jedynie poprawną. Powiedział, że wyrób chicha – który to wyraz wymawia się “CZII-cza", choć on wymawiał go “CZAJI-cza" – napoju alkoholowego ze sfermentowanej kukurydzy, pozostaje w gestii sekty kapłanek, które aymara uważają za istoty półboskie. W atmosferze wielkiego objawienia powiedział, że do kobiet tych należy przetwarzanie ugotowanej kukurydzy w gotową do fermentacji maź poprzez przeżuwanie i plucie, co wzbogaca ją o enzym zawarty w ludzkiej ślinie. Na wzmiankę o ludzkiej ślinie cała grupa głośno krzyknęła z tłumioną zgrozą.

Profesor wyglądał na setnie ubawionego. Śmiał się w krótkich spazmach. Był to chichot niegodziwego dziecka. Podejmując temat, powiedział następnie, że kobiety te są mistrzyniami w żuciu i nazwał je “czarodziejkami czaji-czy". Spojrzał na pierwszy rząd sali, zajęty w większości przez młode kobiety, i przeszedł do puenty.

– Miałem ten honor – powiedział z dziwnie brzmiącą, niby-cudzoziemską intonacją – zostać poproszonym o spędzenie nocy zjedna z czarodziejek czaji-czy. Sztuka przeżuwania kukurydzy wyrabia u nich mięśnie wokół krtani i policzków do tego stopnia, że potrafią one wyczyniać nimi niewiarygodne rzeczy.

Powiódł spojrzeniem po swoich oniemiałych słuchaczach i zrobił długą pauzę, przerywaną spazmami chichotu.

– Jestem przekonany, że rozumiecie moją aluzję – powiedział i wybuchnął histerycznym śmiechem.

Całe audytorium oszalało na punkcie tego podtekstu. Wykład został przerwany przynajmniej pięciominutową salwą śmiechu i gradem pytań, na które profesor odmawiał odpowiedzi, nie przestając się głupkowato chichotać.

Poczułem się tak przybity historią z taśmami, opowieścią psychiatry i “czarodziejkami czaji-czy" profesora antropologii, że natychmiast, za jednym zachodem, rzuciłem pracę, rzuciłem uczelnię, wsiadłem do samochodu i pojechałem z powrotem do Los Angeles.

– Nie wiem, co mi się przytrafiło z psychiatrą i profesorem antropologii – powiedziałem don Juanowi – ale doprowadziło mnie to do nie znanego mi wcześniej stanu emocjonalnego. Mogę go określić jedynie terminem “introspekcja". Gadałem do samego siebie bez ustanku.

– Natura twojej przypadłości jest bardzo nieskomplikowana – odpowiedział don Juan, trzęsąc się ze śmiechu.

Najwyraźniej sytuacja, w której się znalazłem, niezwykle go bawiła. Nie potrafiłem dzielić jego wesołości, gdyż nijak nie dostrzegałem w tym wszystkim nic śmiesznego.

– Twój świat dobiega końca – powiedział. – Jest to dla ciebie koniec pewnej epoki. Myślisz, że świat, który znałeś przez całe życie, odda cię bez walki, bez żadnego szemrania? Nie! Będzie się pod tobą wił i walił cię ogonem.

Widok, którego nie mogłem znieść

Los Angeles zawsze było moim domem. Wybór tego miasta nie był kwestią mojej woli. Mieszkanie w Los Angeles zawsze dawało mi poczucie, jakbym się tam urodził; być może było to nawet coś silniejszego. Zawsze czułem się z nim bez reszty związany. Moja miłość do Los Angeles była niezmiennie tak głęboka, tak bardzo we mnie zakorzeniona, że nigdy nie musiałem wyrażać jej słowami. Nigdy nie musiałem jej analizować ani odnawiać, nigdy.

Miałem w Los Angeles całą rodzinę przyjaciół. Byli częścią mego najbliższego środowiska, co oznaczało, że akceptowałem ich całkowicie, tak jak akceptowałem moje miasto. Jeden z nich powiedział kiedyś półżartem, że wszyscy się nawzajem bardzo serdecznie nienawidziliśmy. Nie ulegało wątpliwości, że oni mogli sobie na takie uczucia pozwolić, gdyż mieli jeszcze inne związki uczuciowe – z rodzicami, żonami czy mężami. Ja w Los Angeles miałem tylko ich.

Z różnych powodów bywałem często powiernikiem. Każdy z osobna wylewał przede mną żale i opowiadał o zmiennych kolejach swojego życia. Moi przyjaciele byli mi zawsze tak bliscy, iż nigdy nie potrafiłem traktować ich problemów czy zgryzot inaczej, jak tylko jako coś najzupełniej normalnego. Całymi godzinami mogłem z nimi rozmawiać dokładnie o tym samym, co wcześniej mnie przerażało w psychiatrze i jego taśmach.

Na dodatek nigdy nie zdałem sobie sprawy z tego, że wszyscy moi przyjaciele są szokująco podobni do owego psychiatry i profesora antropologii. Nigdy nie spostrzegłem, jak bardzo moi przyjaciele są spięci. Wszyscy byli nałogowymi palaczami, podobnie jak psychiatra, lecz nigdy nie rzuciło mi się to w oczy, gdyż sam paliłem tyle samo i byłem równie spięty jak oni. Inną rzeczą, której nigdy nie zauważyłem, była sztuczność, z jaką mówili, choć była to cecha obiektywna. Zawsze naśladowali nosową wymowę zachodniego obszaru Stanów i doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że tak mówią. Nigdy też nie zwróciłem uwagi na ich oczywiste aluzje do zmysłowości, której nie byli w stanie odczuwać inaczej, jak tylko intelektualnie.

Moje prawdziwe zmagania z samym sobą rozpoczęły się wówczas, gdy uświadomiłem sobie dylemat mojego przyjaciela Pete'a. Przyszedł do mnie pewnego razu; był solidnie poturbowany. Miał spuchnięte wargi i czerwone, podpuchnięte lewe oko; zostało najwyraźniej uderzone i skóra wokół niego już zaczynała sinieć. Zanim zdążyłem spytać, co mu się stało, zaczął mi gorączkowo wyjaśniać, że jego żona, Patrycja, była przez weekend na zjeździe brokerów nieruchomości, w związku ze swoją pracą, i że stało się z nią coś potwornego. Widząc, w jakim stanie jest Pete, przeraziłem się, że może Patrycja została ranna, a nawet zginęła w jakimś wypadku.

– Czy z nią wszystko w porządku? – spytałem ze szczerą troską.

– Jasne, że w porządku – warknął. – To kawał suki i dziwki, a z taką się nigdy nic nie dzieje oprócz tego, że czasem ją zerżną, i tej się to, kurwa, jeszcze podoba!

Pete był wściekły. Trząsł się mocno, niemal konwulsyjnie. Jego gęste kręcone włosy sterczały na wszystkie strony. Zazwyczaj starannie je zaczesywał i misternie wygładzał loki. Teraz wyglądał jak dziki diabeł tasmański.

– Wszystko było normalnie do wczoraj – podjął. – Dziś rano, kiedy wyszedłem spod prysznica, Patrycja strzeliła mi ręcznikiem w goły tyłek i wtedy zdałem sobie sprawę z całego kurewstwa. Od razu wiedziałem, że się pierdoli z innym facetem.

Nie mogłem pojąć jego rozumowania. Musiałem poprosić o wyjaśnienia. Zapytałem, jak strzelanie ręcznikiem może świadczyć o czymś takim.

– Dla kretyna nie będzie świadczyło o niczym! – odrzekł z jadem w głosie. – Ale ja znam Patrycję i wiem, że w czwartek, zanim wyjechała na zjazd brokerów, nie umiała strzelać ręcznikiem! Prawdę mówiąc, nigdy nie potrafiła tego zrobić przez cały ten czas, kiedy jesteśmy małżeństwem. Ktoś musiał ją tego nauczyć, kiedy była z nim nago. Więc złapałem ją za gardło i wydusiłem z niej całą prawdę! Tak! Pierdoli się ze swoim szefem!

Pete powiedział, że poszedł do biura Patrycji, żeby rozstrzygnąć sprawę po męsku z jej szefem, ale gość był mocno obstawiony ochroniarzami. Wyrzucili go na parking. Chciał powybijać okna w biurze kamieniami, ale ochroniarze powiedzieli, że jeśli to zrobi, wyląduje w więzieniu albo, gorzej jeszcze, zarobi kulkę w głowę.

– To oni tak cię pobili, Pete? – spytałem go.

– Nie – odparł zgnębiony. – Ruszyłem ulicą i wszedłem do salonu sprzedaży przy komisie samochodowym. Przyłożyłem pierwszemu sprzedawcy, który do mnie podszedł. Gość był zszokowany, ale się nie wkurzył. Powiedział mi: “Proszę, niech się pan uspokoi, niech się pan uspokoi! Zawsze można negocjować". Kiedy przyłożyłem mu raz jeszcze w zęby, wkurwił się. Gość był duży; walnął mnie w szczękę i pod oko, a ja straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem – ciągnął Pete – leżałem na kanapie u nich w biurze. Słyszałem, jak karetka na sygnale jest coraz bliżej. Wiedziałem, że jedzie po mnie, więc wstałem i wybiegłem. Potem poszedłem do ciebie.

Nie mógł się powstrzymać i zaczai szlochać. Zwymiotował. Był w strasznym stanie. Zadzwoniłem do jego żony i po niecałych dziesięciu minutach była u mnie w mieszkaniu. Klęczała przed Petem i zaklinała się, że kocha tylko jego, że wszystko, co zrobiła, to czyste kretyństwo i że ich miłość jest dla niej sprawą życia i śmierci. Inni się w ogóle nie liczą. Nawet o nich nie pamięta. Oboje wypłakali się z całego serca i oczywiście wybaczyli sobie nawzajem. Patrycja miała ciemne okulary dla zakrycia krwiaka pod prawym okiem, gdzie Pete ją uderzył – Pete był leworęczny. Oboje zupełnie zapomnieli o mojej obecności i wyszli nieświadomi, że w ogóle byłem z nimi. Po prostu wyszli z mieszkania, nie zamykając drzwi, przytuleni do siebie.

Życie zdawało się biec dalej normalnym torem. Moi przyjaciele zachowywali się wobec mnie tak samo jak zawsze. Zajmowało nas, jak zwykle, chodzenie na imprezy, do kina czy po prostu gadanie o wszystkim i o niczym albo wyszukiwanie restauracji, gdzie za przyzwoitą cenę można się było najeść do woli. Jednakże pomimo owej pseudonormalności w moim życiu pojawił się jakiś dziwny, nowy element. Jako podmiot tego nowego przeżycia miałem wrażenie, że ni stąd, ni zowąd moje horyzonty myślowe niezwykle się zawęziły. Zacząłem oceniać moich przyjaciół w taki sam sposób, jak wcześniej psychiatrę i profesora antropologii. Za kogo się tak naprawdę uważałem, żeby stawiać się ponad innymi i ich oceniać?

Miałem olbrzymie poczucie winy. Osądziłem moich przyjaciół w takim duchu, którego wcześniej nie znałem. Co jednak uważałem za rzecz jeszcze gorszą, to stopniowe uświadamianie sobie, że jakby nie dość, iż ich oceniam, to jeszcze ich problemy, wzloty i upadki zaczynają mi się wydawać zdumiewająco banalne. Byłem tym samym człowiekiem; oni byli tymi samymi przyjaciółmi. Wcześniej wysłuchiwałem ich narzekań i opowiadań setki razy i nigdy nie miałem żadnych innych odczuć poza wrażeniem głębokiego utożsamienia się ze wszystkim, czego słucham. Zgroza, która mną owładnęła po uświadomieniu sobie mojego nowego stanu ducha, była potworna.

W owym okresie mojego życia powiedzenie, że nieszczęścia chodzą parami, okazało się najprawdziwszą prawdą. Całkowite załamanie się mojego ówczesnego trybu życia przyszło w dniu, gdy mój przyjaciel Rodrigo Cummings poprosił, bym go podwiózł na lotnisko Burbank, skąd miał lecieć do Nowego Jorku. Było to posunięcie bardzo dramatyczne. Uwiązanie w Los Angeles uważał za ciążącą na nim klątwę. Dla reszty jego przyjaciół był to wielki żart, gdyż wielokrotnie usiłował, jadąc przez cały kraj, dotrzeć do Nowego Jorku i za każdym razem nawalał mu samochód. Raz udało mu się dojechać aż do Salt Lakę City, zanim auto odmówiło posłuszeństwa; okazało się, że silnik jest do wymiany. Samochód trafił na tamtejsze złomowisko. Najczęściej jego samochody kończyły się na przedmieściach Los Angeles.

– Co się dzieje z twoim samochodami, Rodrigo? – spytałem go kiedyś, trawiony niekłamaną ciekawością.

– Nie wiem – odrzekł ze skrywanym poczuciem winy w głosie. Po czym, tonem godnym mojego profesora antropologii odgrywającego rolę nawiedzonego kaznodziei, powiedział: – Może to dlatego, że gdy ruszam w trasę, mocniej naciskam gaz, bo czuję się wolny. Otwieram wtedy wszystkie okna. Lubię, jak wiatr dmie mi prosto w oczy. Czuję, że jestem jak mały dzieciak, który szuka czegoś nowego.

Dla mnie było oczywiste, że jego samochody, nieodmiennie stare gruchoty, nie były już zdolne do rozwijania większych prędkości i Rodrigo po prostu zajeżdżał je na śmierć, paląc silnik za silnikiem.

Z Salt Lakę City Rodrigo wrócił do Los Angeles autostopem. Mógł, oczywiście, dostać się autostopem do Nowego Jorku, ale jakoś nie przyszło mu to do głowy. Rodrigo sprawiał wrażenie, jakby był dotknięty tą samą ułomnością co ja: pałał nieuświadomioną miłością do Los Angeles, którą za wszelką cenę starał się odrzucić.

Kiedy indziej znowu jego samochód był w doskonałym stanie technicznym. Z łatwością mógł pokonać całą trasę, ale najwyraźniej Rodrigo nie był ani trochę w stanie, który pozwoliłby mu na wyjazd z Los Angeles. Dojechał aż do San Bernardino, gdzie poszedł do kina na film Dziesięć

przykazań. Film ten, z przyczyn znanych tylko Rodrigowi, wywołał w nim nieodpartą tęsknotę za rodzinnym miastem. Wrócił i płakał, opowiadając mi, jak to pierdolone miasto zbudowało wokół niego mur, przez który nie może się przebić. Jego żona była zachwycona tym, że nie wyjechał, a jego dziewczyna, Melissa, cieszyła się jeszcze bardziej, choć czuła również rozgoryczenie, gdyż musiała mu oddać słowniki, które jej zostawił przed wyjazdem.

Jego ostatnia desperacka próba dostania się do Nowego Jorku samolotem wypadła jeszcze bardziej dramatycznie, gdyż zapożyczył się u przyjaciół, by kupić sobie bilet. Powiedział, że dzięki temu – gdyż nie zamierzał spłacić swoich długów – będzie miał gwarancję, iż nie może się wycofać.

Zapakowałem jego walizki do bagażnika mojego samochodu i ruszyliśmy w kierunku lotniska Burbank. Rodrigo powiedział, że samolot wylatuje dopiero o siódmej. Było wczesne popołudnie i mieliśmy mnóstwo czasu na to, by przejść się do kina. Poza tym Rodrigo chciał po raz ostatni zobaczyć Hollywood Boulevard – miejsce, wokół którego koncentrowało się nasze życie osobiste i towarzyskie.

Poszliśmy zobaczyć jakąś epopeję w kinie “Technicolor and Cinerama". Był to długi, niezmiernie nużący film, choć Rodrigo wydawał się niezwykle nim pochłonięty. Kiedy wyszliśmy z kina, zaczynało się już ściemniać. Pędziłem na lotnisko zatłoczonymi ulicami. Rodrigo nakazał mi jechać przez miasto, a nie autostradą, która o tej porze była całkowicie zakorkowana. Kiedy dotarliśmy na lotnisko, samolot właśnie startował. To był ostatni gwóźdź do trumny Rodriga. Skruszony i pokonany poszedł do kasy i przedstawił swój bilet, żeby odzyskać pieniądze. Kasjerka zapisała jego nazwisko i dała mu pokwitowanie, mówiąc, że pieniądze zostaną przesłane w ciągu sześciu do dwunastu tygodni z Tennessee, gdzie znajdują się działy księgowości linii lotniczej.

Pojechaliśmy z powrotem do bloku, w którym obaj mieszkaliśmy. Ponieważ tym razem Rodrigo, bojąc się stracić twarz, nie pożegnał się z nikim, żaden z jego przyjaciół nawet się nie domyślił, że po raz kolejny próbował wyjechać. Jedynym minusem tej sytuacji było to, że Rodrigo zdążył sprzedać samochód. Poprosił mnie, żebym zawiózł go do domu jego rodziców, bo jego tato da mu pieniądze, które wydał na bilet. Jak tylko sięgałem pamięcią, ojciec wyciągał Rodriga z każdej kłopotliwej sytuacji, w którą ten się wpakował. Motto jego ojca brzmiało: “Nic się nie bój, Rodrigo senior jest na straży!" Gdy ojciec Rodriga usłyszał jego prośbę o pożyczkę na spłatę innej pożyczki, spojrzał na niego z najsmutniejszym wyrazem twarzy, jaki w życiu widziałem. Sam był w strasznych tarapatach finansowych.

Obejmując syna ramieniem, powiedział:

– Tym razem nie mogę ci pomóc, synu. Teraz możesz się zacząć bać, bo Rodrigo senior już nie jest na straży.

Za wszelką cenę chciałem się wczuć w położenie mojego przyjaciela, poczuć jego dramat, tak jak to zawsze robiłem – ale nie mogłem. Skoncentrowałem się tylko na słowach jego ojca. W moich uszach zabrzmiały tak ostatecznie, że aż mnie poderwały.

Poczułem palącą potrzebę towarzystwa don Juana. Zostawiłem wszystkie swoje sprawy w Los Angeles i wybrałem się w podróż do Sonory. Opowiedziałem don Juanowi o dziwnym nastroju, w który popadam w obecności moich przyjaciół. Z poczuciem nieczystego sumienia, pociągając nosem, przyznałem się, że zacząłem ich osądzać.

– Nie unoś się z powodu byle czego – powiedział mi chłodno don Juan. – Wiesz już, że dobiega końca cała epoka w twoim życiu, ale żadna epoka tak naprawdę się nie kończy, dopóki król nie umrze.

– Co chcesz przez to powiedzieć, don Juanie?

– To ty jesteś tym królem i jesteś dokładnie taki sam jak twoi przyjaciele. To jest ta prawda, która tobą trzęsie. Jedno, co możesz zrobić, to przyjąć to tak, jak jest, czego ty, oczywiście, nie potrafisz. Druga rzecz, którą możesz zrobić, to powiedzieć sobie: “To nie jestem ja, to nie jestem ja", i powtarzać to sobie w kółko. Zaręczam ci jednak, że przyjdzie taka chwila, kiedy zdasz sobie sprawę z tego, że to właśnie jesteś ty.

Nieuniknione spotkanie

Było coś, co gdzieś w głębi mej świadomości natrętnie dawało o sobie znać; musiałem za wszelką cenę odpowiedzieć na niezwykle ważny list, który otrzymałem. Uczucie, które mi na to nie pozwalało, było mieszaniną indolencji i głębokiego pragnienia zaspokajania potrzeb innych ludzi. Mój przyjaciel antropolog, który był odpowiedzialny za moje spotkanie z don Juanem, napisał do mnie list kilka miesięcy wcześniej. Chciał wiedzieć, jak sobie radzę ze studiami antropologicznymi, i nalegał, bym go odwiedził. Wystosowałem trzy długie epistoły. Każda z nich wydała mi się tak banalna i lizusowska, że podarłem wszystkie. Nie potrafiłem w nich wyrazić głębi mojej wdzięczności, głębi moich uczuć dla niego. Usprawiedliwiałem przed samym sobą ociąganie się z odpowiedzią szczerym postanowieniem, że pojadę go odwiedzić i osobiście mu opowiem, czego mnie uczy don Juan Matus, lecz ciągle odwlekałem tę podróż, ponieważ nie byłem pewien, co ja tak właściwie z don Juanem robię. Chciałem pewnego dnia móc zademonstrować mojemu przyjacielowi konkretne rezultaty. Przy ówczesnym stanie rzeczy dysponowałem jedynie niejasnymi zarysami pewnych możliwości, które, biorąc pod uwagę jego wysokie wymagania, i tak nie zostałyby uznane za zaczątek nawet nowej pracy badawczej z zakresu antropologii.

Pewnego dnia dowiedziałem się, że nie żyje. Jego śmierć pogrążyła mnie w niebezpiecznej, cichej depresji. Nie było sposobu, by wyrazić, co czuję, ponieważ to, co czułem, nie zostało w pełni sformułowane w moim umyśle. Była to mieszanina przygnębienia, rozpaczy i odrazy do samego siebie za to, że nie odpisałem na jego list, że nie pojechałem się z nim zobaczyć.

Wkrótce potem złożyłem wizytę don Juanowi. Gdy przyjechałem pod jego dom, usiadłem na jednej ze skrzynek pod ramadą i usiłowałem dobrać słowa, które nie brzmiałyby banalnie, a którymi mógłbym wyrazić rozpacz z powodu śmierci przyjaciela. Jednak, co było dla mnie niepojęte, don Juan znał źródło wewnętrznej rozterki i powód mojej wizyty u niego.

– Tak – odezwał się sucho. – Wiem, że umarł twój przyjaciel, antropolog, który cię do mnie doprowadził. Z jakichś przyczyn wiedziałem to dokładnie w chwili, gdy zmarł. Widziałem to.

Jego słowa wstrząsnęły mną do głębi.

– Widziałem, że to się zbliża, już dawno temu. Nawet ci o tym powiedziałem, ale ty nie zwróciłeś uwagi na to, co mówię. Jestem pewien, że nawet tego nie pamiętasz.

Pamiętałem każde słowo, które wówczas padło, ale w tamtym momencie nie miały one dla mnie żadnego sensu. Don Juan oświadczył mi wtedy, że jest coś, co ma głęboki związek z naszym spotkaniem, lecz nie jest jego częścią, i jest to fakt, że widział mojego przyjaciela antropologa jako umierającego człowieka.

– *Widziałem* śmierć jako przybywającą z zewnątrz siłę, która już zaczęła otwierać twojego przyjaciela – powiedział wtedy do mnie. – Każdy z nas ma energetyczną bruzdę, energetyczne rozcięcie poniżej pępka. To rozcięcie, które czarownicy nazywają *szczeliną*, jest zamknięte, gdy człowiek cieszy się pełnią sił.

Powiedział, że w normalnych warunkach oko czarownika może rozróżnić jedynie słabe przebarwienie w jednolicie białej poświacie świetlistej kuli. Lecz gdy człowiek jest bliski śmierci, owa szczelina staje się dobrze widoczna. Z przekonaniem oświadczył, że szczelina mojego przyjaciela była szeroko rozwarta.

– Jakie ma to wszystko znaczenie, don Juanie? – spytałem go wówczas bez zainteresowania.

– Znaczenie sprawy życia i śmierci – odrzekł. – Duch dawał mi znaki, że coś się zbliża ku końcowi. Myślałem, że chodzi o moje życie, że ono się zbliża ku końcowi, i przyjąłem to tak pokornie, jak mogłem. Dużo, dużo później oświeciło mnie, że to nie moje życie ma się ku końcowi, lecz cała moja linia.

Nie wiedziałem, o czym mówi. Ale jak mogłem wziąć to wszystko poważnie? Z mojego punktu widzenia – wówczas – jego słowa były jak cała reszta mojego życia: po prostu słowami.

– Twój przyjaciel sam ci powiedział, choć nie w tylu słowach, że umiera – ciągnął don Juan. – Zrozumiałeś, co ci mówił, dokładnie tak samo, jak zrozumiałeś, co ja ci wówczas powiedziałem, ale w obu przypadkach wolałeś to zignorować.

Nie miałem nic do powiedzenia. Byłem przytłoczony tym osądem. Chciałem się zapaść w skrzynkę, na której siedziałem, zniknąć z powierzchni Ziemi.

– To nie twoja wina, że ignorujesz takie sprawy – ciągnął. – To młodość. Masz tyle rzeczy do zrobienia, tak wielu ludzi jest wokół ciebie. Nie jesteś uważny. Nigdy się zresztą nie nauczyłeś, jak być uważnym.

Usiłując bronić ostatniego bastionu mojego "ja" – przekonania, że zawsze mam się na baczności – przypomniałem don Juanowi, że znajdowałem się już w życiu w dramatycznych sytuacjach, które wymagały ode mnie błyskawicznego pomyślunku i czujności. Nie tyle więc jestem nieuważny, ile brak mi ukierunkowania potrzebnego do ustalenia odpowiedniej listy priorytetów; z tego też powodu wszystko jest dla mnie albo bardzo ważne, albo pozbawione znaczenia w ogóle.

– Być uważnym to nie to samo, co być czujnym – odrzekł don Juan. – Dla czarowników bycie uważnym oznacza uświadamianie sobie osnowy powszedniego świata, która wydaje się czymś nieistotnym dla tego, co się w danej chwili dzieje. Podczas wyprawy, na którą wybrałeś się ze swoim przyjacielem, zanim mnie spotkałeś, dostrzegałeś jedynie te elementy, które same się narzucały. Nie dostrzegłeś, jak jego śmierć go pochłania, a przecież gdzieś w środku wiedziałeś o tym.

Zacząłem protestować, by dać mu do zrozumienia, że to, co mówi, nie jest prawdą.

– Nie chowaj się za banałami – powiedział oskarżycielskim tonem. – Podnieś się. Weź na siebie odpowiedzialność za to, co wiesz – choćby tylko na tę chwilę, kiedy jesteś ze mną. Nie zatracaj się w nieistotnej osnowie otaczającego cię świata, nieistotnej dla tego, co się dzieje. Gdybyś nie był tak zaabsorbowany sobą i swoimi problemami, wiedziałbyś, że była to jego ostatnia podróż. Zauważyłbyś, że zamyka swoje sprawy, że odwiedza ludzi, którzy mu pomagali, że się z nimi żegna.

Twój przyjaciel antropolog rozmawiał kiedyś ze mną – ciągnął don Juan. – Pamiętałem go tak dobrze, że w ogóle nie byłem zdziwiony, gdy przyprowadził cię do mnie tam, na dworzec autobusowy. Nie mogłem mu pomóc wówczas, gdy ze mną rozmawiał. Nie był człowiekiem, którego szukałem, ale życzyłem mu jak najlepiej z głębi mej pustki czarownika, z głębi mego milczenia czarownika. Dlatego wiem, że podczas swej ostatniej podróży dziękował ludziom, którzy się w jego życiu liczyli.

Przyznałem don Juanowi, że ma rację, że było tak wiele elementów, które sobie uświadamiałem, a które w owym czasie nic dla mnie nie znaczyły; na przykład zachwyt mojego przyjaciela otaczającą nas przyrodą. Potrafił zatrzymać samochód tylko po to, by sobie patrzeć, całymi godzinami, na góry w oddali albo na wyschnięte koryto rzeki, albo na pustynię. Lekceważyłem to jego zachowanie, uznając je za idiotyczny sentymentalizm starzejącego się mężczyzny. Nawet mu delikatnie sugerowałem, że być może za dużo pije. Odpowiedział mi, że w trudnych chwilach kieliszek pozwala człowiekowi na chwilę spokoju i oderwania, chwilę na tyle długą, by zasmakować czegoś, co się już nigdy nie powtórzy.

– Faktem jest, że tamta podróż była jedynie radością dla jego oczu – rzekł don Juan. – Czarownicy udają się w taką podróż i wówczas nic się nie liczy poza tym, co zdołają wchłonąć ich oczy. Twój przyjaciel zrzucał z siebie balast wszelkiej powierzchowności.

Wyznałem don Juanowi, że zlekceważyłem to, co mi wcześniej mówił o umierającym przyjacielu, ponieważ jakaś nieznana cząstka mnie mówiła mi, że to prawda.

– Czarownicy nigdy nie rzucają słów na wiatr – rzekł. – Przykładam wielką wagę do tego, co mówię tobie czy komukolwiek innemu. Różnica pomiędzy tobą a mną polega na tym, że ja nie mam do stracenia ani chwili i tak też się zachowuję. Ty zaś jesteś przekonany, że masz czasu pod dostatkiem i tak też się zachowujesz. Efekt naszego indywidualnego nastawienia jest taki, że ja ważę wszystko, co robię i mówię, a ty nie.

Przyznałem mu rację, ale zauważyłem, że te uwagi nie łagodzą mojego smutku i nie zmniejszają mojej rozterki. Potem straciłem panowanie nad sobą i wyrzuciłem z siebie wszystkie zawiłości kotłujących się we mnie uczuć. Powiedziałem, że nie szukam rady. Chciałem, żeby jako czarownik przepisał mi jakąś kurację, która położyłaby kres moim mękom. Myślałem, że naprawdę zależy mi na tym, by dał mi jakiś naturalny środek odprężający, jakieś organiczne valium; dałem mu to do zrozumienia. Don Juan pokręcił głową, zdumiony.

– Teraz to przeszedłeś samego siebie – powiedział. – A za chwilę poprosisz czarownika o coś, co usunie z ciebie wszystko, co cię drażni, bez jakiegokolwiek wysiłku z twojej strony – tyle tylko, ile potrzeba na przełknięcie wszystkiego, co ci podadzą. Im paskudniejszy smak, tym lepsze rezultaty.

Oto twoje motto człowieka Zachodu. Chcesz konkretnych rezultatów – jedna mikstura i jesteś zdrów.

Czarownicy podchodzą do tego inaczej – ciągnął don Juan. – Jako że nie mają ani chwili do stracenia, całkowicie oddają się temu, przed czym stają. Twój wewnętrzny chaos jest wynikiem braku trzeźwości. Nie wykazałeś się należytą trzeźwością umysłu i nie podziękowałeś przyjacielowi należycie. To się zdarza każdemu z nas. Nigdy nie wyrażamy tego, co czujemy, a kiedy chcemy to zrobić, jest już za późno, gdyż nasz czas się skończył. To nie tylko czas twojego przyjaciela dobiegł końca. Twój również. W Arizonie powinieneś był podziękować mu z całego serca. Fatygował się, żeby zabrać cię ze sobą, i bez względu na to, czy to rozumiesz, czy nie, wtedy na dworcu autobusowym dał ci wszystko, na co go było stać. Ale w momencie, gdy powinieneś był mu podziękować, ty byłeś na niego zły – oceniałeś go, był w stosunku do ciebie okropny, nieważne. A potem zwlekałeś z odwiedzinami. Ale tak naprawdę zwlekałeś z podziękowaniem mu. Skończyło się na tym, że teraz jego duch będzie ci deptał po piętach. Nigdy nie będziesz mógł spłacić swojego długu.

Zrozumiałem ogrom tego, co mówił don Juan. Nigdy nie stawiałem swoich czynów w takim świetle. W istocie, nigdy nikomu nie podziękowałem, nigdy. Don Juan jątrzył moją ranę jeszcze bardziej.

– Twój przyjaciel wiedział, że umiera – powiedział. – Napisał ostatni list do ciebie, bo chciał się dowiedzieć, czym się zajmujesz. Choć być może nie zdawał sobie z tego sprawy, i ty również, byłeś jego ostatnią myślą.

Brzemię słów don Juana stało się dla mnie zbyt ciężkie. Byłem rozbity. Czułem, że muszę się położyć. Kręciło mi się w głowie. Być może sprawiły to czas i okoliczności naszej rozmowy. Popełniłem potworny błąd, przyjeżdżając do domu don Juana późnym popołudniem. Zachodzące słońce wydawało się zdumiewająco złote i refleksy na odsłoniętych szczytach gór na wschodzie były mieszaniną purpury i złota. Na niebie nie widniała nawet najmniejsza chmurka. Miałem wrażenie, że nic się nie porusza. Było to takie odczucie, jakby cały świat zaszył się w ukryciu, choć jego obecność była wszechpotężna. Cisza pustyni Sonory była niczym sztylet. Przeszywała mnie do szpiku kości. Chciałem już iść, wsiąść do samochodu i odjechać. Chciałem się znaleźć w mieście, zatracić się w jego hałasie.

– Tak smakuje nieskończoność – odezwał się don Juan grobowym tonem stwierdzenia ostatecznego. – Znam to, bo byłem w podobnym położeniu. Chcesz uciec, zatopić się w czymś ludzkim, ciepłym, pełnym sprzeczności, głupim – to bez znaczenia. Chcesz zapomnieć o śmierci twojego przyjaciela. Ale nieskończoność ci nie pozwoli. – Głos mu złagodniał. – Pochwyciła cię bezlitośnie w swe kleszcze.

– Co mogę teraz zrobić, don Juanie? – spytałem.

– Jedyne, co możesz teraz zrobić – odrzekł – to zachowywać żywe wspomnienie swojego przyjaciela, nie pozwalać mu umrzeć do końca twojego życia, a być może i jeszcze dłużej. W ten sposób czarownicy wyrażają swoje podziękowania, których nie mogą już wypowiedzieć. Możesz uważać to za głupi sposób, ale to najlepsza rzecz, jaką czarownik może uczynić.

Bez wątpienia to mój własny smutek sprawił, że byłem przekonany, iż don Juan, zazwyczaj pełen radości życia, jest równie smutny jak ja. Natychmiast odegnałem tę myśl. To nie było możliwe.

– Dla czarownika smutek nie jest czymś osobistym – powiedział don Juan, znów wcinając się w moje myśli. – To fala energii, która przychodzi z głębi kosmosu i uderza w czarownika, gdy ten jest niczym chłonna gleba, jak radio, które może wychwycić stosowne fale.

Czarownicy z odległych wieków, którzy dali nam cały schemat magii, wierzyli, że we wszechświecie istnieje smutek – niczym siła, stan rzeczy, jak światło, jak intencja – i że ta odwieczna siła oddziałuje zwłaszcza na czarowników, gdyż ci pozbyli się już wszelkich tarcz. Nie mogą się schować za swoich przyjaciół albo za swoje studia. Nie mogą się schować za miłością ani nienawiścią, ani szczęściem, ani tragedią. Nie mają się za czym schować.

Sytuacja czarowników – ciągnął don Juan – wygląda tak, że smutek jest dla nich czymś abstrakcyjnym. Nie pochodzi on z pożądania czegoś albo z braku czegoś czy z poczucia własnej ważności. Nie pochodzi on z ja. Pochodzi z nieskończoności. Smutek, który odczuwasz, gdyż nie podziękowałeś swojemu przyjacielowi, skłania się już w tym kierunku.

Mój nauczyciel, nagual Julian – kontynuował – był fenomenalnym aktorem. W zasadzie pracował zawodowo w teatrze. Miał taką ulubioną historyjkę, którą zwykł opowiadać na swoich warsztatach teatralnych. Słuchając jej, cierpiałem potworne katusze. Mawiał, że jest to opowieść dla wojowników, którzy choć mają wszystko, jednak są trawieni owym kosmicznym smutkiem. Zawsze sądziłem, że

opowiadają dla mnie, z myślą o mnie.

Następnie don Juan wcielił się w postać swojego nauczyciela, mówiąc mi, że historia opowiada o człowieku, który cierpiał z powodu głębokiej melancholii. Jeździł do najlepszych lekarzy tamtego czasu i żaden z nich nie potrafił mu pomóc. W końcu trafił do gabinetu wielkiego lekarza, uzdrowiciela dusz. Lekarz ów podsunął pacjentowi myśl, że być może znalazłby pociechę w miłości i tak położył kres swej melancholii. Mężczyzna odparł, że nie o miłość tu chodzi, że kochają go tak jak być może nikogo innego na tej Ziemi. Lekarz zasugerował więc mu, że być może powinien wyruszyć w jakąś daleką podróż i zobaczyć odległe krańce świata. Mężczyzna odrzekł, że – nie chwaląc się – był już w zasadzie wszędzie. Lekarz polecał mu różne hobby – sztukę, sport i tym podobne. Mężczyzna na każdą z jego sugestii odpowiadał tymi samymi słowy: że już tego próbował i nie przyniosło mu to ulgi. Doktor zaczął podejrzewać, że ma do czynienia z niepoprawnym łgarzem. Nie mógł przecież spróbować wszystkiego, jak utrzymywał. Ponieważ jednak był prawdziwym uzdrowicielem, w końcu olśniło go i wiedział już, co należy zrobić.

– Ach! – wykrzyknął. – Mam dla szanownego pana doskonałe rozwiązanie. Musi się pan wybrać na przedstawienie największego komika naszych czasów. Tak pysznie się pan ubawi, że całkowicie pan zapomni o dręczącej go melancholii. Musi się pan wybrać na przedstawienie Wielkiego Garricka!

Don Juan powiedział, że mężczyzna obrzucił lekarza tak smutnym spojrzeniem, jakie tylko można sobie wyobrazić, i rzekł:

– Doktorze, jeśli to jest pańskie zalecenie, jestem zgubiony. Nie ma dla mnie lekarstwa. Wielki Garrick to ja.

Moment załamania

Don Juan definiował wewnętrzną ciszę jako pewien specyficzny stan, kiedy myśli zostają skasowane i człowiek może funkcjonować na odmiennym poziomie świadomości niż na co dzień. Podkreślał, że wewnętrzna cisza oznacza zawieszenie wewnętrznego dialogu – nieodłącznego towarzysza myślenia – i stąd też jest ona stanem głębokiego wyciszenia.

– Dawni czarownicy – mówił – nazywali to wewnętrzną ciszą, gdyż jest to taki stan, w którym postrzeganie nie jest uzależnione od zmysłów. W stanie wewnętrznej ciszy działają inne zdolności, które posiada człowiek; zdolności, które czynią zeń istotę magiczną, te same zdolności, które zostały stłumione – nie przez samego człowieka, lecz przez ingerencję z zewnątrz.

– Co to za ingerencja z zewnątrz, która tłumi magiczne zdolności człowieka? – zapytałem.

– To temat na kiedy indziej – odparł don Juan – i nie jest to przedmiot naszej obecnej rozmowy, choć to w istocie najważniejszy aspekt magii szamanów starożytnego Meksyku.

Wewnętrzna cisza – ciągnął – to fundament, na którym opiera się cała magia. Innymi słowy, wszystko, co robimy, prowadzi nas do tego stanu, który jak wszystko w świecie czarowników, nie zdradza swego istnienia, dopóki coś nie wstrząśnie nami do głębi.

Don Juan powiedział, że czarownicy starożytnego Meksyku wynaleźli sporo sposobów zapewnienia już to sobie, już to innym adeptom magii przeżycia głębokiego wstrząsu i osiągnięcia owego wielce pożądanego stanu wewnętrznej ciszy. Uważali oni najbardziej wymyślne zadania, które mogą się z pozoru wydawać zupełnie nie związane z dążeniem do osiągnięcia wewnętrznej ciszy – jak na przykład skakanie z wodospadów albo zwisanie całymi nocami głową w dół z najwyższej gałęzi drzewa – za kamienie milowe na drodze wiodącej ich do tego stanu.

Rekapitulując mi pryncypia czarowników starożytnego Meksyku, don Juan kategorycznie orzekł, że wewnętrzną ciszę można kumulować, gromadzić. W moim przypadku on sam dokładał wszelkich starań, by wskazać mi drogę do tego, jak wyznaczyć w sobie ramy wewnętrznej ciszy i później ją rozszerzać, sekunda po sekundzie, za każdym razem, gdy ją praktykuję. Wyjaśnił mi, że czarownicy starożytnego Meksyku odkryli, iż każdy człowiek ma inny próg czasowy wewnętrznej ciszy, co oznacza, że każdy z nas musi utrzymywać ten stan przez okres wyznaczony naszym indywidualnym progiem czasowym, zanim wewnętrzna cisza zacznie skutkować.

– Co dawni czarownicy uważali za znak, że wewnętrzna cisza zaczyna skutkować, don Juanie? – zapytałem.

– Wewnętrzna cisza skutkuje od momentu, gdy zaczynasz ją kumulować – odrzekł. – To, do czego zmierzali dawni czarownicy, było końcowym – ostatecznym i dramatycznym – efektem osiągnięcia owego indywidualnego progu wyciszenia. Niektórym bardzo utalentowanym adeptom potrzeba jedynie kilku minut ciszy, by dojść do tego wielce pożądanego rezultatu. Innym, mniej zdolnym, potrzeba długich okresów ciszy, być może nieco ponad jedną godzinę pełnego wyciszenia, zanim osiągną pożądany efekt. Pożądany efekt to coś, co dawni czarownicy określali jako zatrzymanie świata; jest to chwila, gdy wszystko dokoła przestaje być tym, czym zawsze dla nas było.

To chwila, gdy czarownicy powracają do prawdziwej natury człowieka – ciągnął don Juan. – Dawni czarownicy nazywali ją również absolutną wolnością. Jest to chwila, kiedy człowiek-niewolnik przeobraża się w człowieka-istotę wolną, zdolną dokonywać w sferze postrzegania rzeczy, które urągają naszej liniowej wyobraźni.

Don Juan przekonywał mnie, że wewnętrzna cisza jest ścieżką, która wiedzie do rzeczywistego zawieszenia racjonalnego osądu – do chwili, w której bodźce zmysłowe dochodzące z najdalszych zakamarków wszechświata przestają być interpretowane za pomocą zmysłów; jest to chwila, gdy proces kognitywny przestaje być siłą, która rządząc się nawykiem i rutynowym powtarzaniem, decyduje o naturze tego świata.

– Czarownikom potrzeba tak zwanego momentu załamania, by wewnętrzna cisza mogła zacząć skutkować – powiedział. – Moment załamania jest niczym zaprawa, którą murarz spaja cegły. Dopiero wówczas, gdy zaprawa twardnieje, luźne cegły zaczynają tworzyć zwartą strukturę.

Od początku naszej znajomości don Juan wbijał mi do głowy, jak wartościowa, jak niezbędna jest wewnętrzna cisza. Robiłem co w mojej mocy, by stosować się do jego wskazań i kumulować

wewnętrzną ciszę sekunda po sekundzie. Nie miałem żadnej możliwości pomierzenia efektów moich starań; nie byłem też w stanie ocenić, czy osiągnąłem jakikolwiek próg, czy nie. Po prostu niestrudzenie dążyłem do celu, którym było gromadzenie wewnętrznej ciszy, i nie dlatego tylko, że chciałem zadowolić don Juana – sam ten proces stał się dla mnie wyzwaniem.

Pewnego dnia don Juan i ja spacerowaliśmy leniwie po rynku w Hermosillo. Było wczesne popołudnie, a dzień pochmurny. Gorące powietrze było suche i nawet bardzo przyjemne. Ulice roiły się od ludzi. Wokół rynku mieściły się sklepy. Byłem w Hermosillo wcześniej wielokrotnie, nigdy jednak nie zwróciłem na nie uwagi. Wiedziałem, że są, lecz ich istnienie nie było czymś, co potrafiłbym sobie samodzielnie uzmysłowić. Nie byłbym w stanie sporządzić planu rynku nawet wówczas, gdyby była to sprawa życia i śmierci. Tamtego dnia, gdy tak przechadzałem się z don Juanem, starałem się umiejscowić i zidentyfikować każdy ze sklepów. Szukałem czegoś charakterystycznego, co pobudziłoby moje wspomnienia i dałoby się wykorzystać podczas rewizji życia.

– Jak ci już wielokrotnie mówiłem – odezwał się don Juan, gwałtownie wyrywając mnie ze stanu koncentracji – w życiu każdego czarownika, którego znam – mężczyzny czy kobiety – prędzej czy później nadchodzi moment załamania.

– Czy to oznacza załamanie nerwowe albo coś podobnego? – zapytałem.

– Nie, nie – odrzekł ze śmiechem. – Załamania nerwowe są dla osób, które sobie folgują. Czarownicy nie są osobami. Miałem na myśli to, że w pewnym momencie ciągłość ich życia musi się załamać, by mogła zapanować wewnętrzna cisza i stać się aktywną częścią ich struktury.

To bardzo, bardzo ważne – ciągnął don Juan – byś sam, rozmyślnie, osiągnął taki właśnie punkt załamania, czyli sam go sztucznie, inteligentnie wytworzył.

– Jak mam to rozumieć, don Juanie? – spytałem, gubiąc się nieco w jego intrygującym rozumowaniu.

– Twój punkt załamania – odrzekł – oznacza przerwanie ciągłości znanego ci do tej pory życia. Wypełniłeś wszystkie moje polecenia, sumiennie i dokładnie. Jeżeli masz talent, nie pokazujesz go po sobie. Taki jest chyba twój styl. Nie jesteś powolny, ale zachowujesz się tak, jakbyś był. Jesteś bardzo pewny siebie, ale zachowujesz się tak, jakbyś był niepewny. Nie jesteś zahukany, a jednak zachowujesz się tak, jakbyś się bał ludzi. Wszystko, co robisz, wskazuje na jedną jedyną rzecz: musisz to wszystko przełamać, bez litości.

– Ale w jaki sposób, don Juanie? Co ci chodzi po głowie? – zapytałem niezwykle rozgorączkowany.

– Wydaje mi się, że wszystko sprowadza się do jednego – odparł. – Musisz zostawić swoich przyjaciół. Musisz się z nimi pożegnać, na zawsze. Jest niemożliwością, byś mógł dalej kroczyć ścieżką wojownika, niosąc ze sobą swą osobistą historię, i dopóki nie przerwiesz swojego dotychczasowego trybu życia, dopóty nie będę w stanie udzielić ci dalszych instrukcji.

– Zaraz, zaraz, chwileczkę, don Juanie – powiedziałem. – Stanowczo się nie zgadzam. Wymagasz ode mnie zbyt wiele. Jeśli mam być z tobą szczery, nie sądzę, żebym mógł to zrobić. Moi przyjaciele to moja rodzina, to mój punkt odniesienia.

– Dokładnie, dokładnie – skomentował. – To twój punkt odniesienia. Dlatego też musi zniknąć z twojego życia. Czarownicy mają tylko jeden punkt odniesienia: nieskończoność.

– Ale jak to sobie wyobrażasz, don Juanie? – spytałem błagalnym głosem. Jego polecenie doprowadzało mnie do szaleństwa.

– Musisz po prostu wyjechać – odrzekł rzeczowo. – Zostaw ich w jakikolwiek sposób.

– Ale dokąd mam się udać? – zapytałem.

– Zalecałbym, byś wynajął sobie pokój w jednym z tych obskurnych hotelików, które znasz – powiedział. – Im podlejszy, tym lepszy. Jeżeli w pokoju będziesz miał szarozielony dywan, szarozielone zasłony i szarozielone ściany, tym lepiej; niech będzie miejsce podobne do tamtego hotelu, który pokazałem ci kiedyś w Los Angeles.

Zaśmiałem się nerwowo, gdy przypomniałem sobie, jak pewnego razu przejeżdżaliśmy z don Juanem samochodem przez przemysłową dzielnicę Los Angeles, gdzie mieściły się jedynie magazyny i zdewastowane hotele dla przejezdnych. Szczególnie jeden z nich przykuł uwagę don Juana swą napuszoną nazwą: “Edward Siódmy". Zatrzymaliśmy się na chwilę na ulicy, by mu się przyjrzeć.

– Ten hotel po drugiej stronie – powiedział don Juan, wskazując na niego –jest dla mnie prawdziwym obrazem życia przeciętnego człowieka na Ziemi. Jeśli masz szczęście albo nie masz

skrupułów, dostajesz pokój z widokiem na ulicę, gdzie widzisz nie kończący się pochód ludzkiej nędzy. Jeśli nie masz tyle szczęścia albo masz skrupuły, dostajesz pokój od wewnętrznej strony, z oknami wychodzącymi na ścianę kolejnego budynku. Pomyśl sobie, co to musi być za życie, rozdarte pomiędzy tymi dwoma widokami, kiedy zmęczony wyglądaniem przez okno zazdrościsz innym widoku na ulicę, jeśli mieszkasz od wewnętrznej strony, i widoku na ścianę innego budynku, jeśli mieszkasz od strony zewnętrznej.

Metafora don Juana niezwykle mnie zbulwersowała, gdyż dobrze ją pojąłem.

Teraz zaś, gdy stanąłem przed ewentualnością wynajęcia pokoju w hotelu pokroju “Edwarda Siódmego", nie wiedziałem, co powiedzieć ani od czego zacząć.

– Co ja mam tam robić, don Juanie? – zapytałem.

– Czarownik wykorzystuje podobne miejsce do tego, by umrzeć – odrzekł, wpatrując się we mnie bez mrugnięcia okiem. – Nigdy w swoim życiu nie byłeś sam. Teraz nadszedł na to czas. Zostaniesz w tym pokoju tak długo, aż umrzesz.

Jego polecenie mnie przeraziło; jednocześnie zachciało mi się śmiać.

– Nie żebym chciał to zrobić, don Juanie – powiedziałem – ale jakie byłyby kryteria oceny, czy już jestem martwy? Jeśli nie chcesz, oczywiście, bym umarł tam naprawdę.

– Nie – powiedział – nie chcę, abyś umarł tam naprawdę. Chcę, abyś umarł jako osoba. To dwie różne sprawy. W gruncie rzeczy twoja osoba ma bardzo niewiele wspólnego z twoim ciałem. Twoja osoba to twój umysł, a twój umysł – możesz mi wierzyć – twój umysł nie należy do ciebie.

– Co to za bzdury, don Juanie? Jak to mój umysł nie należy do mnie? – usłyszałem własny głos, w którym pobrzmiewało nerwowe drżenie.

– Kiedyś ci o tym opowiem – odrzekł – ale nie teraz, gdy otacza cię pierścień przyjaciół.

Kryterium, które pozwala ocenić – ciągnął – że czarownik umarł, jest to, że jest mu najzupełniej obojętne, czy jest w czyimś towarzystwie, czy też jest sam. Dzień, w którym przestaniesz pożądać towarzystwa przyjaciół, których wykorzystywałeś jako tarcz, będzie tym dniem, w którym umrzesz jako osoba. Co ty na to? Wchodzisz w tę zabawę?

– Nie mogę tego zrobić, don Juanie – odrzekłem. – Nie ma sensu cię okłamywać. Nie mogę zostawić moich przyjaciół.

– Nie ma żadnej sprawy – odparł z niezmąconym spokojem, jakby moje słowa wcale go nie obeszły. – Nie będę już więcej mógł z tobą rozmawiać, ale powiedzmy, że przez cały ten czas, który razem spędziliśmy, sporo się nauczyłeś. Nauczyłeś się rzeczy, które dadzą ci wielką siłę, bez względu na to, czy jeszcze tu wrócisz, czy pójdziesz swoją drogą.

Poklepał mnie po plecach i pożegnał się ze mną. Odwrócił się i po prostu zniknął pomiędzy ludźmi na rynku, zupełnie jakby się z nimi stopił. Przez chwilę miałem dziwne wrażenie, że tłum wokół nas był niczym kurtyna, którą rozsunął i za którą zniknął. Koniec nadszedł tak samo jak wszystko inne w świecie don Juana: szybko i niespodziewanie. Spadł na mnie znienacka; było już po wszystkim, kiedy ja nie miałem nawet pojęcia, jak się to w ogóle zaczęło.

Powinienem się wówczas czuć zdruzgotany. Ale nie. Nie wiem dlaczego, ale odczuwałem wielką radość. Nie mogłem się nadziwić łatwości, z jaką cała rzecz się zakończyła. Don Juan był jednak naprawdę człowiekiem obdarzonym wielką elegancją. Żadnego obwiniania, złości ani niczego w tym guście – zupełnie nic. Poszedłem do mojego samochodu i odjechałem, szczęśliwy jak małe dziecko. Czułem, jak rozpiera mnie radość. Jakie to niesamowite, jak szybko i sprawnie wszystko się zakończyło, myślałem w duchu, jak bezboleśnie.

Podróż do domu minęła bez żadnych przygód. W Los Angeles, gdy wróciłem do mych normalnych zajęć, spostrzegłem, że wyniosłem z mego ostatniego spotkania z don Juanem niesamowitą ilość energii. Byłem bardzo szczęśliwy, bardzo swobodny i wróciłem do mojego zwyczajnego trybu życia z nowym zapasem entuzjazmu. Wszystkie moje przejścia z przyjaciółmi, wszystkie spostrzeżenia na ich temat, wszystko, co mówiłem o nich don Juanowi – wszystko to zostało zupełnie zapomniane. Czułem się tak, jakby coś wymazało to wszystko z mojej pamięci. Kilkakrotnie ze zdumieniem myślałem o łatwości, z jaką mi przychodziło zapominanie czegoś, co miało dla mnie tak wielkie znaczenie, i o tym, jak całkowicie byłem w stanie zapomnieć.

Wszystko przebiegało zgodnie z moimi oczekiwaniami. Była tylko jedna rzecz, która nie pasowała do w sumie poukładanego schematu mojej nowej, starej egzystencji: wyraźnie pamiętałem, jak don

Juan mi mówił, że moje odejście ze świata czarowników jest czysto akademickie i że do niego wrócę. Zapamiętałem sobie i zapisałem każde słowo z naszych rozmów; i tak, odwołując się do mojego normalnego, linearnego toku rozumowania i do mojej pamięci, musiałem stwierdzić, że don Juan nigdy niczego takiego nie powiedział. Jak mogłem pamiętać coś, co się w ogóle nie wydarzyło? Głowiłem się na próżno. Moje niby-wspomnienie było na tyle zadziwiające, że zasługiwało na to, by wyjaśnić tę sprawę raz na zawsze, lecz w końcu zdecydowałem, iż nie ma to żadnego sensu. Gdyby ktoś mnie o to pytał, nie należałem już do towarzystwa don Juana.

Idąc za jego radą, dotyczącą mojego zachowania wobec osób, które w taki czy inny sposób coś dla mnie w życiu uczyniły, podjąłem przełomową jak na mnie decyzję: postanowiłem ich uhonorować i podziękować im, zanim będzie za późno. Jedną z osób, których to dotyczyło, był mój przyjaciel Rodrigo Cummings. Jednakże pewien incydent z udziałem Rodriga zachwiał całym moim nowym paradygmatem życiowym, który w końcu zawalił się z hukiem i legł w gruzach.

Moje nastawienie do Rodriga zmieniło się radykalnie, gdy przełamałem w sobie potrzebę rywalizowania z nim. Stwierdziłem, że nie ma niczego prostszego pod słońcem, jak dawać z siebie wszystko w tym, czego tylko imał się Rodrigo. W rzeczywistości byłem taki sam jak on, ale nie wiedziałem o tym, dopóki nie przestałem z nim konkurować. Następnie z wyrazistością, która doprowadzała mnie do szału, ukazała mi się cała prawda. Jedną z rzeczy, których Rodrigo życzył sobie najbardziej, było ukończenie college'u. W każdym semestrze zapisywał się do szkoły i brał tyle kursów, na ile zezwalały przepisy. Później, z upływem czasu, rezygnował z kolejnych kursów, jednego po drugim. Czasem po prostu rzucał szkołę. Kiedy indziej znów wytrzymywał do samego końca na jednym z najmniej punktowanych kursów.

W ostatnim semestrze w college'u Rodrigo chodził na socjologię, ponieważ lubił ten przedmiot. Zbliżał się dzień egzaminu końcowego. Rodrigo powiedział mi, że ma trzy tygodnie na naukę, czyli przeczytanie podręcznika do socjologii. Uważał, że na przeczytanie zaledwie sześciuset stron jest to zawrotna ilość czasu. Miał się za swego rodzaju wyczynowca w czytaniu, obdarzonego wspaniałą zdolnością zapamiętywania; utrzymywał, że ma niemal stuprocentową pamięć fotograficzną.

Ponieważ uważał, że do egzaminu pozostało mnóstwo czasu, poprosił mnie, bym pomógł mu dostosować jego samochód do pracy, polegającej na porannym rozwożeniu gazet do domów. Chciał usunąć prawe drzwi, tak by mógł rzucać gazety prawą ręką przez dziurę po drzwiach, a nie lewą ponad dachem samochodu, jak to robił dotychczas. Przypomniałem mu, że jest leworęczny, na co odparował, że jedną z jego licznych zdolności, których jego przyjaciele w ogóle nie dostrzegają, jest oburęczność. Tu musiałem przyznać Rodrigowi rację; i ja nigdy tego nie zauważyłem. Kiedy pomogłem mu usunąć prawe drzwi, Rodrigo postanowił zedrzeć poszycie dachu, które było mocno podarte. Powiedział, że samochód jest w doskonałym stanie technicznym i pojedzie nim do Tijuany, do Meksyku, które to miasto – jak przystało na prawdziwego mieszkańca Miasta Aniołów w owym czasie – nazywał “TJ"; tam odda samochód do warsztatu, gdzie za kilka dolców każe sobie zrobić nową tapicerkę.

– Moglibyśmy jakoś spożytkować tę wyprawę – rzekł z radosnym uśmiechem na twarzy. Wybrał nawet przyjaciół, których zamierzał ze sobą zabrać. – Ty w TJ na pewno byś poszedł się uganiać za starymi książkami, bo dupa z ciebie i tyle. My zaś całą naszą paczką wybralibyśmy się do burdelu. Znam tam kilka takich.

Zdarcie całej tapicerki i zeszlifowanie metalu pod nowy materiał zajęło nam tydzień. Rodrigowi zostały wówczas dwa tygodnie na naukę, ale ciągle uważał, że to dużo czasu. Wobec tego zaangażował mnie do pomocy przy malowaniu swego mieszkania i naprawie podłóg. Malowanie i szlifowanie drewnianych parkietów zabrało nam z górą tydzień. Rodrigo nie chciał w jednym pokoju zamalowywać starej tapety, musieliśmy więc wypożyczyć maszynę do usuwania tapety ze ściany za pomocą pary wodnej. Oczywiście ani ja, ani Rodrigo nie wiedzieliśmy, jak należy się nią posługiwać, więc straszliwie skopaliśmy całą robotę. Koniec końców, musieliśmy się uciec do pomocy toppingu, bardzo szlachetnej mieszaniny gipsu i innych substancji, która nadaje ścianom idealną gładkość.

Po tych wszystkich przejściach okazało się, że Rodrigowi zostały tylko dwa dni na wtłoczenie sobie do głowy sześciuset stron tekstu. Wielce rozgorączkowany, natychmiast wystartował do całodobowego maratonu czytelniczego, podczas którego dopingował się amfetaminą. I rzeczywiście – w dniu egzaminu zdołał pójść do szkoły, zdołał usiąść w swojej ławce i zdołał odebrać test wielokrotnego wyboru. Nie zdołał jednakże zrobić jednego – zachować dłużej przytomności i zdać egzaminu. Osunął się w ławce i poleciał w przód, waląc głową w blat z przerażającym hukiem. Egzamin został przerwany na jakiś czas. Nauczyciel socjologii dostał ataku histerii, podobnie zresztą jak siedzący w pobliżu Rodriga studenci. Jego ciało było sztywne i lodowato zimne. Cała klasa

obawiała się najgorszego; wszyscy myśleli, że Rodrigo zmarł na atak serca. Wezwano pielęgniarzy, by go wynieśli z sali. Po pobieżnych oględzinach stwierdzono, że Rodrigo jest pogrążony w głębokim śnie, i zabrano go do szpitala, gdzie miał spać aż do ustąpienia działania amfetaminy.

Moje utożsamienie się z Rodrigiem Cummingsem było tak całkowite, że stało się przerażające. Byłem dokładnie taki sam jak on. To podobieństwo urosło do takich rozmiarów, że nie potrafiłem już dłużej tego tolerować. Wynająłem pokój w podniszczonym hoteliku w Hollywood, uznając to posunięcie za akt całkowitego, samobójczego nihilizmu.

Dywany były zielone i miały okropne wypalone ślady po papierosach, zarzewia regularnych pożarów, które zdążono w porę ugasić, zasłony także były zielonego koloru, a ściany oliwkowo-szare. Za oknem przez całą noc świecił migający neon hotelu.

I tak w końcu wyszło na to, że robię dokładnie to, co mi polecił don Juan, choć doszedłem do tego drogą okrężną. Nie było moją intencją spełnienie jego warunków ani zredukowanie dzielących nas różnic. Ale faktycznie spędziłem w tym hotelu długie miesiące, aż – tak jak postulował don Juan – umarłem jako osoba, aż rzeczywiście było mi najzupełniej obojętne, czy mam jakieś towarzystwo, czy też jestem sam.

Po opuszczeniu hotelu zamieszkałem samotnie, bliżej szkoły. Kontynuowałem studia antropologiczne, których nigdy zresztą nie przerwałem, i rozpocząłem lukratywną działalność gospodarczą do spółki z pewną damą. Wszystko wydawało się w doskonałym ładzie aż do pewnego dnia, kiedy jak obuchem w głowę uderzyła mnie myśl, że resztę mego życia spędzę na zamartwianiu się moją firmą, zamartwianiu się pozornie możliwym wyborem pomiędzy karierą naukowca a karierą biznesmena albo na zamartwianiu się kaprysami i matactwami mojej partnerki w interesach. Poczułem, jak przeszywa mnie rozpacz. Po raz pierwszy w życiu – pomimo że przecież wiele już przeszedłem i wiedziałem – nie miałem dokąd uciec. Byłem całkowicie zagubiony. Zacząłem się poważnie zastanawiać nad tym, w jaki sposób sprawnie i bezboleśnie dopełnić swego żywota.

Pewnego ranka obudziło mnie głośne i natarczywe pukanie do drzwi. Pomyślałem, że to administratorka domu; byłem przekonany, że jeśli jej nie wpuszczę, sama wejdzie, otwierając sobie drzwi zapasowym kluczem. Otwarłem – w progu stał don Juan! Byłem tak zaskoczony, że stałem jak sparaliżowany. Usiłowałem coś z siebie wydusić, ale zaciąłem się przy pierwszym słowie i nie byłem w stanie niczego wyjąkać. Chciałem pocałować go w rękę, paść przed nim na kolana. Don Juan wszedł do środka i z wielką swobodą usiadł na brzegu łóżka.

– Odbyłem tę podróż do Los Angeles – odezwał się – specjalnie po to, żeby się z tobą zobaczyć.

Chciałem zabrać go na śniadanie, ale odpowiedział, że musi pozałatwiać inne sprawy i ma tylko chwilę na rozmowę ze mną. W pośpiechu opowiedziałem mu o moich przeżyciach w hotelu. Jego obecność spowodowała tak ogromny chaos, że nawet mi przez myśl nie przeszło spytać go o to, jak się dowiedział, gdzie mieszkam. Przyznałem się, jak ogromnie żałuję tego, co powiedziałem wtedy w Hermosillo.

– Nie musisz przepraszać – rzekł z przekonaniem. – Każdy z nas robi to samo. Ja sam uciekłem raz ze świata czarowników i musiałem stanąć nieomal w obliczu śmierci, by uzmysłowić sobie własną głupotę. Ważne jest to, by dojść do momentu załamania – nieważne jak – i dokładnie to udało ci się osiągnąć. Wewnętrzna cisza staje się dla ciebie czymś rzeczywistym. To jest właśnie powód, dla którego jestem teraz tutaj i z tobą rozmawiam. Rozumiesz, o co mi chodzi? Wydawało mi się, że pojmuję. Wydawało mi się, że przeczuł albo wyczytał z powietrza, w znany sobie sposób, że byłem już na skraju wytrzymałości nerwowej, i dlatego przyjechał, żeby pomóc mi w biedzie.

– Nie ma czasu do stracenia – powiedział. – Musisz rozwiązać swoją firmę w przeciągu jednej godziny, gdyż jedna godzina czekania to wszystko, na co mogę sobie pozwolić – nie dlatego, że nie chcę czekać, ale dlatego, że nieskończoność naciska mnie bezlitośnie. Powiedzmy zatem, że nieskończoność daje ci godzinę na skasowanie samego siebie. Dla nieskończoności jedynym zajęciem wartym zachodu wojownika jest dążenie do wolności. Jakiekolwiek inne zajęcie jest oszustwem. Czy jesteś w stanie rozwiązać wszystko w ciągu jednej godziny?

Nie musiałem go o tym zapewniać. Wiedziałem, że muszę zdążyć. Don Juan powiedział mi wówczas, że kiedy uda mi się już zamknąć wszystkie moje sprawy, będzie na mnie czekać na targowisku w pewnym miasteczku w Meksyku. Usiłując skupić się na kwestii rozwiązania mojej firmy, nie zwróciłem uwagi na to, co mówi. Powtórzył swoje słowa, a ja, rzecz jasna, uznałem, że stroi sobie żarty.

– Jakżeż mogę tam dotrzeć, don Juanie? Mam pojechać samochodem, wsiąść w samolot? –

zapytałem.

– Najpierw rozwiąż firmę – rozkazał. – Potem pojawi się rozwiązanie. Ale pamiętaj – będę czekał na ciebie tylko godzinę.

Don Juan wyszedł z pokoju, a ja gorączkowo przystąpiłem do zamknięcia wszystkich moich spraw. Zabrało mi to, oczywiście, więcej niż jedną godzinę, ale nie przerywałem sobie, żeby się nad tym zastanowić, ponieważ kiedy już puściłem całą maszynę w ruch, ciąg zdarzeń porwał mnie ze sobą. Dopiero gdy było już po wszystkim, stanąłem w obliczu prawdziwego dylematu. Dotarło do mnie wówczas, że poniosłem dotkliwą klęskę. Zostałem bez firmy i bez cienia szans na to, by dotrzeć do don Juana.

Poszedłem do łóżka, szukając jedynego pocieszenia, jakie przyszło mi do głowy – spokoju i ciszy. Kiedyś don Juan pokazał mi pozycję ułatwiającą osiągnięcie wewnętrznej ciszy. Należało usiąść na łóżku ze zgiętymi kolanami i złączonymi stopami, które trzymając dłońmi za kostki, dociska się jedna do drugiej. Dał mi też gruby kołek, który zawsze miałem przy sobie, gdziekolwiek się wybierałem. Kołek był docięty na długość trzydziestu pięciu centymetrów i służył do podtrzymywania ciężaru mojej głowy, gdy pochylałem się do przodu; jeden koniec kołka umieszczałem na podłodze, pomiędzy złączonymi stopami, na drugim zaś, owiniętym miękkim kawałkiem materiału, opierałem środek czoła. Za każdym razem, gdy przyjmowałem tę pozycję, zapadałem w sen w ciągu kilku zaledwie sekund.

Musiałem wówczas zasnąć równie szybko. Śniło mi się, że byłem w tym meksykańskim miasteczku, gdzie –jak powiedział don Juan – mieliśmy się spotkać. Miejsce to zawsze mnie intrygowało. Targowisko było otwarte jeden dzień w tygodniu i okoliczni farmerzy przywozili wówczas na sprzedaż swoje produkty. Co mnie tam najbardziej fascynowało, to wyłożona kamiennymi płytami droga, która wiodła do miasteczka. Na samych rogatkach miejscowości droga wspinała się na strome wzniesienie. Nie raz siadywałem na ławce przy straganie, gdzie sprzedawano ser, i przypatrywałem się wzniesieniu. Dostrzegałem ludzi, którzy wchodzili do miasteczka z objuczonymi towarem osłami, ale z początku dostrzegałem jedynie ich głowy; im bardziej się do mnie przybliżali, tym więcej z ich postaci mogłem dostrzec, aż w końcu docierali na sam wierzchołek wzniesienia, gdzie mogłem zobaczyć ich od stóp do głów. Zawsze mi się wydawało, że wyłaniają się spod ziemi, już to powoli, już to bardzo szybko, w zależności od prędkości, z jaką się poruszali. W moim śnie don Juan czekał na mnie właśnie przy tym straganie z serem. Podszedłem do niego.

– Dokonałeś tego ze swej wewnętrznej ciszy – odezwał się, klepiąc mnie w plecy. – Więc jednak osiągnąłeś moment załamania. Przez chwilę zaczynałem tracić nadzieję. Ale kręciłem się w pobliżu, bo wiedziałem, że dasz sobie radę

W moim śnie ruszyliśmy na spacer. Byłem tak szczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu. Sen był tak plastyczny, tak zatrważająco realny, że nie pozostawiał cienia wątpliwości, iż rozwiązałem mój problem, choćbym nawet miał go rozwiązać tylko we śnie. x ,

Don Juan zaśmiał się, kręcąc głową. Bez dwóch zdań, czytał w moich myślach.

– Nie jesteś w zwykłym śnie – powiedział – ale kim ja niby jestem, żeby ci to mówić? Pewnego dnia sam się o tym przekonasz – o tym, że z wewnętrznej ciszy me rodzą się żadne sny – z własnej nieprzymuszonej woli.

Pomiary procesów poznawczych

“Koniec pewnej epoki" był dla don Juana trafnym określeniem procesu, przez który przechodzili szamani, gdy zajmowali się rozmontowywaniem struktury znanego sobie świata, by później zastąpić go innym sposobem jego rozumienia. Don Juan jako mój nauczyciel, od pierwszej chwili naszej znajomości starał się, jak mógł, by wprowadzić mnie do kognitywnego świata szamanów starożytnego Meksyku. W owym czasie słowo “kognitywny było dla mnie przedmiotem poważnych dociekań. W moim rozumowaniu, poznanie było procesem kognitywnym, podczas którego rozszyfrowujemy otaczający nas świat. Pewne rzeczy mieszczą się w ramach tego procesu i są przez nas łatwo rozpoznawane. Inne natomiast nie i przez to pozostają dla nas osobliwościami, zjawiskami, których nie potrafimy pojąć z należytą dokładnością.

Od początku naszej znajomości don Juan utrzymywał, że świat czarowników starożytnego Meksyku był odmienny od naszego; nie w sensie płytkiej powierzchowności, lecz w sposobie przebiegu procesu poznania. Utrzymywał, że w naszym świecie proces kognitywny wymaga interpretacji bodźców zmysłowych. Mawiał, że wszechświat składa się z nieskończonej liczby pól energii, mających postać świetlistych włókien. Owe świetliste włókna oddziałują na organizm człowieka. Reakcja organizmu ludzkiego polega na przekształcaniu tych pól energii w bodźce zmysłowe. Bodźce te są następnie interpretowane i ta interpretacja staje się naszym systemem kognitywnym. Moje rozumienie poznania popychało mnie ku przekonaniu, iż jest to proces uniwersalny, podobnie jak wyrażanie rzeczywistości poprzez język. Każdy język ma własną, odmienną od innych języków składnię, tak samo, jak każdy system interpretacji na świecie musi mieć nieco odmienną organizację.

Jednakże oświadczenie don Juana, że szamani starożytnego Meksyku dysponowali odmiennym systemem kognitywnym, było dla mnie równoznaczne ze stwierdzeniem, iż mieli oni odmienny system komunikacji, który nie miał nic wspólnego z językiem. Desperacko usiłowałem wydobyć od don Juana potwierdzenie moich przypuszczeń, że ich odmienny system kognitywny równał się posługiwaniu się odmiennym językiem, który – pomimo wszystko – był normalnym językiem ludzkim. “Koniec pewnej epoki" oznaczał dla don Juana to, że kontrolę zaczynały przejmować elementy obcego systemu poznawczego. Elementy normalnego systemu kognitywnego – jakkolwiek niezwykle przyjemne i satysfakcjonujące – zaczynały zanikać. Cóż za doniosły moment w życiu człowieka!

Elementem, który upodobałem sobie bodaj najbardziej, było moje życie akademickie. Wszystko, co mogło mu zagrażać, było zagrożeniem dla samej istoty mojego ja, zwłaszcza wówczas, gdy atak był zakamuflowany, niesygnalizowany. Zdarzyło się tak z pewnym profesorem, któremu ufałem bezgranicznie, profesorem Lorcą.

Zapisałem się na jego zajęcia traktujące o procesach kognitywnych dlatego, że polecano mi go jako najbardziej błyskotliwego współczesnego naukowca. Profesor Lorca był dość przystojnym mężczyzną, z grzywką jasnych włosów starannie zaczesanych na jedną stronę. Czoło miał gładkie, pozbawione zmarszczek, co nadawało mu wygląd osoby, która nigdy w życiu nie zaznała trosk. Ubrania miał zawsze nienagannie skrojone. Nie nosił krawata, co przydawało mu chłopięcego wyglądu. Zakładał go jedynie na spotkania z ważnymi osobistościami.

Podczas mych pierwszych pamiętnych zajęć z profesorem Lorcą zdumiony i podenerwowany obserwowałem, jak przez długie minuty, które zdawały się dla mnie przeciągać w całą wieczność, spaceruje on w tę i z powrotem po sali. Nie przestawał poruszać cienkimi, zaciśniętymi wargami to w górę, to w dół, doprowadzając napięcie, które wytwarzał w szczelnie zamkniętej, dusznej sali, do ekstremum. Nagle zatrzymał się na samym środku pomieszczenia, metr od miejsca, gdzie siedziałem, i rytmicznie uderzając zwiniętą w rulon gazetą o katedrę, zaczął mówić.

– Nigdy się nie dowiemy... – rozpoczął. Wszyscy obecni na sali zaczęli skrzętnie notować jego słowa.

– Nigdy się nie dowiemy – powtórzył – co czuje żaba, gdy siedzi na dnie stawu i interpretuje sobie żabi świat, który się wokół niej roztacza. – Jego głos wyrażał ogromną siłę i niepodważalność jego sądów. – A więc, jak wam się wydaje, czym jest to coś? – zamachał ponad głową gazetą.

Następnie odczytał na głos artykuł z gazety, w którym opisywano pracę pewnego biologa. Podawano w nim cytat z tej pracy, w którym naukowiec ów opisywał, co czują żaby, gdy nad ich

głowami pływają owady.

– Artykuł ten pokazuje bezmyślność redaktora, który bez wątpienia błędnie zacytował słowa naukowca – orzekł Lorca z niezachwianą pewnością poważanego profesora. – Żaden naukowiec, bez względu na to, jak beznadziejną pracę by popełnił, nigdy by sobie nie pozwolił na antropomorfizację rezultatów swoich dociekań; pomijam, oczywiście, przypadek, że jest on bałwanem.

Po tych słowach, które posłużyły za wstęp, profesor wygłosił fenomenalny wykład o hermetyczności naszego systemu kognitywnego czy też, mówiąc ogólnie, systemu kognitywnego dowolnego organizmu. Na pierwszym wykładzie zarzucił nas lawiną nowych idei, przy czym zostały one przedstawione w bardzo prosty sposób, bez konieczności dalszego ich analizowania. Najbardziej nowatorska była dla mnie teza, że każdy osobnik z każdego gatunku na Ziemi interpretuje otaczający go świat, wykorzystując bodźce wychwytywane przez odpowiednio wyspecjalizowane zmysły. Orzekł, że ludzie nie są w stanie sobie nawet wyobrazić, jak wygląda życie w świecie rządzonym, dajmy na to, przez prawa echolokacji, jak to ma miejsce w przypadku populacji nietoperzy; żadnego z istniejących w nim punktów odniesienia umysł ludzki nie jest w stanie ogarnąć. Jasno i wyraźnie wykazał, że z tego punktu widzenia żadne dwa systemy kognitywne dowolnie wybranych gatunków nie mogą być do siebie podobne.

Gdy po zakończeniu półtoragodzinnego wykładu opuszczałem audytorium, czułem, że fenomenalna umysłowość profesora Lorki powaliła mnie na kolana. Od tego momentu stałem się jego zagorzałym wielbicielem. Według mnie, jego wykłady były niezwykle inspirujące i zmuszały do myślenia. Były jedynymi, na które zawsze oczekiwałem z niecierpliwością. Wszystkie dziwactwa profesora nie znaczyły absolutnie nic w porównaniu z jego mistrzostwem w roli pedagoga i innowatora na polu psychologii.

Kiedy po raz pierwszy udałem się na zajęcia profesora Lorki, pracowałem z don Juanem już prawie od dwóch lat. Stało się to już moim ugruntowanym nawykiem – co przyszło mi tym łatwiej, iż miałem skłonność do popadania w rutynę – że opowiadałem don Juanowi o wszystkim, co mi się przydarzało w codziennym życiu. Przy pierwszej sposobności zrelacjonowałem mu, co się dzieje na wykładach u profesora Lorki. Wychwalałem go pod niebiosa i bez cienia zażenowania powiedziałem don Juanowi, że jest on moim wzorem. Don Juan wyglądał na niezwykle urzeczonego moimi słowami szczerego podziwu, udzielił mi jednak dziwnego ostrzeżenia.

– Nie podziwiaj ludzi z dystansu – powiedział. – Tak najczęściej tworzą się mity. Zbliż się do twojego profesora, porozmawiaj z nim, zobacz, jaki jest jako człowiek. Wypróbuj go. Jeśli jego zachowanie jest wynikiem przeświadczenia, że jest on istotą, która musi umrzeć, wówczas wszystko, co robi – nieważne jak dziwne – musi być z góry przemyślane i ostateczne. Jeśli to, co mówi, okaże się pustym gadaniem, nie warto zawracać sobie nim głowy.

Poczułem się do żywego urażony słowami don Juana; odebrałem je jako przejaw jego gruboskórności. Sądziłem, że jest trochę zazdrosny o mój podziw dla profesora Lorki. Z chwilą, gdy w mojej głowie zaświtała ta myśl, poczułem ulgę; wszystko stało się dla mnie jasne.

– Powiedz mi, don Juanie – odezwałem się, chcąc zakończyć naszą rozmowę innym akcentem – co to za istota, która musi umrzeć, tak naprawdę? Tyle razy słyszałem, jak o tym mówisz, ale faktycznie nigdy mi tego dokładnie nie zdefiniowałeś.

– Ludzie są istotami, które muszą umrzeć – odrzekł. – Czarownicy stoją na twardym stanowisku, że jedyny sposób na to, by kontrolować nasz świat i to, co my na nim robimy, to całkowite pogodzenie się z faktem, iż jesteśmy istotami, które zdążają ku śmierci. Bez tej podstawowej świadomości zapanowanie nad naszym życiem, naszymi działaniami i nad światem, w którym żyjemy, staje się niemożliwe.

– Ale czy samo pogodzenie się z tym faktem może mieć aż tak dalekosiężne skutki? – spytałem tonem udawanego protestu.

– Tego możesz być pewien! – odrzekł don Juan z uśmiechem. – Sztuka nie polega jednak na samym pogodzeniu się z nieodwołalnym. Musimy ucieleśnić tę postawę i żyć nią aż do samego końca. Czarownicy przez wszystkie wieki mawiali, że ujrzenie własnej śmierci jest najbardziej otrzeźwiającym widokiem, jaki tylko można sobie wyobrazić. Co jest nie tak z nami ludźmi – i było nie tak zawsze, od niepamiętnych czasów – to to, że choć nigdy sobie tego nie powiedzieliśmy wprost, jesteśmy niejako przekonani, iż wkroczyliśmy w krainę nieśmiertelności. Zachowujemy się tak, jakbyśmy nigdy nie mieli umrzeć – cóż za infantylna arogancja! Ale bardziej jeszcze szkodliwe od samego poczucia nieśmiertelności jest coś, co pojawia się wraz z nim: poczucie, że potrafimy objąć naszym umysłem

cały ten niewyobrażalny wszechświat.

Znalazłem się w miażdżącym uścisku dwóch skrajnie odmiennych wizji świata: z jednej strony przygniatała mnie mądrość don Juana, z drugiej zaś wiedza profesora Lorki. Obie drogi były trudne, kręte, całkowicie kompletne i niezwykle nęcące. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko dać się porwać biegowi wydarzeń i dotrzeć tam, gdzie mnie one doprowadzą.

Do sugestii don Juana, bym się zbliżył do profesora, zastosowałem się co do joty. Przez cały semestr usiłowałem do niego podejść i porozmawiać. Chodziłem pod jego pokój w godzinach dyżurów jak na nabożeństwo, ale on jakby nigdy nie miał dla mnie czasu. Jednak pomimo to, że nie udało mi się nawiązać z nim osobistego kontaktu, darzyłem go bezwarunkowym podziwem. Pogodziłem się nawet z tym, że nigdy nie zechce ze mną podyskutować. Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia; liczyły się tylko idee, które wynosiłem z jego wspaniałych wykładów.

Doniosłem don Juanowi o wszystkich moich intelektualnych odkryciach. Tymczasem mnóstwo czytałem o procesie poznania. Z większą niż zazwyczaj natarczywością don Juan Matus przynaglił mnie do nawiązania bezpośredniego kontaktu ze źródłem mej intelektualnej rewolucji.

– Koniecznie musisz z nim porozmawiać – powiedział z nutą ponaglenia w głosie. – Czarownicy nie podziwiają ludzi w próżni. Rozmawiają z nimi, poznają ich. Ustanawiają sobie jakiś punkt odniesienia. Porównują. To, co robisz ty, jest odrobinę infantylne. Ty zachwycasz się z dystansu. Bardzo podobnie dzieje się z mężczyzną, który boi się kobiet. W końcu jego hormony przezwyciężają strach i zmuszają go do wyniesienia na piedestał pierwszej kobiety, która się do niego sama odezwie.

Usiłowałem się zbliżyć do profesora Lorki ze zdwojoną energią, ale ten był niczym niezdobyta twierdza. Kiedy rozmawiałem z don Juanem o moich trudnościach, ten wyjaśnił mi, że czarownicy traktują każdą interakcję z innymi ludźmi – nieważne jak błahą czy niewiele znaczącą –jak pole bitwy. Na tym polu bitewnym czarownicy pokazują swą najlepszą magię, pokazują wszystko, na co ich stać. Zapewnił mnie, że sztuczka pozwalająca na swobodne otwarcie w takich sytuacjach polega na tym – a to nigdy nie było moją mocną stroną – by stawić oponentowi otwarcie czoło. Powiedział, jak bardzo się brzydzi ludźmi potulnymi, którzy stronią od kontaktu do tego stopnia, że nawet wówczas, gdy faktycznie do niego dochodzi, osoby takie co najwyżej snują – na planie własnych stanów psychicznych – przypuszczenia i wnioski o tym, co się dokoła nich dzieje, nie potrafiąc na własne oczy zobaczyć, co się dzieje w rzeczywistości. Uczestniczą w spotkaniu, choć nigdy nie są jego częścią.

– Zawsze patrz na człowieka, z którym przeciągasz linę – kontynuował don Juan. – Nie ograniczaj się jedynie do ciągnięcia za sznur; podnieś głowę i spójrz w jego oczy. Wtedy będziesz wiedział, że jest on człowiekiem tak samo jak ty. Bez względu na to, co mówi, bez względu na to, co robi, trzęsie się jak osika tak samo jak i ty. Takie spojrzenie uczyni z twojego przeciwnika bezbronną ofiarę, chociażby tylko na krótką chwilę; wtedy ty uderzasz.

Pewnego dnia dopisało mi szczęście: przyparłem do muru profesora Lorce na korytarzu przed jego pokojem.

– Panie profesorze – odezwałem się – czy miałby pan chwilę czasu na rozmowę ze mną?

– A pan to niby kto? – spytał najzwyklejszym w świecie tonem, jakbym był jego najlepszym przyjacielem, a on mnie zagadnął, jak się tego dnia miewam.

Był tak nieuprzejmy, jak to tylko możliwe, ale jego słowa nie wywarły na mnie wrażenia nieuprzejmości. Jego ściśnięte wargi rozwarły się w szerokim uśmiechu, jakby chciał mnie zachęcić do powiedzenia czegoś sensownego.

– Jestem studentem antropologii, panie profesorze – odrzekłem. – Zaangażowałem się w prace w terenie, podczas których mam sposobność dowiedzieć się czegoś o systemie kognitywnym czarowników.

Profesor Lorca obrzucił mnie podejrzliwym i poirytowanym spojrzeniem. Jego oczy wyglądały jak dwa niebieskie punkciki skrzące się złośliwym blaskiem. Dłonią przygładził włosy ku tyłowi, jakby zsunęły mu się na twarz i przeszkadzały.

– Pracuję w Meksyku z prawdziwym czarownikiem – ciągnąłem, starając się wywołać jakąkolwiek jego reakcję. – Proszę mi wierzyć, to prawdziwy czarownik. Ponad rok zajęło mi samo rozpracowanie go i nakłonienie do tego, żeby się zgodził ze mną rozmawiać.

Mięśnie twarzy profesora Lorki rozluźniły się; otworzył usta i niezwykle zwiewnym ruchem zaczął mi dyrygować dłonią przed oczyma, zupełnie jakby obracał na niej rozwałkowane ciasto na pizzę. Nie mogłem nie zauważyć pozłacanych spinek przy mankietach koszuli, które idealnie współgrały z

zielonkawym blezerem.

– I czego pan ode mnie oczekuje? – odezwał się.

– Chciałbym, żeby mnie pan przez chwilę posłuchał – odpowiedziałem – i się przekonał, czy to, czym się zajmuję, mogłoby pana zainteresować.

Wzruszył ramionami w geście niechęci i obojętności, otworzył drzwi swojego pokoju i zaprosił mnie do środka. Wiedziałem, że nie mam ani chwili do stracenia, i przedstawiałem mu bardzo rzeczowy opis mojej pracy. Powiedziałem, że uczę się procedur, które nie mają nic wspólnego z tym, co odnalazłem w literaturze antropologicznej na temat szamanizmu.

Przez chwilę poruszał ustami, nie wypowiadając żadnego słowa. Kiedy zaczął mówić, zwrócił uwagę na to, że generalny błąd antropologów polega na tym, iż nigdy nie dają sobie dość czasu na to, by w pełni uzmysłowić sobie wszelkie niuanse konkretnego systemu kognitywnego ludzi, którzy są przedmiotem ich badań. Zdefiniował “poznanie" jako pewien system interpretacji, który stosowany nieprzerwanie przez jednostki umożliwia im niezwykle biegłe wykorzystanie wszelkich niuansów znaczeniowych, które konstytuują rozpatrywane, konkretne środowisko społeczne.

Słowa profesora Lorki rzuciły zupełnie nowe światło na całą moją pracę badawczą. Bez biegłego opanowania wszelkich niuansów systemu kognitywnego szamanów starożytnego Meksyku formułowanie jakichkolwiek sądów o tym świecie będzie nadużyciem. Gdyby profesor Lorca nie wypowiedział już więcej ani jednego słowa, to, co wcześniej usłyszałem, wystarczyłoby mi w zupełności. Chwilę później jednak dał mi jeszcze cudowny wykład na temat poznania.

– Pański problem – zaczął – polega na tym, że obowiązujący w naszym powszednim świecie system kognitywny, który jest nam znany praktycznie od chwili narodzin, nie jest taki sam jak system kognitywny obowiązujący w świecie czarowników.

Stwierdzenie to wywołało we mnie stan prawdziwej euforii. Podziękowałem mojemu rozmówcy wylewnie i zapewniłem go, że w moim przypadku istnieje tylko jeden kierunek działania: zastosować się do jego koncepcji, bez względu na rozwój sytuacji.

– Oczywiście wszystko, co panu powiedziałem, to rzeczy ogólnie znane – powiedział, odprowadzając mnie na korytarz. – Każdy, kto czyta książki, zdaje sobie z nich sprawę.

Rozstaliśmy się nieomal jak przyjaciele. Moje sprawozdanie z uwieńczonej powodzeniem próby zbliżenia się do profesora Lorki spotkało się z dziwną reakcją don Juana. Wydawał się z jednej strony rozradowany, z drugiej zaś zatroskany.

– Mam przeczucie, że twój profesor nie jest dokładnie tym, za kogo się podaje – powiedział. – Z punktu widzenia czarownika, ma się rozumieć. Być może byłoby mądrze dać sobie z nim spokój już teraz, zanim wszystko to stanie się zbyt zobowiązujące i absorbujące. Jednym z wielkich osiągnięć sztuki czarowników jest świadomość chwili, w której należy zrezygnować. Wygląda mi na to, że dostałeś już od swojego profesora wszystko, co mogłeś od niego dostać.

Natychmiast zasypałem go lawiną słów w obronie profesora. Don Juan kazał mi się uspokoić. Powiedział, że jego intencją nie jest krytykowanie czy osądzanie kogokolwiek; jednak zgodnie z jego wiedzą, bardzo niewielu ludzi wie, kiedy należy sobie odpuścić, a jeszcze mniej, jak swoją wiedzę spożytkować.

Pomimo ostrzeżeń don Juana nie odpuściłem sobie; wręcz przeciwnie, nadal byłem wiernym studentem, uczniem i adoratorem profesora Lorki. Wydawał się szczerze zainteresowany moją pracą, chociaż frustrowała go bezgranicznie moja niechęć i niezdolność do sformułowania jasnych i wyraźnych koncepcji o systemie kognitywnym świata czarowników.

Pewnego dnia przedstawił mi koncepcję naukowca wizytującego odmienny świat kognitywny. Przyznał, że ma zamiar zachować w tej sprawie otwarty umysł i poeksperymentować, w ramach wyznaczonych przez nauki społeczne, z hipotezą dotyczącą istnienia odmiennego systemu kognitywnego. Przedstawił mi wizję prawdziwego projektu badawczego, ze zbieraniem i analizą protokołów badawczych. Mówił o formułowaniu zagadnień problemowych z zakresu funkcjonowania systemu poznawczego, które ja będę przedstawiał znanym mi szamanom po to, by pomierzyć, na przykład, ich zdolność do koncentrowania swych funkcji poznawczych na dwóch różniących się od siebie aspektach zachowania.

Uważał, że test można by rozpocząć od prostego zadania, w którym chodziłoby o zrozumienie i zapamiętanie tekstu pisanego, czytanego podczas gry w pokera. Test zostałby później rozszerzony dla zmierzenia, na przykład, zdolności szamanów do koncentrowania swych funkcji poznawczych na

skomplikowanych zagadnieniach, przedstawianych im podczas snu i tak dalej. Profesor Lorca chciał, żeby przeprowadzono analizę lingwistyczną odpowiedzi moich szamanów a także pomiar ich trafności i szybkości reakcji oraz innych zmiennych, które nabierałyby znaczenia wraz z rozwojem naszego projektu.

Myślałem, że don Juan umrze ze śmiechu, kiedy opowiedziałem mu o proponowanych przez profesora Lorce pomiarach procesów poznawczych szamanów.

– Teraz naprawdę polubiłem twojego profesora – powiedział. – Ale nie możesz mówić serio o całym tym pomyśle z mierzeniem naszego poznania. I co by twojemu profesorowi przyszło ze zmierzenia naszych reakcji? Nabrałby przekonania, że jesteśmy bandą kretynów, bo tak właśnie jest. Nie możemy być w żaden sposób inteligentniejsi, szybsi od przeciętnego człowieka. To jednak nie jego wina, że wierzy w to, iż może dokonywać pomiarów procesów poznawczych w odmiennych światach. To twoja wina. To ty nie potrafiłeś przekazać swojemu profesorowi, że kiedy czarownicy mówią o kognitywnym świecie szamanów starożytnego Meksyku, mówią o rzeczach, które nie mają żadnych odpowiedników w świecie powszednim.

Dla przykładu, postrzeganie energii bezpośrednio w jej ruchu we wszechświecie jest elementem systemu poznawczego, wokół którego obraca się całe życie szamanów. Oni widzą, jak energia płynie, i podążają za jej ruchem. Jeśli ten ruch ulega zablokowaniu, oddalają się, by robić coś zupełnie innego. Szamani widzą we wszechświecie linie. Ich sztuką, albo ich pracą, jest wybranie linii, która ich zabierze, z punktu widzenia postrzegania, w obszary, które nie posiadają nazwy. Można by rzec, że szamani reagują natychmiast na linie wszechświata. Widzą ludzi jako świetliste kule i szukają w nich ich ruchu energii. Naturalnie, reagują na ten widok niezwłocznie. To część ich systemu poznawczego.

Powiedziałem don Juanowi, że nie ma żadnych szans na to, bym mógł rozmawiać o tym wszystkim z profesorem Lorcą, gdyż sam nigdy nie robiłem niczego takiego. Mój proces poznania pozostawał nie zmieniony.

– Ach! – wykrzyknął. – To po prostu dlatego, że nie miałeś jeszcze czasu na to, by ucieleśnić elementy procesu kognitywnego świata czarowników.

Opuściłem dom don Juana z większym chaosem w głowie niż zazwyczaj. Słyszałem wewnętrzny głos, który wręcz żądał, bym porzucił wszelkie przedsięwzięcia z profesorem Lorcą. Zrozumiałem, jak wielką rację miał don Juan, kiedy powiedział mi pewnego razu, że praktyczne elementy wiedzy, którymi interesują się naukowcy, przyczyniają się do konstruowania coraz to bardziej skomplikowanych machin. Nie są to kwestie praktyczne, które zmieniają bieg życia jednostki od środka. Nie zostały pomyślane tak, by osobistym doświadczeniem jednostki mogło się stać urzeczywistnienie bezmiaru wszechświata. Oszałamiające machiny, już istniejące i takie, które dopiero powstają, należą do dziedziny kultury; człowiek, nawet sam jej twórca, może z niej korzystać jedynie za pośrednictwem wyobrażenia. Jedyna gratyfikacja dla twórcy to pieniądze.

Zwracając moją uwagę na to wszystko, don Juanowi udało się wzbudzić we mnie bardziej dociekliwy stan umysłu. Zacząłem rzeczywiście dokładnie analizować koncepcje profesora Lorki, a było to coś, czego wcześniej nie robiłem. W tym czasie profesor nie przestawał objawiać zdumiewających prawd o procesach poznawczych. Każde kolejne jego oświadczenie było poważniejsze od poprzedniego i stąd jeszcze bardziej dla mnie dokuczliwe.

Pod koniec drugiego semestru znalazłem się w impasie. Nie istniał żaden sposób, by połączyć ze sobą dwie linie rozumowania: don Juana i profesora Lorki. Biegły one po dwóch równoległych torach. Rozumiałem pęd mego wykładowcy do jakościowej i ilościowej analizy badań nad procesami kognitywnymi. W owym czasie na horyzoncie zaczynała się pojawiać cybernetyka i praktyczne aspekty badań nad procesami kognitywnymi nabrały wymiaru rzeczywistego. Ale tak samo rzecz się miała ze światem don Juana, którego nie można było pomierzyć standardowymi technikami kognitywnymi. Miałem ów przywilej i mogłem się przyglądać temu, jak wygląda ów świat, obserwując dokonania don Juana, lecz nie miałem możliwości osobistego jego doświadczenia. Czułem, że to moja ułomność i to ona właśnie uniemożliwia mi połączenie tych dwóch światów.

Powiedziałem to wszystko don Juanowi podczas jednej z moich wizyt u niego. Odrzekł, że moje przekonanie o tym, że to moja ułomność jest czynnikiem uniemożliwiającym połączenie tych dwóch światów, nie jest zupełnie trafne. Jego zdaniem, źródło problemu miało bardziej uniwersalny charakter, wykraczający poza okoliczności życia jednego człowieka.

– Być może przypomnisz sobie, co ci kiedyś powiedziałem o jednej z największych wad przeciętnych ludzi – powiedział.

Nie mogłem sobie przypomnieć niczego konkretnego. Zwracał mi wcześniej uwagę na tyle wad, które obrzydzały życie zwykłych ludzi, że straciłem rozeznanie.

– Oczekujesz na konkretną odpowiedź – odpowiedziałem – a mnie nic nie przychodzi do głowy.

– Wielka wada, o której mówię – odparł – to coś, co powinieneś mieć na uwadze w każdej sekundzie swojego życia. Dla mnie to kwestia nad kwestiami, którą będę ci tak długo powtarzał, aż zacznie ci uszami wychodzić.

Po długiej chwili zastanowienia zrezygnowałem z dalszych prób odgadnięcia, o co mu chodzi.

– Jesteśmy istotami, które zdążają ku śmierci – powiedział. – Nie jesteśmy nieśmiertelni, a zachowujemy się tak, jak byśmy byli. To jest ta wada, która nas niszczy jako jednostki i pewnego dnia zniszczy nas jako gatunek.

Dodał, że przewaga czarowników nad zwyczajnymi ludźmi polega na tym, że czarownicy wiedzą, iż są istotami, które zdążają ku śmierci, i nie pozwalają sobie na to, by działać niezgodnie z tą świadomością. Podkreślił, że po to, by tę świadomość uzyskać i przemienić ją w nieprzemijającą, niezachwianą pewność, potrzeba ogromnego wkładu pracy.

– Dlaczego z taką trudnością przychodzi nam przyznać coś, co jest tak oczywiste? – spytałem, oszołomiony rozmiarami naszych wewnętrznych sprzeczności.

– Tak naprawdę nie jest to wina człowieka – odrzekł pojednawczym tonem. – Pewnego dnia opowiem ci o siłach, które popychają ludzi do tego, że zachowują się jak ostatni idioci.

Nie było już więcej nic do dodania. Milczenie, które wówczas zapadło, było złowieszcze. Nawet nie chciałem wiedzieć, o jakich to siłach mówił don Juan.

– Dla mnie to żaden wyczyn ocenić twojego profesora na odległość – kontynuował don Juan. – To nieśmiertelny naukowiec. On nigdy nie umrze. A jeśli chodzi o jakiekolwiek troski w temacie śmierci, jestem pewien, że zdążył już o wszystko zadbać. Ma swoje miejsce na cmentarzu i pokaźną polisę ubezpieczeniową, która zapewni byt jego rodzinie. Wypełniwszy te dwie powinności, nie myśli już więcej o śmierci. Myśli tylko o swojej pracy.

Profesor Lorca jest do rzeczy, kiedy mówi – ciągnął don Juan – ponieważ jest przygotowany do precyzyjnego operowania słowem. Ale nie jest przygotowany do tego, by potraktować poważnie siebie jako człowieka, który musi umrzeć. Ponieważ jest nieśmiertelny, nawet by nie wiedział, jak się do tego zabrać. To bez różnicy, jak bardzo skomplikowane machiny potrafią naukowcy zbudować. Machiny te nie są w stanie w jakikolwiek sposób pomóc komukolwiek należycie się przygotować na nieuniknione spotkanie: spotkanie z nieskończonością.

Nagual Julian często mi wspominał – ciągnął – o generałach z czasów starożytnego Rzymu. Kiedy wracali do domu opromienieni chwałą zwycięzców, na ich cześć organizowano gigantyczne parady. Zwycięzcy generałowie jeździli w swych wojennych rydwanach, demonstrując skarby, które zdobyli, i pokonanych przeciwników, których zamienili w swych niewolników. Obok nich zawsze siedział niewolnik, którego zadaniem było szeptanie im do ucha, że sława i chwała nie trwają długo.

Jeśli odnosimy na jakimś polu zwycięstwa – kontynuował don Juan – nie mamy nikogo, kto szeptałby nam do ucha, że nasze zwycięstwa są ulotne. I tu właśnie czarownicy są górą; jako istoty zdążające ku śmierci mają kogoś, kto szepta im do ucha, że wszystko jest efemerydą. Tym kimś jest śmierć, doradca, który cię nigdy nie zawiedzie, jedyny, który nigdy cię nie okłamie.

Podziękowanie

– Wojownicy w podróży nie pozostawiają po sobie nie spłaconych długów – powiedział don Juan.

– O czym ty mówisz, don Juanie? – zapytałem.

– Czas, abyś wyrównał pewne zadłużenia, które zaciągnąłeś w swoim życiu – rzekł. – Nie żebyś był w stanie kiedykolwiek spłacić swój dług do końca; tego się nie da zrobić. Ale musisz wykonać jakiś gest. To będzie symboliczna spłata, ukłon w stronę nieskończoności, aby ją udobruchać. Opowiadałeś mi o swoich dwóch przyjaciółkach, które tak wiele dla ciebie znaczyły, o Patrycji Turner i Sandrze Flanagan. Czas, abyś je odszukał i ofiarował im coś, na co wydasz wszystko, co posiadasz. Będziesz musiał kupić dwa prezenty, nie pozostawiając sobie grosza przy duszy. Oto ten gest.

– Nie wiem, gdzie one są, don Juanie – odezwałem się, gotów niemal do sprzeciwu.

– Twoim zadaniem jest je odszukać. W swoich poszukiwaniach nie możesz pominąć żadnej ewentualności. To, na co się zamierzasz, to rzecz niezwykle prosta a zarazem prawie niemożliwa. Będziesz dążył do tego, by przekroczyć próg osobistego długu i za jednym zachodem się wyzwolić, po to by móc pójść dalej. Jeśli nie będziesz w stanie przekroczyć tego progu, nie masz nawet co próbować dalej się ze mną zadawać.

– Ale skąd wziął ci się ten pomysł? – zapytałem. – Sam to wymyśliłeś, bo uważasz, że tak należy postąpić?

– Ja niczego nie wymyślam – odparł rzeczowo. – Dostałem to zadanie od samej nieskończoności. Nie jest mi łatwo mówić ci to wszystko. Jeśli ci się zdaje, że mam ubaw po pachy, patrząc na twoją udrękę, to się grubo mylisz. Powodzenie twojej misji więcej dla mnie znaczy niż dla ciebie. Jeżeli ci się nie uda, masz bardzo niewiele do stracenia. Co? Wizyty u mnie. Też mi coś. Ale ja stracę ciebie, a to oznacza albo utracenie ciągłości mojej linii, albo utratę szansy na to, że zamkniesz ją złotym kluczem.

Don Juan przerwał. Zawsze wiedział, kiedy moje napięcie zaczynało sięgać zenitu.

– Ciągle ci powtarzam, że wojownicy w podróży to pragmatycy – ciągnął. – Nie zawracają sobie głowy sentymentami, nostalgią ani melancholią. Dla wojowników w podróży istnieje tylko walka, a jest to walka, która nie ma końca. Jeśli myślisz sobie, że przyszedłeś tutaj po to, żeby odnaleźć spokój, albo że jest to okres wyciszenia w twoim życiu, to się grubo mylisz. Ta misja spłacenia twoich długów nie podlega żadnym znanym ci uczuciom. Podlega sentymentowi najczystszej próby, sentymentowi wojownika w podróży, który szykuje się właśnie do pogrążenia się w nieskończoności, lecz zanim to zrobi, odwraca się i dziękuje tym, którzy mu sprzyjali, którzy byli dla niego łaskawi.

Musisz potraktować to zadanie z całą powagą, na jaką zasługuje – kontynuował. – To twój ostatni postój przed tym, jak pochłonie cię nieskończoność. Dopóki wojownik w podróży nie osiągnie pewnego wysublimowanego stanu, nie istnieje dla nieskończoności. Tak więc nie ociągaj się; nie szczędź wysiłków. Napieraj bez litości, ale z elegancją, do samego końca.

Poznałem owe dwie osoby – mówiąc słowami don Juana, dwie przyjaciółki, które tak wiele dla mnie znaczyły – w college'u. Mieszkałem wówczas w garażu przerobionym na małe mieszkanie w domu rodziców Patrycji Turner. W zamian za pokój i wyżywienie zajmowałem się sprzątaniem basenu, grabieniem liści, wynoszeniem śmieci oraz przygotowywaniem śniadań dla Patrycji i dla siebie. Byłem też domowym majstrem od wszystkiego i szoferem rodziny; woziłem panią Turner na zakupy i kupowałem mocniejsze trunki dla pana Turnera, które musiałem szmuglować do domu, a potem do jego pokoju.

Pan Turner piastował wysokie stanowisko w firmie ubezpieczeniowej i pijał do lustra. Wcześniej przyrzekł rodzinie, że już nigdy więcej nie tknie kieliszka; było to po kilku poważnych awanturach domowych, których źródłem było spożywanie przez niego zbyt dużych ilości alkoholu. Pan Turner wyznał mi, że niesamowicie spuścił z tonu, ale od czasu do czasu musi sobie łyka pociągnąć. Wchodziłem do jego pokoju rzekomo po to, żeby posprzątać, ale tak naprawdę chowałem alkohol w belce, która pozornie podpierała jeden z łuków w suficie; w rzeczywistości była to wydrążona w środku atrapa. Musiałem przemycać trunki do środka i ukradkiem wynosić stamtąd puste butelki, które oddawałem w pobliskim markecie.

Patrycja była na kierunku teatralno-muzycznym w college'u i cudownie śpiewała. Marzyła o tym, by występować w musicalach na Broadwayu. Oczywista sprawa, że zakochałem się w niej po uszy. Była

szczupła i wysportowana, miała ciemne włosy i ostre rysy twarzy; była też mniej więcej o głowę wyższa ode mnie, co stanowiło decydujący warunek tego, bym oszalał na punkcie kobiety.

Zaspokajałem chyba jakąś jej głęboką potrzebę, potrzebę opiekowania się drugim człowiekiem; stało się to jasne zwłaszcza wówczas, gdy spostrzegła, że jej tato ufa mi bez żadnych zastrzeżeń. Została moją mamusią. Nie mogłem nawet otworzyć ust bez jej zgody. Obserwowała mnie jak kwoka swoje pisklęta. Pisała nawet moje prace semestralne, czytała podręczniki i dawała mi streszczenia. A mnie się to podobało, choć nie dlatego, że chciałem, by się ktoś mną opiekował; nie sądzę, by taka potrzeba kiedykolwiek była częścią mojej natury. Uwielbiałem to, że ona to robi. Uwielbiałem jej towarzystwo.

Codziennie zabierała mnie do kina. Miała darmowe bilety do wszystkich większych kin w Los Angeles, które jej ojciec dostawał w prezencie od wielkich szych dużego ekranu. Pan Turner sam nigdy z nich nie korzystał; był zdania, że obnoszenie się z darmowymi biletami uwłacza jego godności. W kinach zawsze wymagano, by osoba okazująca taki bilet podpisała pokwitowanie. Patrycja nie miała żadnych oporów, gdy należało cokolwiek podpisać, ale czasem upierdliwi pracownicy kina wymagali podpisu pana Turnera, a gdy ja podpisywałem się za niego, nie byli przekonani i żądali pokażą nią prawa jazdy. Pewnego razu bezczelny młodzian rzucił komentarz, który niesamowicie go rozbawił – mnie zresztą również – choć Patrycja strasznie się wściekła.

– Coś tak mi się zdaje, że nie nazywasz się Turner – powiedział z tak chamskim uśmiechem, na jaki tylko stać człowieka – ale Turd [slang. – gówniarz; (przypis tłum.].

Tę uwagę byłbym w stanie przeżyć, ale spotkało nas jeszcze straszliwe upokorzenie, gdyż nie wpuszczono nas na “Herkulesa" ze Stevem Reevesem w roli głównej.

Zazwyczaj wszędzie chodziliśmy z najlepszą przyjaciółką Patrycji, Sandrą Flanagan, która mieszkała obok nas z rodzicami. Sandra była całkowitym przeciwieństwem Patrycji. Była tego samego wzrostu, ale twarz miała okrągłą, z zaróżowionymi policzkami i zmysłowymi wargami; była chodzącym okazem zdrowia. Śpiew w ogóle jej nie interesował. Ceniła jedynie przyjemności fizyczne. Potrafiła zjeść i wypić wszystko – i potem jeszcze to strawić – oraz zrobić coś, co sprawiło, że zupełnie straciłem dla niej głowę: po wylizaniu swojego talerza dawała jeszcze radę zrobić to samo z moim, a była to rzecz, na którą sam nigdy bym się nie zdobył, gdyż byłem bardzo wybredny. Sandra również była wysportowana, ale bardziej krępa, tęższa. Potrafiła walnąć pięścią jak mężczyzna i kopnąć jak koń.

W ukłonie dla Patrycji wziąłem na siebie te same obowiązki w domu rodziców Sandry, których podjąłem się u jej rodziców: sprzątałem basen, zgrabiałem liście z trawnika, wynosiłem przed dom odpadki w dniu wywożenia śmieci oraz paliłem gazety i inne rzeczy. W tym właśnie czasie zanieczyszczenie powietrza w Los Angeles wzrosło z powodu rozpowszechnienia się podwórzowych pieców do palenia śmieci.

Być może wynikało to z bliskiego kontaktu, który mieliśmy, a może z nieskrępowanego zachowania tych dwóch dziewcząt – dość, że ostatecznie byłem do szaleństwa zakochany w jednej i drugiej.

Po radę udałem się do bardzo dziwnego młodzieńca, mojego znajomego o nazwisku Nicholas van Hooten. Miał on dwie dziewczyny i z obiema mieszkał pod jednym dachem, najwyraźniej w stanie niczym nie zmąconego szczęścia. Rozpoczął od udzielenia mi, jak się wyraził, najprostszej rady: jak się zachowywać w kinie, jeżeli się ma dwie dziewczyny. Powiedział mi, że zawsze, gdy wybiera się do kina ze swymi przyjaciółkami, całą swoją uwagę skupia zawsze na tej, która siądzie po jego lewej stronie. Po chwili obie dziewczyny wychodzą do toalety, a po powrocie on każe im zamienić się miejscami. Anna siada tam, gdzie siedziała uprzednio Betty, i nikomu nic nie podpada. Zapewnił mnie, że to pierwszy krok w długim procesie przełamywania niechęci obu dziewczyn do zaakceptowania trójkąta; Nicholas nie był zbyt oryginalny i użył znanego, oklepanego francuskiego wyrażenia: menage a trois.

Poszedłem za jego radą i wybrałem się z Patrycja i Sandrą do kina na Fairfax Avenue w Los Angeles, gdzie wyświetlano filmy nieme. Usadziłem Patrycję po swojej lewej stronie i ona też pochłonęła całą moją uwagę. Potem obie wyszły do toalety, a kiedy wróciły, kazałem im zamienić się miejscami. Następnie przystąpiłem do realizacji zaleceń Nicholasa van Hootena, ale Patrycja nie zdzierżyła tak absurdalnej sytuacji. Wstała i wyszła, oburzona, upokorzona i wściekła jak osa. Chciałem pobiec za nią i ją przeprosić, ale Sandra mnie powstrzymała.

– Niech idzie – powiedziała z jadowitym uśmieszkiem na ustach. – To duża dziewczynka. Ma dość pieniędzy, by wziąć taksówkę do domu.

Zadowoliłem się tym stwierdzeniem i zostałem w kinie, całując się z Sandrą – nerwowo i z poczuciem winy. Byłem właśnie w trakcie namiętnego pocałunku, gdy poczułem, że ktoś ciągnie mnie od tyłu za włosy. To była Patrycja. Nasz rząd siedzeń nie był solidnie przymocowany i przechylił się w tył. Wysportowana Patrycja zdążyła odskoczyć, nim siedzenia, na których siedzieliśmy, z hukiem wyrżnęły w rząd krzeseł za nami. Usłyszałem przerażone okrzyki dwóch osób, które siedziały na końcu rzędu, przy przejściu.

Rada Nicholasa van Hootena miała dla mnie opłakane skutki. Patrycja, Sandra i ja wróciliśmy do domu w absolutnym milczeniu. Próbowaliśmy potem rozwiązywać sytuację niezwykle dziwacznymi obietnicami i łzami; pełny melodramat. W wyniku tego trójstronnego związku w końcu niemal całkowicie zniszczyliśmy się nawzajem. Nie byliśmy przygotowani na coś takiego. Nie wiedzieliśmy, jak rozwiązać kwestie uczucia, moralności, powinności i społecznych norm zachowania. Nie byłem w stanie zostawić żadnej z nich dla drugiej, a one nie były w stanie zostawić mnie. Pewnego dnia nasze wzburzenie osiągnęło punkt kulminacyjny i gnani krańcową desperacją wszyscy troje rozproszyliśmy się w trzech różnych kierunkach i już nigdy więcej się nie spotkaliśmy.

Czułem się zdruzgotany. Nic, co robiłem, nie było w stanie osłabić ich wpływu na moje życie. Wyjechałem z Los Angeles i imałem się najróżniejszych zajęć, usiłując ukoić moją tęsknotę. Bez cienia przesady i najzupełniej szczerze mogę powiedzieć, że wierzyłem wówczas, iż spadłem w najgłębsze czeluście piekieł i już nigdy się stamtąd nie wydostanę. Gdyby nie pojawienie się don Juana obok mnie i w moim życiu, nigdy nie udałoby mi się wyzwolić z dręczących mnie koszmarów. Powiedziałem mu, że wiem, iż wszystko, co zrobiłem, było niewłaściwe, iż nie miałem prawa angażować tak wspaniałych kobiet do nikczemnych i idiotycznych wybryków, na które absolutnie nie byłem przygotowany.

– Co było niewłaściwe – powiedział don Juan – to to, że wszyscy troje byliście nieuleczalnymi egocentrykami. Twoje poczucie własnej ważności nieomal całkowicie się zniszczyło. Jeżeli tracisz poczucie własnej ważności, pozostają same uczucia.

Zrób mi tę przyjemność – kontynuował – i wykonaj proste, nieskomplikowane ćwiczenie, które może mieć dla ciebie kolosalne znaczenie: usuń ze swych wspomnień dotyczących tych dwóch dziewcząt wszelkie komentarze, którymi opatrujesz te wspomnienia, typu “powiedziała mi to i tamto i zaczęła wrzeszczeć, i druga też zaczęła wrzeszczeć na MNIE!" i pozostań na poziomie swoich uczuć. Jeżeli nie czułbyś się wówczas taki ważny, co pozostałoby na samym dnie twojej duszy?

– Moja bezwarunkowa miłość do nich – odparłem ze ściśniętym gardłem.

– I czy jest dziś słabsza, niż była wówczas? – spytał don Juan.

– Nie, don Juanie, nie jest – odpowiedziałem z całkowitą szczerością i poczułem znajome szarpnięcie bólu, który prześladował mnie od wielu lat.

– Tym razem obejmij je ze swojego milczenia – powiedział. – Nie bądź jak ostatnia dupa. Po raz ostatni obejmij je całkowicie. Ale zamierz to, zamierz, że to ostatni raz na tej Ziemi. Zamierz to z głębi swej mroczności.

Jeśliś siebie wart – ciągnął dalej – kiedy ofiarujesz im prezenty, dwukrotnie podsumujesz swoje życie. Akty tej natury dodają wojownikom skrzydeł, czynią ich niemal lekkimi jak powietrze.

Idąc za radą don Juana, potraktowałem bardzo poważnie to zadanie. Uzmysłowiłem sobie, że jeśli nie wyjdę z tej próby zwycięsko, don Juan nie będzie jedynym człowiekiem, który poniesie klęskę. Ja również coś utracę i będzie to dla mnie równie ważne jak to, co jest ważne dla don Juana. Stracę szansę stawienia czoła nieskończoności z pełną tego świadomością.

Wspomnienie Patrycji Turner i Sandry Flanagan wtrąciło mnie w straszny nastrój. Druzgocące poczucie niepowetowanej straty, które dręczyło mnie przez te wszystkie lata, było silniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Gdy don Juan jeszcze bardziej tę ranę rozjątrzył, nie miałem nawet cienia wątpliwości, że są takie rzeczy, które – mówiąc słowami don Juana – pozostają w nas przez całe życie, a może nawet dłużej. Musiałem odnaleźć Patrycję Turner i Sandrę Flanagan. Ostatnie zalecenie don Juana brzmiało, że nawet jeśli rzeczywiście uda mi się je odszukać, nie mogę z nimi zostać. Mogłem pozwolić sobie jedynie na spędzenie z nimi czasu niezbędnego do naprawienia krzywd, które im wyrządziłem, do otoczenia każdej z nich całą głębią uczucia, które w sobie nosiłem, wolny od gniewnego echa wyrzutów czy użalania się nad sobą, wolny od egoizmu.

Podjąłem się gigantycznego zadania wyjaśnienia, co się z nimi stało, gdzie są. Zacząłem od wypytywania osób, które znały ich rodziców. Ich rodzice wyprowadzili się już z Los Angeles i nikt nie potrafił udzielić mi żadnej wskazówki, dokąd się udali. Nie miałem z kim porozmawiać. Zastanawiałem

się, czy nie zamieścić ogłoszenia w prasie. Ale potem pomyślałem sobie, że przecież dziewczyny mogły się wynieść poza granice Kalifornii. Ostatecznie musiałem wynająć prywatnego detektywa. Dzięki swoim znajomościom w najrozmaitszych biurach i urzędach ustalił ich miejsce pobytu w ciągu dwóch tygodni.

Mieszkały w Nowym Jorku, niedaleko od siebie, i przyjaźniły się jeszcze bardziej niż przedtem. Pojechałem tam i najpierw zająłem się Patrycją Turner. Nie udało jej się zostać gwiazdą na Broadwayu, o czym zawsze marzyła, ale pracowała przy produkcji. Nie chciałem wiedzieć, czy w charakterze wykonawcy, czy w kierownictwie. Odwiedziłem ją w jej biurze. Nie powiedziała mi, czym się zajmuje. Była zaszokowana moim widokiem. Siedzieliśmy tylko, trzymając się za ręce i płacząc. Ja też jej nie powiedziałem, co robię. Oświadczyłem jedynie, że przyjechałem się z nią zobaczyć, ponieważ chciałbym jej ofiarować jakiś prezent, który wyraziłby moją wdzięczność, i że wybieram się w podróż, z której nie zamierzam już wracać.

– Skąd te złowieszcze słowa? – spytała z widocznym zaniepokojeniem. – Co planujesz? Jesteś chory? Nie wyglądasz na chorego.

– To było stwierdzenie metaforyczne – uspokoiłem ją. – Wracam do Ameryki Południowej i tam chcę zdobyć fortunę. Konkurencja jest zażarta, a warunki bardzo trudne, to wszystko. Jeżeli chcę do czegoś dojść, będę musiał poświęcić się temu całkowicie.

Wyglądało na to, że jej ulżyło; objęła mnie. Z wyglądu wcale się nie zmieniła, poza tym, że była znacznie większa, energiczniejsza, dojrzalsza i bardzo elegancka. Pocałowałem ją w obie dłonie i owładnęło mną całkowicie przytłaczające uczucie, silniejsze ode mnie. Don Juan miał rację. Pozbawiony wyrzutów miałem jedynie uczucia.

– Chciałbym ci sprawić jakiś prezent, Patrycjo – odezwałem się. – Proś mnie o cokolwiek i jeśli tylko będzie to w mojej mocy, kupię ci to.

– Trafiłeś na żyłę złota? – spytała, śmiejąc się. – Wspaniałe w tobie jest to, że nigdy nie miałeś niczego i nigdy nie będziesz miał. Rozmawiamy o tobie z Sandrą niemal codziennie. Wyobrażamy sobie, że jesteś parkingowym, żyjesz na utrzymaniu różnych kobiet i tak dalej, i tak dalej. Przykro mi, ale nic na to nie poradzimy; ciągle cię kochamy.

Nalegałem, aby mi powiedziała, czego by ode mnie chciała. Zaczęła szlochać i śmiać się na przemian.

– A kupisz mi futro z norek? – zapytała mnie pomiędzy jednym szlochem a drugim.

Poczochrałem jej włosy i powiedziałem, że kupię.

– Jeśli nie będzie ci się podobać, odniesiesz do sklepu i dostaniesz pieniądze z powrotem – powiedziałem.

Zaśmiała się i uderzyła mnie pięścią, tak samo jak kiedyś. Musiała wracać do pracy, więc rozstaliśmy się. Przedtem obiecałem jej, że jeszcze kiedyś przyjadę ją odwiedzić; jeśli zaś tak się nie stanie, powinna wiedzieć, że chociaż okoliczności rzucają mnie w najrozmaitsze kierunki, zachowam ją w pamięci do końca życia, a może nawet dłużej.

I rzeczywiście – przyjechałem do jej biura raz jeszcze, ale tylko po to, by z pewnej odległości przyglądać się scenie, gdy przynoszą jej do biura futro z norek. Słyszałem, jak piszczy z zachwytu.

Ta część mojego zadania była wypełniona. Wyszedłem z budynku, ale nie byłem lekki jak powietrze, jak mi przepowiadał don Juan. Otwarłem starą ranę, która zaczynała krwawić. Na dworze w zasadzie nie padało; nad ziemią unosiła się delikatna mgła, która przenikała mnie aż do szpiku kości.

Następnie pojechałem się zobaczyć z Sandrą Flanagan. Mieszkała w jednej z podmiejskich dzielnic Nowego Jorku, do której dojeżdża się pociągiem. Zapukałem do drzwi. Sandrą otworzyła i spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby zobaczyła zjawę. Z twarzy odpłynęła jej cała krew. Była piękniejsza niż kiedykolwiek, być może dlatego, że nabrała kształtów i była wielka jak dąb.

– No nie, przecież to, to, to... – jąkała się, jakby niezdolna do wyartykułowania mojego imienia.

Pociągnęła nosem i przez chwilę sprawiała wrażenie oburzonej i nadąsanej. Nie dałem jej szansy mówić dalej. Moje milczenie było absolutne. W końcu udzieliło się i jej. Pozwoliła mi wejść i usiedliśmy w pokoju gościnnym.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała, znacznie uspokojona. – Nie możesz tu zostać! Jestem mężatką! Mam trójkę dzieci! I jestem bardzo szczęśliwa w małżeństwie.

Wyrzucając z siebie słowa niczym z karabinu maszynowego, opowiedziała mi, że jej mąż jest bardzo solidnym człowiekiem, nie obdarzonym może wielką wyobraźnią, ale dobrym, że nie jest zmysłowy i ona musi bardzo uważać, gdyż bardzo szybko się męczy, kiedy się kochają, że łatwo choruje i czasem nie może iść przez to do pracy, ale że udało mu się spłodzić z nią trójkę pięknych dzieci i że po trzecim dziecku jej mąż, który miał chyba na imię Herbert, musiał po prostu dać sobie spokój. Nie ma już między nimi "tego czegoś", ale dla niej to bez żadnego znaczenia.

Starałem sieją uspokoić, zapewniając przez cały czas, że przyjechałem w odwiedziny tylko na chwilę, że nie mam zamiaru zmieniać jej życia ani w jakikolwiek sposób się jej naprzykrzać. Opowiedziałem, jak trudno było mija odszukać. – Przyjechałem tutaj, żeby się z tobą pożegnać – rzekłem – i powiedzieć ci, że jesteś miłością mojego życia. Chciałbym ofiarować ci jakiś symboliczny prezent, symbol mojej wdzięczności i niegasnącego uczucia.

Wyglądała na głęboko wzruszoną. Uśmiechnęła się szeroko, tak jak kiedyś. Przerwa pomiędzy przednimi zębami nadawała jej dziecinny wygląd. Powiedziałem jej, że jest piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem, co było najprawdziwszą prawdę.

Zaśmiała się i odrzekła, że zamierza przejść na ścisłą dietę i gdyby wiedziała wcześniej, iż się do niej wybieram, zaczęłaby ją już dawno temu. Ale zrobi to teraz i następnym razem, kiedy ją odwiedzę, będzie tak szczupła jak zawsze. Kilkakrotnie nawiązywała do piekła, przez które wspólnie przeszliśmy, i wspomniała, jakie piętno to na niej odcisnęło.

Zastanawiała się nawet, pomimo swej głębokiej wiary, nad popełnieniem samobójstwa, ale później w swoich dzieciach odnalazła pociechę, której potrzebowała; to, co przeżyliśmy razem, to wybryki młodości, których śladów nigdy się nie uda całkowicie zatrzeć, więc trzeba je przykryć dywanem.

Kiedy spytałem ją, czy istnieje taka rzecz, którą mógłbym jej ofiarować jako symboliczny wyraz mojej wdzięczności i uczucia dla niej, roześmiała się i powiedziała dokładnie to samo, co wcześniej Patrycja Turner: że nie mam nawet własnego nocnika, do którego mógłbym nasikać, i nigdy nie będę go miał, bo tak po prostu zostałem skonstruowany. Nalegałem, żeby mi powiedziała, czego by sobie życzyła.

– Możesz mi kupić duże kombi, do którego zmieściłyby się wszystkie moje dzieci? – zapytała, śmiejąc się. – Chcę pontiaca albo oldsmobile'a, ze wszystkimi bajerami.

Powiedziała to przekonana w głębi duszy o tym, że z pewnością nigdy by mnie nie było stać na to, by zrobić jej podobny prezent. Ale było mnie stać.

Prowadziłem samochód dilera, jadąc za nim, gdy ten następnego dnia podjechał pod jej dom dużym kombi; z zaparkowanego dyskretnie na uboczu samochodu słyszałem okrzyki jej zdumienia; jej zaskoczenie jednak, choć zgodne z jej zmysłową naturą, nie było wyrazem zachwytu. Była to reakcja czysto fizyczna, szloch bólu, szloch osłupienia. Płakała, ale wiedziałem, że nie dlatego, że dostała prezent. Wyrażała w ten sposób tęsknotę, której echo słyszałem wewnątrz siebie. Zapadłem się jeszcze bardziej w siedzenie.

W pociągu do Nowego Jorku i później w samolocie do Los Angeles czułem przede wszystkim to, że moje życie ulatuje; ulatuje ze mnie niczym przesypujący się pomiędzy palcami piasek. Nie czułem się w jakikolwiek sposób wyzwolony czy odmieniony przez to, że podziękowałem im i pożegnałem się z nimi. Wręcz przeciwnie – nieznośny ciężar tego dziwacznego uczucia był większy niż kiedykolwiek. Chciało mi się płakać. Przez głowę przemykały mi bezustannie tytuły, które mój przyjaciel Rodrigo Cummings wymyślał dla książek, które nigdy nie powstaną. Tworzenie tytułów było jego specjalnością. Ulubiony brzmiał Wszyscy umrzemy w Hollywood, inny zaś My się nigdy nie zmienimy. Moim za to ulubionym, który kupiłem od niego za dziesięć dolarów, był Grzeszny żywot Rodriga Cummingsa. Wszystkie te tytuły kotłowały mi się w głowie. Byłem Rodrigiem Cummingsem i byłem uwięziony w czasie i przestrzeni; rzeczywiście kochałem te dwie kobiety ponad życie i wiedziałem, że to się nigdy nie zmieni. I to, że – jak wszyscy moi przyjaciele – umrę w Hollywood.

Przedstawiłem to wszystko don Juanowi w sprawozdaniu z mojego przedsięwzięcia, które w moim odczuciu zakończyło się połowicznym sukcesem. Don Juan bezwstydnie zlekceważył moje osiągnięcie. Powiedział, że to, co odczuwam, to tylko i wyłącznie rezultat folgowania sobie i użalania się nad sobą, i że chcąc się pożegnać i podziękować – i to naprawdę szczerze i na dobre – czarownicy muszą dokonać wewnętrznej przemiany.

– Natychmiast porzuć to użalanie się nad sobą – rozkazał. – Porzuć wyobrażenie, że zostałeś zraniony, a co pozostanie na samym dnie twojej duszy?

To, co pozostało na samym dnie mojej duszy, było odczuciem, że ofiarowałem im obu ostatni prezent. Nie w duchu wskrzeszania czegokolwiek ani ranienia kogokolwiek – w tym samego siebie – ale dokładnie w takim, na jaki don Juan starał się zwrócić moją uwagę: w duchu wojownika w podróży, którego jedyną cnotą, jak powiedział kiedyś, jest zachować żywe wspomnienia tego, co wywarło na niego wpływ, dla którego jedyną drogą ku temu, by podziękować i się pożegnać, jest ten właśnie magiczny czyn: zachować w swym milczeniu to wszystko, co kocha.

Klucz

Byłem w domu don Juana w Sonorze, w swoim łóżku, gdy wyrwał mnie z głębokiego snu. Nie spałem praktycznie przez całą noc, dumając nad rzeczami, które mi wcześniej tłumaczył.

– Dość już leżałeś – powiedział stanowczo, niemal gburowato, potrząsając mnie za ramiona. – Nie folguj sobie w zmęczeniu. Twoje zmęczenie to bardziej niechęć do tego, żeby zawracano ci głowę, niż prawdziwe wyczerpanie. Coś w tobie nie cierpi, gdy zawracają ci czymś głowę. Ale jest niezwykle ważne, żebyś drażnił tę część siebie tak długo, aż się rozpadnie. Chodź, przejdziemy się.

Don Juan miał rację. Było we mnie coś, co żywo protestowało, gdy zawracano mi głowę. Chciałem spać całymi dniami i nie myśleć już więcej o magii don Juana. Wbrew mojej najszczerszej niechęci wstałem i poszedłem za nim. Don Juan przygotował już wcześniej posiłek, który połknąłem, jakbym nie jadł od kilku dni; następnie wyszliśmy z domu i skierowaliśmy się na wschód, w stronę gór. Byłem tak otumaniony, że zorientowałem się, iż jest wcześnie rano, dopiero wówczas, gdy dostrzegłem słońce, które wisiało tuż nad łańcuchem gór na wschodzie. Chciałem powiedzieć don Juanowi, że spałem przez całą noc w jednej pozycji, ale uciszył mnie. Powiedział, że wybieramy się na ekspedycję w góry, gdzie będziemy szukać pewnych roślin.

– Co zrobisz z roślinami, które zbierzemy, don Juanie? – spytałem go od razu, gdy wyruszyliśmy.

– Nie są dla mnie – odrzekł z szerokim uśmiechem. – Są dla jednego mojego znajomego, botanika i farmaceuty. Robi z nich wywary lecznicze.

– Czy jest Yaqui, don Juanie? Mieszka tu, w Sonorze? – zapytałem.

– Nie, nie jest Yaqui i nie mieszka w Sonorze. Kiedyś się poznacie.

– Czy jest czarownikiem, don Juanie?

– Tak – odparł sucho.

Spytałem go wówczas, czy mógłbym zabrać kilka gatunków roślin do identyfikacji w Ogrodzie Botanicznym Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles.

– Jak najbardziej, jak najbardziej! – odrzekł.

Spostrzegłem już wcześniej, że zawsze, kiedy mówił “jak najbardziej", myślał co innego. Było oczywiste, że nie miał najmniejszego zamiaru dawać mi żadnych próbek. Bardzo mnie zaintrygował ten jego znajomy czarownik i poprosiłem, żeby powiedział mi o nim coś więcej, ewentualnie opisał go; interesowało mnie, gdzie mieszka i jak się poznali.

– Hola, hola, hola! – odparował don Juan, jakby powstrzymywał narowistego konia. – Spokojnie, spokojnie! A ty co? Bawisz się w profesora Lorce? Chcesz badać jego system poznawczy?

Zapuściliśmy się głęboko pośród jałowe podnóża gór. Don Juan maszerował równym tempem przez długie godziny. Pomyślałem sobie, że naszym zadaniem na ten dzień jest po prostu marsz. W końcu zatrzymał się i usiadł po zacienionej stronie podnóża.

– Nadszedł czas, byś zmierzył się z największym wyzwaniem magii – rzekł.

– O jakim wyzwaniu mówisz, don Juanie? – zainteresowałem się.

– Nazywa się rewizją życia – odparł. – Dawni czarownicy nazywali to przywoływaniem z pamięci wydarzeń swojego życia, a zaczęło się od prostej techniki, metody, która miała im ułatwiać zapamiętywanie tego, co robią i co mówią swoim uczniom. Technika ta miała równie dużą wartość dla ich uczniów: pozwala im zapamiętywać, co mówili nauczyciele i co z nimi robili. Trzeba było potwornych społecznych przewrotów – podbojów i sromotnych klęsk – by dawni czarownicy uzmysłowili sobie, że ich technika ma dalekosiężne skutki.

– Mówisz o konkwiście Hiszpanów, don Juanie? – zapytałem.

– Nie – odparł. – To było tylko na dokładkę. Przedtem były inne przewroty, bardziej katastrofalne. Gdy przybyli tutaj Hiszpanie, dawnych czarowników już nie było. Uczniowie tych, którym udało się przeżyć, zdążyli do tamtej pory zejść do podziemia. Wiedzieli, jak się troszczyć o własne sprawy. To właśnie ten nowy chów czarowników nadał starej technice dawnych czarowników nazwę rewizja życia. – Teraz liczy się tylko czas – ciągnął. – W ogóle dla czarowników czas jest sednem wszystkiego.

Wyzwanie, przed którym stanąłem, polega na tym, że w niezwykle krótkim czasie muszę wtłoczyć w ciebie wszystko, co musisz wiedzieć o magii, rozumianej jako zagadnienie abstrakcyjne; aby jednak tego dokonać, muszę stworzyć w tobie niezbędną przestrzeń.

– Jaką przestrzeń? Co ty mówisz, don Juanie?

– Mądrość magii głosi, że jeśli chcesz coś gdzieś wprowadzić, musisz mieć na to miejsce – powiedział. – Jeżeli jesteś po brzegi wypełniony elementami powszedniego życia, nie ma w tobie miejsca na nic nowego. Tę przestrzeń trzeba stworzyć. Rozumiesz, o co mi chodzi? Czarownicy minionych epok byli przekonani, że dzięki rewizji życia można taką przestrzeń stworzyć. To jedna z wielu jej ról.

Sposób, w jaki czarownicy przeprowadzają rewizję życia, jest bardzo sformalizowany – ciągnął. – Należy do niego sporządzenie listy wszystkich ludzi, których czarownik w życiu spotkał, poczynając od chwili obecnej, cofając się aż do samego początku jego życia. Po sporządzeniu listy bierze się z niej pierwszą osobę i przypomina sobie wszystko, co jej dotyczy. I to naprawdę wszystko, każdy szczegół. Lepiej zaczynać od chwili obecnej, cofając się w przeszłość, ponieważ wspomnienia z teraźniejszości są świeże, i w ten sposób można stopniowo szlifować umiejętność przypominania. Technika polega na jednoczesnym przypominaniu sobie zdarzeń z przeszłości i oddychaniu; powietrze wdycha się powoli i świadomie, przechylając powoli głowę z prawa na lewo w ledwo dostrzegalnym ruchu, po czym wydycha się w ten sam sposób.

Powiedział, że wdechy i wydechy powinny być naturalne; jeżeli będą zbyt gwałtowne, człowiek zacznie, jak to powiedział, robić męczące oddechy, po których trzeba spowolnić oddychanie, by uspokoić mięśnie.

– I co ja mam teraz, don Juanie, z tym wszystkim zrobić? – zapytałem.

– Zaczniesz dzisiaj sporządzać własną listę – odrzekł. – Podziel ją według lat, zawodów, podziel ją tak, jak ci się podoba, ale ułóż ją w kolejności, rozpoczynając od ostatnio poznanej osoby, a kończąc na mamusi i tatusiu. A potem przypomnij sobie wszystko, co ich dotyczy. Oto cała filozofia. Kiedy będziesz posuwał się do przodu, uzmysłowisz sobie, co robisz.

Podczas kolejnej wizyty w domu don Juana powiedziałem mu, że pedantycznie analizuję wydarzenia z mojego życia i że bardzo wielką trudność sprawia mi stosowanie się do sztywnej reguły, by przypominać sobie każdą osobę po kolei. Zazwyczaj moja rewizja życia rzucała mnie w najróżniejsze kierunki. Pozwalałem, by same zdarzenia decydowały o przebiegu moich wspomnień. Sam natomiast świadomie trzymałem się ogólnych ram czasowych. Na przykład, rozpocząłem od osób z wydziału antropologii, ale pozwalałem na to, by moje wspomnienia cofały mnie w dowolny okres, poczynając od teraźniejszości, a kończąc na dniu, kiedy zacząłem uczęszczać na zajęcia na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles.

Powiedziałem don Juanowi, że odkryłem wcześniej dziwną rzecz, o której zupełnie zapomniałem, a mianowicie to, że nie miałem w ogóle pojęcia o istnieniu w Los Angeles Uniwersytetu Kalifornijskiego, aż do pewnego wieczoru, kiedy do miasta przyjechała koleżanka z pokoju mojej dziewczyny z czasów college'u i pojechaliśmy odebrać ją z lotniska. Chciała studiować muzykologię na uniwersytecie. Jej samolot wylądował wczesnym wieczorem; spytała mnie, czy mógłbym ją zabrać do kampusu, bo chciałaby rzucić okiem na miejsce, w którym przyjdzie jej spędzić kolejne cztery lata życia. Wiedziałem, gdzie jest kampus, ponieważ w drodze na plażę przejeżdżałem obok wejścia na jego teren od strony Sunset Boulevard mnóstwo razy. Nigdy jednak nie byłem po drugiej stronie ogrodzenia.

Była wówczas przerwa międzysemestralna. Nieliczni studenci, na których się natknęliśmy, skierowali nas do wydziału muzycznego. Kampus był opuszczony, ale miałem wrażenie, że widzę coś tak pięknego jak jeszcze nigdy w życiu. Była to rozkosz dla moich oczu. Budynki uniwersytetu zdawały się jakby ożywione jakąś własną energią. W zamiarze bardzo krótka wizyta na wydziale muzycznym przekształciła się w obszerny obchód całego kampusu. Zakochałem się w Uniwersytecie Kalifornijskim. Wspomniałem też don Juanowi, że jedyną rzeczą, która psuła moją ekstazę, było rozdrażnienie mojej dziewczyny, zdenerwowanej tym, że uparłem się, by obejść cały kampus.

– I co tu takiego, do cholery, można znaleźć? – wrzasnęła, protestując przeciwko mojej propozycji. – Jakbyś nigdy w życiu nie widział kampusu uniwersytetu! Jak widziałeś jeden, widziałeś już wszystkie. Coś tak mi się zdaje, że próbujesz po prostu zaimponować mojej przyjaciółce swoją wrażliwością!

Wcale tak nie było, więc zacząłem płomiennie tłumaczyć, że jestem autentycznie pod wielkim

wrażeniem piękna otoczenia. Wyczuwałem w tych budynkach tyle nadziei, tyle obiecującej przyszłości, a jednak nie potrafiłem wyrazić stanu, w którym się znalazłem.

– Chodziłam do szkoły prawie przez całe życie – powiedziała moja dziewczyna przez zaciśnięte zęby – i niedobrze mi się robi na samą myśl o tym! Gówno tu znajdziesz! Leją tu tylko wodę i nawet cię nie przygotują do tego, co masz w życiu robić.

Kiedy powiedziałem, że chciałbym się tutaj uczyć, wściekła się jeszcze bardziej.

– Idź do roboty! – wrzasnęła. – Zobacz sobie, jak wygląda życie od ósmej do piątej, i przestań pierdolić! To właśnie jest życie: praca od ósmej do piątej, czterdzieści godzin w tygodniu! Zobacz sobie, co z ciebie zrobi! Spójrz na mnie – mam wyższe wykształcenie i nie nadaję się do pracy!

A ja wiedziałem tylko to, że nigdy nie widziałem piękniejszego miejsca. Obiecałem sobie, że będę studiował na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, choćby nie wiem co. Moje pragnienie wypływało tylko i wyłącznie z osobistych pobudek; mimo to jednak jego motorem nie było poszukiwanie natychmiastowej gratyfikacji. Była to raczej nabożna cześć.

Powiedziałem don Juanowi, że rozdrażnienie mojej dziewczyny było dla mnie tak wielkim zgrzytem, iż poczułem się zmuszony spojrzeć na nią w innym świetle i jeśli pamięć mnie nie myli, był to pierwszy raz w moim życiu, kiedy czyjś komentarz wywołał moją tak głęboką reakcję. Dostrzegłem w mojej dziewczynie cechy charakteru, których wcześniej nie widziałem, cechy, które przeraziły mnie nie na żarty.

– Chyba bardzo ostro ją osądziłem – powiedziałem do don Juana. – Po naszej wyprawie do kampusu rozeszliśmy się. Było to tak, jak gdyby uniwersytet wbił się klinem pomiędzy nas. Wiem, że to głupie tak myśleć.

– To nie jest głupie – rzekł don Juan. – Twoja reakcja była jak najbardziej usprawiedliwiona. Jestem przekonany, że kiedy tak spacerowałeś sobie po kampusie, doszło do twojego starcia z intencją. Zamierzałeś tam być, więc wszystko, co stało temu na drodze, musiałeś odrzucić.

Ale nie przesadzaj z tym – ciągnął. – Dotyk wojownika w podróży jest bardzo delikatny, choć pełen treści. Dłoń wojownika w podróży z początku jest bardzo ciężka i ma żelazny uchwyt, lecz z czasem staje się niczym dłoń ducha, jakby była utkana z babiego lata. Wojownicy w podróży nie pozostawiają po sobie żadnych śladów, żadnych tropów. Oto wyzwanie dla wojowników w podróży.

Komentarze don Juana pogrążyły mnie w stanie głębokiej, posępnej zadumy; zacząłem sobie wyrzucać swoje zachowanie, gdyż kilka wspomnień uzmysłowiło mi, że mam niezwykle ciężką rękę, zachowuję się obsesyjnie i arogancko. Powiedziałem don Juanowi o moich rozmyślaniach.

– Potęga rewizji życia – rzekł don Juan – polega na tym, że podnosi z dna wszystkie odpady naszego życia i wynosi je na powierzchnię.

Następnie don Juan wprowadził mnie w zawiłości zagadnień świadomości i postrzegania, które są podstawą rewizji życia. Na początku powiedział, że przedstawi mi pewien ciąg koncepcji, których pod żadnym pozorem nie powinienem brać za teorie czarowników, ponieważ zostały one sformułowane przez szamanów starożytnego Meksyku w rezultacie bezpośredniego widzenia energii w jej ruchu we wszechświecie. Ostrzegł, że zapozna mnie z poszczególnymi elementami owego ciągu, nie podejmując jakichkolwiek prób ich klasyfikacji czy wartościowania na podstawie założonego z góry standardu.

– Klasyfikacje mnie nie interesują – ciągnął. – Ty klasyfikujesz wszystko przez całe życie. Teraz zostaniesz zmuszony do trzymania się od klasyfikacji z dala. Kilka dni temu, kiedy cię spytałem, czy wiesz coś o chmurach, podałeś mi nazwy wszystkich chmur i procent wilgotności, którego należy się spodziewać w przypadku każdej z nich. Byłeś prawdziwym meteorologiem. Ale gdy zagadnąłem cię, czy wiesz, co możesz osobiście uczynić z chmurami, nie miałeś bladego pojęcia, o czym mówię.

Klasyfikacje mają swój własny świat – kontynuował. – Kiedy już zaczniesz wszystko klasyfikować, twoja klasyfikacja ożywa i tobą steruje. Ponieważ jednak klasyfikacje od samego początku nie były zjawiskami, które dają energię, zawsze będą jak martwe kłody drewna. To nie są drzewa; to tylko drewno.

Wyjaśnił mi, że czarownicy starożytnego Meksyku widzieli, że otaczający nas wszechświat składa się z pól energii w formie świetlistych nici. Widzieli ich tryliardy, gdziekolwiek się zwrócili. Widzieli też, że owe pola energii układają się w ciągi świetlistych włókien, strumienie, które są stałymi, niezniszczalnymi siłami wszechświata, i że ciąg czy też strumień włókien, który odnosi się do rewizji

życia, dawni czarownicy nazywali mrocznym morzem świadomości, a także Orłem.

Powiedział, że dawni czarownicy odkryli również, że każda istota we wszechświecie łączy się z mrocznym morzem świadomości w okrągłym, świetlistym punkcie, dobrze widocznym wówczas, gdy postrzega się tę istotę jako energię. W tym świetlistym punkcie, który czarownicy starożytnego Meksyku nazywali punktem połączenia, za sprawą tajemniczego aspektu mrocznego morza świadomości rodzi się percepcja.

Don Juan nie miał żadnych wątpliwości, że w punkcie połączenia człowieka łączą się ze sobą niezliczone miliardy pól energii z najdalszych zakątków wszechświata i przenikają go pod postacią świetlistych włókien. Owe pola energii są przekształcane w bodźce zmysłowe, które następnie poddawane są interpretacji i postrzegane jako znany nam świat. Dalej don Juan wyjaśnił mi, że tym, co przeobraża owe świetliste włókna w bodźce zmysłowe, jest właśnie mroczne morze świadomości. Czarownicy widzą tę transformację i nazywają ją blaskiem świadomości; jest to poświata, która niczym aureola roztacza się dokoła punktu połączenia. Uprzedził mnie następnie, że powie mi coś, co w rozumieniu czarowników ma fundamentalne znaczenie dla uświadomienia sobie zakresu rewizji życia.

Dobitnie podkreślając każde słowo, wyjaśnił, że to, co my nazywamy zmysłami organizmów, jest niczym innym jak tylko różnymi poziomami świadomości. Argumentował, że skoro przyjmiemy za fakt to, że zmysły są mrocznym morzem świadomości, musimy się zgodzić z tym, że dokonywana przez zmysły interpretacja dochodzących do nich bodźców również jest mrocznym morzem świadomości. Długo mi tłumaczył, że sposób, w jaki traktujemy otaczający nas świat, jest wynikiem działania ludzkiego systemu interpretacyjnego, w który jest wyposażony każdy człowiek. Powiedział też, że każdy żyjący organizm musi posiadać własny system interpretacyjny, który pozwala mu na funkcjonowanie w jego otoczeniu.

– Czarownicy, którzy nastali po apokaliptycznych przewrotach, o których ci opowiadałem – ciągnął – widzieli, że w chwili śmierci mroczne morze świadomości niejako wdzierało się do wnętrza świetlistej kuli poprzez punkt połączenia, który stanowi o świadomości istot żyjących. Widzieli oni również, że mroczne morze świadomości, że tak powiem, przez chwilę z tym zwleka, gdy ma do czynienia z czarownikami, którzy wcześniej przypominali sobie koleje swojego życia. Niektórzy zupełnie nieświadomie wykonali to zadanie tak dokładnie, że mroczne morze świadomości zabrało im ich świadomość pod postacią ich przeżyć, nie ruszając jednak ich energii życiowej. Czarownicy odkryli w ten sposób fundamentalną prawdę o siłach wszechświata: mroczne morze świadomości łaknie jedynie naszych przeżyć, a nie energii życiowej.

Założenia, na których opierał się wykład don Juana, były dla mnie zupełnie niezrozumiałe. A może trafniejsze byłoby twierdzenie, że choć bardzo niejasno, to jednak nadzwyczaj głęboko czułem, jak bardzo funkcjonalne są to założenia.

– Czarownicy są przekonani – ciągnął don Juan – że podczas rewidowania naszego życia, tak jak ci mówiłem, wszystkie nie dopalone resztki unoszą się na powierzchnię. Uzmysławiamy sobie naszą niekonsekwencję, ciągle powtarzane schematy, lecz coś w środku stawia rewizji życia niezwykle zacięty opór. Czarownicy powiadają, że ścieżka się przeciera dopiero po gigantycznym przewrocie, po pojawieniu się na ekranie naszych wspomnień zdarzenia, które wstrząsa nami do głębi zatrważającą wyrazistością detali. Jest to takie zdarzenie, które przenosi nas z powrotem do tamtej chwili, kiedy działo się to naprawdę. Czarownicy określają to zdarzenie kluczem, ponieważ od tej chwili każde wydarzenie, do którego wracamy pamięcią, będzie po raz kolejny przeżywane, a nie tylko wspominane.

Chodzenie zawsze pobudza wspomnienia – mówił. – Czarownicy starożytnego Meksyku byli przekonani, że wszystko, co przeżywamy, przechowujemy pod postacią wrażeń fizycznych w tylnej części ud. Uważali oni je za magazyn osobistej historii człowieka. No, to teraz pójdziemy trochę w góry.

Maszerowaliśmy, aż zrobiło się niemal zupełnie ciemno.

– Chyba rozchodziłem cię już dosyć – powiedział don Juan, gdy byliśmy z powrotem w jego domu – i jesteś gotów do wykonania kolejnego posunięcia czarownika, które polega na odszukaniu klucza: zdarzenia z twojego życia, które przypomnisz sobie z taką wyrazistością, że będzie ci ona potem służyć za reflektor, którym oświetlisz wszystkie pozostałe wspomnienia podczas rewizji życia i nadasz im taką samą lub podobną wyrazistość szczegółów. Zajmij się teraz czymś, co czarownicy nazywaj ą rewizją okruchów życia. Coś cię naprowadzi na wspomnienie zdarzenia, które będzie twoim kluczem.

Zanim zostawił mnie samego, udzielił mi ostatniego napomnienia.

– Daj z siebie wszystko – powiedział. – Pokaż, na co cię stać.

Przez chwilę byłem absolutnie wyciszony; być może spowodowała to cisza, która mnie otaczała. Potem poczułem wibrację, swego rodzaju szarpanie w klatce piersiowej. Z trudnością oddychałem, ale wtem coś w piersiach się otwarło i pozwoliło mi na zrobienie głębokiego oddechu; przed oczyma stanął mi raptem kompletny obraz zapomnianego zdarzenia z dzieciństwa, tak nagle, jakby się wyrwał z uścisku, który trzymał go na uwięzi.

Byłem w mieszkaniu mojego dziadka, który miał własny stół bilardowy, i grałem z nim w bilard. Liczyłem sobie wówczas prawie dziewięć lat. Mój dziadek był wytrawnym graczem i stosując przymus, zdążył mnie już wcześniej nauczyć wszystkich znanych sobie sztuczek, tak że byłem na tyle dobry, iż mogłem rozgrywać z nim poważne partie. Grywaliśmy całymi godzinami. Nabrałem w tym takiej wprawy, że pewnego dnia go pokonałem. Od tamtego razu nie był w stanie ze mną wygrać. Niejednokrotnie psułem swoje zagrania, chcąc zrobić mu przyjemność, ale on zawsze się orientował i wściekał na mnie. Raz tak się rozeźlił, że uderzył mnie kijem po głowie.

Ku wielkiemu rozgoryczeniu i jednoczesnej radości mojego dziadka w wieku dziewięciu lat potrafiłem wykonywać bez przerwy karoma za karomem. Podczas jednej z naszych partii tak się denerwował i niecierpliwił, że w końcu rzucił kij na ziemię i kazał mi dalej grać samemu. Dzięki mojej obsesyjnej naturze mogłem rywalizować sam ze sobą i ćwiczyć to samo zagranie w kółko, aż potrafiłem wykonać je bezbłędnie.

Pewnego dnia przyszedł odwiedzić mojego dziadka człowiek cieszący się w miasteczku złą sławą hazardzisty, właściciel salonu bilardowego. Wszedłem do pokoju akurat w czasie, gdy rozmawiali sobie, rozgrywając partyjkę. Natychmiast chciałem odwrócić się i wyjść, ale dziadek mocno mnie przytrzymał i wprowadził do środka.

– To mój wnuk – powiedział do owego człowieka.

– Bardzo mi miło – odrzekł tamten. Spojrzał na mnie surowo, po czym wyciągnął dłoń wielkości głowy normalnego człowieka.

Byłem przerażony. Po salwie jego śmiechu zorientowałem się, że zdaje sobie sprawę z mojej konsternacji. Powiedział, że nazywa się Falelo Quiroga, a ja w odpowiedzi wymamrotałem swoje imię.

Był bardzo wysoki i nadzwyczaj elegancko ubrany. Miał na sobie dwurzędowy, niebieski garnitur w prążki ze spodniami z pięknie zwężającymi się nogawkami. Musiał być wówczas trochę po pięćdziesiątce, ale trzymał się doskonale i wyglądał świetnie poza tym, że miał odrobinę uwydatniony brzuch. Nie był otyły; sprawiał wrażenie człowieka ceniącego sobie wygląd dobrze odżywionego mężczyzny, któremu niczego nie brak. Większość ludzi w moim rodzinnym miasteczku wyglądała mizernie. Bardzo ciężko pracowali na chleb i nie mieli czasu na przyjemności. Natomiast Falelo Quiroga sprawiał wręcz przeciwne wrażenie. Nosił się jak człowiek, który poświęca czas tylko i wyłącznie na przyjemności.

Miał bardzo miłą powierzchowność, twarz przyjemną, o starannie wygolonych policzkach i dobrych, niebieskich oczach. Ze swoimi manierami i pewnością siebie wyglądał na lekarza. Ludzie w miasteczku mówili, że przy nim każdy czuje się swobodnie i że powinien był zostać księdzem, prawnikiem albo doktorem, a nie hazardzistą. Mówili też, że na hazardzie zarabia więcej pieniędzy niż wszyscy lekarze i prawnicy w mieście razem wzięci uczciwą pracą.

Włosy miał czarne, starannie uczesane. Było widać, że są już mocno przerzedzone. Starał się ukryć ich cofającą się linię, zaczesując włosy do przodu na czoło. Miał kwadratową szczękę i całkowicie zniewalający uśmiech oraz duże, białe zęby, o które bardzo dbał, co było absolutnym ewenementem w regionie, w którym powszechność próchnicy była zastraszająca. Dwie inne, niesamowite dla mnie cechy Falela Quirogi, to jego ogromne stopy i ręcznie szyte buty z czarnej, lakierowanej skóry. Fascynowało mnie to, że jego obuwie w ogóle nie skrzypiało, gdy chodził w tę i z powrotem po pokoju. Byłem przyzwyczajony do skrzypienia butów mojego dziadka; po tym rozpoznawałem, kiedy się zbliża.

– Mój wnuk bardzo dobrze gra w bilard – powiedział niedbale mój dziadek. – Może dam mu swój kij i pozwolę zagrać za mnie, a ja sobie popatrzę, co?

– To dziecko gra w bilard? – roześmiał się olbrzym.

– O tak – odparł z przekonaniem mój dziadek. – Jasne, że nie tak dobrze jak ty, Falelo. Zobacz, co potrafi. A żeby było ciekawiej i żebyś nie traktował mojego wnuka z góry, zróbmy mały zakład. Co powiesz na taką sumę?

Położył na stole gruby zwitek pogniecionych banknotów i uśmiechnął się do Falela Quirogi, kiwając głową z lewa na prawo, jakby chciał nakłonić go do przyjęcia zakładu.

– Proszę, proszę, aż tyle, co? – powiedział Falelo Quiroga, przypatrując mi się badawczo. Następnie otworzył portfel i wyciągnął z niego kilka starannie złożonych banknotów. Był to dla mnie kolejny zaskakujący szczegół. Mój dziadek miał zwyczaj chowania pieniędzy po wszystkich kieszeniach; jego banknoty były zawsze zupełnie pomięte. Kiedy miał za coś płacić, musiał je rozprostowywać, żeby móc je policzyć.

Chociaż Falelo Quiroga tego nie powiedział, wiedziałem, że czuje się jak naciągacz. Uśmiechnął się do mojego dziadka i zapewne z szacunku dla niego położył swoje pieniądze na stole. Dziadek, który przejął rolę sędziego, ustalił grę na określoną liczbę karomów, po czym rzucił monetą, żeby ustalić, kto ją rozpocznie. Wygrał Falelo Quiroga.

– Lepiej pokaż wszystko, co potrafisz; nie chowaj asów w rękawie – dopingował go mój dziadek. – W ogóle się nie zastanawiaj! Zniszcz gnojka i zabieraj moje pieniądze!

Falelo Quiroga, idąc za jego namową, grał tak dobrze, jak potrafił, ale w pewnym momencie jego uderzenie chybiło o włos. Myślałem, że zemdleję, ale widząc mojego dziadka, który zaczai skakać z wielkiej radości, uspokoiłem się; poza tym, Falelo Quiroga mnie zirytował, bo zaczął zrywać boki ze śmiechu, widząc, jak chwytam kij. Nie mogłem pochylić się nad stołem, jak to się normalnie robi, ponieważ byłem za mały. Ale mój dziadek, wykazując niesłychaną cierpliwość i stanowczość, nauczył mnie innego sposobu rozgrywania. Wyciągając ramię maksymalnie do tyłu, trzymałem kij niemal powyżej barków, trochę z boku.

– Co on robi, gdy musi dosięgnąć środka stołu? – zapytał Falelo Quiroga ze śmiechem.

– Zawiesza się na jego brzegu – odrzekł rzeczowo mój dziadek. – To zgodne z przepisami, sam wiesz.

Podszedł do mnie i wyszeptał przez zaciśnięte zęby, że jeśli będę próbował być miły i przegram, połamie na mojej głowie wszystkie swoje kije do bilarda. Wiedziałem, że nie mówi tego poważnie; wyrażał w ten sposób po prostu swoje zaufanie do mnie.

Wygrałem bez trudu. Mój dziadek był w siódmym niebie, ale – co dziwne – tak samo zachowywał się Falelo Quiroga. Chodził dokoła stołu, klepiąc dłonią o jego brzegi, i się śmiał. Dziadek wychwalał mnie pod niebiosa. Wyjawił Quirodze mój najlepszy wynik i zażartował, że jestem taki dobry, bo udało mu się odkryć, czym nakłonić mnie do ćwiczeń: kawą i duńskimi ciasteczkami.

– Nie mów, nie mów! – ciągle powtarzał Quiroga. Pożegnał się; dziadek schował wygrane pieniądze i zapomniałem o całej sprawie.

Dziadek obiecał zabrać mnie do restauracji i zamówić mi najlepszy obiad w całym mieście, ale nigdy tego nie zrobił. Był bardzo skąpy i znany z tego, że nadzwyczaj szczodry bywa tylko w obecności kobiet.

Dwa dni później dwóch ogromnych facetów z otoczenia Falela Quirogi podeszło do mnie, gdy skończyłem lekcje i właśnie wychodziłem ze szkoły.

– Falelo Quiroga chce się z tobą zobaczyć – odezwał się jeden z nich gardłowym głosem. – Masz do niego przyjść na kawę i duńskie ciasteczka.

Gdyby nie wspomniał o tej kawie i duńskich ciasteczkach, zapewne bym im uciekł. Przypomniałem sobie wówczas, że mój dziadek powiedział Falelowi Quirodze, iż zaprzedałbym duszę diabłu za kawę i duńskie ciasteczka. Bez żadnych oporów poszedłem z nimi. Nie mogłem jednak iść tak szybko jak oni, więc jeden z nich, mężczyzna o imieniu Guillermo Falcón, podniósł mnie w górę i przytrzymał w swych olbrzymich ramionach. Śmiał się przez krzywe zęby.

– Mam nadzieję, mały, że ci się podoba – powiedział. Oddech miał potworny. – Ktoś cię już kiedyś nosił? Z tego, jak się wiercisz, widać, że nigdy! – Zachichotał groteskowo.

Na szczęście salon Falela Quirogi nie znajdował się zbyt daleko od szkoły. Pan Falcón złożył mnie na kanapie w jego gabinecie; gospodarz już tam był, usadowiony za olbrzymim biurkiem. Wstał i uścisnął moją dłoń. Natychmiast kazał mi podać kawę i pyszne ciasteczka, i siedząc tak, rozprawialiśmy po przyjacielsku o kurzej fermie mojego dziadka. Spytał, czy nie chciałbym jeszcze ciasteczek, a ja odpowiedziałem, że nie obraziłbym się, gdybym jeszcze trochę dostał. Zaśmiał się i sam przyniósł mi z pokoju obok całą tacę niewiarygodnie pysznych ciasteczek.

Kiedy już napchałem się nimi do syta, zapytał mnie grzecznie, czy zechciałbym rozważyć jego

propozycję, bym przychodził do salonu bilardowego późnym wieczorem i rozgrywał kilka towarzyskich gier z wybranymi przez niego ludźmi. Wspomniał od niechcenia, że w grę będą wchodzić znaczne sumy pieniędzy. Otwarcie wyraził zaufanie do moich umiejętności i dodał, że będzie mi płacił za mój czas i fatygę pewien procent od wygranych pieniędzy. Powiedział też, że wie, jaka jest moja rodzina; uważałaby ona, że nie przystoi, bym dostawał wynagrodzenie. Obiecał mi więc, że będzie odkładał moje pieniądze na specjalnym koncie w banku, albo – jeszcze bardziej praktycznie – pokrywał koszty wszelkich moich zakupów we wszystkich sklepach w miasteczku i koszty posiłków we wszystkich restauracjach.

Nie wierzyłem w ani jedno słowo z tego, co mówił. Wiedziałem, że Falelo Quiroga jest przestępcą i kanciarzem. Podobał mi się jednak pomysł grania w bilard z nieznanymi ludźmi, więc zawarłem z nim korzystny układ.

– Będzie mi pan dawał kawy i duńskich ciasteczek, tak jak dzisiaj? – zapytałem.

– Oczywiście, chłopcze – odrzekł. – Jeśli będziesz dla mnie grał, kupię ci całą piekarnię! Każę piekarzowi piec je specjalnie dla ciebie. Masz moje słowo.

Ostrzegłem Falela Quirogę, że jedyny problem polega na tym, że nie będę w stanie wydostać się z domu; miałem na głowie zbyt wiele ciotek, które pilnowały mnie jak kwoki swoich piskląt, a poza tym mój pokój znajdował się na pierwszym piętrze.

– To żaden problem – odrzekł Falelo Quiroga z przekonaniem. – Jesteś zupełnie mały. Pan Falcón złapie cię w ramiona, kiedy wyskoczysz przez okno. Jest wielki jak dąb! Radzę ci, żebyś położył się dziś spać wcześniej. Pan Falcón cię obudzi; będzie gwizdał i rzucał kamykami w twoje okno. Lepiej jednak uważaj! To bardzo niecierpliwy człowiek.

Wróciłem do domu podekscytowany do granic możliwości. Nie mogłem zasnąć. W ogóle nie spałem, gdy usłyszałem gwizdanie pana Falcóna i uderzenia małych kamyków o szybę. Otwarłem okno. Pan Falcón stał dokładnie pode mną, na ulicy.

– Skacz w moje ramiona, mały – powiedział stłumionym głosem, który usiłował modulować do głośnego szeptu. – Jeśli dobrze nie wycelujesz, to cię upuszczę i się zabijesz. Pamiętaj. Nie będę za tobą biegał. Skacz prosto w moje ramiona. No dalej, śpiesz się!

Skoczyłem, a on złapał mnie z taką łatwością, jakby chwytał worek z bawełną. Postawił mnie na ziemi i kazał biec. Powiedział, że jestem małym chłopcem przebudzonym z głębokiego snu i muszę się przebiec, żebym był zupełnie rześki, zanim się znajdę w salonie bilardowym.

Tamtej nocy grałem z dwoma mężczyznami i wygrałem obie partie. Dostałem tak pyszną kawę i ciastka, że aż trudno to sobie wyobrazić. Czułem się tak, jakbym trafił do nieba. Było około siódmej rano, gdy wróciłem do domu. Nikt nie zauważył mojej nieobecności. Musiałem iść do szkoły. Praktycznie wszystko przebiegało najzupełniej normalnie poza tym, że byłem tak zmęczony, iż powieki ciążyły mi przez cały dzień.

Od tamtej pory Falelo Quiroga przysyłał po mnie pana Falcóna dwa, trzy razy w tygodniu, a ja wygrywałem wszystkie partie, w których mnie wystawiał. I dotrzymywał obietnicy – płacił za wszystko, co kupiłem, w tym za posiłki w mojej ulubionej chińskiej restauracji, gdzie chodziłem każdego dnia. Czasem zapraszałem nawet moich przyjaciół, których straszliwie zawstydzałem, wybiegając z krzykiem z restauracji, gdy kelner przynosił rachunek. Byli niezwykle zdumieni tym, że nigdy nie zgłoszono ich na policję za nie zapłaconą konsumpcję.

Największym problemem okazało się to, że nigdy nie przyszło mi do głowy, iż będę musiał spełnić nadzieje i oczekiwania wszystkich ludzi, którzy stawiali na mnie swoje pieniądze. Jednak prawdziwa przeprawa zaczęła się tego dnia, w którym pewien fenomenalny bilardzista z pobliskiego miasta rzucił wyzwanie Falelowi Quirodze i zaproponował zakład na olbrzymią sumę pieniędzy. Noc, kiedy miała się odbyć ta partia, nie wróżyła dobrze. Mój dziadek zachorował i nie mógł zasnąć. Cała rodzina chodziła jak na rozżarzonych węglach. Wyglądało na to, że nikt się nie położy spać. Powątpiewałem, czy mam jakiekolwiek szansę wyrwać się niepostrzeżenie z mojej sypialni, ale gwizdanie i bębnienie kamyków o szybę były tak natarczywe, że zaryzykowałem i skoczyłem z okna w ramiona pana Falcóna.

Odniosłem wrażenie, że w salonie bilardowym zgromadzili się wszyscy mężczyźni z miasteczka. Udręczone twarze milcząco błagały mnie, bym tylko nie przegrał. Niektórzy z bywalców z wielkim przekonaniem mówili mi wprost, że postawili na tę grę swoje domy i cały dobytek. Jeden z nich półżartem powiedział, że postawił w zakładzie swoją żonę; jeżeli nie wygra, tej nocy zostanie albo rogaczem, albo mordercą. Nie wdawał się w szczegóły i nie wyjaśnił, czy miał na myśli zamordowanie

swojej żony, żeby nie zostać rogaczem, czy też mnie za przegranie meczu.

Falelo Quiroga chodził w tę i z powrotem. Wynajął dla mnie masażystę. Chciał, żebym się odprężył. Masażysta obłożył moje ramiona i nadgarstki gorącymi ręcznikami, na czoło zaś przyłożył mi zimny okład. Na stopy założył mi tak wygodne i miękkie buty, jakich jeszcze nigdy w życiu nie nosiłem. Miały twarde, wojskowe pięty i wyprofilowane wkładki. Falelo Quiroga uzupełnił mój strój beretem, by włosy nie spadały mi na twarz, oraz luźnym kombinezonem z paskiem.

Połowa ludzi przy stole bilardowym to byli przyjezdni z innego miasteczka. Wlepiali we mnie swe ciężkie spojrzenia, które mówiły, że życzą mi rychłej śmierci.

Falelo Quiroga rzucił monetą, by ustalić, kto zacznie. Moim przeciwnikiem był Brazylijczyk chińskiego pochodzenia, młody, pucołowaty, bardzo szykowny i pewny siebie. On zaczął i wykonał oszałamiającą liczbę karomów. Z koloru twarzy Falela Quirogi wywnioskowałem, że lada chwila dostanie zawału serca, podobnie zresztą jak wszyscy pozostali, którzy postawili wszystko, co mieli, na mnie.

Grałem tamtej nocy bardzo dobrze i gdy zacząłem doganiać w punktach mojego przeciwnika, zdenerwowanie ludzi, którzy na mnie postawili, osiągnęło szczyt. Falelo Quiroga zachowywał się najbardziej histerycznie. Wydzierał się na wszystkich i kazał otworzyć okna, żebym nie dławił się dymem papierosowym. Zażyczył sobie, żeby masażysta rozma-sował mi ramiona i barki. W końcu musiałem ich wszystkich powstrzymać i w wielkim pośpiechu zrobiłem osiem karomów, których potrzebowałem do wygranej. Euforia ludzi, którzy na mnie postawili, była nie do opisania. Nie zwracałem na to wszystko najmniejszej uwagi, ponieważ był już ranek i musiałem szybko wrócić do domu.

Tego dnia czułem się skrajnie wyczerpany. Falelo Quiroga był bardzo wyrozumiały i nie przysyłał po mnie przez cały tydzień. Jednak pewnego popołudnia pan Falcón odebrał mnie ze szkoły i zabrał do salonu bilardowego. Falelo Quiroga był niezwyczajnie poważny. Nie zaproponował mi nawet kawy ani duńskich ciasteczek. Wyprosił wszystkich ze swojego gabinetu i od razu przeszedł do rzeczy. Przysunął się ze swoim krzesłem bliżej mnie.

– Odłożyłem ci w banku mnóstwo pieniędzy – powiedział bardzo uroczyście. – Dotrzymuję obietnicy, którą ci dałem. Masz moje słowo, że zawsze będziesz pod moją opieką. Dobrze o tym wiesz! A więc jeśli zrobisz teraz to, co ci zaraz powiem, zarobisz tyle pieniędzy, że nie będziesz musiał do końca życia w ogóle pracować. Chciałbym, żebyś przegrał następny mecz różnicą jednego karomu. Wiem, że potrafisz to zrobić. Ale masz chybić tylko o włos. Im bardziej dramatycznie, tym lepiej.

Oniemiałem z wrażenia. Nic z tego nie pojmowałem. Falelo Quiroga powtórzył swoją prośbę, po czym wytłumaczył mi, że zamierza postawić anonimowo wszystko, co ma, na moją przegraną, i że tak wygląda nasza nowa umowa.

– Pan Falcón był twoim stróżem przez całe miesiące – powiedział. – Wystarczy chyba, jeśli powiem, że pan Falcón wkłada wszystkie swoje siły w to, żeby cię ochraniać, ale mógłby równie dobrze robić coś zupełnie odwrotnego z taką samą siłą.

Trudno by było o bardziej oczywistą groźbę. Musiał dostrzec w mojej twarzy przerażenie, bo odprężył się i zaśmiał.

– Ale ty się nie przejmuj takimi sprawami – uspokoił mnie. – W końcu jesteśmy kumplami.

Był to pierwszy raz w moim życiu, gdy znalazłem się na z góry przegranej pozycji. Chciałem ze wszystkich sił uciec od Falela Quirogi, gdyż wzbudzał we mnie ogromny strach. Ale jednocześnie – i równie mocno – chciałem z nim zostać; potrzebowałem tego poczucia, że mogę sobie śmiało kupić wszystko w dowolnym sklepie, śmiało jadać w każdej restauracji, którą tylko sobie wybiorę, i nie muszę płacić. Nigdy jednak nie stanąłem przed koniecznością wyboru pomiędzy tymi dwoma odczuciami.

Zupełnie nieoczekiwanie, przynajmniej dla mnie, mój dziadek wyprowadził się z okolicy, bardzo daleko od miejsca, gdzie mieszkaliśmy. Było to zupełnie tak, jakby wiedział, co się dzieje, i dlatego wysłał mnie w nowe miejsce przed resztą rodziny. Wątpię, czy rzeczywiście wiedział. Miałem wrażenie, że było to jego kolejne przeczucie.

Powrót don Juana przywrócił mnie do rzeczywistości. Straciłem poczucie czasu. Powinienem umierać z głodu, ale wcale nie czułem, że muszę coś zjeść. Przepełniało mnie napięcie nerwowe. Don Juan zapalił lampę naftową i powiesił ją na gwoździu w ścianie. Jej przyćmione światło rozrzucało po

pokoju dziwne, roztańczone cienie. Upłynęła chwila, zanim moje oczy przystosowały się do półmroku. Ogarnął mnie wówczas głęboki smutek. Uczucie to było osobliwie nieosobistą, dalekosiężną tęsknotą, która sączyła się z panującego półmroku; a może pochodziła z poczucia, że jestem w potrzasku. Byłem tak bardzo zmęczony, że chciałem wracać, ale jednocześnie – i równie mocno – chciałem zostać.

Don Juan przywrócił mi nieco kontrolę nad sobą. Jakby znał przyczynę i głębię mojej udręki i dostosował brzmienie swego głosu do okoliczności. Jego surowy ton pomógł mi odzyskać panowanie nad czymś, co z łatwością mogło się przerodzić w histeryczną reakcję wynikającą ze zmęczenia i pobudzenia.

– Przypominanie sobie zdarzeń to dla czarowników coś magicznego – odezwał się. – To widzenie osnowy zdarzeń. To dlatego przypominanie sobie tego wszystkiego jest czymś tak ważnym i niezmierzonym.

Na prośbę don Juana opowiedziałem mu, co sobie przypomniałem.

– Jak pasuje – powiedział i zachichotał z uciechy. – Jedyny mój komentarz do tego może być taki, że wojownicy w podróży dostosowują się do okoliczności. Idą wszędzie, dokąd prowadzi ich impuls. Potęga wojownika w podróży to czujność, to wyzyskanie największego efektu z najmniejszego bodźca. Przede wszystkim zaś jego siła leży w tym, że nie wtyka kija w szprychy. Wydarzenia mają własną moc, własny pęd, a podróżnicy są tylko podróżnikami. Wszystko, co ich otacza, jest przeznaczone tylko dla ich oczu. W taki sposób właśnie podróżnicy dochodzą do sensu każdej sytuacji, nigdy się nie dopytując, jak to czy tamto się stało.

Dzisiaj przypomniałeś sobie wydarzenie, które podsumowuje całe twoje życie – ciągnął don Juan. – Ciągle przydarza ci się sytuacja, która jest dokładnie taka sama jak ta, której nigdy nie rozwiązałeś. Tak naprawdę nigdy nie musiałeś wybierać pomiędzy przyjęciem a odrzuceniem szachrajskiej umowy Falela Quirogi.

Nieskończoność zawsze stawia nas w tak beznadziejnej sytuacji i każe wybierać – kontynuował. – Chcemy nieskończoności, a jednocześnie pragniemy od niej uciec. Masz ochotę mi powiedzieć, bym poszedł się utopić, ale jednocześnie czujesz, że musisz ze mną zostać. Byłoby dla ciebie nieskończenie łatwiej, gdybyś czuł jedynie przymus pozostania ze mną.

Współgranie energii na horyzoncie

Wyrazistość klucza wniosła do mojej rewizji życia nowy impet. Poprzedni nastrój ustąpił miejsca nowemu. Od tamtej pory zacząłem sobie przypominać wydarzenia z mojego życia z zatrważającą wyrazistością. Było to dokładnie tak, jakby gdzieś wewnątrz mnie istniała zapora, która kazała mi trzymać się kurczowo nijakich i niewyraźnych wspomnień, zapora, którą klucz rozkruszył. Przedtem moja pamięć była dla mnie niejasnym odwoływaniem się do tego, co się zdarzyło w przeszłości, choć były to rzeczy, o których wolałem w zasadzie nie pamiętać. W sumie wspominanie czegokolwiek z mojego życia absolutnie mnie nie interesowało. Dlatego też autentycznie nie widziałem żadnego sensu w tym najzupełniej jałowym zadaniu polegającym na “rewidowaniu mojego życia"; praktycznie narzucił mi je don Juan. Była to dla mnie ciężka harówka, która szybko mnie wyczerpywała i nie miała żadnego innego celu poza ukazaniem mi mej niezdolności koncentracji.

Niemniej jednak posłusznie sporządziłem stosowną listę osób i bez ładu i składu zacząłem sobie jakoby przypominać swoje spotkania z nimi. Nie zniechęcało mnie to, że nie potrafiłem przywołać z pamięci ich wyraźnego obrazu. Uważałem to wszystko za swoją powinność i wykonywałem, nie zważając na to, co tak naprawdę czuję. Wraz z nabieraniem wprawy wyrazistość moich wspomnień bardzo wzrosła. Pewne wybrane przez siebie zdarzenia potrafiłem, że tak powiem, nasączyć sporą dozą plastyczności, która była przerażająca i fascynująca zarazem. Kiedy jednak don Juan zapoznał mnie z koncepcją klucza, moja zdolność przypominania nabrała rozmiarów, których nie potrafiłem nazwać.

Zastosowanie listy osób uczyniło z mojej rewizji życia czynność nadzwyczaj formalną i niezwykle wymagającą, tak jak sobie tego życzył don Juan. Od czasu do czasu jednak coś we mnie pękało, coś, co zmuszało mnie do skupienia uwagi na zdarzeniach nie związanych z moją listą, których wyrazistość była tak zatrważająca, że porywały mnie ze sobą i pochłaniały mnie, kto wie, czy nie bardziej niż wówczas, gdy przeżywałem je naprawdę. Za każdym razem, gdy moja rewizja życia przybierała taki obrót, potrafiłem zachować na tyle duży dystans, że dostrzegałem rzeczy, na które nie zwróciłem uwagi wówczas, kiedy znajdowałem się w samym centrum wydarzeń.

Pierwszy raz, kiedy wspomnienie jakiegoś zdarzenia wstrząsnęło mną do głębi, miał miejsce po wygłoszeniu wykładu w pewnym college'u w Oregonie. Studenci, którzy zorganizowali wykład, zabrali mnie i mojego znajomego antropologa do domu, gdzie mieliśmy nocować. Planowałem pojechać do motelu, ale oni nalegali, byśmy dla wygody zgodzili się tam udać. Powiedzieli, że dom leży na uboczu i nie ma tam żadnych hałasów, że jest to najspokojniejsze miejsce na kuli ziemskiej, gdzie nie ma telefonów i nie odczuwa się w ogóle istnienia zewnętrznego świata. Ja zaś byłem głupi i zgodziłem się z nimi zabrać. Don Juan nie tylko mi radził, bym zachowywał się jak samotny wilk, ale wręcz żądał, bym się stosował do tego zalecenia, co w zasadzie mi się udawało, choć zdarzały się sytuacje, kiedy moja stadna natura brała górę.

Członkowie komitetu organizacyjnego zabrali nas do owego domu; należał do pewnego profesora, który przebywał na urlopie naukowym, i był położony dość daleko od Portland. Szybko zapalono światła wewnątrz i na zewnątrz domu, który znajdował się na wzgórzu; był oświetlony z każdej strony i z pewnością widoczny z odległości dziesięciu kilometrów.

Następnie studenci z komitetu rozjechali się przy pierwszej sposobności; zdziwiło mnie to, bo myślałem, że będą chcieli zostać i z nami porozmawiać. Szkielet domu przypominał mały ostry klin, ale budynek był bardzo dobrze wykonany. Miał olbrzymi pokój dzienny, nad którym znajdowała się antresola z sypialnią. Zaraz nad nią, w szczycie dachu, wisiał krucyfiks naturalnej wielkości, podwieszony na osobliwym krętliku wkręconym w głowę figury. Lampy na ścianach były skierowane na krucyfiks. Widok robił duże wrażenie, zwłaszcza wówczas, gdy rzeźba się obracała; powodowało to skrzypienie krętlika, który najwyraźniej domagał się oliwy. Łazienka to była osobna historia. Sufit, ściany i podłogę wyłożono lustrzanymi kafelkami, oświetlenie zaś było czerwonawe. Nie można było tam wejść i nie zobaczyć własnego odbicia z każdej możliwej strony. Bardzo mi się tam wszystko podobało; moim zdaniem dom był rewelacyjny.

Kiedy jednak nadszedł czas spoczynku, okazało się, że mamy z kolegą poważny problem, gdyż w domu znajduje się tylko jedno wąskie, twarde, pustelnicze łóżko, a mój znajomy był u progu gruźlicy; oddech miał świszczący i pluł flegmą za każdym razem, gdy kaszlał. Położył się szybko i natychmiast zasnął. Zacząłem się rozglądać za miejscem do spania, ale nie mogłem niczego znaleźć. Dom był

zupełnie pozbawiony wygód. Poza tym w środku było zimno. Studenci z komitetu organizacyjnego włączyli światło, ale zapomnieli o ogrzewaniu. Zacząłem szukać grzejnika. Moje poszukiwania spełzły na niczym, podobnie jak poszukiwania wyłącznika świateł na ścianach i w ogóle jakiegokolwiek wyłącznika świateł w domu. Na ścianach, co prawda, jakieś zauważyłem, ale wyglądało na to, że ich działanie zostało skasowane przez jakiś główny wyłącznik. Światło paliło się bez przerwy i nie było sposobu na to, żeby je wyłączyć.

Jedynym miejscem do spania, które udało mi się znaleźć, był cienki dywanik, jedyną zaś rzeczą, która nadawała się do przykrycia, była garbowana skóra gigantycznego pudla francuskiego. Najwyraźniej musiał to być kiedyś pies właścicieli domu, którzy postanowili spreparować jego skórę; pudel miał błyszczące czarne oczy i otwarty pysk z wywieszonym językiem. Ułożyłem głowę pudla w okolicach kolan. Drugi koniec skóry sięgał mi do szyi. Czułem twardy ucisk głowy psa pomiędzy kolanami; było to bardzo niepokojące uczucie! Gdyby było ciemno, nie byłoby aż tak źle. Zebrałem kilka ściereczek i zwinąłem je pod głowę. Sporo ich też wykorzystałem do przykrycia skóry psa. Nie mogłem spać przez całą noc.

Wtedy to, gdy tak leżałem i przeklinałem samego siebie w duchu za głupotę i zlekceważenie zalecenia don Juana, po raz pierwszy z zatrważającą wyrazistością przypomniało mi się całe moje życie. Zdarzenie, które don Juan określił mianem klucza, przypomniałem sobie wcześniej równie wyraźnie, ale zawsze miałem tendencję do częściowego ignorowania wszystkiego, co się ze mną dzieje w obecności don Juana; rozumowałem w ten sposób, że przy nim wszystko jest możliwe. Tym razem jednak byłem sam.

Wiele lat przed moim spotkaniem z don Juanem pracowałem jako malarz – wykonywałem obrazy na budynkach. Mój szef nazywał się Luigi Palma. Pewnego razu Luigi dostał zlecenie na namalowanie reklamy sklepu sprzedającego i wypożyczającego suknie i garnitury ślubne; reklama miała się znajdować na tylnej ścianie starego domu. Właściciel sklepu, mieszczącego się w tym właśnie budynku, chciał przyciągnąć uwagę ewentualnych klientów wielką reklamą. Luigi miał namalować pannę młodą i pana młodego, ja zaś miałem się zająć napisami. Weszliśmy na płaski dach i zamontowaliśmy rusztowanie. Byłem bardzo zaniepokojony, choć nie było ku temu żadnych widocznych powodów. Wymalowałem wcześniej dziesiątki takich reklam na wysokich budynkach. Luigi przypuszczał, że zaczynam mieć lęk wysokości, ale mówił, że mi przejdzie. Gdy mieliśmy zabierać się do pracy, Luigi opuścił platformę rusztowania metr poniżej poziomu dachu i wskoczył na deski. Stanął na jednej krawędzi, ja zaś poszedłem na drugą, by mu nie przeszkadzać. Luigi był artystą.

Zaczął się popisywać. Ruchy jego pędzla były tak chaotyczne i gwałtowne, że platforma kołysała w przód i w tył. Poczułem zawroty głowy. Chciałem wejść z powrotem na dach pod pozorem, że potrzebuję więcej farby i materiałów. Chwyciłem się krawędzi ściany okalającej płaski dach i starałem się podciągnąć, ale palce stóp zaklinowały mi się pomiędzy deskami platformy. Usiłowałem przyciągnąć stopy i całą platformę bliżej ściany, lecz im bardziej się starałem, tym dalej odpychałem rusztowanie od ściany. Luigi, zamiast mi pomóc wyswobodzić stopy, usiadł na platformie i zaparł się o liny, które mocowały rusztowanie do dachu. Przeżegnał się i przyglądał mi się z przerażeniem w oczach. Podkurczył kolana i ukląkł, szlochając cicho i odmawiając “Ojcze Nasz".

Trzymałem się krawędzi ściany niczym tonący brzytwy; ogromną siłę i wytrzymałość dawało mi przekonanie, że jeśli będę opanowany, uda mi się powstrzymać platformę przed dalszym odsuwaniem się. Nie miałem zamiaru puścić się krawędzi i spaść trzynaście pięter w dół, zabijając się na miejscu. Luigi, do samego końca wierny swej roli tyrana i ciemiężyciela, zaczął ze łzami w oczach wrzeszczeć na mnie, żebym się modlił. Zaklinał się, że obaj spadniemy i się zabijemy i powinniśmy się przynajmniej zatroszczyć o zbawienie naszych dusz. Przez chwilę zastanawiałem się, czy to się na cokolwiek zda. Wybrałem jednak wołanie o pomoc. Ludzie znajdujący się w budynku musieli usłyszeć moje wrzaski i wezwali straż pożarną. Byłem najzupełniej pewien, że nie minęły więcej niż dwie albo trzy sekundy od chwili, gdy podniosłem alarm, kiedy przyjechali strażacy, wyciągnęli nas na dach i zabezpieczyli rusztowanie.

W rzeczywistości wisiałem tak na krawędzi ściany przez przynajmniej dwadzieścia minut. Kiedy strażacy w końcu mnie uwolnili, straciłem resztki panowania nad sobą. Zwymiotowałem; mdliło mnie ze strachu i od ohydnego fetoru stopionej smoły. Dzień był bardzo gorący i skwar topił smołę, którą pozalepiano pęknięcia w poszyciu dachu. To przejście było dla mnie tak przerażające i żenujące, że nie chciałem go w ogóle pamiętać; skończyło się na tym, że miałem halucynacje o strażakach, którzy wciągnęli mnie do ciepłego, żółtego pokoju, po czym ułożyli w niesamowicie wygodnym łóżku, a ja zasnąłem, bezpieczny, we własnej pidżamie, wybawiony z opresji.

Moje drugie wspomnienie również uderzyło we mnie z niepohamowaną siłą. Rozmawialiśmy

właśnie z kilkoma przyjaciółmi, gdy nagle, bez żadnego wyraźnego powodu, dech w piersiach zaparła mi myśl, wspomnienie; z początku nie wyraźne, po chwili pochłonęło mnie całkowicie. Było to przeżycie tak silne, że musiałem wycofać się w kąt pokoju, przepraszając moich przyjaciół, którzy jakby zrozumieli moją reakcję i bez słowa zostawili mnie samego. Przypomniał mi się incydent, który wydarzył się w ostatnim roku gimnazjum. W drodze do szkoły przechodziliśmy z moim najlepszym przyjacielem obok wielkiego domu, ogrodzonego czarnym płotem z kutego żelaza; płot miał przynajmniej dwa i pół metra wysokości i kończył się u góry zaostrzonymi szpicami. Za ogrodzeniem rozciągał się olbrzymi, zadbany trawnik, po którym biegał wielki, agresywny owczarek niemiecki. Drażniliśmy psa codziennie, doprowadzając do tego, że rzucał się na płot. Fizycznie zatrzymywał się przy żelaznych prętach, ale jego wściekłość zdawała się przenikać ogrodzenie i nas dosięgać. Mój przyjaciel lubował się w codziennym wciąganiu psa w ów pokaz triumfu ducha nad materią. Stawał dziesięć centymetrów od jego pyska, który wystawał spomiędzy prętów ogrodzenia na przynajmniej piętnaście centymetrów, i obnażał zęby dokładnie tak samo jak on.

– Poddaj się, poddaj! – krzyczał za każdym razem mój przyjaciel. – Słuchaj mnie, słuchaj! Jestem potężniejszy od ciebie!

Te codzienne demonstracje siły duchowej, które trwały najmniej pięć minut, nigdy nijak nie wpłynęły na psa, może poza tym, że był jeszcze bardziej rozwścieczony. Do codziennego rytuału mojego przyjaciela należało zapewnianie mnie, że pies albo go usłucha, albo zdechnie na naszych oczach z powodu ataku serca spowodowanego wściekłością. Był on tak bardzo o tym przeświadczony, że sam uwierzyłem, iż lada dzień pies padnie trupem.

Pewnego ranka, gdy przechodziliśmy obok ogrodzenia, psa nie było. Czekaliśmy przez chwilę, lecz zwierzę się nie pokazało. Wtem go spostrzegliśmy; był na końcu olbrzymiego trawnika. Nie zwracał na nas uwagi, więc wolno zaczęliśmy się oddalać. Wówczas kątem oka dostrzegłem, jak pies gna co sił w naszym kierunku. Kiedy był może dwa metry od ogrodzenia, zrobił potężny skok. Byłem przekonany, że rozharata sobie brzuch o spiczaste zwieńczenie ogrodzenia.

Przeskoczył je z wielkim trudem, spadając ciężko na ziemię niczym worek ziemniaków.

Przez chwilę sądziłem, że się zabił, ale on był jedynie oszołomiony. Nagle się podniósł i zamiast ruszyć na tego, kto doprowadził go do takiej wściekłości, rzucił się na mnie. Wskoczyłem na dach samochodu, ale dla takiego psa samochód to była pestka. Rozpędził się i skoczył, niemal mnie dosięgając. Zdążyłem zgramolić się z dachu i wdrapać na pierwsze napotkane drzewo; było to wiotkie drzewko, które z trudem utrzymywało mój ciężar. Byłem pewny, że złamie się wpół, a ja spadnę prosto w paszczę psa, który rozszarpie mnie na kawałki.

Siedząc na drzewie, byłem prawie poza zasięgiem psa. Ale ten znów skoczył i kłapnął paszczą, rozdzierając zębami tylną część moich spodni. Faktycznie lekko zadrapał mi zębami pośladek. Kiedy byłem już bezpieczny, siedząc na samym czubku drzewa, pies zrezygnował. Pobiegł dalej ulicą, być może w poszukiwaniu mojego przyjaciela.

Pielęgniarka w szkolnej przychodni powiedziała mi, że muszę spytać właściciela psa, czy ma świadectwo szczepienia jego przeciwko wściekliźnie.

– Musisz tego dopilnować – przykazała mi surowo. – Już możesz być zarażony. Jeśli właściciel psa odmówi pokazania ci świadectwa, masz prawo wezwać policję.

Zwróciłem się do dozorcy domu, w którym trzymano zwierzę. Oskarżył mnie o podstępne zwabienie na ulicę najcenniejszego psa właściciela, psa z rodowodem.

– Lepiej sobie uważaj, chłopcze! – rzekł do mnie ze złością. – Pies zaginął. Właściciel pośle cię do więzienia, jeżeli nie przestaniesz przysparzać nam kłopotów.

– Ale ja mogę mieć wściekliznę – powiedziałem z nie ukrywanym przerażeniem.

– Gówno mnie to obchodzi, choćbyś nawet dostał syfa – warknął. – Zabieraj się stąd!

– Wezwę policję – odparłem.

– Wzywaj sobie, kogo chcesz – odparował. – Wezwiesz policję, to my ich obrócimy przeciwko tobie. W tym domu mamy takie możliwości.

Uwierzyłem mu, tak więc skłamałem pielęgniarce, że pies się nie znalazł i że nie ma właściciela.

– Mój ty Boże! – wykrzyknęła. – W takim razie przygotuj się na najgorsze. Niewykluczone, że będę musiała wysłać cię do lekarza.

Podała mi długą listę symptomów, na które powinienem być wyczulony i które mogą za jakiś czas

wystąpić. Powiedziała mi, że szczepienia przeciwko wściekliźnie są niezwykle bolesne i że zastrzyki muszą być podawane podskórnie w okolicę brzucha.

– Nie życzyłabym tego mojemu najgorszemu wrogowi – dodała, wpędzając mnie tymi słowami w koszmarny nastrój.

Potem przyszła moja pierwsza prawdziwa depresja. Nie robiłem nic, tylko leżałem w łóżku, czując wszystkie symptomy, które wyliczyła mi pielęgniarka. Doszło do tego, że poszedłem do szkolnej przychodni i błagałem kobietę, żeby zrobiła mi serię zastrzyków przeciwko wściekliźnie, bez względu na to, jak bardzo będzie to bolało. Zrobiłem wielką scenę. Wpadłem w histerię. Nie miałem wścieklizny, ale zupełnie straciłem panowanie nad sobą.

Zrelacjonowałem don Juanowi oba te wspomnienia z najdrobniejszymi szczegółami, niczego nie pomijając. W ogóle ich nie skomentował. Kilkakrotnie pokiwał głową.

– Pamiętam, don Juanie – powiedziałem, sam wyczuwając w swoim głosie nutę napięcia – że w obu przypadkach wpadłem w taką histerię, że aż trudno to sobie wyobrazić. Cały się trząsłem. Miałem mdłości. Nie chcę powiedzieć, że to było tak, jakbym jeszcze raz przeżywał te chwile, ponieważ to nieprawda. Ja je rzeczywiście przeżywałem. A kiedy nie mogłem już tego dłużej znieść, przeskoczyłem z powrotem do mojego teraźniejszego życia. Był to skok w przyszłość. Miałem możność przenoszenia się w czasie. Mój skok w przeszłość nie był gwałtowny; sprawy rozwijały się powoli, tak jak wspomnienia. Dopiero przy końcu skok był rzeczywiście gwałtowny, wtedy, gdy przenosiłem się w przyszłość: do mojego teraźniejszego życia.

– Coś w tobie zaczęło się walić, to bez dwóch zdań – rzekł w końcu. – Waliło się przez cały czas, ale bardzo szybko się naprawiało za każdym razem, gdy zawodziło wsparcie. Teraz mam przeczucie, że wali się na dobre.

Po kolejnej długiej chwili milczenia don Juan wytłumaczył mi, że czarownicy starożytnego Meksyku byli przekonani, że – jak już mi mówił – mamy dwa umysły i tylko jeden z nich jest tak naprawdę naszym własnym umysłem. Zawsze rozumiałem don Juana w ten sposób, że nasz umysł dzieli się na dwie części i jedna z nich jest zawsze niema, gdyż potęga drugiej nie pozwala jej na swobodną ekspresję. Cokolwiek don Juan mówił na ten temat, uznawałem to za metaforyczny sposób wytłumaczenia mi, na przykład, wyraźnej dominacji lewej półkuli mózgu nad prawą lub czegoś podobnego.

– Rewizja życia zawiera w sobie ukrytą opcję – rzekł don Juan – podobnie jak śmierć zawiera w sobie ukrytą opcję, którą wykorzystują tylko czarownicy. W przypadku śmierci oznacza to możność zachowania przez człowieka siły życiowej i zrzeczenie się jedynie świadomości, która jest produktem ich żywota. W przypadku rewizji życia ukryta opcja jest taka, że tylko czarownicy decydują się na polepszenie swych prawdziwych umysłów.

Poruszająca do głębi jakość twych wspomnień – ciągnął – mogła pochodzić jedynie z twojego prawdziwego umysłu. Ten drugi umysł, który wszyscy mamy wspólny, to, powiedziałbym, tani model: siła ekonomii, rozmiar uniwersalny. Ale jest to temat, o którym porozmawiamy kiedy indziej. Teraz w grę wchodzi pojawienie się pewnej siły dezintegrującej. Ale nie jest to siła, która dezintegruje ciebie; nie to chciałem powiedzieć. Jest to siła dezintegrująca obcą instalację, która istnieje w tobie i w każdym człowieku. Działanie owej siły, która zaczyna cię ogarniać, dezintegrując obcą instalację, polega na tym, że czarownik zostaje wypchnięty poza granice języka.

Słuchałem don Juana uważnie, ale nie mogę powiedzieć, iżbym pojął to, co do mnie mówił. Z jakiegoś dziwnego powodu – równie niepojętego, jak przyczyna moich niezwykle plastycznych wspomnień – nie potrafiłem zadać mu żadnego pytania.

– Wiem, jakie to wszystko jest dla ciebie trudne – odezwał się nagle. – Jak trudno ci poradzić sobie z tym aspektem twojego życia. Każdy czarownik, którego znam, przechodził przez to samo. Mężczyźni, których to spotyka, ponoszą nieskończenie dotkliwszą stratę niż kobiety. Przypuszczam, że one są z natury bardziej wytrzymałe. Czarownicy starożytnego Meksyku, działając w grupie, starali się jak tylko mogli wzmocnić działanie owej dezintegrującej siły. W naszych czasach nie mamy sposobności podejmowania działań w grupie, musimy więc przygotować się na to, by w samotności stawić czoło sile, która wymiecie nas poza granice języka, ponieważ nie istnieje żaden sposób adekwatnego opisania tego, co się dzieje.

Don Juan nie mylił się, sądząc, że bezskutecznie poszukiwałem wyjaśnień i sposobów opisania efektów, jakie wywarły na mnie moje wspomnienia. Powiedział mi wcześniej, że czarownicy stykają się z nieznanym w najprostszych i najbardziej powszednich zdarzeniach. Kiedy do tego dochodzi, a oni

nie potrafią zinterpretować tego, co dane jest ich zmysłom, muszą polegać na wskazaniach z zewnątrz. Don Juan nazywał to zewnętrzne źródło nieskończonością albo głosem ducha i mówił, że jeżeli czarownicy nie próbują racjonalizować tego, czego zracjonalizować się nie da, duch bezbłędnie odczyta, co jest czym.

Pod wpływem don Juana przyjąłem koncepcję, że nieskończoność jest siłą obdarzoną głosem i samoświadomością. Zgodnie z tym przekonaniem don Juan przygotowywał mnie do wsłuchiwania się w ten głos i skutecznego działania w każdej sytuacji, nie opierając się jednak na antecedensach, możliwie najmniej korzystając z utartych kolein poczynionych z góry założeń. Niecierpliwie czekałem, aż glos ducha wyjaśni mi znaczenie moich wspomnień, ale nic się nie działo.

Kiedy pewnego dnia byłem w księgarni, rozpoznała mnie jakaś dziewczyna i podeszła, chcąc ze mną porozmawiać. Była wysoka, szczupła i miała głos małej, strachliwej dziewczynki. Próbowałem trochę ją ośmielić, kiedy nagle poczułem brutalne szarpnięcie gwałtownej przemiany energetycznej. Było to tak, jakby w moim wnętrzu włączył się alarm, i tak jak to stało się już przedtem, bez jakiegokolwiek udziału mojej woli przypomniałem sobie jeszcze jedno całkowicie zapomniane zdarzenie z mojego życia. Pochłonęło mnie wspomnienie domu dziadków. Była to prawdziwa lawina obrazów i to tak intensywnych, że poczułem się zupełnie rozbity i raz jeszcze musiałem wycofać się do kąta pomieszczenia. Cały się trząsłem, zupełnie jakbym poczuł nagły strach. Musiałem mieć wtedy osiem lat. Dziadek mówił do mnie. Rozpoczął od tego, że jego twardym obowiązkiem jest skierować mnie na dobrą drogę. Miałem dwóch kuzynów w tym samym wieku co ja: Alfreda i Luisa. Dziadek z wielkim naciskiem powiedział, że muszę przyznać, iż mój kuzyn Alfredo jest naprawdę piękny. Podczas mojej wizji słyszałem ochrypły, ściśnięty głos dziadka:

– Alfredo nie wymaga żadnych rekomendacji – powiedział mi wówczas. – Wystarczy po prostu, że gdzieś się pojawi, a wszystkie drzwi natychmiast staną przed nim otworem, bo wszyscy wyznają kult piękności. Ludzie piękni są lubiani. Zazdrości się im, ale i tak szuka ich towarzystwa. Zapamiętaj, co ci. mówię. Jestem przystojny, no nie?

Szczerze przyznałem dziadkowi rację. Był bez wątpienia mężczyzną bardzo przystojnym, o drobnych kościach, śmiejących się niebieskich oczach i cudnie cyzelowanej twarzy z pięknie ukształtowanymi kośćmi policzkowymi. Wszystkie elementy doskonałe z sobą harmonizowały – nos, usta, oczy, wydatny podbródek. Miał jasne włoski na uszach, które nadawały mu wygląd małego elfa. Wiedział o sobie wszystko i wykorzystywał swoje przymioty do maksimum. Kobiety go uwielbiały – po pierwsze, jak sam mawiał, za to, że jest piękny, po drugie zaś dlatego, że nie czuły się w jego obecności zagrożone. On natomiast, ma się rozumieć, w pełni to wszystko wykorzystywał.

– Twój kuzyn Alfredo jest na wierzchu – ciągnął dziadek. – Nigdy nie będzie musiał wchodzić na przyjęcie na krzywy ryj, bo to on pierwszy się znajdzie na liście zaproszonych. Zauważyłeś kiedyś, jak ludzie zatrzymują się na ulicy, żeby na niego popatrzeć, i jak chcą go dotknąć? Jest tak piękny, że trochę się martwię, że w końcu wyrośnie na dupę wołową, ale to inna historia. Powiedzmy więc, że będzie najbardziej pożądaną w towarzystwie dupą wołową, jaką w życiu spotkałeś.

Dziadek przyrównał do Alfreda mojego drugiego kuzyna, Luisa. Powiedział, że Luis jest przeciętnej urody i trochę przygłupawy, ale serce ma ze złota. Potem przyszła kolej na mnie.

– Jeżeli mamy dalej ciągnąć te wyjaśnienia – rzekł – musisz szczerze przyznać, że Alfredo jest piękny, Luis zaś dobry. A teraz weźmy ciebie; ty nie jesteś ani przystojny, ani dobry. Prawdziwy z ciebie skurczybyk. Nikt cię nie będzie zapraszał na przyjęcia. Musisz się oswoić z myślą, że chcąc być na jakimś przyjęciu, będziesz musiał tam wejść na krzywy ryj. Żadne drzwi nie staną przed tobą otworem, tak jak przed Alfredem dlatego, że jest piękny, albo przed Luisem dlatego, że jest dobry, tak więc będziesz się musiał ładować do środka przez okno.

Jego ocena trzech wnuków była niezwykle trafna; zebrało mi się na płacz, gdy usłyszałem orzeczenie tak dobitne. Im dłużej płakałem, tym bardziej dziadek był zadowolony. Swoją prezentację zakończył napomnieniem, które dobiło mnie do reszty.

– Nie ma powodów do smutku – powiedział – bo nie ma nic bardziej rajcującego od ładowania się gdzieś przez okno. Żeby tego dokonać, musisz być sprytny i mieć się na baczności. Musisz dokładnie wszystko obserwować i być przygotowany na niekończące się upokorzenia.

Jeżeli będziesz zmuszony włazić gdzieś przez okno – ciągnął dziadek – to z tego powodu, że nie jesteś tam w ogóle mile widziany, będziesz więc musiał ostro się napocić, żeby ci pozwolili zostać. Jedyny sposób, jaki znam, to zawładnąć wszystkimi dokoła. Wrzeszcz! Rozkazuj! Doradzaj! Niech poczują, że masz ich w garści! Jak mogą wywalić kogoś, kto ma ich w garści?

Wspomnienie tej sceny wywołało w mojej głowie prawdziwą burzę. Zakopałem ten incydent tak głęboko w pamięci, że całkiem o nim zapomniałem. Zakodowałem sobie jednak jego napomnienie, że powinienem trzymać wszystkich w garści, co przez te wszystkie lata z pewnością powtarzał mi bez końca.

Nie zdążyłem przeanalizować tego wydarzenia ani się nad nim zastanowić, gdyż z równie wielką siłą objawiło mi się kolejne zapomniane zdarzenie z przeszłości. Byłem z dziewczyną, z którą się zaręczyłem. W owym czasie oszczędzaliśmy pieniądze na ślub i kupno własnego domu. Usłyszałem samego siebie, jak mówię jej, że powinniśmy mieć wspólne konto. Nie chciałem słyszeć o innym rozwiązaniu. Czułem nieodpartą potrzebę zrobienia jej wykładu na temat oszczędności. Słyszałem, jak ją pouczam, gdzie ma sobie kupować rzeczy i jakie są najwyższe ceny, które wolno jej zapłacić.

Następnie zobaczyłem siebie, jak udzielam lekcji jazdy samochodem jej młodszej siostrze i po prostu dostaję szału, kiedy mi mówi, że ma zamiar się wyprowadzić z domu rodziców. Zagroziłem jej stanowczo, że przestanę ją uczyć. Zaczęła płakać i wyznała mi, że ma romans ze swoim szefem. Wyskoczyłem z samochodu i zacząłem kopać w drzwi.

To jednak nie było wszystko. Usłyszałem, jak przykazuję ojcu mojej narzeczonej, by się nie przenosił do Oregonu, gdzie chciał się osiedlić. Wydzierałem się na całe gardło, że to bardzo głupie posunięcie. Naprawdę byłem przekonany, że moje argumenty przemawiające przeciwko temu są nie do odparcia. Przedstawiłem mu kalkulację kosztów z dokładnie wyliczoną sumą, którą na tym straci. Gdy zauważyłem, że w ogóle nie zwraca na mnie uwagi, wyszedłem, trzaskając drzwiami, roztrzęsiony z wściekłości. Odnalazłem moją narzeczoną w pokoju gościnnym; grała na gitarze. Wyrwałem ją z jej rąk i wydarłem się na nią, że tuli ją do siebie, zamiast na niej grać, zupełnie jakby była czymś więcej niż martwym przedmiotem.

Moje pragnienie narzucania mojej woli innym przekraczało wszelkie granice. Nie robiłem wyjątku dla nikogo; ktokolwiek znajdował się w pobliżu, był tam po to, bym mógł nim zawładnąć i formować go zgodnie z moimi kaprysami.

Nie musiałem się już zastanawiać nad znaczeniem moich plastycznych wizji. Poczułem absolutną pewność, która spadła na mnie tak, jakby rzeczywiście pochodziła spoza mnie. Poczucie to mówiło mi, że moim słabym punktem jest przekonanie, iż zawsze i wszędzie muszę być tym, kto zasiada na dyrektorskim stołku. Nosiłem w sobie głęboko zakorzenione przeświadczenie, że poza tym, iż zawsze muszę mieć wszystkich w garści, powinienem jeszcze potrafić zapanować nad każdą sytuacją. Moje wychowanie jeszcze tylko wzmocniło tę potrzebę, która już w zalążku musiała być czymś zupełnie arbitralnym, co w mych dorosłych latach przeistoczyło się w głęboko odczuwaną konieczność.

Miałem świadomość i żadnych wątpliwości co do tego, że w grę wchodzi nieskończoność. Don Juan zobrazował ją jako obdarzoną świadomością siłę, która rozmyślnie ingeruje w życie czarowników. Wówczas ingerowała właśnie w moje. Wiedziałem, że nieskończoność – poprzez plastyczne wspomnienia dawno zapomnianych przeżyć – zwraca moją uwagę na siłę i głębię mojego pędu do kontrolowania innych, przygotowując mnie w ten sposób na wydarzenie o transcendentalnym znaczeniu. Byłem przerażony tą całkowitą pewnością, że niedługo coś odbierze mi wszelką sposobność do sprawowania kontroli nad ludźmi i że najbardziej ze wszystkiego potrzeba mi w tym okresie trzeźwości umysłu, płynności oraz zapomnienia się, bym mógł stawić czoło temu, co się do mnie zbliża.

Powiedziałem naturalnie o tym wszystkim don Juanowi, rozwodząc się z lubością na temat moich spekulacji i inspirujących, olśniewających spostrzeżeń na temat ewentualnego znaczenia moich wspomnień. Don Juan roześmiał się życzliwie.

– To wszystko to tylko wybujałe psychologizowanie, twoje pobożne życzenia – powiedział. – Jak zwykle poszukujesz wyjaśnień, odwołując się do zasady liniowości przyczyny i skutku. Każde następne twoje wspomnienie staje się coraz to wyraźniejsze, bo –jak ci już wcześniej mówiłem – rozpocząłeś proces, którego nie da się już odwrócić. Zaczyna się wyłaniać twój prawdziwy umysł, budząc się z letargu, który trwał przez całe życie.

To nieskończoność zabiera się do ciebie – ciągnął. – Bez względu na to, jaką wybierze drogę, by dać ci to do zrozumienia, nie będzie ona miała żadnej innej przyczyny, żadnego innego powodu niż ten właśnie. Powinieneś być jednak przygotowany na ataki nieskończoności. Musisz być nieustannie gotowy do przyjęcia ciosu o potwornej sile. Oto zdrowy, trzeźwy sposób czarowników na stawienie czoła nieskończoności.

Słuchając słów don Juana, miałem w ustach nieprzyjemny posmak. Czułem wręcz ów zbliżający się atak i bardzo się go obawiałem. Jako że całe życie chowałem się za różnymi nieważnymi

zajęciami, całkowicie oddałem się pracy. Prowadziłem wykłady na zajęciach prowadzonych przez moich znajomych w różnych szkołach w południowej Kalifornii. Bardzo wiele pisałem. Mogę bez cienia przesady powiedzieć, że wyrzuciłem do kosza dziesiątki rękopisów dlatego, że nie spełniały pewnego nieodzownego warunku, który don Juan opisał mi kiedyś jako cechę znamionującą wszystko, co może zostać zaakceptowane przez nieskończoność.

Powiedział mi wówczas, że wszystko, co robię, powinno być aktem magicznym. Aktem wolnym od zaborczości rosnących oczekiwań, strachu o przyszłość, nadziei na sukces. Wolnym od kultu Ja; wszystko, co robię, powinno być improwizacją, czystą magią, możliwą dzięki otwarciu się na impulsy nieskończoności.

Pewnego wieczoru siedziałem przy swoim biurku, przygotowując się do codziennej pisaniny. Przez chwilę czułem się trochę otępiały. Pomyślałem, że moje zamroczenie wynika z tego, że zbyt szybko powstałem z maty, na której wykonywałem ćwiczenia. Oczy zaszły mi mgłą. Ujrzałem żółte plamy. Myślałem, że zemdleję. Poczułem się jeszcze gorzej. Przed sobą miałem olbrzymią czerwoną plamę. Zacząłem głęboko oddychać, starając się uspokoić i stłumić pobudzenie nerwowe, spowodowane zaburzeniem widzenia. Ogarnął mnie nadzwyczajny spokój; zauważyłem, że otacza mnie nieprzenikniona ciemność. Przez głowę przebiegła mi myśl, że zasłabłem. Mimo to czułem, że siedzę na krześle, że dotykam biurka; w głębi otaczającego mnie mroku wyczuwałem wszystko, co było wokół mnie.

Don Juan powiedział mi kiedyś, że czarownicy jego linii za jeden z najbardziej pożądanych skutków działania wewnętrznej ciszy uważali szczególne współgranie energii, którego zapowiedzią jest zawsze silne wzruszenie. W jego mniemaniu, moje wspomnienia powinny pobudzić mnie do granic wytrzymałości nerwowej, bo w tym stanie mogłem na własnej skórze doświadczyć owego współgrania energii. Manifestuje się ono jako gra odcieni kolorów, nakładająca się na dowolny horyzont w normalnym świecie, czy to będzie góra, niebo, ściana, czy po prostu własne dłonie. Wyjaśnił mi kiedyś, że to współgranie odcieni rozpoczyna się od pojawienia się na horyzoncie efemerycznej smugi koloru lawendy. Potem lawendowa smuga zaczyna się rozszerzać, aż pokrywa cały widnokrąg niczym nadchodzące chmury burzowe.

Mówił z wielkim przekonaniem o tym, że przed oczyma pojawia się dziwaczna plama o głębokim, granatowo-czerwonym kolorze, która rozlewa się niejako z lawendowych chmur. Powiedział, że wraz z nabieraniem przez czarowników doświadczenia i dyscypliny owa granatowo-czerwona plama rozszerza się coraz bardziej, aż w końcu jakby eksploduje, przeistaczając się w myśli albo wizje, a w przypadku człowieka piśmiennego – w słowo pisane; czarownicy albo mają generowane przez energię wizje, albo słyszą wyrażane w słowach myśli, albo też odczytują napisy.

Tamtej nocy, kiedy siedziałem przy moim biurku, nie widziałem żadnych lawendowych smug ani nadciągających chmur. Byłem pewien, że nie jestem na tyle zdyscyplinowany, by tak jak czarownicy móc dostrzec owo współgranie energii; jednak miałem przed oczyma olbrzymią granatowo-czerwona plamę. Zupełnie nieoczekiwanie owa olbrzymia plama eksplodowała, przemieniając się w nie związane z sobą słowa, które mogłem odczytywać zupełnie tak, jakby zostały napisane na kartce papieru wychodzącej z maszyny do pisania. Słowa przebiegały przede mną z tak niesamowitą szybkością, że przeczytanie ich było absolutną niemożliwością. Następnie usłyszałem jakiś głos, który coś mi opisywał. I tym razem szybkość wypowiadanych słów była dla mnie zbyt duża. Wypowiedzi były nieskładne, co uniemożliwiało mi wyłapanie czegoś, co miałoby jakikolwiek sens.

Jakby nie dość tego, zacząłem widzieć koszmarne sceny, jak w majakach po przejedzeniu. Były barokowe, mroczne, złowieszcze. Zacząłem wirować i trwało to tak długo, aż w końcu zrobiło mi się niedobrze. Wówczas wszystko się urwało. Nie wiedziałem, co mi się przydarzyło, ale czułem skutki tego każdym mięśniem ciała. Byłem wyczerpany. Ta brutalna ingerencja w moje życie wewnętrzne rozzłościła mnie i zaniepokoiła.

Pospiesznie pojechałem do domu don Juana, by opowiedzieć mu o całym zajściu. Przeczuwałem, że bardziej niż kiedykolwiek będę potrzebował jego pomocy.

– Czarownicy i magia nie mają w sobie nic delikatnego – skomentował don Juan po wysłuchaniu mojej opowieści. – Nieskończoność spadła w ten sposób na ciebie po raz pierwszy. Była niczym huragan. Całkowite opanowanie twoich zmysłów. Jeśli zaś chodzi o szybkość twoich wizji, będziesz się musiał nauczyć, jak się do niej przystosować. Niektórym czarownikom ta nauka zabiera całe życie. Ale od tej pory energia będzie ci się jawić tak, jakby była wyświetlana na ekranie w kinie.

To, czy rozumiesz, co jest wyświetlane – ciągnął – to już inna rzecz. Trafna interpretacja wymaga doświadczenia. Moje zalecenie jest takie, że nie powinieneś się ociągać, tylko zacząć od zaraz. Czytaj

energię na ścianie! Zaczyna się wyłaniać twój prawdziwy umysł i nie ma on nic wspólnego z tym, który jest obcą instalacją. Niech twój prawdziwy umysł wyreguluje prędkość. Ty bądź cicho i się nie denerwuj, choćby nie wiadomo co się działo.

– Ale, don Juanie, czy to wszystko jest możliwe? Czy faktycznie można odczytywać energię, tak jakby była napisem na ścianie? – zapytałem, oszołomiony taką koncepcją.

– Oczywiście, że jest możliwe! – odrzekł ostro. – W twoim przypadku to nie tylko możliwość; to po prostu fakt.

– Ale dlaczego czytanie napisu? – chciałem wiedzieć, choć pytanie było retoryczne.

– To taka pretensjonalność z twojej strony – odrzekł.

Jeżeli coś czytasz, potrafisz powtórzyć to słowo w słowo. Gdybyś jednak zamiast być czytającym nieskończoność, starał się być widzącym nieskończoność, spostrzegłbyś, że wygadujesz bzdury, bo nie jesteś zdolny zwerbalizować swoich przeżyć. Tak samo, gdybyś usiłował to usłyszeć. Jest to, oczywiście, twoja cecha charakterystyczna. Tak czy owak, wybór należy do nieskończoności. Wojownik w podróży jedynie się jej podporządkowuje.

Nade wszystko jednak – dodał po wystudiowanej pauzie – nie daj się przytłoczyć takim zdarzeniom tylko dlatego, że nie potrafisz ich opisać. To są przeżycia spoza granic języka.

Podróże po mrocznym morzu świadomości

– Możemy teraz porozmawiać o wewnętrznej ciszy nieco jaśniej – odezwał się don Juan.

Jego słowa były tak nieoczekiwane, że aż podskoczyłem. Przez całe popołudnie opowiadał mi o ciężkim losie, który stał się udziałem Indian Yaqui po wielkich wojnach w latach dwudziestych, kiedy to meksykański rząd deportował ich z ojczystych terenów w stanie Sonora w północnym Meksyku na plantacje trzciny cukrowej w środkowej i południowej części kraju. Rząd meksykański miał problemy z Indianami Yaqui, z którymi od lat toczył wojny na ich terytorium. Don Juan opowiedział mi kilka niewiarygodnych ponurych historii indiańskich o intrygach politycznych i zdradzie, ucisku i ludzkiej nędzy.

Miałem wrażenie, że mnie do czegoś przygotowuje, wiedział bowiem, iż podobne historie to niejako mój konik. W owym czasie miałem nadmiernie rozbudzone poczucie sprawiedliwości społecznej i uczciwego postępowania.

– Okoliczności twojego życia umożliwiły ci zdobycie większej ilości energii – ciągnął don Juan. – Rozpocząłeś rewizję swojego życia; po raz pierwszy spojrzałeś na swoich przyjaciół tak, jakby stali na wystawie; doszedłeś do momentu załamania, zupełnie samodzielnie, wiedziony własnymi potrzebami; zlikwidowałeś swoją firmę; nade wszystko zaś zgromadziłeś dość wewnętrznej ciszy. Wszystko to umożliwiło ci odbycie podróży po mrocznym morzu świadomości.

Twoje spotkanie ze mną w umówionym miasteczku było tą właśnie podróżą – ciągnął. – Wiem, że niemal przebiło się na powierzchnię pewne zasadnicze pytanie i że przez jedną krótką chwilę zastanawiałeś się, czy naprawdę przyszedłem do twojego mieszkania. To, że zjawiłem się u ciebie, nie było snem. Byłem rzeczywisty, prawda?

– Byłeś tak rzeczywisty, jak to tylko możliwe – odpowiedziałem.

Niemal zapomniałem o tych wydarzeniach, ale przypomniałem sobie, że rzeczywiście wydało mi się dziwne, iż znalazł moje mieszkanie. Nie dopuściłem do siebie osłupienia, gdyż najzwyczajniej w świecie przyjąłem, że spytał kogoś o mój adres, aczkolwiek gdyby ktoś nalegał, bym ujawnił tożsamość osoby, która wiedziała, gdzie mieszkam, nie potrafiłbym tego zrobić.

– Wyjaśnijmy to sobie – kontynuował. – W moim rozumieniu, zbieżnym ze stanowiskiem czarowników starożytnego Meksyku, byłem tak rzeczywisty jak to tylko możliwe, i pod taką postacią faktycznie przyszedłem do ciebie z mojej wewnętrznej ciszy, by opowiedzieć ci o wymogu nieskończoności i ostrzec, że lada chwila twój czas dobiegnie końca. Ty zaś z kolei ze swej wewnętrznej ciszy rzeczywiście udałeś się do umówionego miasteczka, by mi powiedzieć, że udało ci się wypełnić wymóg nieskończoności.

W twoim rozumieniu, właściwym dla przeciętnego człowieka, w obu przypadkach w grę wchodził sen. Śniło ci się najpierw, że przyszedłem do ciebie, nie znając twojego adresu, a potem, że spotkałeś się ze mną. Jeśli chodzi o mnie, czarownika, to, co ty uważasz za sen, w którym spotkałeś mnie w tamtym miasteczku, dla mnie było równie rzeczywiste jak nasza dzisiejsza rozmowa.

Wyznałem don Juanowi, że nie istnieje żadna możliwość ujęcia tych wydarzeń w ramy rozumowania właściwe człowiekowi Zachodu. Powiedziałem, że traktowanie ich jako snów oznaczałoby stworzenie fałszywej kategorii, która nie przetrzymałaby rzetelnej analizy, i że jedynym wytłumaczeniem, które mogło ewentualnie wchodzić w rachubę, był inny aspekt jego wiedzy: śnienie:

– Nie, to nie jest śnienie – odrzekł z naciskiem. – Jest to coś bardziej bezpośredniego i bardziej jeszcze tajemniczego. A tak przy okazji, mam dzisiaj dla ciebie nową definicję śnienia, bardziej pasującą do twojego obecnego stanu. Śnienie to akt zmiany punktu przyłączenia do mrocznego morza świadomości. Jeżeli patrzysz na to w ten sposób, jest to bardzo prosta koncepcja i bardzo prosty manewr. Musisz się bardzo postarać, żeby to sobie uzmysłowić, ale nie jest to rzecz niemożliwa ani spowita gęstymi chmurami mistycyzmu.

Śnienie jest określeniem, które mnie zawsze cholernie wkurzało – ciągnął – ponieważ osłabia akt o potężnej mocy. Nadaje mu pozór arbitralności, posmak fantazjowania, a jest to jedyna rzecz, która nie wchodzi tu w rachubę. Starałem się zmienić to określenie, ale za bardzo się ugruntowało. Być może któregoś dnia ty będziesz mógł to zrobić, chociaż obawiam się, że – tak jak ze wszystkim w magii – do czasu, gdy faktycznie będzie to możliwe, będziesz miał to już głęboko gdzieś, bo nazwa nie będzie

miała dla ciebie absolutnie żadnego znaczenia.

Przez cały czas naszej znajomości don Juan obszernie mi wyjaśniał, że śnienie jest sztuką odkrytą przez czarowników starożytnego Meksyku, dzięki której zwykłe sny zostają przekształcone w prawdziwe bramy do innych światów postrzegania. Jak tylko mógł, starał się rozbudzić we mnie coś, co nazywał uwagą śnienia, która oznaczała zdolność do zwracania szczególnego rodzaju uwagi czy szczególnego rodzaju uświadamiania sobie istnienia elementów normalnego snu.

Później drobiazgowo stosowałem się do wszystkich jego zaleceń i udało mi się zapanować nad moją świadomością na tyle, że pozostawała ona skupiona na elementach moich snów. Według koncepcji don Juana, nie chodziło w tym o to, by nastawiać się świadomie na określony sen, lecz o to, by skupiać swoją uwagę na składnikach dowolnego snu, który akurat się przyśnił.

Następnie don Juan pokazał mi, co czarownicy starożytnego Meksyku uważali, w ujęciu energetycznym, za pochodzenie śnienia: przemieszczenie punktu połączenia. Powiedział mi, że punkt połączenia przemieszcza się bardzo naturalnie podczas snu, lecz widzenie takiego przemieszczenia jest nieco kłopotliwe, ponieważ wymaga agresywnego nastroju. Taki nastrój był specjalnością czarowników starożytnego Meksyku. Według don Juana, odkryli oni wszystkie założenia magii właśnie dzięki takiemu nastrojowi.

– To bardzo drapieżczy nastrój – ciągnął don Juan. – Wcale nietrudno go osiągnąć, gdyż człowiek z natury jest drapieżcą. Mogłeś w taki agresywny sposób widzieć każdego w tej małej wiosce, a może nawet kogoś z odległych stron, podczas snu; każdy by się nadał do tego celu. Ważne jest to, że osiągasz poczucie pełnej obojętności. Czegoś poszukujesz i robisz wszystko, żeby to zdobyć. Zamierzasz wyruszyć na łowy i kogoś wytropić, skradając się jak kot, jak drapieżnik, by potem spaść na niego.

Wcześniej don Juan powiedział mi, śmiejąc się z mojego wyraźnego rozgoryczenia, że trudnością w owej technice jest ten właśnie nastrój i że nie mogę być bierny podczas widzenia, gdyż to, co się widzi, nie jest obiektem oglądu, lecz przedmiotem oddziaływania. Być może sprawiła to siła jego sugestii, ale tamtego dnia, kiedy powiedział mi o tym wszystkim, czułem się zdumiewająco agresywny. Każdy mięsień mojego ciała był przepełniony energią i ćwicząc śnienie, rzeczywiście kogoś sobie upatrzyłem. Nie interesowało mnie, kim ta osoba będzie. Potrzebowałem kogoś pogrążonego we śnie i jakaś siła, którą czułem, choć nie ogarniałem jej w pełni moją świadomością, skierowała mnie do takiej osoby.

Nie wiem, kim okazał się ów człowiek, ale gdy go widziałem, czułem obecność don Juana. Było to dziwne wrażenie; wiedziałem, że ktoś jest tam ze mną, gdyż w nieokreślony bliżej sposób czułem czyjąś bliskość na poziomie świadomości absolutnie mi nie znanej z dotychczasowych doświadczeń. Mogłem jedynie skupić uwagę na odpoczywającym człowieku. Wiedziałem, że to mężczyzna, ale nie wiedziałem, skąd o tym wiem. Wiedziałem, że śpi, ponieważ kula energii, zwyczajowy obraz człowieka, była nieco rozpłaszczona na boki.

A potem dostrzegłem punkt połączenia w miejscu, które nie jest jego normalnym położeniem, tuż za łopatkami. U tamtego człowieka był on przesunięty na prawo od miejsca, gdzie powinien się znajdować; był też nieco niżej. Obliczyłem sobie, że w takim razie przesunął się w okolice skraju żeber. Oprócz tego zauważyłem, że nie jest on stabilny. Podlegał chaotycznym wahnięciom, po czym gwałtownie powracał do normalnego położenia. Miałem wyraźne odczucie, że moja i don Juana obecność najwyraźniej go obudziła. Zaraz potem zalał mnie potop rozmytych obrazów, po czym obudziłem się tam, gdzie rozpocząłem ćwiczenie.

Don Juan powtarzał mi również przez cały czas, że czarownicy dzielą się na dwie grupy: jedną stanowią śniący, drugą zaś zwiadowcy. Do śniących należą ci, którzy potrafią z niezwykłą łatwością przemieszczać punkt połączenia. Do zwiadowców należą ci, którzy potrafią bez trudu utrzymywać punkt połączenia nieruchomo w nowym położeniu. Śniący i zwiadowcy dopełniają się wzajemnie i pracują w parach, łącząc swe umiejętności.

Don Juan zapewniał mnie, że czarownicy, dzięki swej żelaznej dyscyplinie, mogą przemieszczać i unieruchamiać punkt połączenia za pomocą woli. Powiedział, że czarownicy jego linii byli przekonani, iż w obrębie świetlistej sfery człowieka istnieje przynajmniej sześćset punktów, które dzięki sile woli czarownika są dostępne dla punktu połączenia, dając całkowicie samowystarczalny, kompletny świat; oznacza to, że jeżeli nasz punkt połączenia zostanie przemieszczony do jednego z tych punktów i pozostanie w nim nieruchomo, będziemy postrzegać świat równie samowystarczalny i całkowity co nasz świat powszedni, lecz mimo to zupełnie odmienny.

Dalej don Juan wyjaśnił mi, że sztuka magii polega na świadomej manipulacji punktem połączenia,

przez co wymusza się zmianę jego położenia w obrębie świetlistej sfery człowieka. Rezultatem takiej manipulacji jest zmiana punktu styczności z mrocznym morzem świadomości, co prowadzi do skupienia się w punkcie połączenia innej niż zwykle wiązki tryliardów pól energetycznych pod postacią świetlistych włókien. Konsekwencją zgromadzenia się na punkcie połączenia nowego skupiska pól energii jest uaktywnienie się świadomości odmiennego rodzaju niż ta, która jest niezbędna do postrzegania świata na co dzień; przekształca ona nowe pola energii w bodźce zmysłowe, które są interpretowane i postrzegane jako odmienny świat, gdyż generujące go pola energetyczne są różne od tych, które zazwyczaj się skupiają – w punkcie połączenia.

Don Juan orzekł, że trafną definicją magii jako zespołu pewnych praktyk byłoby twierdzenie, że magia jest manipulacją punktem połączenia w celu zmiany ogniskowej kontaktu z mrocznym morzem świadomości, a co za tym idzie, umożliwienia postrzegania odmiennych światów.

Powiedział mi wcześniej, że sztuka zwiadowców uwidacznia się po przemieszczeniu punktu połączenia. Nieruchome utrzymanie punktu połączenia w nowym położeniu daje czarownikom pewność, że będą postrzegać nowy świat, do którego wstąpią, w całej jego pełni, dokładnie tak samo, jak dzieje się ze światem naszych powszednich spraw. Dla czarowników linii don Juana nasz codzienny świat był zaledwie jedną z co najmniej sześciuset warstw wielkiego, kompletnego świata.

Don Juan powrócił do omawianego przez nas tematu: do moich podróży po mrocznym morzu świadomości', powiedział, że to, czego dokonałem z mojej wewnętrznej ciszy, było bardzo podobne do tego, czego dokonuje się w śnieniu, kiedy się śpi. Jednakże w czasie podróżowania po mrocznym morzu świadomości nie występują żadne zakłócenia spowodowane zaśnięciem; nie ma też absolutnie żadnych prób kontrolowania własnej uwagi podczas dziania się snu. Podróż po mrocznym morzu świadomości zakłada wystąpienie natychmiastowej reakcji. Ma się przemożne poczucie bycia tu i teraz. Don Juan ubolewał nad tym, że jacyś zidiociali czarownicy nadali aktowi bezpośredniego osiągnięcia mrocznego morza świadomości nazwę śnienia na jawie, czyniąc z określenia “śnienie" termin jeszcze bardziej śmieszny.

– Kiedy ci się wydawało, że śniło ci się, że udałeś się do umówionego miasteczka – ciągnął don Juan – tak naprawdę umieściłeś swój punkt połączenia bezpośrednio w określonym miejscu mrocznego morza świadomości, które zezwala na odbycie takiej podróży. Następnie mroczne morze świadomości wyposażyło cię we wszystko, co niezbędne do odbycia twojej podróży. Nie ma absolutnie żadnego sposobu świadomego wybrania sobie tego miejsca. Czarownicy mawiają, że wewnętrzna cisza sama go bezbłędnie wybiera. Proste, co?

Następnie tłumaczył mi problem wyboru. Powiedział, że dla wojowników w podróży wybór nie jest tak naprawdę aktem ich woli, a raczej aktem eleganckiego poddania się sugestiom nieskończoności.

– To nieskończoność wybiera – powiedział. – Sztuka wojownika w podróży polega na opanowaniu umiejętności podążania za najmniejszą nawet podpowiedzią; jest to sztuka poddania się każdemu nakazowi nieskończoności. Potrzeba do tego ogromnego męstwa, siły, a nade wszystko zaś trzeźwości umysłu. Te trzy czynniki razem wzięte dają w sumie właśnie elegancję!

Po chwili przerwy powróciłem do kwestii, która najbardziej mnie zaintrygowała.

– Ale to niewiarygodne, don Juanie, że faktycznie byłem w tamtym miasteczku, ciałem i duszą! – powiedziałem.

– To niewiarygodne, ale nie niemożliwe – odrzekł. – Wszechświat nie ma granic i doprawdy nie sposób ogarnąć umysłem wszystkich wchodzących w grę możliwości w całym jego bezkresie. Tak więc nie wpadaj w pułapkę aksjomatu “wierzę tylko w to, co widzę", bo jest to najgłupsze stanowisko, jakie tylko można przyjąć.

Wyjaśnienia don Juana były najzupełniej jasne. Brzmiały sensownie, choć nie wiedziałem, gdzie tego sensu szukać; z pewnością nie w mym codziennym świecie przyziemnych spraw. Wówczas don Juan z wielką pewnością w głosie oświadczył – czym wywołał we mnie dreszcz zaniepokojenia – że czarownicy znają tylko jeden sposób przyswojenia sobie wszystkich tych informacji: trzeba je sprawdzić na własnej skórze, gdyż umysł nie jest w stanie wchłonąć tak ogromnego pobudzenia.

– Co mam zrobić, don Juanie? – zapytałem.

– Musisz świadomie wybierać się w podróże po mrocznym morzu świadomości – odparł – ale nigdy się nie dowiesz, jak się to robi. Powiedzmy, że robi to wewnętrzna cisza, podążając niepojętymi ścieżkami, których nie można ogarnąć, a jedynie się ich trzymać.

Kazał mi usiąść na moim łóżku i przyjąć pozycję, która sprzyjała nastaniu wewnętrznej ciszy.

Zazwyczaj natychmiast po jej przyjęciu zasypiałem. Kiedy jednak byłem z don Juanem, jego obecność nie pozwalała mi zasnąć; zamiast tego osiągałem stan głębokiego, pełnego wyciszenia. Tym razem, po chwili ciszy, spostrzegłem, że idę. Don Juan mnie prowadził, trzymając za ramię.

Nie byliśmy już u niego w domu; spacerowaliśmy po miasteczku zamieszkałym przez Indian Yaqui, w którym nigdy jeszcze nie byłem. Wiedziałem, że to miasteczko istnieje naprawdę; niejednokrotnie byłem w pobliżu, ale wrogość zamieszkującej te okolice ludności zmuszała mnie do zawrócenia z drogi. Była to osada, do której wstęp był dla kogoś obcego rzeczą nieomal niemożliwą. Jedynymi ludźmi spoza plemienia Yaqui, którzy mogli swobodnie do niego przyjeżdżać, byli inspektorzy banku federalnego, a to za sprawą faktu, że bank kupował zboże od okolicznych farmerów. Nie kończące się negocjacje Indian Yaqui koncentrowały się wokół przydzielania im przez bank zaliczek w oparciu o ogólnikowe prognozy jakości nadchodzących zbiorów.

Od razu rozpoznałem miasteczko z opisów ludzi, którzy w nim byli. Moje zdumienie jeszcze wzrosło, gdy don Juan wyszeptał mi do ucha, że jesteśmy w tym właśnie miasteczku. Chciałem go zapytać, jak się tu dostaliśmy, ale nie mogłem wypowiedzieć ani jednego słowa. Dokoła nas kręciło się mnóstwo Indian kłócących się ze sobą; wydawało się, że w miasteczku wrze jak w ulu. Nie rozumiałem ani słowa z tego, co mówiono, ale w momencie, gdy sformułowałem tę myśl, rozjaśniło mi się w głowie. Odniosłem wrażenie, jakby scenę oświetliło dodatkowe światło. Wszystko nabrało ostrości i ładu i zacząłem rozumieć, co mówią Indianie, chociaż nie wiedziałem, jakim sposobem; nie znałem ich języka. Wyraźnie rozumiałem ich słowa, nie pojedynczo, ale w zbitkach, tak jakby mój umysł nabrał zdolności wychwytywania całych konstrukcji myślowych.

Szczerze przyznam, że przeżyłem tam największy szok w moim życiu, nie tyle dlatego, że rozumiałem, co oni mówią, ile z powodu treści ich rozmów. Ludzie ci byli rzeczywiście bardzo wojowniczy. Nie byli to absolutnie ludzie pokroju człowieka Zachodu. Ich wypowiedzi koncentrowały się na konflikcie, na prowadzeniu wojny, na strategii. Szacowali własne siły, potencjał bojowy, i ubolewali nad tym, że nie mają absolutnie żadnej możności wcielenia w życie swoich zamierzeń. Moje ciało przeszyła udręka ich niemocy. Najnowocześniejszej broni mogli przeciwstawić jedynie pałki i kamienie. Byli rozżaleni tym, że nie mają przywódców. Bardziej niż czegokolwiek innego na świecie pożądali pojawienia się na arenie jakiegoś charyzmatycznego wojownika, który by nimi wstrząsnął i zmobilizował do działania.

Nagle podniósł się cyniczny głos; jeden z Indian wyraził myśl, która najwyraźniej dobiła wszystkich zgromadzonych, nie wyłączając mnie samego; czułem się z nimi nierozerwalnie związany. Indianin powiedział, że zostaliśmy pokonani i nie ma dla nas żadnego ratunku, bo gdyby w którymś momencie jeden spośród nas siłą swej charyzmy wybił się ponad wszystkich i mobilizował resztę do walki, zostałby zdradzony z powodu zazdrości, zawiści i urażonej dumy pozostałych.

Chciałem powiedzieć coś don Juanowi o tym, co się dzieje, ale nie byłem w stanie wydobyć z siebie żadnego słowa. Tylko don Juan mógł mówić.

– Indianie Yaqui nie są wyjątkowi w swej małostkowości – powiedział mi do ucha. – W taki właśnie stan popadli ludzie, stan, który nie jest nawet charakterystyczny dla człowieka, bo został mu narzucony z zewnątrz.

Czułem, jak usta otwierają mi się i zamykają bezwolnie, gdy próbowałem desperacko zadać pytanie, które nawet nie przychodziło mi do głowy. Umysł miałem pusty, wypróżniony ze wszelkich myśli. Don Juan i ja znajdowaliśmy się w środku grupki ludzi, żaden z nich jednak jakby nas nie zauważył. Nie spostrzegłem żadnego ruchu, żadnej reakcji ani ukradkowego nawet spojrzenia, które mogłoby wskazywać na to, że zdawali sobie sprawę z naszej obecności.

W następnej chwili spostrzegłem, że jestem w jednym z meksykańskich miasteczek, wybudowanych na szlaku kolei; było oddalone o około dwa i pół kilometra na wschód od domu don Juana. Don Juan i ja staliśmy na środku ulicy przy banku państwowym. Zaraz potem ujrzałem bodaj najdziwniejszy widok, jaki kiedykolwiek dane mi było oglądać w świecie don Juana. Zobaczyłem energię w jej ruchu we wszechświecie, lecz nie zobaczyłem ludzi po postacią kulistych czy prostokątnych bąbli energii. Ci, którzy mnie otaczali, byli w jednej chwili normalnymi ludźmi z powszedniego świata, w następnej zaś bardzo dziwnymi stworzeniami. Wyglądało to tak, jakby kula energii – normalny obraz człowieka – była przezroczysta, podobna do aureoli otaczającej przywodzący na myśl owada rdzeń. Rdzeń ów nie przypominał kształtem istoty z rzędu naczelnych. Nie było w nim żadnych części szkieletowych, tak więc nie widziałem tych ludzi tak, jak się ogląda zdjęcia rentgenowskie, na których widać kościec człowieka. Rdzeń tych ludzi stanowiły raczej figury geometryczne zbudowane z czegoś, co wyglądało jak bardzo gęsta wibracja materii. Rdzeń

przypominał litery alfabetu – główny szkielet konstrukcji stanowiła duża litera “T". Przed nią zawieszona była gruba, odwrócona litera “L"; u podstawy pionowej kreski litery “T" znajdowała się grecka “delta", która sięgała niemal samego podłoża i stanowiła podporę całej konstrukcji. Na górze litery “T" dostrzegłem coś, co przypominało linę o średnicy może jednego cala; lina przebijała czubek świetlistej sfery, nadając mojej wizji wygląd gigantycznego paciorka, ciężkiego klejnotu, wiszącego sobie swobodnie na łańcuszku.

Kiedyś don Juan opisał mi metaforycznie energetyczną unię łączącą wiązki istot ludzkich. Powiedział mi wówczas, że czarownicy starożytnego Meksyku opisywali te wiązki jako zasłonę wykonaną z paciorków nanizanych na sznurek. Brałem ten opis dosłownie i sądziłem, że sznurek ten przechodzi przez skupisko pól energii, z których składa się człowiek, od samej góry do dołu. Ów łączący sznurek, który *widziałem*, bardziej nadawał okrągłej konfiguracji pól energetycznych człowieka wygląd wisiorka. Nie *widziałem* jednak żadnej innej istoty, która byłaby nanizana na ten sam sznurek. Wszystkie istoty, które *widziałem*, były istotami o geometrycznym układzie z niby-liną w górnej części sferycznej aureoli. Ta lina uparcie przywodziła mi na myśl kanciaste zygzaki, jakie niektórzy z nas widzą, gdy zmrużą powieki.

Don Juan i ja przeszliśmy miasteczko od jednego jego końca do drugiego i widziałem dosłownie dziesiątki istot o takim geometrycznym układzie. Moja zdolność widzenia ich była niezwykle rozchwiana. Przez chwilę je *widziałem*, po czym traciłem wizję i miałem przed sobą zwykłych ludzi.

Moje siły szybko się wyczerpały i mogłem dostrzec już tylko ludzi w ich zwykłej postaci. Don Juan powiedział, że czas wracać do domu i po raz kolejny coś we mnie zatraciło zazwyczaj dobre poczucie ciągłości. Znalazłem się w domu don Juana, nie mając najmniejszego pojęcia, w jaki sposób pokonałem drogę dzielącą miasteczko od jego domu. Położyłem się na łóżku i usilnie starałem się sobie przypomnieć, co się wydarzyło, przywołać z pamięci jakieś wspomnienie, badając najgłębsze pokłady mojej świadomości w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, w jaki sposób dostałem się do tamtego indiańskiego miasteczka i miasteczka przy stacji kolejowej. Nie wierzyłem, że mógł to być sen, gdyż sceny były tak szczegółowe, że nie mogły być nierealne; pomimo to w żaden sposób nie mogły być jednak rzeczywiste.

– Tracisz tylko czas – odezwał się don Juan ze śmiechem. – Gwarantuję ci, że nigdy nie będziesz wiedział, jak się dostaliśmy z domu do miasteczka Indian, z miasteczka Indian do miasteczka przy stacji i z miasteczka przy stacji do domu. Ciągłość czasu została przerwana. Tak właśnie działa wewnętrzna cisza.

Cierpliwie mi tłumaczył, że przerwanie owego strumienia ciągłości, który umożliwia nam zrozumienie świata, to właśnie zasługa magii. Powiedział, że tego dnia podróżowałem po mrocznym morzu świadomości i *widziałem* ludzi takimi, jacy są, pochłonięci ludzkimi sprawami. A potem *widziałem* sznur energii, który łączy ludzi ze sobą w określone linie.

Don Juan bez przerwy mi powtarzał, że uczestniczyłem w czymś wyjątkowym i niewytłumaczalnym. Rozumiałem, co mówili Indianie, choć nie znam ich języka, i widziałem sznur energii, który łączy istoty ludzkie z pewnymi innymi istotami; zwróciłem też na te aspekty uwagę poprzez akt zamierzenia. Podkreślał, że moje zamierzenie nie było czymś świadomym ani wolicjonalnym; zamierzenie miało swój początek na głęboko ukrytym poziomie, a kierowała nim konieczność. Odczuwałem potrzebę uzmysłowienia sobie pewnych możliwości związanych z podróżowaniem po mrocznym morzu świadomości i moja wewnętrzna cisza pokierowała intencją – odwieczną siłą wszechświata – tak, by mogło się stać tej potrzebie zadość.

Świadomość nieorganiczna

Pewnego dnia don Juan wyjawił mi złożoność swojej sytuacji życiowej. Słuchałem go zdruzgotany i przygnębiony; twierdził, że mieszka w lepiance w Sonorze dlatego, iż lepianka ta odzwierciedla stan mojej świadomości. Nie bardzo chciało mi się wierzyć, że naprawdę chce mi przez to powiedzieć, iż jestem taką miernotą; nie wierzyłem też w to, że – jak utrzymywał – ma inne domy, gdzie mógłby mieszkać.

Okazało się, że w obu kwestiach don Juan mówił prawdę. Stan mojej świadomości był bardzo mierny, a on faktycznie miał inne domy, gdzie mógł mieszkać nieskończenie bardziej komfortowo niż w lepiance, w której go po raz pierwszy odnalazłem. Nie był też czarownikiem samotnym, za jakiego go uważałem, lecz przywódcą grupy złożonej z piętnastu wojowników w podróży: dziesięciu kobiet i pięciu mężczyzn. Kiedy zabrał mnie do swojego domu w środkowym Meksyku, gdzie mieszkał wraz ze swymi towarzyszami, byłem bezgranicznie zdumiony.

– Mieszkałeś w Sonorze tylko ze względu na mnie, don Juanie? – zapytałem go, nie mogąc wytrzymać ciężaru odpowiedzialności, poczucia winy i zupełnej bezwartościowości oraz wyrzutów sumienia.

– No cóż, tak naprawdę wcale tam nie mieszkałem – odrzekł, śmiejąc się. – Tam się tylko z tobą spotykałem.

– No ale... ale... ale przecież nie wiedziałeś, kiedy do ciebie przyjadę, don Juanie – powiedziałem. – Nie było sposobu, żeby cię o tym powiadomić.

– No cóż, jeżeli dobrze sobie przypomnisz – odrzekł – było wiele, wiele takich razów, kiedy mnie nie zastałeś. Musiałeś siedzieć i cierpliwie na mnie czekać, czasem całymi dniami.

– Czy latałeś stąd do Guaymas samolotem, don Juanie? – spytałem go najzupełniej szczerze. Sądziłem, że najszybciej byłoby lecieć mu samolotem.

– Nie, nie leciałem do Guaymas – odrzekł z szerokim uśmiechem na twarzy. – Przylatywałem bezpośrednio do tej lepianki, gdzie na mnie czekałeś.

Wiedziałem, że celowo mówi mi coś, czego mój linearny umysł nie jest w stanie pojąć ani przyjąć; coś, co wpędza mnie w bezgraniczną konsternację. W owym czasie znajdowałem się na takim poziomie świadomości, że nieustannie zadawałem sobie zabójcze pytanie: no a jeśli wszystko to, co mówi don Juan, jest prawdą?

Nie chciałem dłużej pytać, ponieważ czułem się beznadziejnie zagubiony, usiłując spiąć jakoś nasze dwa tory myślenia i działania.

W nowym otoczeniu don Juan podjął mozolny trud objaśnienia mi bardziej złożonego aspektu swojej wiedzy, aspektu, który wymagał całej mojej uwagi, aspektu, wobec którego samo powstrzymanie się od osądu nie wystarczało. Wówczas to właśnie nadszedł dla mnie czas, kiedy musiałem zanurkować w głębiny jego wiedzy. Musiałem skończyć z obiektywizmem, unikając jednocześnie subiektywizmu.

Pewnego dnia pomagałem don Juanowi czyścić pale bambusowe z tyłu jego domu. Poprosił mnie, bym włożył rękawice robocze, bo, jak powiedział, drzazgi bambusa są bardzo ostre i łatwo powodują infekcje. Pokazał mi, jak się posługiwać nożem przy czyszczeniu bambusów. Praca pochłonęła mnie całkowicie. Kiedy don Juan zaczął do mnie mówić, musiałem przerwać, żeby móc się skupić na jego słowach. Oświadczył, że już dość się napracowałem i że powinniśmy wejść do domu. Poprosił, żebym usiadł w jednym z bardzo wygodnych foteli w przestronnym, nieomal pustym pokoju dziennym. Poddał mi kilka orzechów, suszonych moreli i plasterków sera zgrabnie rozłożonych na talerzu. Powiedziałem mu, że chcę dokończyć czyszczenie bambusów. Nie chciało mi się jeść. Ale on nie zwrócił uwagi na moje słowa. Polecił mi, bym podjadał z talerza, żując wolno i starannie, będę bowiem musiał na bieżąco dostarczać mojemu organizmowi pożywienia, żebym pozostawał czujny i uważnie słuchał tego, co ma mi do powiedzenia.

– Już wiesz – zaczai – że istnieje we wszechświecie pewna odwieczna siła, którą czarownicy starożytnego Meksyku nazywali mrocznym morzem świadomości. U szczytu swych możliwości postrzegania widzieli oni coś, co sprawiało, że trzęśli portkami, jeśli w ogóle coś takiego nosili. Widzieli, że mroczne morze świadomości jest odpowiedzialne nie tylko za świadomość organizmów,

lecz również za świadomość istot, które organizmów nie posiadają.

– A to co znowu, don Juanie? Istoty bez organizmów, które mają świadomość? – zapytałem oszołomiony, gdyż nigdy wcześniej nie wspominał o niczym takim.

– Dawni szamani odkryli, że cały wszechświat składa się z sił bliźniaczych – rozpoczął. – Są to siły, które są względem siebie jednocześnie przeciwstawne i komplementarne. Nie możemy uciec od tego, że i nasz świat jest jednym z takich bliźniaczych światów. Przeciwstawnym względem niego i zarazem komplementarnym światem jest świat zamieszkały przez istoty, które mają świadomość, lecz nie mają organizmów. Dla tej przyczyny dawni szamani nazywali je istotami nieorganicznymi.

– I gdzie jest ten świat, don Juanie? – zapytałem, żując bezwolnie kawałek suszonej moreli.

– Tutaj, w miejscu, gdzie ty i ja właśnie sobie siedzimy – odrzekł rzeczowo, śmiejąc mi się jednak prosto w nos z mojego zdenerwowania. – Powiedziałem ci, że to nasz bliźniaczy świat, tak więc jest z nami blisko spokrewniony. Czarownicy starożytnego Meksyku nie myśleli, tak jak ty, w kategoriach czasu i przestrzeni. Oni myśleli jedynie w kategoriach świadomości. Obok siebie egzystują dwa typy świadomości i nigdy nie wchodzą sobie w drogę, ponieważ jeden typ jest całkowicie różny od drugiego. Dawni szamani podeszli do problemu wzajemnej egzystencji, nie zaprzątając sobie głowy czasem i przestrzenią. Rozumowali tak, że poziomy świadomości istot organicznych i istot nieorganicznych są tak od siebie różne, że jedne i drugie mogą istnieć obok siebie, w zasadzie sobie nie przeszkadzając.

– Czy możemy w jakiś sposób postrzegać te istoty nieorganiczne, don Juanie? – zapytałem.

– Jak najbardziej – odrzekł. – Czarownicy potrafią to robić na zawołanie. Potrafią to też normalni ludzie, ale ci nie zdają sobie z tego sprawy, ponieważ nie są świadomi istnienia światów bliźniaczych. Kiedy zaczynają myśleć o świecie bliźniaczym, dopuszczają się wszelakiej intelektualnej masturbacji, ale nigdy nie przyjdzie im do głowy, że takie fantazjowanie ma swoje źródło w nie uświadomionej pewności, którą ma każdy z nas: że nie jesteśmy sami.

Byłem zafascynowany tym, co powiedział don Juan. Nagle poczułem wilczy apetyt. W żołądku miałem bezdenną pustkę. W tamtej chwili mogłem jedynie słuchać z maksymalną uwagą i jeść.

– Kłopot z traktowaniem wszystkiego w kategoriach czasu i przestrzeni – ciągnął – polega na tym, że zwracasz uwagę jedynie na to, co wylądowało w przestrzeni i czasie, które zostały ci dane, a jest to wycinek bardzo ograniczony. Czarownicy natomiast dysponują olbrzymim polem, na którym łatwo zauważyć lądowanie czegoś niezwykłego. Cała masa istot z najdalszych zakątków wszechświata, istot obdarzonych świadomością, lecz nie mających organizmów, ląduje w polu świadomości naszego świata i w polu świadomości jego świata bliźniaczego, choć przeciętny człowiek nigdy tego nie zauważa. Istoty, które lądują na naszym polu świadomości czy na polu świadomości naszego świata bliźniaczego, pochodzą z innych światów, które istnieją poza zakresem naszego świata i jego bliźniaka. Cały wszechświat jest wypełniony po brzegi światami świadomości, organicznymi i nieorganicznymi. Don Juan mówił dalej; powiedział, że dawni czarownicy wiedzieli, kiedy świadomość nieorganiczna z innych światów wylądowała w polu ich świadomości. Powiedział, że podobnie jak postąpiłby każdy człowiek na Ziemi, dawni szamani stworzyli nieopisaną liczbę klasyfikacji różnych typów tej obdarzonej świadomością energii. Znano je pod ogólnym określeniem istot nieorganicznych.

– Czy takie istoty nieorganiczne żyją tak samo jak my? zapytałem.

– Jeżeli uważasz, że życie oznacza świadomość, to w takim razie tak, żyją – odparł. – Przypuszczam, że trafnym byłoby stwierdzenie, iż jeśli życie można mierzyć intensywnością, przenikliwością, trwaniem takiej świadomości, wówczas – zupełnie szczerze – istoty takie są bardziej żywe niż ty i ja.

– Czy takie istoty nieorganiczne umierają, don Juanie? – zapytałem.

Don Juan chichotał przez chwilę, nim mi odpowiedział.

– Jeśli śmiercią nazywasz koniec świadomości – tak, umierają. Ich świadomość się kończy. Ich śmierć nieco przypomina śmierć człowieka, a jednocześnie jest inna, ponieważ śmierć człowieka kryje w sobie pewną dodatkową opcję. To trochę jak klauzula w dokumencie prawnym, klauzula napisana tak małymi literkami, że ledwie dostrzegalna. Musisz wziąć szkło powiększające, żeby się doczytać, a jednak to właśnie ta klauzula jest najważniejszą częścią dokumentu.

– Co to za ukryta opcja, don Juanie?

– Ukryta opcja śmierci dotyczy wyłącznie czarowników. O ile mi wiadomo, są oni jedynymi ludźmi,

którzy przeczytali tę drobno drukowaną klauzulę. Dla nich opcja ta ma bezpośrednie, praktyczne zastosowanie. Dla przeciętnego człowieka śmierć oznacza koniec jego świadomości, koniec jego organizmu. Dla istot nieorganicznych śmierć oznacza to samo: koniec ich świadomości. W obu przypadkach wynikiem śmierci jest akt wessania do mrocznego morza świadomości. Indywidualna świadomość, naładowana doświadczeniami całego życia, przekracza własne granice i pod postacią energii rozlewa się po mrocznym morzu świadomości.

– Ale co to za ukryta opcja śmierci, na którą decydują się jedynie czarownicy, don Juanie? – zapytałem.

– Dla czarowników śmierć jest czynnikiem jednoczącym. Zamiast dezintegrować organizm, jak to zazwyczaj bywa, śmierć go jednoczy.

– Jak śmierć może cokolwiek jednoczyć? – zaoponowałem.

– Dla czarownika – odrzekł – śmierć kończy panowanie indywidualnych nastrojów ciała. Dawni czarownicy wierzyli, że to właśnie władza różnych części ciała dyktuje nastroje i reakcje całego organizmu; części, które przestają funkcjonować poprawnie, powodują w reszcie ciała chaos, jak na przykład wówczas, gdy robi ci się niedobrze po zjedzeniu jakiegoś świństwa. W takim przypadku nastrój twojego żołądka odbija się na stanie całości. Śmierć eliminuje takie samowładztwo poszczególnych części ciała. Jednoczy ich świadomość, tworząc jedną, zwartą całość.

– Chcesz przez to powiedzieć, że po śmierci czarownicy ciągle mają świadomość? – zapytałem.

– Dla czarowników śmierć jest aktem zjednoczenia, który nie pozostawia im ani krzty energii. Ty wyobrażasz sobie śmierć jako leżącego trupa, ciało, które zaczyna się rozkładać. Dla czarowników, w chwili gdy zachodzi akt zjednoczenia, nie ma żadnego trupa. Nie ma żadnego rozkładu. Absolutnie całe ciało czarownika zostaje przekształcone w energię – energię obdarzoną świadomością, która nie jest podzielona na części. Granice ustanowione przez organizm, granice, które zostają złamane przez śmierć, w przypadku czarowników ciągle funkcjonują, choć nie są już widoczne gołym okiem.

Wiem, że umierasz z ciekawości i chciałbyś mnie zapytać – mówił dalej z szerokim uśmiechem – czy to, co ci opisuję, to dusza, która idzie do piekła albo do nieba. Nie, to nie jest dusza. To, co się dzieje z czarownikiem, gdy zdecyduje się na ową ukrytą opcję śmierci, to przemiana w istotę nieorganiczną, niezwykle wyspecjalizowaną, obdarzoną zawrotną prędkością istotę nieorganiczną, zdolną do niewiarygodnych wyczynów w zakresie postrzegania. Wówczas czarownicy przechodzą w stan, który szamani starożytnego Meksyku nazywali ostateczną podróżą. Wówczas to polem ich działania staje się nieskończoność.

– Chcesz przez to powiedzieć, don Juanie, że stają się nieśmiertelni?

– Mój trzeźwy umysł czarownika mówi mi – odrzekł – że ich świadomość kiedyś się skończy tak samo, jak kończy się świadomość istot nieorganicznych, lecz ja nigdy czegoś takiego nie widziałem. Nie mam na ten temat żadnych wiadomości z pierwszej ręki. Dawni czarownicy byli przekonani, że świadomość właściwa istotom nieorganicznym będzie trwać tak długo, jak długo będzie żyć Ziemia. Ziemia jest ich matrycą. Dopóki istnieje, dopóty świadomość istot nieorganicznych się nie kończy. Moim zdaniem jest to najrozsądniejsza odpowiedź na twoje pytanie.

Spójność i porządek wyjaśnień don Juana były moim zdaniem kapitalne. Nie miałem absolutnie nic do dodania. Pozostawił mi posmak tajemniczości i nie wypowiedzianych, nie spełnionych jeszcze oczekiwań.

Podczas kolejnej wizyty u don Juana rozpocząłem rozmowę od nurtującego mnie pytania, które cały czas kołatało mi się w głowie.

– Czy jest taka możliwość, don Juanie, że duchy i zjawy naprawdę istnieją?

– To, co ty nazwałbyś duchem albo zjawą – odparł – sprowadza się w dokładnej analizie czarownika do jednej kwestii – każda z takich zjaw może się okazać skupiskiem pól energii, które mają świadomość i które my zamieniamy w znane nam obiekty. Jeżeli tak właśnie będzie, wówczas taka zjawa ma energię. Czarownicy określają ją mianem konfiguracji wytwarzającej energię. Albo też może się okazać, że nie emanuje z niej żadna energia, i w takim razie jest to twór fantasmagoryczny, zazwyczaj osoby bardzo silnej – silnej z punktu widzenia świadomości.

– Zaintrygowała mnie niezmiernie pewna historia – ciągnął. – Była to historia o twojej ciotce, którą mi kiedyś opowiedziałeś. Przypominasz ją sobie?

Opowiedziałem raz don Juanowi, że gdy miałem czternaście lat, zamieszkałem w domu siostry

mojego ojca. Miała olbrzymi dom z trzema patio z pomieszczeniami mieszkalnymi pomiędzy nimi – sypialniami, pokojami dziennymi i tak dalej. Pierwsze patio było bardzo surowe; wyłożono je kostką brukową. Powiedziano mi, że dom zbudowano w stylu kolonialnym i że to pierwsze patio było niegdyś podwórcem, gdzie zajeżdżały zaprzęgi konne. Drugie patio stanowił cudowny sad, poprzecinany zygzakami ceglanych ścieżek na wzór mauretański; sad był wypełniony drzewami. Trzecie patio zajmowały zwisające z okapu donice z kwiatami, klatki z ptakami oraz stojąca w samym środku fontanna w stylu kolonialnym, ze stałym dopływem świeżej wody; był tam również duży plac ogrodzony drutem, przeznaczony dla drogocennych kogutów mojej ciotki; walki kogutów były jej ulubioną rozrywką.

Ciotka oddała na mój użytek całą kwaterę naprzeciwko sadu. Myślałem, że będą to najcudowniejsze chwile mojego życia. Mogłem jeść wszelkie owoce, na które miałem ochotę. Nikt inny nawet nie dotykał owoców z sadu; nigdy mi nie wyjawiono dlaczego. Głową domu była moja ciotka, wysoka, pulchna pani po pięćdziesiątce, o okrągłej twarzy; była to osoba bardzo jowialna, wspaniały gawędziarz; pani pełna dziwactw, które skrywała za manierami żarliwej katoliczki. W domu mieszkał też główny lokaj, wysoki, masywny mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat, który był przedtem starszym sierżantem w wojsku, ale dał się skusić na lepiej płatną posadę głównego lokaja, strażnika i człowieka do wszelkich poruczeń w domu mojej ciotki. Jego żona – piękna, młoda kobieta – była towarzyszką mojej ciotki, jej kucharką i powiernicą. Małżeństwo to miało córkę, pulchną dziewczynkę, która wyglądała dokładnie tak samo jak moja ciotka. Podobieństwo było tak znaczne, że moja ciotka legalnie ją adoptowała.

Te cztery osoby to byli najcichsi ludzie, jakich kiedykolwiek w życiu spotkałem. Prowadzili bardzo stateczne życie, urozmaicone jedynie dziwactwami mojej ciotki, która ni stąd, ni zowąd wybierała się w podróż albo kupowała sobie nowe, obiecujące koguty, trenowała je i wystawiała w poważnych walkach, przyjmując zakłady na olbrzymie sumy pieniędzy. Doglądała ich z matczyną troską; czasami spędzała przy nich całe dnie. Wkładała grube skórzane rękawice i sztywne skórzane getry, by koguty jej nie poraniły.

Spędziłem tam dwa fantastyczne miesiące mojego życia. Popołudniami ciotka uczyła mnie muzyki i opowiadała niezliczone historie o przodkach. Sytuacja, w której się znalazłem, była dla mnie idealna, gdyż wychodziłem wówczas często z moimi przyjaciółmi i nie musiałem się nikomu zgłaszać po powrocie do domu. Czasami godzinami leżałem na łóżku, nie śpiąc. Okno miałem otwarte, by pokój wypełnił się zapachem kwiatów pomarańczy. Zawsze, gdy tak odpoczywałem, słyszałem czyjeś kroki na długim korytarzu, który przebiegał przez całą długość domu od strony północnej, łącząc wszystkie patio. Korytarz miał piękne łuki i wyłożoną kafelkami podłogę. Oświetlony był skąpo czterema słabymi żarówkami, które włączano każdego wieczoru o szóstej i wyłączano o szóstej rano.

Zapytałem ciotkę, czy ktoś przechadza się w nocy i zatrzymuje przy moim oknie, gdyż ktokolwiek to jest, za każdym razem tak właśnie robi, po czym odwraca się i idzie z powrotem w kierunku głównego wejścia.

– Nie zawracaj sobie głowy głupotami, kochany – odrzekła ciotka z uśmiechem. – To pewnie mój lokaj na obchodzie. Wielkie halo! Przestraszyłeś się?

– Nie, nie przestraszyłem się – powiedziałem. – Po prostu mnie to zaciekawiło, bo twój lokaj podchodzi pod mój pokój co noc. Czasem jego kroki mnie budzą.

Skwitowała moją ciekawość rzeczowym stwierdzeniem, że lokaj był kiedyś wojskowym i przywykł do codziennych obchodów. Zadowoliłem się jej wyjaśnieniem.

Pewnego dnia napomknąłem lokajowi, że jego kroki są troszeczkę za głośne i spytałem go, czy nie mógłby robić swojego obchodu w okolicach mojego pokoju odrobinę ciszej, tak żebym mógł spać.

– Nie wiem, o co ci chodzi! – odrzekł szorstkim głosem.

– Ciotka mi powiedziała, że robi pan w nocy obchód – powiedziałem.

– Nic podobnego! – odparł, a oczy zapałały mu obrzydzeniem.

– No to w takim razie kto chodzi koło mojego okna?

– Nikt nie chodzi koło twojego okna. Masz urojenia. Wracaj do spania. Nie kręć się, gdzie nie trzeba, bo napytasz sobie biedy. Mówię ci to dla twojego własnego dobra.

W tamtych latach nie było dla mnie niczego gorszego od wysłuchiwania, że ktoś robi coś dla mojego własnego dobra.

Tamtej nocy, gdy tylko usłyszałem kroki, wyszedłem z łóżka i stanąłem pod ścianą, która prowadziła do wejścia do mojej kwatery. Kiedy obliczyłem, że osoba idąca korytarzem jest na wysokości drugiej żarówki, wytknąłem głowę na zewnątrz. Kroki nagle ucichły, ale na skąpo oświetlonym korytarzu nie zobaczyłem nikogo. Był pusty. Gdyby ktoś nim szedł, nie miałby czasu na to, żeby się ukryć, zresztą nie było tam stosownego miejsca, jedynie gołe ściany.

Moja trwoga była tak ogromna, że swym przeraźliwym wrzaskiem obudziłem wszystkich domowników. Ciotka i lokaj starali się mnie uspokoić, mówiąc mi, że wszystko sam wymyśliłem, ale byłem tak głęboko wstrząśnięty, że w końcu oboje potulnie przyznali, iż każdej nocy w domu słychać nie zidentyfikowane kroki.

Don Juan powiedział mi wówczas, że to niemal na pewno moja ciotka chodziła po nocy; innymi słowy, był to pewien aspekt jej świadomości, nad którym nie miała żadnej rozumowej kontroli. Był przekonany, że zjawisko to pasowało do pewnej atmosfery figlarności czy tajemniczości, którą wokół siebie roztaczała. Utrzymywał, że to niewykluczone, iż moja ciotka – zupełnie nieświadomie – nie tylko była odpowiedzialna za powstawanie tych wszystkich hałasów, lecz również była zdolna do znacznie bardziej skomplikowanych manipulacji świadomością. Don Juan powiedział też, że jeśli ma być ze mną zupełnie szczery, musi przyznać, iż istnieje prawdopodobieństwo, że kroki te były wytworem świadomości nieorganicznej.

Don Juan mawiał, że istoty nieorganiczne, które zamieszkują nasz świat bliźniaczy, były uważane przez czarowników jego linii za naszych krewniaków. Szamani ci byli przekonani, że próby zaprzyjaźnienia się z członkami naszej rodziny mijają się z celem, ponieważ wymagania nakładane na nas w ramach takiej przyjaźni są zawsze nadzwyczaj wygórowane. Taki typ istoty nieorganicznej, nasz najbliższy kuzyn, bezustannie się z nami porozumiewa, lecz komunikacja ta odbywa się na takim poziomie naszej świadomości, że nie jesteśmy w stanie jej świadomie prowadzić. Inaczej mówiąc, wiemy o nich wszystko podświadomie, oni natomiast wiedzą o nas wszystko, korzystając z tej wiedzy świadomie i rozmyślnie.

– Energia naszych najbliższych kuzynów to prawdziwa kula u nogi! – ciągnął don Juan. – Są tak samo popierdoleni jak my. Powiedzmy, że istoty organiczne i nieorganiczne z naszych dwóch bliźniaczych światów są dziećmi dwóch sióstr, które mieszkają obok siebie. Poza tym, że różnimy się wyglądem, jesteśmy dokładnie tacy sami. Oni nie mogą pomóc nam, a my nie możemy pomóc im. Być może moglibyśmy połączyć siły i otworzyć wspaniały rodzinny interes, ale do tego nie doszło. Obie gałęzie rodziny są niezwykle drażliwe i obrażają się o byle co, jak to zazwyczaj bywa pomiędzy najbliższymi krewnymi. Sedno sprawy, jak wierzyli czarownicy starożytnego Meksyku, tkwi w tym, że zarówno ludzie, jak i istoty nieorganiczne z bliźniaczych światów, są skończonymi egocentrykami.

Według don Juana, kolejną grupę istot nieorganicznych, wyodrębnioną przez czarowników starożytnego Meksyku, stanowią tropiciele, czyli odkrywcy; są to istoty nieorganiczne, które przybywają z najdalszych zakątków wszechświata i są wyposażone w świadomość nieskończenie bardziej przenikliwą i szybszą od świadomości człowieka. Don Juan twierdził z przekonaniem, że dawni czarownicy przez wiele pokoleń dopracowywali swe klasyfikacje i doszli do wniosku, że niektóre typy istot nieorganicznych z kategorii tropicieli, czyli odkrywców, są – z powodu swej żywiołowości – pokrewne człowiekowi. Są zdolne do nawiązywania łączności z ludźmi i wchodzenia z nimi w relacje symbiotyczne. Nazywali istoty nieorganiczne takiego rodzaju sprzymierzeńcami.

Wyjaśnił mi, że zasadniczy błąd, który dawni czarownicy popełnili w odniesieniu do tego typu istot nieorganicznych, polegał na przypisywaniu tej bezosobowej energii ludzkich cech i przekonaniu, że są w stanie ją okiełznać. Widzieli w owych blokach energii swych pomocników i opierali się na nich, nie rozumiejąc, że jako czysta energia nie są one w stanie zapoczątkować jakiegokolwiek działania.

– Powiedziałem ci wszystko, co trzeba wiedzieć o istotach nieorganicznych – rzekł nagle don Juan. – Jedynym sposobem na poddanie moich słów próbie jest bezpośrednie doświadczenie.

Nie spytałem go, co mam zrobić. Jakiś głęboki strach zaczął trząść moim ciałem w nerwowych spazmach, które niczym erupcje wulkaniczne wstrząsały moim splotem słonecznym, rozchodząc się w dół, po same czubki palców stóp i w górę, po barki.

– Dzisiaj pójdziemy poszukać istot nieorganicznych – oświadczył.

Rozkazał mi usiąść na łóżku i znów przyjąć pozycję, która sprzyjała nastaniu wewnętrznej ciszy. Zastosowałem się do jego polecenia z niebywałą łatwością. Normalnie byłbym się ociągał, być może nie otwarcie, mimo wszystko jednak czułbym gdzieś w środku szarpiącą niechęć. Przez głowę przebiegła mi niejasna myśl, że zanim zdążyłem usiąść, zapadłem już w stan wewnętrznej ciszy. Moje myśli nie były już jasne. Poczułem, jak zaczyna mnie otaczać nieprzenikniona ciemność, dając mi

złudzenie, że zasypiam. Moje ciało było doskonale nieruchome – albo dlatego, że nie miałem najmniejszego zamiaru nakazywać mu jakichkolwiek ruchów, albo dlatego, że nie mogłem tych poleceń sformułować.

Chwilę później spostrzegłem, że jestem z don Juanem i idziemy przez pustynię Sonory. Rozpoznałem okolicę; byłem tam z nim tak wiele razy, że zapamiętałem każdy szczegół otoczenia. Dzień chylił się ku końcowi i światło zachodzącego słońca wprawiło mnie w stan głębokiej desperacji. Szedłem automatycznie, świadomy tego, że moje ciało odbiera wrażenia, którym nie towarzyszą żadne myśli. Nie opisywałem sobie swojego stanu. Chciałem powiedzieć o tym don Juanowi, ale pragnienie przekazania mu moich wrażeń cielesnych zniknęło w okamgnieniu.

Don Juan bardzo powoli, niskim, poważnym głosem oznajmił mi, że wyschnięte koryto rzeki, którym właśnie idziemy, jest najbardziej odpowiednim miejscem do załatwienia naszych spraw i że mam usiąść, sam, na jakiejś skale, on zaś spocznie na innej, w odległości około piętnastu metrów ode mnie. Nie zapytałem don Juana, jak bym to normalnie uczynił, co mam robić. Wiedziałem, co muszę zrobić. Wówczas dosłyszałem szelest kroków ludzi przedzierających się przez z rzadka porozrzucane dokoła krzaki. W okolicy nie było dość wilgoci na bujny rozrost podściółki. Rosło tam kilka przysadzistych krzewów, oddalonych od siebie o może trzy do pięciu metrów.

Wtedy zobaczyłem zbliżających się dwóch mężczyzn. Wyglądali na miejscowych; mogli to być Indianie Yaqui z jednego z pobliskich miasteczek. Podeszli do mnie i przystanęli. Jeden z nich od niechcenia zapytał, jak się miewam. Chciałem się do niego uśmiechnąć, zaśmiać się, ale nie mogłem. Twarz miałem niesamowicie sztywną. Mimo to jednak czułem, że nie posiadam się z radości. Chciałem skakać, ale nie mogłem. Odpowiedziałem mu, że mam się świetnie. Następnie zapytałem ich, kim są. Powiedziałem im, że chociaż ich nie znam, odczuwam jednak jakąś niezwykłą więź z nimi. Jeden z mężczyzn rzeczowo oświadczył, że są moimi sprzymierzeńcami.

Długo się im przypatrywałem, starając się zapamiętać rysy ich twarzy, ale te zaczęły się zmieniać. Wyglądało to tak, jak gdyby dostosowywały się do nastroju mojego spojrzenia. Nie towarzyszyły temu żadne myśli. Wszystko było materią kierowaną głębokimi odczuciami wewnętrznymi. Wpatrywałem się w nich tak długo, aż rysy ich twarzy rozmyły się całkowicie i w końcu ujrzałem przed sobą dwa jaśniejące, wibrujące bąble. Bąble te nie miały żadnych granic. Sprawiały wrażenie, jakby samoistnie utrzymywały wewnętrzną spójność. Od czasu do czasu rozpłaszczały się, rozszerzały. Następnie ponownie przybierały orientację pionową, sięgając swą wysokością wzrostu człowieka.

Nagle poczułem, jak don Juan ujmuje mnie pod prawe ramię i ściąga ze skały. Powiedział, że czas już iść. Chwilę później byłem znów w jego domu w środkowym Meksyku, bardziej jeszcze niż zwykle zdezorientowany.

– Odnalazłeś dziś świadomość nieorganiczną, po czym widziałeś ją taką, jaka jest w rzeczywistości – powiedział. – Energia jest najprostszym, podstawowym składnikiem wszystkiego, co istnieje. Jeśli chodzi o nas, bezpośrednie widzenie energii to granica ludzkich możliwości. Być może istnieje coś jeszcze ponad to, lecz nie jest nam dane tego doświadczyć. Don Juan powtarzał mi to z wielkim przekonaniem wielokrotnie i za każdym razem, gdy to mówił, jego słowa niejako coraz bardziej mnie zagęszczały, pomagając powrócić do normalnego stanu.

Opowiedziałem mu o wszystkim, co widziałem, wszystkim, co słyszałem. Don Juan wytłumaczył mi, że udało mi się tamtego dnia przekształcić antropomorficzną postać istot nieorganicznych w ich esencję: bezosobową energię świadomą samej siebie.

– Musisz zdać sobie sprawę z tego – rzekł – że to nasz system kognitywny, który w swej istocie jest systemem interpretacji, blokuje nasze możliwości. To właśnie nasz system interpretacyjny mówi nam, jakie są wyznaczniki naszych możliwości, a ponieważ korzystamy z tego systemu przez całe życie, nie ma najmniejszych szans na to, byśmy się ośmielili przeciwstawić jego nakazom.

Energia takich istot nieorganicznych oddziałuje na nas – ciągnął don Juan – a my interpretujemy sobie to oddziaływanie zupełnie dowolnie, w zależności od nastroju. Dla czarownika najbardziej sensownym rozwiązaniem jest przeniesienie istot nieorganicznych na poziom abstrakcji. Im mniej czarownicy interpretują, tym lepiej na tym wychodzą.

Od tej pory – kontynuował – gdy tylko staniesz twarzą w twarz z dziwną zjawą, nie ustępuj pola i gap się na nią bez mrugnięcia okiem. Jeśli będzie to istota nieorganiczna, twoja interpretacja opadnie niczym uschnięte liście z drzewa. Jeśli nic się nie zdarzy, wówczas będzie to jakieś gówniane zaburzenie twojego umysłu, który i tak zresztą wcale do ciebie nie należy.

Czysty widok

Po raz pierwszy w życiu czułem się absolutnie zagubiony i nie wiedziałem, jak się zachowywać w otaczającym mnie świecie. Świat się nie zmienił. Problem zdecydowanie miał swe źródło w jakiejś mojej ułomności. Wpływ don Juana i wszystko, co wiązało się z jego praktykami, w które tak głęboko mnie zaangażował, zaczynało odciskać na mnie swoje piętno, wywołując niezdolność do obcowania z innymi ludźmi. Przeanalizowałem swój problem i doszedłem do wniosku, że błąd tkwi w moim wewnętrznym przymusie oceniania każdego człowieka i porównywania go do don Juana.

W moim odczuciu don Juan był człowiekiem, który przeżywał swe życie profesjonalnie, w każdym znaczeniu tego słowa, przez co rozumiem to, że każdy jego czyn, nieważne jak mało znaczący, miał swoją wagę. Mnie zaś otaczali ludzie, którzy byli przekonani o tym, że są istotami nieśmiertelnymi, i którzy zaprzeczali samym sobie na każdym kroku; ludzie, których czynów nigdy nie da się niczym wytłumaczyć. Gra była ustawiona nieuczciwie; karty zostały tak rozdane, że przesądzały sprawę na niekorzyść ludzi, z którymi się stykałem. Byłem przyzwyczajony do nieodwołalności decyzji don Juana, do jego kompletnego braku poczucia własnej ważności i do niezbadanej głębi jego intelektu; bardzo niewielu ludzi, których znałem, miało chociażby świadomość tego, że może istnieć sposób postępowania sprzyjający rozwojowi takich cech. Większość z nich uznawała jedynie autorefleksję, która prowadzi tylko do osłabienia i wypaczenia.

Z tego samego powodu miałem wielkie trudności z moimi studiami uniwersyteckimi. Traciłem je z pola widzenia. Usilnie starałem się znaleźć jakąś racjonalną podstawę, która nadałaby sens mym naukowym dociekaniom. Jedyne, co przyszło mi w sukurs i dało jakieś poczucie więzi – jakkolwiek bardzo nikłe – ze środowiskiem akademickim, to rada, której udzielił mi kiedyś don Juan: wojownicy w podróży powinni pałać miłością do wiedzy, wiedzy w jakiej bądź postaci.

Zdefiniował mi wówczas pojęcia wojownika w podróży, mówiąc, że określenie owo odnosi się do czarowników, którzy poprzez to, iż są wojownikami, podróżują po mrocznym morzu świadomości. Dodał, że ludzie są podróżnikami, którzy przemierzaj ą mroczne morze świadomości i że nasza Ziemia jest zaledwie jednym z przystanków w ich podróży; z pewnych przyczyn zewnętrznych, których w owym czasie nie chciał mi wyjawić, podróżnicy ci przerwali swą wędrówkę. Powiedział mi, że ludzie dostali się niejako w martwy wir, płynący po kole nurt, który daje im złudzenie ruchu, choć tak naprawdę nie posuwają się oni wcale do przodu. Utrzymywał, że czarownicy są jedynymi oponentami siły, która trzyma ludzi w niewoli, i dzięki swej dyscyplinie wyrywają się z tego uścisku, podejmując podróż świadomości. Tym, co przyspieszyło ostateczne nadejście wielkiego przewrotu w moim życiu akademickim, była moja niezdolność do poświęcenia się zagadnieniom z pola zainteresowań antropologii, w których nie widziałem żadnego sensu – nie dlatego, że nie były atrakcyjne, ale dlatego, że były to w większości problemy wymagające manipulacji słowami i pojęciami dla uzyskania zamierzonego efektu i ustanowienia precedensów, zupełnie jak w języku dokumentów prawnych. Argumentowano mi, że cała ludzka wiedza jest tak właśnie skonstruowana i że wysiłek każdej jednostki stanowi cegłę, która przyczynia się do powstania pewnego jej systemu. Podano mi przykład systemu prawnego, na którym opiera się nasze życie i który ma dla nas nieocenioną wartość. Jednakże moje romantyczne poglądy nie pozwalały mi nawet myśleć o tym, bym mógł zostać antropologiem-prawnikiern. Byłem zwolennikiem poglądu – ze wszystkimi jego konsekwencjami – że antropologia powinna być matrycą wszelkich ludzkich przedsięwzięć, jedyną miarą człowieka.

Don Juan, niedościgniony pragmatyk, prawdziwy wojownik w podróży, zdążający w nieznane, orzekł, że opowiadam pierdoły. Nie ma znaczenia, twierdził, czy przedstawiane mi zagadnienia antropologiczne zasadzają się na żonglowaniu słowami i pojęciami; ważne jest to, by wyrabiać w sobie dyscyplinę.

– To nie robi żadnej różnicy – powiedział mi pewnego razu – jak szybko czytasz i ile cudownych książek jesteś w stanie przestudiować. Ważne jest to, byś był dość zdyscyplinowany, żeby czytać to, czego czytać nie chcesz. Sens zalecanego czarownikom ćwiczenia, polegającego na uczęszczaniu do szkół zawiera się w tym, czego nie przyjmują, a nie w tym, co akceptują.

Postanowiłem zrobić sobie małą przerwę w studiach i zatrudniłem się w dziale artystycznym pewnej firmy, która wyrabiała nadruki. Moja praca absorbowała mnie i moje myśli bez reszty. Postanowiłem wypełniać przydzielane mi zadania tak perfekcyjnie i szybko, jak tylko byłem w stanie. Przygotowanie arkuszy winylowych z obrazem, który później metodą sitodrukową przekształcano w

nadruk, było procedurą standardową, nie dopuszczającą żadnych innowacji; wydajność pracownika mierzono dokładnością i szybkością jego pracy. Zostałem pracoholikiem i było mi z tym bardzo dobrze.

Kierownik działu artystycznego i ja bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Wziął mnie praktycznie pod swoje skrzydła. Nazywał się Ernest Lipton. Bardzo go podziwiałem i szanowałem. Był wspaniałym artystą i mistrzem w swoim rzemiośle. Jego wadą była miękkość, niespotykany wzgląd na drugiego człowieka, który graniczył z biernością.

Pewnego dnia na przykład wyjeżdżaliśmy z parkingu przy restauracji, gdzie byliśmy na lunchu. Ernest bardzo uprzejmie czekał, aż inny samochód wyjedzie z miejsca przed nami. Kierowca najwyraźniej nas nie widział i zaczął wycofywać auto ze znaczną prędkością. Ernest mógł zatrąbić, zwracając tym samym jego uwagę na to, jak jedzie. Ale on siedział tylko i uśmiechał się jak idiota, patrząc, jak tamten gość uderza w jego samochód. Potem obrócił się do mnie i zaczął się tłumaczyć.

– No nie, mogłem zatrąbić – powiedział – ale klakson jest tak kurewsko głośny, że zawsze się krępuję.

Gość, który uderzył w samochód Ernesta, był wściekły i trzeba go było uspokajać.

– Proszę się nie denerwować – rzekł Ernest. – Pański samochód nie ma żadnych uszkodzeń. W sumie zbił mi pan tylko reflektory; i tak miałem je wymienić.

Kiedy indziej w tej samej restauracji rozmawialiśmy z ożywieniem z kilkoma Japończykami, klientami naszej firmy; goście zadawali nam mnóstwo pytań. Podszedł do nas kelner zjedzeniem i zebrał ze stołu salaterki, starając się zrobić na wąskim stole jak najwięcej miejsca na olbrzymie gorące talerze z głównym daniem. Jeden z Japończyków potrzebował więcej przestrzeni dla siebie. Posunął swój talerz do przodu, przesuwając tym samym talerz Ernesta, który zaczął wyjeżdżać poza stół. I znów Ernest mógł wykonać jakiś ostrzegawczy gest, ale tego nie zrobił. Siedział tak i się uśmiechał, aż w końcu talerz wylądował mu na kolanach. Innym razem byłem w jego domu, pomagając mu zamontować kilka krokwi nad patio, gdzie chciał posadzić winogrono dla półcienia i owocu. Najpierw wstępnie ułożyliśmy z krokwi wielką ramę, po czym unieśliśmy jedną jej stronę i przykręciliśmy ją do kilku belek. Ernest był wysokim, bardzo silnym mężczyzną i wykorzystując jedną z belek jako dźwignię, uniósł drugą stronę ramy; ja miałem wpasować śruby mocujące w otwory, które wywierciliśmy uprzednio w belkach nośnych. Ale zanim zdążyłem je dopasować, rozległo się natarczywe pukanie do drzwi i Ernest poprosił mnie, żebym sprawdził, kto to, on zaś w tym czasie przytrzyma ramę.

W drzwiach stała jego żona z torbami zakupów. Zajęła mnie długą rozmową i zapomniałem o Erneście. Pomogłem jej nawet rozpakować siatki. Kiedy w najlepsze układałem pęczki selera, przypomniałem sobie, że mój przyjaciel ciągle trzyma ramę z krokwi i znając go, wiedziałem, że nadal będzie tam stał, tak jak go zostawiłem, licząc na to, że wszyscy pamiętają tak samo o nim, jak on pamięta o innych. Rzuciłem wszystko i pobiegłem na podwórze; Ernest leżał na ziemi. Padł wyczerpany utrzymywaniem ciężkiej drewnianej ramy. Wyglądał jak szmaciana lalka. Musieliśmy zadzwonić po jego przyjaciół, żeby przyjechali nam pomóc dźwignąć krokwie – on nie miał już siły. Musiał iść do łóżka. Był przekonany, że nabawił się przepukliny.

Do klasyki historyjek o Erneście Liptonie należy opowieść o tym, jak pewnego dnia wybrał się na weekend z grupką przyjaciół w góry San Bernardino. Noc spędzali pod namiotami. Kiedy wszyscy spali, Lipton poszedł w krzaki, a będąc człowiekiem tak bardzo uważającym, oddalił się trochę od obozu, nie chcąc nikomu przeszkadzać. W ciemnościach poślizgnął się i zaczął się staczać po zboczu. Później mówił przyjaciołom, że był całkowicie pewny, iż spadnie na sam dół i się zabije. Miał jednak tyle szczęścia, że końcami palców zdołał się uchwycić półki skalnej; wisiał tak przez kilka godzin, usiłując znaleźć po ciemku jakieś oparcie dla stóp, bo ramiona już mu prawie nie wytrzymywały; postanowił jednak się nie poddawać i wytrzymać do samego końca. Rozszerzywszy nogi maksymalnie w bok, znalazł malutkie występy w skale, które pomogły mu się utrzymać. Wisiał tak przyklejony do ściany zupełnie niczym jeden z nadruków, które robił, tak długo, aż rozjaśniło się na tyle, by mógł spostrzec, iż znajduje się zaledwie trzydzieści centymetrów ponad ziemią.

– Ernest, przecież mogłeś zawołać po pomoc! – napominali go przyjaciele.

– No nie, myślałem, że to się na nic nie zda – odrzekł. – Kto by mnie usłyszał? Myślałem, że stoczyłem się przynajmniej półtora kilometra w dół. A poza tym, wszyscy spali.

Dla mnie miarka się przebrała, gdy Ernest Lipton, który tracił codziennie dwie godziny na dojazd do sklepu i z powrotem do domu, postanowił kupić sobie oszczędny samochód – volkswagena garbusa –

po czym zaczai sprawdzać, ile litrów paliwa pali. Byłem niesłychanie zdumiony, gdy pewnego ranka Ernest ogłosił, że udało mu się osiągnąć wynik dwóch litrów na sto kilometrów. Ponieważ był on bardzo dokładnym człowiekiem, uściślił, że większa część jazdy nie wypada w mieście, ale na autostradzie, aczkolwiek w godzinach szczytu musi zwalniać i przyspieszać dość często. Tydzień później powiedział, że osiągnął poziom jednego litra.

Następnie były kolejne cudy, aż w końcu Ernest doszedł do niewiarygodnego wyniku: 0,36 litra na sto kilometrów. Przyjaciele powiedzieli mu, że powinien zgłosić tę liczbę do annałów firmy Volkswagen. Ernest był dumny jak paw i zaczął stroszyć piórka, mówiąc, że nie wie, co zrobi, kiedy zejdzie poniżej dwóch dziesiątych litra na sto kilometrów. Przyjaciele poradzili mu, żeby zgłosił, iż wydarzył się cud.

Ten ciąg niezwykłych wydarzeń trwał do pewnego ranka, kiedy to Ernest przyłapał przy swoim samochodzie jednego z przyjaciół, który od kilku miesięcy robił mu stary jak świat kawał, dolewając benzyny do zbiornika. Każdego ranka dolewał trzy do czterech kubeczków, przez co bak w samochodzie Ernesta nigdy nie był pusty.

Ernest Lipton był niemal zły. Najbardziej oschły z jego komentarzy brzmiał:

– No nie, i to miało być śmieszne?

Od kilku tygodni wiedziałem, że przyjaciele robią mu kawał, ale nie byłem w stanie interweniować. Miałem wrażenie, że to nie moja sprawa. Ludzie, którzy robili go w konia, byli z nim w zażyłych stosunkach od lat. Ja byłem nowy. Kiedy zobaczyłem to jego spojrzenie, rozczarowane i pełne urażonej dumy, kiedy ujrzałem, jak nie potrafi się nawet rozgniewać, poczułem przypływ wyrzutów sumienia i niepokoju. Znów miałem przed sobą mojego odwiecznego wroga. Pogardzałem Ernestem Liptonem, a jednocześnie niezmiernie go lubiłem. Był taki bezradny.

Prawda jednak była taka, że Ernest Lipton wyglądał jak mój ojciec. Grube okulary i rzednące włosy oraz szczecina siwiejącego zarostu, którego nigdy nie mógł jakoś do końca zgolić, przywodziły mi na myśl oblicze mojego ojca. Miał taki sam prosty, ostro zakończony nos i spiczasty podbródek. Ale to właśnie dopiero wówczas, widząc niezdolność Ernesta do gniewu i przyłożenia żartownisiom w nos, uzmysłowiłem sobie to podobieństwo z całą wyrazistością i to utożsamienie przekroczyło granice bezpieczeństwa.

Przypomniałem sobie, jak mój ojciec zakochał się bez pamięci w siostrze swego najlepszego przyjaciela. Pewnego dnia zobaczyłem ją w tłumie w jakimś popularnym miasteczku turystycznym, jak szła za rękę z młodym mężczyzną. Była z nią matka, zapewne w charakterze przyzwoitki. Dziewczyna wyglądała na bardzo szczęśliwą. Oboje młodzi ludzie wpatrywali się w siebie zauroczeni. Według mojego rozeznania, była to młodzieńcza miłość w swej najpiękniejszej fazie rozkwitu. Kiedy widziałem się później z ojcem, opowiedziałem mu o tym, co widziałem; z każdą chwilą mojego sprawozdania, przepełnionego całym okrucieństwem, na jakie stać dziesięciolatka, cieszyłem się coraz bardziej z tego, że jego dziewczyna ma prawdziwego chłopaka. Ojciec zaniemówił. Nie uwierzył mi.

– A odezwałeś się do niej w ogóle? – spytałem go odważnie. – Czy ona wie, że się w niej zakochałeś?

– Nie bądź głupi, smarkaczu jeden! – warknął na mnie. – Nie muszę mówić takich bredni żadnej kobiecie!

Spojrzał na mnie niczym rozpieszczone, krnąbrne dziecko, z ustami drżącymi od gniewu.

– Ona jest moja! Powinna sama wiedzieć, że jest moją kobietą, a nie, żebym jej jeszcze musiał o tym mówić!

Wyrzucił to wszystko z siebie ze stanowczością dziecka, któremu wszystko w życiu podsunięto na talerzu i nigdy nie musiało o nic walczyć.

Byłem u szczytu swej życiowej formy, dobiłem go więc ostatecznie konkluzją:

– No tak – powiedziałem. – Myślę sobie, że ona czekała, aż ktoś jej to powie, i tamten chłopak po prostu cię wyprzedził.

Byłem przygotowany na odskok i ucieczkę, spodziewałem się bowiem, że rzuci się na mnie, by wyładować swą wściekłość, zamiast tego jednak skurczył się w sobie i zaczai płakać. Nie mogąc zapanować nad szlochem, zapytał mnie, czy skoro nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych, czy nie zechciałbym śledzić dziewczyny i dowiedzieć się, co się dzieje?

Pogardzałem moim ojcem tak bardzo, że brakło mi słów; jednocześnie jednak kochałem go ze

smutkiem, którego nic nie było w stanie stłumić. Przeklinałem samego siebie za to, że przyczyniłem się do jego hańby.

Ernest Lipton tak bardzo przypominał mi mojego ojca, że rzuciłem pracę, wymawiając się tym, iż muszę wracać do szkoły. Nie chciałem zwiększać jeszcze ciężaru, pod którym i tak już się uginałem. Nigdy sobie nie wybaczyłem tego, że przysporzyłem ojcu takiego cierpienia, a jemu nigdy nie wybaczyłem tego, że był takim tchórzem.

Wróciłem do szkoły i podjąłem się kolosalnego zadania – powrotu do studiów antropologicznych. Tym, co bardzo mi utrudniało ten powrót, był fakt, że jeżeli istniała osoba, z którą mogłem swobodnie i z przyjemnością pracować z powodu jej godnego podziwu podejścia do rzeczy, odwagi poznawczej i gotowości do rozszerzania swojej wiedzy bez wpadania w panikę czy prób obrony stanowisk, których obronić się nie da, był to człowiek spoza mojego wydziału, archeolog. To właśnie pod jego wpływem zainteresowałem się niegdyś pracą badawczą w terenie. Być może to z tego powodu, że on sam jeździł w teren, by dosłownie dokopywać się do informacji, praktyczność tego człowieka była dla mnie oazą rozsądku. Był on jedynym człowiekiem, który zachęcał mnie do śmiałego podjęcia pracy w terenie, bo nie mam nic do stracenia.

– Wszystko stracić, to wszystko zyskać – powiedział mi kiedyś i była to najlepsza rada, jaką kiedykolwiek posłużył mi świat akademicki. Jeślibym posłuchał rady don Juana i zajął się złagodzeniem mojej obsesji autorefleksji, faktycznie nie miałbym nic do stracenia, a zyskać mogłem bardzo wiele. W owym jednak czasie nie było mi to pisane.

Kiedy opowiedziałem don Juanowi o kłopotach, jakie napotkałem, chcąc znaleźć sobie profesora, z którym mógłbym pracować, wydało mi się, że zareagował na moje słowa bardzo napastliwie. Nazwał mnie upierdliwym fiutem, i jeszcze gorzej. Powiedział mi, o czym już sam wiedziałem, że gdybym nie był taki sztywny, dawno już mógłbym z powodzeniem pracować z każdym – czy to w środowisku akademickim, czy to w interesach.

– Wojownicy w podróży nie narzekają – ciągnął don Juan. – Przyjmują wszystko, co podsuwa im nieskończoność, jako wyzwanie. A wyzwanie to wyzwanie. To nic osobistego. Nie można traktować go jak przekleństwa ani jak błogosławieństwa. Wojownik w podróży albo zwycięża w walce z wyzwaniem, albo zostaje przez wyzwanie zmiażdżony. Zwycięstwo bardziej rajcuje, więc zwyciężaj!

Odpowiedziałem mu, że łatwo jemu i innym mówić, ale dokonać tego, to już zupełnie odmienna sprawa; na moje nieustanne kłopoty nie ma żadnej rady, ponieważ wynikają one z braku konsekwencji w zachowaniu innych ludzi.

– To nie otaczający cię ludzie ponoszą winę – powiedział. – Nic nie mogą za to, że są tacy, jacy są. Winę ponosisz ty, bo ty masz wpływ na to, jaki jesteś; ty jednak nastawiłeś się na ich ocenianie, zachowując przy tym głębokie milczenie. Każdy idiota potrafi oceniać. Jeśli będziesz ich osądzał, wydobędziesz jedynie to, co w nich najgorsze. My, wszyscy ludzie, jesteśmy więźniami i to właśnie to więzienie każe nam się zachowywać tak żałośnie. Twoje wyzwanie polega na tym, żeby brać ludzi takimi, jacy są! Zostaw ich w spokoju.

– Tym razem całkiem się pomyliłeś, don Juanie – odrzekłem. – Uwierz mi, ocenianie ich absolutnie mnie nie interesuje, podobnie jak wchodzenie z nimi w jakiekolwiek układy.

– Dobrze wiesz, o czym mówię – nie ustępował don Juan. – Jeśli nie masz świadomości swojego pragnienia osądzania ich – ciągnął – w takim razie jesteś w jeszcze gorszym położeniu, niż myślałem. To właśnie wada wojowników w podróży, którzy zaczynają na nowo podejmować swą przerwaną podróż. Stają się zadufani w sobie, wymykają się spod kontroli.

Przyznałem don Juanowi rację; moje narzekania były skrajnie małostkowe. Tyle wiedziałem sam. Powiedziałem mu, że codziennie staję w obliczu zdarzeń, które obniżają moje morale, osłabiając niezłomność mojej woli, i że czuję się zażenowany, kiedy muszę mu relacjonować zajścia, które wywierają na mnie tak wielką presję.

– Dalejże! – zaczął mnie dopingować. – Gadaj mi tu zaraz! Nie miej przede mną żadnych tajemnic. Jestem niczym pusta rura. Cokolwiek mi powiesz, zostanie wyrzucone w nieskończoność.

– Mam jedynie żałosne skargi – powiedziałem. – Jestem dokładnie taki sam jak wszyscy ludzie, których znam. Nie sposób z żadnym z nich rozmawiać i nie usłyszeć jakiejś wprost czy oględnie wyrażonej skargi.

Opisałem don Juanowi, jak w nawet najprostszych dialogach moim znajomym udaje się przemycić nie kończące się pretensje, jak w tej przykładowej rozmowie:

– Jak tam sprawy, Jim?

– A świetnie, Cal, świetnie. – Po czym następuje długa cisza. Czuję się zmuszony zapytać:

– Coś nie tak, Jim?

– Nie! Wszystko w porządku. Mam mały problem z Melem, ale wiesz, jaki on jest – samolubny skurwiel. Ale przyjaciół trzeba brać takimi, jakimi są, no nie? Pewnie, że mógłby nieco bardziej zważać na innych. Ale co, kurwa, zrobisz. Jest, jaki jest. Zawsze zwala wszystko na ciebie – jak ci się nie podoba, to spadaj. Zachowywał się tak już wtedy, kiedy mieliśmy po dwanaście lat, więc tak naprawdę to moja wina. Ale dlaczego, kurwa, ma mi się to podobać?

– No tak, Jim, masz rację; Mel to bardzo trudny gość. Taaak.

– A skoro już mówimy o skurwielach, ty wcale nie jesteś lepszy od Mela, Cal. Nigdy nie można na tobie polegać. I tak dalej. Inny klasyczny dialog:

– Jak się masz Alex? Jak tam pożycie małżeńskie?

– Stary, po prostu rewelacyjnie. Po raz pierwszy w życiu jem we właściwych godzinach, posiłki w domu, a ja nie tyję. Nie mam nic innego do roboty poza oglądaniem telewizji. Kiedyś się wychodziło z wami całą paczką, ale teraz nie mogę. Teresa mnie nie puszcza. Pewnie, że mógłbym jej kazać się odpierdolić, ale nie chcę jej urazić. Jestem zadowolony, ale czuję się beznadziejnie.

A Alex był najbardziej beznadziejnym z beznadziejnych gości, zanim jeszcze się ożenił. Jego klasyczny dowcip, którym częstował znajomych za każdym razem, gdy się gdzieś spotkaliśmy, rozpoczynał się od słów:

– Chodźcie, chłopaki, przedstawię was mojej panience. Ubaw miał po pachy, widząc nasz ogromny zawód, gdy w samochodzie znajdywaliśmy jego sukę. Przedstawiał swoją “panienkę" wszystkim dookoła. Kiedy wreszcie ożenił się z Teresą, biegaczką długodystansową, byliśmy zaszokowani. Poznali się na maratonie, kiedy Alex zasłabł. Było to w górach i Teresa musiała go ocucić za wszelką cenę, nasikała mu więc na twarz. Od tamtej pory Alex był jej niewolnikiem. Teresa naznaczyła swoje terytorium. Przyjaciele zaczęli go nazywać jej “zaszczanym niewolnikiem". Uważali Teresę za prawdziwą heterę, która przerobiła dziwaka Alexa na swojego tucznika.

Don Juan i ja śmialiśmy się przez chwilę. Potem spojrzał na mnie z poważnym wyrazem twarzy.

– Takie są właśnie upadki i wzloty powszedniego życia – powiedział. – Wygrywasz i przegrywasz, i nie wiesz, kiedy wygrywasz, a kiedy przegrywasz. Taka jest cena, którą się płaci za życie rządzone przez autorefleksję. Nie mam ci nic do powiedzenia i ty nie masz sobie nic do powiedzenia. Mogę ci jedynie doradzić, żebyś się nie czuł winny dlatego, że jesteś dupa, ale usilnie się starał zakończyć panowanie autorefleksji. Wracaj do szkoły. Jeszcze się nie poddawaj.

Moja chęć pozostania w świecie akademickim wyraźnie malała. Zacząłem żyć jak sterowany automatycznym pilotem. Czułem się ciężki i przygnębiony. Zauważyłem jednak, że mój umysł nie był tym zaabsorbowany. Niczego nie kalkulowałem, nie ustalałem sobie żadnych celów i na nic się nie nastawiałem. Moje myśli nie były obsesyjne; za to moje uczucia – tak. Starałem się ująć tę dychotomię spokojnego umysłu i rozedrganych uczuć w jakieś ramy pojęciowe. W takim to właśnie stanie umysłowej obojętności połączonej z natłokiem uczuć szedłem raz z Haines Hali, gdzie mieścił się wydział antropologii, do bufetu na lunch.

Nagle owładnęło mną gwałtowne, dziwne drżenie. Myślałem, że zemdleję, i usiadłem na kamiennych schodach. Przed oczyma dojrzałem żółte plamy. Czułem się tak, jakbym wirował. Byłem przekonany, że za chwilę zwymiotuję.

Obraz stał się zamazany, aż w końcu przestałem widzieć w ogóle. Mój stan fizyczny był tak fatalny, a odczucia tak intensywne, że nie pozostawiały mi miejsca na jedną chociażby myśl. Rejestrowałem jedynie własny strach i niepewność na poziomie fizycznym, połączone z uniesieniem oraz dziwnym przeczuciem, że znalazłem się na progu czegoś monumentalnego. Wrażenia te nie miały swoich odpowiedników myślowych. W pewnym momencie nie wiedziałem już, czy siedzę, czy stoję. Zostałem otoczony ciemnością tak nieprzeniknioną, jak to tylko można sobie wyobrazić, po czym – zobaczyłem energię w jej ruchu we wszechświecie.

Widziałem pochód świetlistych sfer, zbliżających się do mnie bądź to oddalających się. Widziałem je pojedynczo, tak jak zawsze mówił don Juan. Wiedziałem, że są to różne osoby, ponieważ różniły się wielkością. Przyglądałem się dokładnie szczegółom ich struktury. Ich świetlistość i krągłość tworzyły włókna, które wyglądały tak, jakby były ze sobą sklejone. Włókna były cienkie albo grube. Każda z

takich świetlistych figur miała grubą kosmatą powłokę. Wyglądały niczym dziwaczne, świetliste, włochate zwierzaki albo monstrualne okrągłe owady pokryte świetlistymi włochami.

Najbardziej szokujące z tego wszystkiego było to, że uzmysłowiłem sobie wówczas, iż widziałem te włochate owady przez całe życie. Wydało mi się w owej chwili, że za każdym razem, kiedy don Juan pomagał mi rozmyślnie je zobaczyć, było to niczym udanie się do celu okrężną drogą. Przypomniałem sobie każdą sytuację, kiedy pomógł mi widzieć ludzi pod postacią świetlistych sfer, i wszystkie te chwile widzenia różniły się od owego ogromu widzenia, do którego teraz miałem dostęp. Wiedziałem wówczas bez cienia wątpliwości, że postrzegałem energię w jej ruchu we wszechświecie przez całe życie, zupełnie samodzielnie, bez niczyjej pomocy.

Uświadomienie sobie tego było dla mnie przeżyciem druzgocącym. Poczułem się niesamowicie bezbronny, kruchy. Rosła we mnie potrzeba ucieczki w jakieś bezpieczne miejsce, ukrycia się. Było dokładnie tak jak we śnie, który chyba każdy z nas wcześniej czy później ma: jesteśmy w nim nadzy i nie wiemy, co zrobić. Ja czułem się gorzej jeszcze, niż gdybym był nagi; czułem się całkowicie bezbronny, słaby, a powrót do normalnego stanu napawał mnie grozą. Dość niejasno zdawałem sobie sprawę, że leżę. Gotowałem się na powrót do normalności. Wyobrażałem sobie, że kiedy się ocknę, będę rozciągnięty na kamiennym chodniku, szarpany konwulsjami, otoczony ciasnym kręgiem gapiów.

Wrażenie, że leżę, jeszcze bardziej się nasiliło. Poczułem, że mogę poruszać oczyma. Przez przymknięte powieki widziałem światło, ale wzdragałem się na myśl, że mam otworzyć oczy. Dziwne w tym wszystkim było to, że nie słyszałem nikogo z kręgu osób, które – jak sobie wyobrażałem – stoją wokół mnie. Nie dochodził do mnie absolutnie żaden dźwięk. W końcu zaryzykowałem i otwarłem oczy. Byłem we własnym łóżku, w moim mieszkaniu na rogu bulwarów Wilshire i Westwood.

Dostałem ataku histerii. Ale z jakiegoś powodu, który wykraczał poza moje zdolności pojmowania, niemal natychmiast się uspokoiłem. Histerię zastąpiło zobojętnienie, pewien stan fizycznego zadowolenia, podobnego do uczucia po zjedzeniu dobrego posiłku. Nie mogłem jednak uspokoić mojego umysłu. Uświadomienie sobie tego, że postrzegałem energię bezpośrednio przez całe życie, było dla mnie szokiem, który trudno sobie wyobrazić. Jak, do diabła, było to możliwe, że nie wiedziałem tego wcześniej? Co broniło mi dostępu do tego aspektu mojej natury? Don Juan mówił mi wcześniej, że każdy człowiek ma możność postrzegania energii bezpośrednio. Nie powiedział jednak, że każdy człowiek faktycznie widzi energię bezpośrednio, choć nic o tym nie wie.

Przedstawiłem to pytanie znajomemu psychiatrze. Nie potrafił rzucić ani trochę światła na mój dylemat. Uważał, że moja reakcja była wynikiem zmęczenia i nadmiernego pobudzenia nerwowego. Przepisał mi valium i kazał odpoczywać.

Nie odważyłem się nikomu wspomnieć o tym, że obudziłem się we własnym łóżku i nie jestem w stanie wyjaśnić tego, w jaki sposób się tam znalazłem. Dlatego też moje pośpieszne zabiegi, by zobaczyć się z don Juanem, były jak najbardziej usprawiedliwione. Poleciałem do Mexico City najszybciej, jak mogłem, wynająłem samochód i pojechałem do jego domu.

– Dokonałeś tego wszystkiego już wcześniej! – powiedział don Juan ze śmiechem, gdy zdałem mu relację z tego spędzającego mi sen z powiek przeżycia.

– Są tylko dwie nowe rzeczy. Jedno to to, że teraz udało ci się dojść do postrzegania energii zupełnie samodzielnie. To, czego dokonałeś, to zatrzymanie świata; potem uświadomiłeś sobie, że zawsze widziałeś energię w jej ruchu we wszechświecie, tak jak każdy człowiek, choć nie potrafiłeś sobie tego sam uzmysłowić. Druga nowa rzecz to to, że odbyłeś podróż ze swej wewnętrznej ciszy zupełnie samodzielnie.

Sam wiesz i nie muszę ci tego mówić, że kiedy wyrusza się z wewnętrznej ciszy, wszystko staje się możliwe. Tym razem to twój strach i poczucie bezbronności umożliwiły ci wylądowanie w twoim łóżku we własnym mieszkaniu, które rzeczywiście nie jest wcale tak daleko od kampusu uniwersytetu. Gdybyś nie folgował sobie w swym zdumieniu, zdałbyś sobie sprawę, że to, czego dokonałeś, to po prostu nic, pestka Ala wojownika w podróży.

Ale tym, co ma tutaj największe znaczenie, nie jest świadomość, że zawsze postrzegałeś energię bezpośrednio, ani twoja podróż z wewnętrznej ciszy, ale pewna dwuaspektowa kwestia. Po pierwsze, przeżyłeś coś, co czarownicy starożytnego Meksyku nazywali czystym widokiem albo utratą ludzkiej formy: jest to czas, kiedy znika ludzka małostkowość, zupełnie jakby była spowijającym nas złowrogo oparem mgły, oparem, który powoli zaczyna się rozrzedzać i rozpływać. Ale pod żadnym pozorem nie wolno ci myśleć, że jest to coś, czego można dokonać raz na zawsze. Świat czarowników nie jest światem niezmiennym tak jak świat naszego powszedniego życia, gdzie będą ci mówić, że kiedy raz osiągniesz jakiś cel, pozostaniesz zwycięzcą na zawsze. W świecie czarowników wypełnienie jakiegoś

zadania znaczy tyle, że udało ci się po prostu zdobyć najbardziej skuteczną broń do kontynuowania swej walki, która, tak przy okazji, nigdy się nie skończy.

Druga część owej dwuaspektowej kwestii to to, że dotknąłeś problemu, który przysparza największej udręki sercu człowieka. Sam go sformułowałeś, gdy zadałeś sobie te pytania: “Jak, do diabła, było to możliwe, że nie wiedziałem, iż postrzegałem energię bezpośrednio przez całe życie? Co broniło mi dostępu do tego aspektu mojej natury?"

Bagienne cienie

Trwanie w milczeniu z don Juanem było jedną z najwspanialszych rzeczy, jakie znałem. Siedzieliśmy wygodnie na miękkich krzesłach z tyłu jego domu w górach w środkowym Meksyku. Było późne popołudnie. Wiała przyjemna bryza. Słońce znajdowało się za domem, za naszymi plecami. Jego słabnące światło utworzyło przecudowne, zielone cienie na wielkich drzewach na podwórzu. Dokoła domu i dalej rosły inne rozłożyste drzewa, całkowicie przysłaniające widok na miasto. Zawsze dawało mi to złudzenie, że jestem na łonie dzikiej przyrody, innej niż ta na jałowej pustyni Sonory, lecz mimo wszystko dzikiej.

– Dzisiaj będziemy omawiać niezwykle ważną w magii kwestię – odezwał się nagle don Juan – i rozpoczniemy od zagadnienia dala energetycznego.

Opisywał mi ciało energetyczne już wcześniej, całą masę razy; mówił, że jest to skupisko pól energii, lustrzane odbicie skupiska pól energii składającego się na nasze ciało fizyczne, widziane jako energia w jej ruchu we wszechświecie. Mówił, że jest mniejsze, bardziej zwarte i z wyglądu cięższe od świetlistej sfery ciała fizycznego.

Wyjaśniał mi, że ciało i *ciało energetyczne* są dwoma skupiskami pól energii ściśniętymi w jedno pod działaniem pewnej dziwnej siły spajającej. Nieustannie podkreślał, że owa siła, która wiąże w całość te pola energii, to – według czarowników starożytnego Meksyku – najbardziej tajemnicza siła we wszechświecie. Jego zdaniem, była to czysta esencja całego kosmosu, łączna suma wszystkiego, co istnieje.

Twierdził, że ciało fizyczne i czato energetyczne są jedynymi równoważącymi się konfiguracjami energetycznymi w naszej ludzkiej sferze. Z tego też powodu nie uznawał żadnego innego dualizmu poza dwoistością obu tych ciał. Dualizm materii i umysłu, ducha i ciała uważał li tylko za mentalny ciąg asocjacyjny, emanację umysłu pozbawioną jakichkolwiek podstaw energetycznych.

Don Juan powiedział mi kiedyś, że dzięki dyscyplinie każdy może zbliżyć ciało energetyczne do ciała fizycznego. W normalnych warunkach dzielący je dystans jest ogromny. Kiedy ciało energetyczne znajdzie się już od ciała fizycznego w określonej odległości, która jest różna dla każdego z nas, poprzez zdyscyplinowane działania każdy może z niego uformować dokładną replikę swojego ciała fizycznego, czyli, inaczej mówiąc, trójwymiarową, materialną istotę. Stąd też bierze się stosowane przez czarowników pojęcie bliźniaka albo sobowtóra. I na odwrót, dzięki tym samym działaniom każdy jest w stanie uformować ze swego trójwymiarowego, materialnego ciała fizycznego doskonałą replikę swego ciała energetycznego – czyli, inaczej mówiąc, eteryczny obłok energii, niewidoczny dla oka ludzkiego, jak zresztą wszelka energia.

Kiedy don Juan powiedział mi o tym wszystkim, zareagowałem pytaniem, czy opisuje mi treść jakiegoś mitu. Odparł na to, że czarownicy nie mają nic wspólnego z mitami. Czarownicy to istoty praktyczne i to, o czym mówią, jest zawsze nacechowane trzeźwością i rzeczowością. Według don Juana, trudności ze zrozumieniem tego, co robią czarownicy, biorą się stąd, że czerpią oni z innego systemu kognitywnego.

Kiedy tak siedzieliśmy tamtego dnia z tyłu jego domu w środkowym Meksyku, powiedział, że ciało energetyczne ma kluczowe znaczenie we wszystkim, co się dzieje w moim życiu. Widział, że moje ciało energetyczne, zamiast się ode mnie oddalać, jak to ma normalnie miejsce, zbliża się do mnie z ogromną prędkością, i był to fakt energetyczny.

– Co to znaczy, że ono się do mnie zbliża, don Juanie? – zapytałem.

– To znaczy, że niedługo coś zacznie cię śmiertelnie przerażać – odparł z uśmiechem. – Twoje życie zostanie poddane niesamowitej kontroli, ale nie twojej kontroli, lecz kontroli ciała energetycznego.

– Chcesz przez to powiedzieć, don Juanie, że zacznie mnie kontrolować jakaś siła z zewnątrz? – zapytałem.

– Kontroluje cię obecnie cała masa sił zewnętrznych – orzekł. – Kontrola, o której myślę, leży poza sferą języka. To kontrola, a jednocześnie jej brak. Nie można jej w żaden sposób zaklasyfikować, ale bez wątpienia można doświadczyć. I przede wszystkim, z całą pewnością można nią manipulować. Zapamiętaj to sobie: możesz nią manipulować i maksymalnie wyzyskiwać z korzyścią dla siebie, która,

rzecz jasna, nie jest korzyścią twoją, lecz ciała energetycznego. Jednakże ciało energetyczne to ty, moglibyśmy więc ganiać tak w kółko jak pies za własnym ogonem, starając się to wszystko opisać. Język nie jest adekwatny. Wszystkie te doświadczenia wykraczają poza reguły składni języka.

Ciemność zapadła bardzo szybko i liście drzew, które jeszcze przed chwilą emanowały zieloną poświatą, były teraz bardzo ciemne i ciężkie. Don Juan powiedział, że jeśli będę się pilnie skupiał na ciemności liści, nie koncentrując wzroku na niczym konkretnym, lecz spoglądając niejako kątem oka, dostrzegę ulotny cień w moim polu widzenia.

– To odpowiednia pora dnia na zrobienie tego, o co cię proszę – rzekł. – Skupienie koniecznej uwagi zabierze ci tylko chwilkę. Nie przestawaj, aż dostrzeżesz ten ulotny, czarny cień.

Rzeczywiście, dostrzegłem jakiś dziwny, ulotny, czarny cień na tle liści drzew. Był to albo jeden cień, poruszający się w przód i w tył, albo kilka, przesuwających się z lewa na prawo albo z prawa na lewo lub prosto w górę. Jawiły mi się one jako grube czarne ryby, ogromne ryby. Wyglądało to tak, jak gdyby w powietrzu latały gigantyczne miecznikі. Widok ten pochłonął mnie całkowicie. W końcu zacząłem się go bać. Zrobiło się za ciemno i nie widziałem już liści, ale ciągle widziałem te ulotne, czarne cienie.

– Co to jest, don Juanie? – zapytałem. – Wszędzie dokoła dostrzegam ulotne, czarne cienie.

– Ach, to właśnie dziki wszechświat – odrzekł. – Niemierzalny, nieliniowy, wykraczający poza sferę języka. Czarownicy starożytnego Meksyku byli pierwszymi, którzy te ulotne cienie ujrzeli, więc zaczęli za nimi podążać. Widzieli je tak, jak ty je teraz widzisz, i widzieli je jako energię w jej ruchu we wszechświecie. I faktycznie udało im się odkryć coś transcendentalnego.

Przestał mówić i spojrzał na mnie. Jego pauzy były zawsze doskonale zaplanowane. Przestawał mówić wówczas, gdy umierałem z ciekawości.

– Co takiego odkryli, don Juanie? – zapytałem.

– Odkryli, że mamy towarzysza na całe życie – powiedział tak dobitnie, jak tylko potrafił. – Drapieżcę, który przybył z otchłani kosmosu i zawładnął naszym życiem. Ludzie są jego więźniami. Ten drapieżca jest naszym panem i władcą. Zrobił z nas potulne, bezradne baranki. Jeżeli chcemy się zbuntować, bunt zostaje zdławiony. Jeżeli chcemy działać niezależnie, rozkazuje nam, byśmy tego nie robili.

Dokoła nas było bardzo ciemno i to chyba zupełnie przytłumiło moją ekspresję. Gdyby działo się to za dnia, śmiałbym się do rozpuku. W ciemności czułem się bardzo nieswojo.

– Ciemno, choć oko wykol – odezwał się don Juan – ale jeśli spojrzysz dokoła kątem oka, znów zobaczysz, jak dokoła nas skaczą ulotne cienie.

Miał rację. Ciągle je widziałem. Od ich ruchu kręciło mi się w głowie. Don Juan włączył światło; wszystko się rozwiało.

– Tylko dzięki samodzielnym staraniom dotarłeś do czegoś, co szamani starożytnego Meksyku nazywali kwestią nad kwestiami – rzekł don Juan. – Tym razem cały czas owijałem rzeczy w bawełnę, sugerując ci, że jesteśmy przez coś więzieni. I rzeczywiście, coś nas więzi! Dla czarowników starożytnego Meksyku był to fakt energetyczny.

– Dlaczego ten drapieżca zawładnął nami w sposób, o jakim mi mówiłeś, don Juanie? – zapytałem. – Musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie.

– Jest wytłumaczenie – odparł don Juan – i to najprostsze na świecie. Zawładnęli nami, ponieważ jesteśmy ich pożywieniem, i uciskają nas bezlitośnie, ponieważ utrzymujemy ich przy życiu. My hodujemy kurczęta na kurzych fermach, gallineros, drapieżcy zaś hodują nas na ludzkich fermach, humaneros. Dlatego zawsze mają co jeść.

Poczułem, że gwałtownie kręcę głową na boki. Nie potrafiłem wyrazić swego głębokiego zaniepokojenia i niezadowolenia, ale moje ciało zaczęło się poruszać, by dać upust tym uczuciom. Trząsłem się cały, od włosów na głowie po czubki palców stóp, zupełnie bezwolnie.

– Nie, nie, nie, nie – usłyszałem swój głos. – To absurd, don Juanie. To, co mówisz, jest potworne. To po prostu nie może być prawda, ani dla czarowników, ani dla przeciętnych ludzi, ani dla nikogo.

– Dlaczego nie? – zapytał chłodno don Juan. – Dlaczego nie? Bo cię to doprowadza do szału?

– Tak, doprowadza mnie to do szału – odparłem sucho. – Twoje sugestie są potworne!

– No cóż – powiedział – nie wysłuchałeś jeszcze wszystkich moich sugestii. Poczekaj chwilkę i

potem oceń, co na ten temat sądzić. Zaraz dostaniesz się w prawdziwą nawałnicę. To znaczy, że twój umysł zostanie wystawiony na zmasowany atak, a ty nie będziesz mógł się poddać i sobie pójść, bo jesteś w pułapce. Nie dlatego, że cię uwięziłem, ale dlatego, że coś ukryte głęboko w tobie nie pozwoli ci odejść, choć jakaś część ciebie po prostu wpadnie w szał. Tak więc, przygotuj się!

Czułem, że mam w sobie coś z masochisty. Don Juan miał rację. Nie wyszedłbym z jego domu za nic na świecie. Mimo to jednak ani trochę mi się nie podobały brednie, które wygadywał.

– Chcę przemówić do twojego analitycznego umysłu – rzekł don Juan. – Zastanów się przez chwilę, a potem mi powiedz, jak byś wytłumaczył sprzeczność pomiędzy inteligencją człowieka-inżyniera i głupotą jego przekonań albo głupotą jego pełnego sprzeczności zachowania. Czarownicy są przekonani, że to drapieżcy dali nam przekonania, nasze pojęcia dobra i zła, nasze prawa społeczne. To oni stworzyli nasze nadzieje i oczekiwania, sny o powodzeniu i myśli o porażce. Dali nam pożądanie, chciwość i tchórzostwo. To przez drapieżców jesteśmy tak zadowoleni z siebie, schematyczni i egoistyczni.

– Ale jak można tego dokonać, don Juanie? – zapytałem, jakby bardziej jeszcze rozeźlony tym, co mówi. – Szepcą nam to wszystko do ucha, kiedy śpimy?

– Nie, nie robią tego w ten sposób. To idiotyczny pomysł! – odparł z uśmiechem. – Są nieskończenie skuteczniejsi i bardziej zorganizowani, niż ci się zdaje. Aby zapewnić sobie naszego posłuszeństwo, uległość i słabość, drapieżcy wykonali fantastyczne posunięcie – fantastyczne, oczywiście, z punktu widzenia strategii wojennej, a przerażające z punktu widzenia tych, przeciwko którym zostało skierowane. Oddali nam swój umysł! Słyszysz, co mówię? Drapieżcy oddają nam swój umysł, który staje się naszym umysłem. Umysł drapieżców jest barokowy, pełen sprzeczności, posępny, przepełniony obawą przed zdemaskowaniem, które może nastąpić lada chwila.

Wiem, że choć nigdy nie cierpiałeś głodu – ciągnął – odczuwasz niepokój związany z jedzeniem, który nie jest niczym innym, jak niepokojem drapieżcy, że w każdej chwili jego posunięcie zostanie odkryte i zabraknie mu pożywienia. Poprzez umysł, który w końcu jest ich umysłem, drapieżcy wtłaczają w życie ludzi wszystko, co im pasuje. W ten sposób zapewniają sobie pewne bezpieczeństwo, które niczym bufor neutralizuje nieco ich strach.

– To nie o to chodzi, don Juanie, że nie mogę przyjąć tego ot tak – powiedziałem. – Mógłbym to zrobić, ale jest w tym coś tak ohydnego, że mnie po prostu odrzuca. Zmusza mnie do zajęcia w tej sprawie stanowiska oponenta. Jeżeli to prawda, że nas zjadają, jak to się odbywa?

Na twarzy don Juana malował się szeroki uśmiech. Był zadowolony jak wszyscy diabli. Wyjaśnił mi, że czarownicy widzą niemowlęta jako dziwne, świetliste kule energii, pokryte od samej góry do samego dołu czymś w rodzaju lśniącej otoczki, przypominającej plastykową pokrywę, ciasno dopasowaną do ich kokonu energii. Powiedział, że to właśnie ta lśniąca otoczka świadomości stanowi pożywienie drapieżców i że do czasu osiągnięcia przez człowieka dorosłości pozostaje z niej jedynie wąski strzęp, który biegnie od podłoża do czubków palców u stóp. Strzęp ten pozwala ludzkości zaledwie na przeżycie, ale nic ponadto.

Zupełnie jak we śnie słyszałem, jak don Juan Matus wyjaśnia mi, że o ile mu wiadomo, człowiek jest jedynym gatunkiem istot, u którego lśniąca otoczka świadomości leży poza tym świetlistym kokonem. Dlatego też jest łatwą zdobyczą dla świadomości innego rzędu, takiej jak ciężka świadomość drapieżcy.

Następnie powiedział coś, co zdruzgotało mnie doszczętnie. Stwierdził, że ów wąski strzęp świadomości stanowi samo centrum autorefleksji, w której człowiek nieuleczalnie się pogrążył. Grając na naszej autorefleksji, która jest jedynym ocalałym punktem świadomości, drapieżcy tworzą rozbłyski świadomości, które następnie bezwzględnie pożerają. Podsuwają nam idiotyczne problemy, które wymuszają powstanie tych rozbłysków świadomości, i w ten sposób utrzymują nas przy życiu, żeby później móc się odżywiać owymi energetycznymi rozbłyskami powstałymi dzięki naszym niby-problemom.

Musiało być coś w tym, co mówił don Juan; byłem w tym momencie tak zdruzgotany, że najzwyczajniej w świecie zrobiło mi się niedobrze.

Po chwili, wystarczająco długiej, bym zdążył dojść do siebie, zapytałem go:

– Ale dlaczego czarownicy starożytnego Meksyku i współcześni czarownicy nic z tym nie robią, choć widzą drapieżców?

– Ani ty, ani ja nic nie możemy z tym zrobić – odrzekł don Juan poważnym, smutnym głosem. –

Jedyne, co nam pozostaje, to poddać się dyscyplinie, dzięki której w końcu nie będą mogli nas tknąć. Jak chcesz wymagać od innych, by wzięli na siebie taki trud? Wyśmieją cię i wyszydzą, a co bardziej agresywni dadzą ci taki wpierdol, że popamiętasz. I zasadniczo nie dlatego, żeby nie chcieli ci wierzyć. Głęboko w każdym człowieku tkwi atawistyczna, intuicyjna świadomość istnienia drapieżców.

Mój analityczny umysł podnosił się i opadał niczym jo-jo. Puszczał mnie i wracał, puszczał i znowu wracał. Twierdzenia don Juana były po prostu niedorzeczne, niewiarygodne, a jednocześnie tak niezwykle sensowne i proste. Tłumaczyły każdą sprzeczność ludzkiego zachowania, która tylko przyszła mi na myśl. Ale jakżeż można było traktować to wszystko poważnie? Don Juan wpychał mnie pod lawinę, która mogła pochłonąć mnie na zawsze.

Uderzyła we mnie kolejna fala poczucia zagrożenia. Choć nie ja byłem jego źródłem, było ono jednak ze mną związane. Don Juan coś ze mną robił, coś niejawnie dobrego i potwornie złego zarazem. Odczuwałem to jako próbę przecięcia cienkiej warstewki czegoś, czym byłem jakby oklejony. Jego oczy wpatrywały się we mnie nieruchomo. Odwrócił wzrok i zaczął mówić, nie patrząc już w moją stronę.

– Jeżeli tylko kiedyś zaczną cię niebezpiecznie trapić jakieś wątpliwości – powiedział – zareaguj pragmatycznie. Wyłącz światło. Przeniknij ciemność; przekonaj się, co dostrzegasz.

Wstał, żeby wyłączyć światło. Powstrzymałem go.

– Nie, nie, don Juanie – odezwałem się – nie wyłączaj światła. Wszystko w porządku.

Czułem w tamtej chwili bardzo niezwyczajny jak na mnie strach przed ciemnością. Na samą myśl o niej zaczynałem ciężko dyszeć. Nie miałem wątpliwości, że intuicyjnie coś sobie uświadamiam, ale nie śmiałem tego dotknąć ani w pełni sobie uzmysłowić, za żadne skarby tego świata!

– Dostrzegłeś ulotne cienie na tle drzew – powiedział don Juan, siadając z powrotem na swoim krześle. – To bardzo dobrze. Chciałbym, żebyś zobaczył je w tym pokoju. Nie będziesz niczego widział. Będziesz zaledwie wychwytywał ulotne obrazy. Na to masz dość energii.

Obawiałem się, że don Juan i tak wstanie i zgasi światło; tak też zrobił. Dwie sekundy później darłem się na całe gardło. Nie dość, że faktycznie kątem oka dostrzegłem owe ulotne obrazy, to jeszcze usłyszałem, jak brzęczą mi koło ucha. Don Juan skręcał się ze śmiechu, włączywszy na powrót lampę.

– Ależ ten gość ma temperament! – orzekł. – Z jednej strony totalny sceptyk, a z drugiej totalny pragmatyk. Będziesz musiał sobie zaaranżować tę wewnętrzną walkę. Inaczej napuchniesz jak wielka ropucha i w końcu strzelisz. Coraz głębiej wbijał mi szpilę.

– Czarownicy starożytnego Meksyku – powiedział – widzieli drapieżcę. Nazwali go latawcem, bo skacze w powietrzu. Nie jest to urzekający widok. To wielki cień, mroczny i nieprzenikniony, czarny cień, który w podskokach przemieszcza się w powietrzu. Potem ląduje płasko na ziemi. Czarowników starożytnego Meksyku niezwykle nurtowało pytanie, kiedy pojawił się on na Ziemi. Rozumowali tak, że człowiek w pewnym okresie musiał być istotą doskonałą, obdarzoną fenomenalnym wglądem, zdolnym do takich wyczynów percepcji, że dziś są one przedmiotem legend. A potem wszystko jakby zniknęło i oto mamy obecnie człowieka uśpionego.

Chciałem się rozgniewać, nazwać go paranoikiem, ale gdzieś zniknęło to poczucie prawa do słusznego gniewu, które zawsze miałem. Coś we mnie wyrosło ponad poziom, na którym zawsze zadawałem sobie ulubione pytanie: “A co, jeśli wszystko to, co mówi, jest prawdą?" Wtedy, tamtej nocy, kiedy ze mną rozmawiał, w głębi mego serca czułem, że wszystko, co mówi, jest prawdą; jednocześnie jednak równie silne było przekonanie, że wszystko, co mówi, to czysty absurd.

– Co ty opowiadasz, don Juanie? – zapytałem słabo. Gardło miałem ściśnięte. Z trudem oddychałem.

– Opowiadam, że naszym przeciwnikiem nie jest zwykły drapieżca. Jest bardzo przemyślny i zorganizowany. Metodycznie przestrzega planu, który czyni z nas istoty bezużyteczne. Człowiek, istota magiczna, nie jest już magiczny. Jest zwykłym kawałkiem mięsa. Człowiekowi nie pozostały już żadne marzenia oprócz marzeń zwierzęcia hodowanego dla mięsa: marzeń wyświechtanych, konwencjonalnych i kretyńskich.

Słowa don Juana wywoływały we mnie dziwną fizyczną reakcję, podobną do mdłości. Czułem się znów tak, jakbym miał za chwilę zwymiotować. Ale źródłem nudności były najgłębsze pokłady mojej istoty, sam szpik kości. Zacząłem konwulsyjnie drżeć. Don Juan potrząsnął mnie mocno za ramiona. Poczułem, jak szyja mi się trzęsie pod wpływem jego uścisku. Uspokoiłem się od razu. Odzyskałem

nieco kontroli nad sobą.

– Ten drapieżca – powiedział don Juan – który jest, rzecz jasna, istotą nieorganiczną, nie jest dla nas tak całkowicie niewidzialny jak inne istoty nieorganiczne. Myślę, że jako dzieci go widzimy; jest to dla nas jednak tak przerażający widok, że nawet nic chcemy o tym myśleć. Dzieci, rzecz jasna, czasem się upierają i chcą zwrócić na niego baczniejszą uwagę, lecz wszyscy dokoła zniechęcają je do tego.

Jedyną alternatywą dla ludzkości – ciągnął – jest dyscyplina. Dyscyplina to jedyny środek zaradczy. Ale gdy mówię o dyscyplinie, nie chodzi mi o jakieś ascetyczne praktyki. Nie chodzi mi o to, żeby wstawać o piątej trzydzieści każdego ranka i polewać się zimną wodą aż do zsinienia. Poprzez dyscyplinę czarownicy rozumieją umiejętność niewzruszonego stawiania czoła przeciwnościom losu, których nie braliśmy pod uwagę w naszych oczekiwaniach. Dla nich dyscyplina jest sztuką: sztuką stawiania czoła nieskończoności bez mrugnięcia okiem i to nie dlatego, że są oni silni i twardzi, lecz dlatego, że przepełnia ich nabożna cześć.

– W jaki sposób dyscyplina czarowników może być środkiem zaradczym? – zapytałem.

– Czarownicy powiadają, że dyscyplina sprawia, iż lśniąca otoczka świadomości staje się dla latawca niesmaczna – odparł don Juan, bacznie wpatrując się w moją twarz, jakby szukał w niej jakichś oznak niedowierzania. – Efekt jest taki, że drapieżcy są zdezorientowani. Lśniąca otoczka świadomości, która jest niejadalna, nie mieści się, jak sądzę, w ich systemie poznawczym. Zdezorientowani, nie mają innego wyjścia, jak tylko odstąpić od swych nikczemnych zamiarów.

Jeżeli drapieżcy nie będą przez jakiś czas zjadać naszej lśniącej otoczki świadomości – ciągnął – ta będzie dalej rosnąć. Upraszczając tę kwestię maksymalnie, mogę powiedzieć tak, że czarownicy, dzięki zachowywaniu dyscypliny, odpychają drapieżców wystarczająco długo, by ich lśniąca otoczka świadomości rozrosła się powyżej poziomu palców stóp. Kiedy już przekroczy ten poziom, urasta z powrotem do pierwotnych rozmiarów. Czarownicy starożytnego Meksyku mawiali, że lśniąca otoczka świadomości jest jak drzewo. Jeżeli go nie przycinać, rozrasta się do naturalnych rozmiarów i osiąga naturalną gęstość. Gdy świadomość osiąga poziomy ponad poziomem palców stóp, jej fenomenalne wyczyny stają się oczywistością.

Wspaniała sztuczka dawnych czarowników – ciągnął don Juan – polegała na obciążeniu umysłu latawca dyscypliną. Stwierdzili oni, że jeśli narzucić umysłowi latawca wewnętrzną ciszę, wówczas obca instalacja się rozprasza; daje to każdemu, kto wykonuje ten manewr, absolutną pewność zewnętrznego pochodzenia umysłu. Obca instalacja powraca, tego możesz być pewien, ale już nie tak silna, i tak oto rozpoczyna się proces, w którym rozpraszanie umyslu latawca staje się zabiegiem rutynowym; proces ten trwa tak długo, aż pewnego dnia umysł latawca rozprasza się na dobre. Smutny to dzień, doprawdy! Od tego dnia będziesz musiał się opierać na własnej inwencji, która jest bliska zeru. Nie będzie już nikogo, kto by ci powiedział, co masz robić. Nie będzie już żadnego zewnętrznego umysłu, który mógłby ci dyktować kretyństwa, do których zostałeś przyzwyczajony.

Mój nauczyciel, nagual Julian, zawsze przestrzegał wszystkich swoich uczniów – kontynuował don Juan – że jest to najcięższy dzień w życiu czarownika, ponieważ prawdziwy umysł – ten, który należy do nas, łączna suma wszystkiego, czego doświadczyliśmy – po trwającym całe życie poddaństwie, jest nieśmiały, niepewny i nie można na nim polegać. Osobiście powiedziałbym, że dla czarownika prawdziwa bitwa rozpoczyna się dopiero w tym momencie. Cała reszta to tylko przygotowania.

Byłem naprawdę głęboko poruszony. Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej, a z drugiej strony coś dziwnego gdzieś w głębi mnie głośno się domagało, bym się nie odzywał, podsuwając mi myśl o mrocznym finale całej sprawy i karze – czymś w rodzaju boskiego gniewu, który mnie dosięgnie za grzebanie przy czymś, co sam Bóg okrył tajemnicą. Musiałem się zdobyć na ogromny wysiłek, żeby przechylić szalę zwycięstwa na korzyść mojej ciekawości.

– Co... co... co znaczy – usłyszałem własne słowa – obciążanie umysłu latawca?

– Dyscyplina niesamowicie obciąża obcy umysł – odrzekł. – Tak więc, dzięki niej czarownicy przełamuj ą obcą instalację.

Jego słowa mnie przygniotły. Byłem przekonany, że albo don Juan kwalifikuje się do zakładu zamkniętego, albo mówi mi coś tak potwornie niesamowitego, że to we mnie wszystko zamiera. Zauważyłem jednak, jak szybko wykrzesałem z siebie dość energii, by sprzeciwić się wszystkiemu, co powiedział. Po chwili paniki zacząłem się śmiać, zupełnie jakby don Juan opowiedział jakiś dowcip. Usłyszałem nawet, jak mówię:

– Don Juanie, don Juanie, jesteś niepoprawny!

Rozumiał chyba wszystko, co się we mnie działo. Kiwał głową na boki i wznosił oczy w górę w geście udawanej rozpaczy.

– Jestem tak niepoprawny – powiedział – że zaraz zafunduję umysłowi latawca, który w sobie nosisz, jeszcze jeden wstrząs. Wyjawię ci jeden z najbardziej niesamowitych sekretów magii. Opiszę ci odkrycie, którego weryfikacja i uporządkowanie zajęła czarownikom tysiące lat.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się złowrogo.

– Umysł latawca rozprasza się na zawsze – powiedział – kiedy czarownikowi uda się pochwycić wibrującą siłę, która utrzymuje w jednej całości skupisko naszych pól energii. Jeżeli utrzymają w tym uchwycie dostatecznie długo, umysł latawca zostaje pokonany i się rozprasza. I to właśnie zaraz zrobisz: uchwycisz się energii, która utrzymuje nas w jednej całości.

Zareagowałem na to w tak niewytłumaczalny sposób, że aż trudno to sobie wyobrazić. Coś we mnie zadrżało, zupełnie jakby pod wpływem silnego wstrząsu. Ogarnął mnie niezrozumiały strach, który natychmiast skojarzyłem z moim religijnym wychowaniem.

Don Juan zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów.

– Boisz się gniewu boskiego, co? – odezwał się. – Bądź spokojny, to nie twój strach. To strach latawca, bo on wie, że zrobisz dokładnie to, co ci każę.

Jego słowa wcale mnie nie uspokoiły. Poczułem się jeszcze gorzej. Ogarnęły mnie mimowolne, konwulsyjne drgawki i nie było żadnego sposobu, by je opanować.

– Nie martw się – powiedział spokojnie don Juan. – Wiem z doświadczenia, że te ataki bardzo szybko tracą na sile. Umysłu latawca nie stać nawet na odrobinę koncentracji.

Po chwili wszystko ustało, tak jak przepowiedział don Juan. Słowo “oszołomiony" w odniesieniu do mojego stanu w tamtym momencie byłoby eufemizmem. Po raz pierwszy w życiu, z don Juanem czy bez, naprawdę nie miałem pojęcia, co się ze mną dzieje. Chciałem wstać z krzesła i przejść się, ale paraliżował mnie śmiertelny strach. Byłem wypełniony racjonalnymi sądami, a jednocześnie przepełniał mnie infantylny strach. Zacząłem głęboko oddychać, a całe moje ciało pokrył zimny pot. W jakiś sposób moje oczy otwarły się na potworny widok: gdziekolwiek się obróciłem, skakały czarne, ulotne cienie.

Przymknąłem powieki i oparłem głowę na oparciu krzesła.

– Nie wiem, dokąd teraz pójść, don Juanie – odezwałem się. – Dzisiaj naprawdę ci się udało zupełnie poplątać moje ścieżki.

– Rozdziera cię wewnętrzna walka – powiedział don Juan. – Głęboko w środku wiesz, że nie jesteś w stanie odrzucić przyzwolenia na to, by nieodłączna część ciebie, twoja lśniąca otoczka świadomości, stała się w niepojęty sposób źródłem pożywienia dla istot o niepojętej dla nas naturze. A inna część ciebie będzie się temu przeciwstawiać całą swoją mocą.

Przewrót czarowników – ciągnął – polega na tym, że odmówili oni honorowania umów, w których nie byli stroną. Nikt mnie nigdy nie pytał o to, czy nie zgodziłbym się zostać pożarty przez istoty o odmiennym rodzaju świadomości. Moi rodzice po prostu wprowadzili mnie na ten świat po to tylko, bym został czyimś pożywieniem, tak samo jak i oni – koniec, kropka.

Don Juan wstał z krzesła i rozprostował ręce i nogi.

– Siedzieliśmy kilka godzin. Czas wejść do domu. Ja coś zjem. Chcesz zjeść ze mną?

Odmówiłem. Miałem rozstrojony żołądek.

– Myślę, że najlepiej zrobisz, jak się położysz spać – powiedział. – Ta nawałnica nieźle cię sponiewierała.

Nie potrzebowałem dodatkowej zachęty. Zwaliłem się na swoje łóżko i zasnąłem jak zabity.

Po powrocie do domu, z biegiem czasu, idea latawców stała się jedną z największych obsesji mojego życia. Doszedłem do takiego punktu, że czułem, iż don Juan miał w tej materii absolutną rację. Bez względu na to, jak bardzo się starałem, nie udawało mi się podważyć jego logiki. Im więcej o tym myślałem, im więcej rozmawiałem z samym sobą i innymi ludźmi, im więcej samego siebie i innych obserwowałem, tym silniejsze było moje przekonanie, że coś czyni z nas istoty niezdolne do jakiegokolwiek działania, jakiejkolwiek relacji i jakiejkolwiek myśli, która nie ogniskowałaby się na ‚ja".

Moje troski, podobnie jak troski każdego, kogo znałem lub z kim rozmawiałem, koncentrowały się właśnie na tym. Ponieważ nie umiałem znaleźć wytłumaczenia tak uniwersalnej homogeniczności, byłem przekonany, że tok rozumowania don Juana jest najbardziej odpowiednim sposobem objaśnienia tego fenomenu.

Poświęciłem się głębszej analizie literatury dotyczącej mitów i legend. Uświadomiłem sobie wówczas coś, czego nigdy wcześniej nie odczuwałem: każda z przeczytanych przeze mnie książek była interpretacją mitów i legend. Przez każdą z nich przemawiał ten sam, homogeniczny umysł. Style były odmienne, lecz ukryty pod warstwą słów zamiar jednakowy: pomimo tego, że temat pracy dotyczył czegoś tak abstrakcyjnego jak mity i legendy, autorowi zawsze udało się zawrzeć w niej jakieś opinie o sobie. Celem każdej z tych książek nie było omówienie rzeczonego tematu; była nim autoreklama. Nigdy wcześniej sobie tego nie uświadamiałem.

Przypisywałem moją reakcję wpływowi don Juana. Pytanie, które sobie stawiałem, brzmiało tak: czy to on wpływa na mnie tak, że coś takiego dostrzegam, czy też rzeczywiście istnieje jakiś obcy umysł, który dyktuje wszelkie nasze poczynania? Siłą rzeczy odruchowo znów popadłem w negację, i niczym wariat zacząłem po kolei przechodzić od negacji do akceptacji i tak w kółko. Coś we mnie wiedziało, że bez względu na to, do czego pije don Juan, jest to fakt energetyczny; jednak inny wewnętrzny głos mówił, że to wszystko brednie. Wynikiem tych wewnętrznych zmagań były bardzo złe przeczucia, wrażenie, że zawisło nade mną wielkie niebezpieczeństwo.

Przeprowadziłem szeroko zakrojone badania, poszukując śladów koncepcji latawców w innych kulturach, ale nigdzie nie udało mi się znaleźć żadnej wzmianki na ten temat. Wyglądało na to, że don Juan jest jedynym źródłem informacji w tej materii. Kiedy zobaczyłem się z nim następnym razem, natychmiast przeszedłem do tematu.

– Robiłem, co mogłem, by podejść do tego zagadnienia racjonalnie – powiedziałem – ale nie mogę. Są takie chwile, kiedy absolutnie się z tobą zgadzam w kwestii drapieżców.

– Skup swoją uwagę na ulotnych cieniach, które obecnie widzisz – odrzekł don Juan z uśmiechem.

Powiedziałem mu, że owe ulotne cienie staną się końcem mojego racjonalnego życia. Widziałem je wszędzie. Od czasu gdy wyszedłem wówczas z jego domu, nie byłem w stanie zasnąć po ciemku. Spanie przy włączonym świetle w ogóle mi nie przeszkadzało. Jednak z chwilą gdy je gasiłem, wszystko dokoła mnie zaczynało skakać. Nigdy nie dostrzegałem kompletnych postaci ani kształtów. Widziałem jedynie ulotne, czarne cienie.

– Umysł latawca jeszcze cię nie puścił – rzekł don Juan. – Został ciężko ranny. Robi wszystko, by zreorganizować swoją relację z tobą. Ale coś w tobie zostało na zawsze przerwane. Latawiec o tym wie. Prawdziwe niebezpieczeństwo leży w tym, że umysł latawca może zwyciężyć, doprowadzając cię do wyczerpania i zmuszając do zarzucenia dalszej walki, jeśli dobrze rozegra kartę sprzeczności pomiędzy tym, co on ci mówi, i tym, co ja ci mówię.

Bo widzisz, umysł latawca nie ma konkurencji – ciągnął dalej don Juan. – Kiedy coś orzeka, zgadza się z własnym zdaniem i każe ci wierzyć, że zrobiłeś coś wartościowego. Umysł latawca powie ci, że to, co ci mówi Juan Matus, to wierutne bzdury, po czym ten sam umysł zgodzi się ze swym własnym stwierdzeniem. A ty powiesz: “Tak, oczywiście, że to bzdury". W taki właśnie sposób zostajemy pokonani.

Latawce są niezbędnym elementem wszechświata – ciągnął – i należy je traktować tak, jak na to zasługują – jako istoty potworne i budzące grozę. Dzięki nim wszechświat wystawia nas na próbę.

Jesteśmy energetycznymi sondami, stworzonymi przez wszechświat – mówił dalej, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności – a ponieważ posiadamy energię obdarzoną świadomością, jesteśmy środkiem, dzięki któremu wszechświat staje się świadom samego siebie. Latawce to nieprzebłagani rywale. Tylko tak można ich postrzegać. Jeśli nam się uda, wszechświat pozwoli nam trwać dalej.

Chciałem, żeby don Juan mówił dalej. Ale on powiedział tylko:

– Nawałnica ucichła za ostatnim twoim pobytem tutaj; tylko tyle można powiedzieć na temat latawców. Czas na posunięcie innego rodzaju.

Tamtej nocy nie mogłem zasnąć. Zapadłem w lekki sen nad ranem i nie obudziłem do czasu, gdy don Juan wyciągnął mnie z łóżka i zabrał w góry. Tam, gdzie mieszkał, rzeźba terenu była zupełnie inna niż na pustyni Sonory, ale przestrzegł mnie, bym nie folgował sobie w porównaniach; powiedział, że po przejściu kilkuset metrów każde miejsce na świecie jest dokładnie takie samo.

– Turystyka jest dla ludzi w samochodach – powiedział. – Przemieszczają się z wielką prędkością, bez żadnego wysiłku. Turystyka nie jest dla piechurów. Kiedy jedziesz samochodem, możesz dostrzec monumentalną górę, której piękno zaprze ci dech w piersiach. Widok tej samej góry nie zaprze ci tchu w piersiach tak jak wtedy, gdy będziesz na nią patrzył, idąc pieszo; to będzie inne uczucie, zwłaszcza wówczas, gdy będziesz musiał się na nią wspiąć albo ją obejść.

Tamtego ranka było bardzo gorąco. Szliśmy wyschniętym korytem rzeki. Jedno, co ta dolina i pustynia Sonory miały ze sobą wspólnego, to miliony owadów. Latające wszędzie dokoła komary i muchy były niczym bombowce nurkujące do mojego nosa, oczu i uszu. Don Juan polecił mi, bym nie zwracał uwagi na ich brzęczenie.

– Nie próbuj ich odganiać – oświadczył stanowczym tonem. – Zamierz, żeby dały ci spokój. Wznieś dokoła siebie barierę energetyczną. Zachowaj milczenie, a z niego powstanie ta bariera. Nikt nie wie, jak to się robi. Jest to jedna z tych rzeczy, które dawni czarownicy nazywali faktem energetycznym. Przerwij swój wewnętrzny dialog. Nie trzeba do tego nic więcej.

Chcę ci dać pod rozwagę dziwaczną propozycję – podjął, idąc nieco przede mną. Musiałem przyspieszyć kroku i trochę się do niego zbliżyć, by nie uronić żadnego słowa. – Muszę podkreślić, że ta dziwaczna propozycja spotka się z twoim ogromnym oporem – powiedział. – Powiem ci z góry, że nie przystaniesz na nią z łatwością. Ale to, że jest dziwaczna, nie powinno cię odstręczać. Jesteś socjologiem. Dlatego twój umysł jest zawsze otwarty na nowe poszukiwania, nieprawda?

Don Juan bezwstydnie stroił sobie ze mnie żarty. Wiedziałem o tym, ale nie przeszkadzało mi to. Być może dlatego, że szedł tak szybko i musiałem ogromnie się starać, żeby dotrzymać mu kroku, jego sarkazm po prostu spłynął po mnie i zamiast się zjeżyć, zacząłem się śmiać. Całą uwagę skupiałem na tym, co mówił, i owady przestały mnie niepokoić – albo dlatego, że zamierzyłem dokoła siebie barierę energetyczną, albo też dlatego, że tak pilnie słuchałem don Juana, że nie zwracałem już uwagi na ich brzęczenie.

– Moja dziwaczna propozycja jest taka – powiedział wolno, oceniając efekt, jaki jego słowa na mnie wywarły. – Wygląda na to, że każdy człowiek na tej Ziemi ma dokładnie takie same reakcje, takie same myśli, takie same odczucia. Wygląda na to, że wszyscy odpowiadają mniej więcej tak samo na te same bodźce. Reakcje te są jakby nieco rozmyte przez język, którym się porozumiewa, ale jeśli zetrzeć tę warstwę, są to dokładnie takie same reakcje, które dręczą każdego człowieka na Ziemi. Chciałbym, abyś się tym zainteresował, w charakterze socjologa rzecz jasna, i zbadał, czy można znaleźć na tę homogeniczność jakieś formalne wytłumaczenie.

Don Juan zebrał kilka gatunków roślin. Niektórych z nich niemal nie można było dostrzec. Kwalifikowały się bardziej do alg albo mchów. Trzymałem jego siatkę i nie rozmawialiśmy więcej. Kiedy nazbierał już dość, ruszył z powrotem w kierunku domu, maszerując ile sił w nogach. Powiedział, że chciałby oczyścić rośliny, rozdzielić je i uporządkować, zanim zbytnio przeschną.

Pogrążyłem się w rozmyślaniach, zastanawiając nad zadaniem, które mi nakreślił. Próbowałem sobie przypomnieć, czy znam jakieś artykuły albo prace z tego tematu. Stwierdziłem, że będę musiał przeprowadzić szersze badania tego zagadnienia, i postanowiłem, że rozpocznę je od przeczytania wszystkich dostępnych prac na temat “charakteru narodowego". Poczułem przypływ entuzjazmu i przyszło mi do głowy mnóstwo chaotycznych pomysłów; bardzo chciałem od razu wyruszyć w drogę powrotną, gdyż zamierzałem potraktować jego propozycję bardzo poważnie. Zanim jednak dotarliśmy do domu, don Juan usiadł na wysokiej półce skalnej, z której było widać całą dolinę. Przez chwilę nic nie mówił. Nie dyszał ciężko. Nie miałem pojęcia, dlaczego się zatrzymał i usiadł.

– Twoje zadanie na dziś – powiedział nagle złowróżbnym tonem – to jedna z najbardziej tajemniczych rzeczy w magii, coś, co wykracza poza język, poza wyjaśnienia. Byliśmy dzisiaj w górach, rozmawialiśmy, ponieważ tajemnica magii musi być okraszona sprawami przyziemnymi. Musi wyrastać z niczego i do niczego powracać. Oto sztuka wojowników w podróży: przejść przez ucho igielne nie zauważonym. Tak więc przygotuj się i oprzyj plecy o tę skalną ścianę; usiądź od krawędzi najdalej, jak możesz. Będę przy tobie na wypadek, gdybyś miał zasłabnąć albo spaść.

– Co planujesz, don Juanie? – zapytałem, a trwoga w moim głosie była tak wyraźna, że sam zdałem sobie z tego sprawę i zacząłem mówić ciszej.

– Skrzyżuj nogi i wejdź w wewnętrzną ciszę – powiedział. – Powiedzmy, że chcesz się dowiedzieć, do jakich artykułów mógłbyś zaglądnąć, by znaleźć argumenty za lub przeciw proponowanej przeze mnie tezie, którą masz zweryfikować w swoim środowisku akademickim. Wejdź w wewnętrzną ciszę, ale nie zasypiaj. To nie będzie podróż po mrocznym morzu świadomości. To widzenie z wewnętrznej

ciszy.

Było mi raczej trudno wejść w wewnętrzną ciszę bez zapadania w sen. Walczyłem z przemożnym pragnieniem zaśnięcia. W końcu udało mi się i stwierdziłem, że spoglądam na dno doliny z otaczającej mnie nieprzeniknionej ciemności. A potem zobaczyłem coś, co zmroziło mi krew w żyłach – gigantyczny cień, szeroki może na pięć metrów, który skakał w powietrzu, po czym wylądował na ziemi z niesłyszalnym, głuchym tąpnięciem. Poczułem to tąpnięcie w kościach, ale go nie usłyszałem.

– Są naprawdę bardzo ciężkie – powiedział mi don Juan do ucha. Z całych sił trzymał mnie za lewe ramię.

Widziałem coś, co wyglądało jak wijący się na ziemi bagienny cień; chwilę później cień wykonał kolejny potężny skok, przelatując w powietrzu może piętnaście metrów, po czym znów wylądował na ziemi z tym samym złowieszczym, niesłyszalnym tąpnięciem. Walczyłem, by nie utracić koncentracji. Byłem tak przerażony, że nie da się tego opisać słowami. Nie odrywałem oczu od cienia skaczącego po dnie doliny. Następnie usłyszałem bardzo specyficzne buczenie, mieszaninę odgłosu trzepoczących skrzydeł i trzeszczenia radia, które nie zostało dokładnie dostrojone do częstotliwości odbieranej stacji; chwilę potem nastąpiło kolejne głuche tąpnięcie, którego nigdy nie zapomnę. Don Juanem i mną wstrząsnęło do głębi – monstrualny, czarny, bagienny cień wylądował tuż przy nas.

– Nie bój się – nakazał mi don Juan władczym głosem. – Utrzymuj wewnętrzną ciszę, a on odejdzie.

Trząsłem się od stóp do głów. Nie miałem cienia wątpliwości, że jeśli nie utrzymam wewnętrznej ciszy, bagienny cień przykryje mnie niczym koc i zadusi. Nie rozpraszając otaczającej mnie ciemności, wrzasnąłem na całe gardło. Nigdy nie byłem taki wściekły, tak bezgranicznie sfrustrowany. Bagienny cień wykonał kolejny skok, wyraźnie w kierunku dna doliny. Dalej wrzeszczałem, potrząsając nogami. Chciałem strząsnąć z siebie to coś, co mogło nadejść, żeby mnie pożreć. Moje pobudzenie nerwowe było tak silne, że straciłem rachubę czasu. Być może straciłem przytomność.

Kiedy doszedłem do siebie, leżałem w łóżku w domu don Juana. Dokoła czoła miałem owinięty ręcznik, namoczony w lodowato zimnej wodzie. Trawiła mnie gorączka. Jedna z towarzyszek don Juana natarła mi plecy, piersi i czoło terpentyną, ale nie przyniosło mi to ulgi. Gorączka, która mnie trawiła, pochodziła z mojego wnętrza. Wywołały ją wielki gniew i niemoc.

Don Juan się śmiał, jak gdyby to, co się ze mną działo, było najzabawniejszą rzeczą pod słońcem. Bez końca wybuchał długimi salwami śmiechu.

– Nigdy bym nie pomyślał, że weźmiesz sobie widok latawca tak bardzo do serca – powiedział.

Ujął mnie za rękę i poprowadził na tyły domu, po czym wepchnął do wielkiej wanny z wodą, tak jak stałem – ubrany, w butach, z zegarkiem na ręku, ze wszystkim.

– Mój zegarek, zegarek! – wrzasnąłem. Don Juan skręcał się ze śmiechu.

– Nie powinieneś nakładać zegarka, gdy do mnie przyjeżdżasz – powiedział. – Teraz masz spieprzony zegarek!

Zdjąłem zegarek i odłożyłem go z boku wanny. Przypomniałem sobie, że jest wodoszczelny i nic mu się nie stanie. Kąpiel w wannie niezwykle dobrze mi zrobiła. Kiedy don Juan wyciągnął mnie z lodowatej wody, odzyskałem nieco panowanie nad sobą.

– Cóż za niedorzeczny widok! – powtarzałem ciągle, niezdolny powiedzieć nic więcej.

Drapieżca, którego opisywał mi wcześniej don Juan, nie był istotą przyjazną. Był niesamowicie ciężki, wulgarny, zobojętniały. Odczuwałem jego pogardę dla nas. Było pewne, że skruszył nas już całe wieki temu, przemieniając, jak powiedział don Juan, w istoty słabe, bezbronne i potulne. Zdjąłem moje mokre rzeczy, okryłem się poncho, usiadłem na swoim łóżku i najzwyczajniej w świecie zacząłem płakać jak dziecko; nie był to jednak żal nad sobą. Miałem mój wielki gniew i moją niezachwianą intencję, które nie pozwolą im mnie pożreć. Płakałem z żalu nad moimi bliźnimi, a zwłaszcza nad ojcem. Do tamtej chwili nigdy nie wiedziałem, że tak bardzo go kocham.

– Nie miał żadnych szans – usłyszałem powtarzane przez siebie w kółko te same słowa, zupełnie tak, jakby mówił to ktoś inny. Mój biedny ojciec, najukochańsza istota, jaką znałem, tak czuła, tak delikatna, tak bezbronna.

Skok w przepaść

Na płaskowyż prowadziła tylko jedna dróżka. Kiedy już dotarliśmy na miejsce, uzmysłowiłem sobie, że nie jest on tak wielki, jak mi się zdawało, gdy patrzyłem na niego z pewnej odległości. Roślinność tam, na górze, nie różniła się od roślinności poniżej: zdrewniałe krzewy w kolorze wypłowiałej zieleni, o wyglądzie cokolwiek przypominającym drzewa.

Z początku nie dostrzegłem urwiska. Dopiero gdy don Juan zawiódł mnie na jego skraj, zdałem sobie sprawę z tego, że płaskowyż kończy się przepaścią; w zasadzie nie był to płaskowyż, a płaski szczyt sporej góry. Góra była okrągła i wytarta przez erozję na swej wschodniej i południowej ścianie; jednak część ścian zachodniej i północnej wyglądała tak, jakby została ścięta nożem. Z krawędzi przepaści dostrzegałem dno urwiska, może dwieście metrów w dole. Pokryte było takimi samymi zdrewniałymi krzewami, jakie rosły wszędzie w tej okolicy.

Cały łańcuch niewielkich gór na południe i północ od szczytu był najwyraźniej częścią gigantycznego kanionu, wydrążonego przed milionami lat przez nie istniejącą już rzekę. Ściany zostały starte przez erozję. W niektórych miejscach nie wyrastały ponad poziom dna. Jedynym nienaruszonym fragmentem kanionu było miejsce, gdzie stałem.

– To lita skała – powiedział don Juan, jak gdyby czytał w moich myślach. Podbródkiem wskazał w kierunku dna urwiska. – Gdyby coś tak spadło z tej krawędzi na dno, roztrzaskałoby się w drobny mak na tej skale w dole.

Tak rozpoczął się tamtego dnia na szczycie góry mój dialog z don Juanem. Zanim wyruszyliśmy, powiedział mi, że jego czas na Ziemi dobiegł końca. Wyruszał w swą ostateczna podróż. Jego słowa mnie zdruzgotały. Zupełnie straciłem poczucie rzeczywistości i zapadłem w błogi stan rozszczepienia, podobny może nieco do tego, co przeżywają ludzie w chwili załamania nerwowego. Jednak rdzeń mojej istoty nie utracił spójności; tym rdzeniem byłem ja z czasów mojego dzieciństwa. Reszta była jedną wielką niejasnością, niepewnością. Byłem rozszczepiony przez tak długi czas, że jeszcze jedna ucieczka w ten stan była dla mnie jedynym ratunkiem przed kompletnym zdruzgotaniem.

Później w niezwykle osobliwy sposób zaczęły się na siebie nakładać różne poziomy mojej świadomości. Na ten szczyt wspięliśmy się don Juan, jego towarzysz don Genaro, jego dwóch uczniów, Pablito i Nestor, oraz ja. Pablito, Nestor i ja byliśmy tam z powodu naszego ostatniego zadania w charakterze uczniów. Mieliśmy skoczyć w przepaść; niesamowicie tajemnicza sprawa, którą don Juan objaśniał mi wcześniej na różnych poziomach świadomości, która jednak po dziś dzień pozostaje dla mnie nie rozwikłaną zagadką.

Don Juan powiedział żartobliwie, że powinienem wyjąć notes i zacząć robić notatki z naszych ostatnich chwil spędzonych razem. Szturchnął mnie delikatnie pod żebro i tłumiąc śmiech, powiedział z przekonaniem, że to wręcz konieczne, jako że moje pierwsze kroki na ścieżce wojownika w podróży rozpocząłem od robienia notatek.

Wtedy wtrącił się don Genaro, mówiąc, że przed nami na tym płaskim szczycie stali inni wojownicy w podróży, zanim podjęli swą wyprawę w nieznane. Don Juan obrócił się do mnie i cichym głosem powiedział, że wkrótce dzięki potędze mej osobistej mocy sam zacznę wkraczać w nieskończoność i że tylko on i don Genaro przyszli się ze mną pożegnać. Don Genaro znów się wtrącił i dodał, że ja również jestem tu po to, żeby się z nimi pożegnać.

– Kiedy już wkroczysz w nieskończoność – rzekł don Juan-nie możesz liczyć na to, że ściągniemy cię z powrotem. Wtedy potrzebna będzie twoja decyzja. Tylko ty możesz zdecydować o tym, czy wracać, czy też nie. Muszę cię też ostrzec, że niewielu wojowników w podróży wychodzi cało z takiego spotkania z nieskończonością. Nieskończoność kusi tak bardzo, że trudno w to uwierzyć. Wojownik w podróży stwierdza, że powrót do świata, w którym panują bałagan, przymus, hałas i ból, to perspektywa niezwykle nieatrakcyjna. Musisz wiedzieć, że decyzja o pozostaniu albo powrocie nie jest kwestią racjonalnego wyboru, ale kwestią zamierzenia.

Jeśli postanowisz nie wracać – ciągnął – znikniesz, jakbyś się zapadł pod ziemię. Lecz jeżeli zdecydujesz się powrócić, musisz zacisnąć zęby i czekać, jak przystało na prawdziwego wojownika w podróży, aż twoje zadanie – bez względu na to, jakie ono będzie – zostanie zakończone – czy to sukcesem, czy to porażką.

Wówczas w mojej świadomości zaczęła się dokonywać bardzo subtelna zmiana. Przypominałem sobie twarze ludzi, ale nie byłem pewien, czy ich kiedykolwiek spotkałem; zaczęły we mnie wzbierać dziwne uczucia udręki i głębokiej miłości. Głos don Juana nie był już słyszalny. Tęskniłem za jakimiś ludźmi, lecz szczerze powątpiewałem, czy ich kiedykolwiek w życiu spotkałem. Nagle zawładnęła mną przygniatająca miłość do tych ludzi, kimkolwiek byli. Choć moje uczucia wykraczały poza słowa, nie potrafiłem jednak powiedzieć, kim oni są. Wyczuwałem tylko ich obecność, zupełnie jakbym przeżył niegdyś inne życie albo związał się emocjonalnie z istotami z jakiegoś snu. Czułem, że ich kształty się zmieniają; z początku byli wysocy, w końcu zaś malutcy. Jednak ich esencja pozostawała nietknięta; to ona właśnie wzbudzała we mnie tę przemożną tęsknotę.

Don Juan stanął z boku i odezwał się do mnie. Jego głos był szorstki i rozkazujący.

– Umawialiśmy się, że pozostaniesz na poziomie świadomości powszedniego świata.

Dzisiaj masz do wykonania konkretne zadanie – dodał po chwili. – To ostatnie ogniwo w długim łańcuchu; koniecznym warunkiem sukcesu jest zdrowy rozsądek.

Nigdy dotąd don Juan nie mówił do mnie takim tonem. W owej chwili był innym człowiekiem, choć jednocześnie tak bardzo mi znajomym. Potulnie usłuchałem i powróciłem do świadomości świata codziennego życia. Nie wiedziałem jednak, że to robię. Owego dnia wydawało mi się, że uległem don Juanowi ze strachu i z szacunku do niego.

Następnie don Juan zwrócił się do mnie tonem, do którego byłem przyzwyczajony. To, co powiedział, również było bardzo mi znajome. Mówił, że kręgosłup wojownika w podróży stanowią pokora i skuteczność, podejmowanie działania bez oczekiwania czegokolwiek i umiejętność zniesienia wszystkiego, co jeszcze na niego czeka.

W tym momencie przeszedłem kolejną zmianę poziomu świadomości. Mój umysł skupił się na pewnej myśli czy raczej na pewnym odczuciu, które bardzo mnie męczyło. Uzmysłowiłem sobie wówczas, iż zawarłem z kilkoma ludźmi pakt, że umrzemy razem, i nie mogłem sobie przypomnieć, co to byli za ludzie. Nie miałem najmniejszych wątpliwości co do tego, że moja samotna śmierć jest czymś bardzo niewłaściwym. Męka stawała się nie do zniesienia.

Don Juan odezwał się do mnie.

– Jesteśmy sami – powiedział. – Taki już nasz los, ale umierać samemu nie znaczy umierać w osamotnieniu.

Nabrałem kilka potężnych łyków powietrza, by pozbyć się napięcia. Gdy tak oddychałem głęboko, odzyskałem jasność umysłu.

– Naszym wielkim męskim problemem jest nasza kruchość – ciągnął don Juan. – Kiedy nasza świadomość zaczyna wzrastać, wzrasta jak kolumna, dokładnie w środkowym punkcie naszej świetlistej istoty, od podłoża w górę. Kolumna ta musi osiągnąć znaczną wysokość, zanim będziemy mogli się na niej wesprzeć. Na obecnym etapie twojego życia czarownika łatwo tracisz kontrolę nad swą świadomością. Kiedy tak się dzieje, zapominasz o wszystkim, czego dokonałeś i co widziałeś na ścieżce wojownika w podróży, ponieważ twoja świadomość wraca na poziom świadomości twojego świata na co dzień. Tłumaczyłem ci już, że zadaniem każdego czarownika mężczyzny jest odzyskanie wszystkiego, czego dokonał i co widział na ścieżce wojownika w podróży, kiedy znajdował się na nowych poziomach swojej świadomości. Problemem każdego czarownika-mężczyzny jest to, że szybko o wszystkim zapomina, gdyż jego świadomość nie utrzymuje się na nowym poziomie i spada na sam dół z byle powodu.

– Doskonale rozumiem, co mówisz, don Juanie – odparłem. – Być może to pierwszy raz, gdy tak naprawdę uświadamiam sobie, dlaczego wszystko zapominam i dlaczego przypominam sobie wszystko później. Zawsze uważałem, że te zmiany mojej świadomości są wynikiem jakiejś patologii; teraz już wiem, skąd się te zmiany biorą, jednak nie jestem w stanie zwerbalizować tego, co wiem.

– Nie przejmuj się werbalizacją – powiedział don Juan. – Zwerbalizujesz sobie wszystko, co tylko będziesz chciał, w odpowiednim czasie. Dzisiaj musisz działać w oparciu o swoją wewnętrzną ciszę, w oparciu o to, co wiesz, nie wiedząc o tym. Doskonale wiesz, co masz zrobić, ale ta świadomość nie została jeszcze całkowicie sformułowana w twoich myślach.

Na poziomie konkretnych myśli czy wrażeń miałem jedynie niejasne przeczucie, że wiem coś, co nie jest częścią mojego umysłu. Nagle niezwykle wyraźne odczułem, że zrobiłem olbrzymi krok w dół, zupełnie jakby coś we mnie opadło do ziemi. Było to niemalże szarpnięcie. Wiedziałem, że w tamtym momencie przeszedłem kolejną zmianę poziomu świadomości.

Wówczas don Juan powiedział mi, że wojownik w podróży musi pożegnać się ze wszystkimi ludźmi, których zostawia. Musi się pożegnać, wypowiadając słowa pożegnania głośno i wyraźnie, tak by jego krzyk i jego uczucia zostały na zawsze zapisane w skałach tych gór.

Przez długi czas się wahałem, nie z powodu zażenowania, lecz dlatego, iż nie wiedziałem, kogo powinienem uwzględnić w tych tak ważnych słowach. Już wcześniej w pełni przyjąłem koncepcję czarowników, że wojownicy w podróży nie mogą być nikomu niczego winni.

Don Juan wbił mi do głowy przykazanie czarownika: "Wojownicy w podróży odpłacają z elegancją, szczodrością i niedoścignioną swobodą za każdą przysługę, każdą uprzejmość, którą im wyświadczono. W ten sposób pozbywają się ciężaru świadomości, że są komuś coś winni".

Odpłaciłem już wówczas, a raczej ciągle byłem w trakcie odpłacania, każdemu, kto zaszczycił mnie swą troskliwością lub poświęcił mi swą uwagę. Przeprowadziłem tak gruntowną rewizję życia, że nie pozostało już nic, co mógłbym zrobić. W owym czasie szczerze wierzyłem, że nie jestem już nikomu nic winien. Przedstawiłem zdanie i moje wątpliwości don Juanowi.

Don Juan odpowiedział, że faktycznie przeprowadziłem szczegółową rewizję życia, dodał jednak, iż daleko mi jeszcze do wyzwolenia się od ciężaru świadomości, że nie jestem nikomu niczego winien.

– A co z twoimi duchami? – zapytał. – Tymi, których nie możesz już dotknąć?

Wiedział, o czym mówi. Podczas rewizji życia zdałem mu relację z każdego zdarzenia w moim życiu. Z setek zdarzeń, które mu opowiedziałem, don Juan wybrał trzy jako przykład długu zaciągniętego w bardzo wczesnym okresie mojego życia; do tego dodał jeszcze dług wobec osoby, która przyczyniła się do naszego spotkania. Podziękowałem już mojemu przyjacielowi z całego serca i miałem wrażenie, że moje podziękowania zostały przyjęte. Wspomniane trzy inne przypadki pozostawały opowieściami z mojego życia, opowieściami o ludziach, którzy ofiarowali mi coś niepojętego i którym nigdy za to nie podziękowałem.

Jedna z tych historii wiązała się z człowiekiem, którego znałem, gdy byłem małym chłopcem. Nazywał się on Leandro Acosta. Był to naczelny wróg mojego dziadka, jego nemezis. Dziadek ustawicznie oskarżał go o kradzież kurcząt ze swej fermy. Acosta nie był włóczęgą, ale nie miał stałej, jasno sprecyzowanej pracy. Żył na uboczu, był hazardzistą, majstrem do wszystkiego, znachorem samoukiem, myśliwym oraz dostawcą roślin i owadów dla okolicznych zielarzy i uzdrowicieli oraz wszelkich gatunków ptaków i ssaków dla wypychaczy zwierząt i sprzedawców ze sklepów zoologicznych.

Ludzie byli przekonani, że zarabia góry pieniędzy, ale nie potrafi utrzymać ich przy sobie ani jakoś zainwestować. Zarówno jego przeciwnicy, jak i przyjaciele twierdzili, że dawno mógł już założyć najlepiej prosperującą firmę w całej okolicy i zajmować się tym, na czym znał się najlepiej – szukaniem roślin i polowaniem na zwierzynę – ale został dotknięty dziwną chorobą ducha, która czyni z niego człowieka niecierpliwego, niezdolnego do zajmowania się czymkolwiek przez dłuższy czas.

Pewnego dnia, kiedy przechadzałem się wzdłuż granicy fermy mojego dziadka, zauważyłem, że ktoś mnie obserwuje zza gęstych krzaków na skraju lasu. Był to pan Acosta. Siedział przykucnięty pośród krzewów dżungli i był tak słabo widoczny, że dostrzec mogły go jedynie bystre oczy ośmiolatka.

"Nic dziwnego, że dziadek myśli sobie, że przychodzi tu kraść kurczęta" – pomyślałem sobie. Byłem przekonany, że nikt poza mną nie byłby w stanie go wypatrzyć; bezruch maskował go idealnie. Zwróciłem uwagę na różnicę pomiędzy krzakami i jego sylwetką, bardziej ją wyczuwając, niż dostrzegając. Zbliżyłem się do niego. To, że ludzie atakowali go z taką pasją albo tak za nim przepadali, bezgranicznie mnie intrygowało.

– Co pan tam robi, panie Acosta? – spytałem odważnie.

– Sram i w tym czasie przyglądam się fermie twojego dziadka – odparł – więc lepiej spływaj, zanim wstanę. No chyba, że lubisz zapach gówna.

Odszedłem kawałek na bok. Chciałem sprawdzić, czyjego słowa są zgodne z prawdą. Były. Wstał. Sądziłem, że wyjdzie z krzaków i ruszy przez teren mojego dziadka do drogi, ale nie zrobił tego. Poszedł w przeciwnym kierunku, w głąb dżungli.

– Halo, halo, panie Acosta! – zawołałem. – Czy mogę iść z panem?

Zauważyłem, że się zatrzymał; znów było to bardziej odczucie niż spostrzeżenie, gdyż krzaki były tam bardzo gęste.

– Jasne, że możesz pójść ze mną, jeśli tylko potrafisz znaleźć jakieś przejście przez te krzaki – odrzekł.

To nie było trudne. Kiedy nie miałem co robić, zaznaczyłem przejście przez krzaki sporym kamieniem. Metodą nie kończących się prób i błędów odkryłem, że w krzakach był tunel, przez który można się było przeczołgać i który po trzech czy czterech metrach przechodził w regularną ścieżkę, gdzie mogłem się wyprostować i normalnie iść.

– Brawo, mały! Udało ci się. No to dalej, chodź ze mną, jeśli chcesz.

Taki był początek mojej znajomości z panem Leandrem Acostą. Codziennie chodziliśmy na wyprawy łowieckie. Nasza komitywa stała się tak widoczna – nie było mnie w domu od świtu do zachodu słońca i nikt nigdy nie wiedział, gdzie się podziewam – że w końcu dziadek surowo mnie zganił.

– Musisz staranniej dobierać sobie znajomych – powiedział – albo skończy się na tym, że będziesz taki sam jak oni. Nie będę tolerował tego, żeby ten człowiek miał na ciebie jakikolwiek wpływ. Mógłbyś się jak nic zarazić od niego tą jego swawolą, tak jest. I mógłby ci tak namieszać w głowie, że stałbyś się dokładnie taki sam jak on: zupełnie bezwartościowy. Zapowiadam ci, że jeżeli ty z tym nie skończysz, to ja to zrobię. Nasię na niego kogo trzeba pod zarzutem, że kradnie moje kurczęta, bo sam dobrze wiesz, cholera jasna, że przychodzi tutaj codziennie i je kradnie.

Starałem się ukazać dziadkowi bezsens jego oskarżeń. Pan Acostą nie musiał kraść kurcząt. Miał do swojej dyspozycji cały ogrom dżungli. Z niej potrafił uzyskać wszystko, co było mu potrzebne. Ale moje argumenty jeszcze bardziej rozwścieczyły dziadka. Uświadomiłem sobie wówczas, że skrycie zazdrości panu Acoście jego wolności; i tak pan Acostą przeobraził się dla mnie z sympatycznego myśliwego w symbol tego, co jest zakazane i pożądane zarazem.

Starałem się ograniczyć moje spotkania z nim, pokusa była jednak silniejsza ode mnie. Pewnego dnia pan Acostą i trzej jego koledzy zaproponowali mi, bym zrobił coś, co im się nigdy wcześniej nie udało: złapał żywego sępa, nie raniąc go. Pan Acostą wytłumaczył mi, że ciała sępów z naszych stron, olbrzymich ptaków o rozpiętości skrzydeł od półtora do prawie dwóch metrów, składają się z siedmiu różnych rodzajów mięsa i każdy z tych siedmiu rodzajów ma określone działanie lecznicze. Powiedział, że dąży się do tego, by złapany sęp nie miał żadnych ran. Ptaka trzeba uśpić, a nie zabić z użyciem przemocy. Łatwo go ustrzelić, ale wówczas jego mięso traci swoje właściwości lecznicze. Cała sztuka polega więc na tym, by złapać go żywcem, a jest to coś, czego jeszcze nie udało mu się dokonać. Pan Acostą wykombinował sobie, że przy pomocy mojej i jego trzech kolegów sprawa przestanie być problemem. Zapewnił mnie, że jest to oczywisty wniosek, naturalna konsekwencja jego obserwacji zachowania setek sępów.

– Do tego wyczynu będziemy potrzebować martwego osła, i mamy go – orzekł rozpromieniony.

Spojrzał na mnie, czekając, aż zapytam, co będziemy robić z martwym osłem. Ponieważ pytanie nie padło, pan Acostą zaczął mówić dalej.

– Usuniemy wnętrzności i wsadzimy na ich miejsce kilka patyków, żeby brzuch nie wpadł mu do środka.

Przywódca sępów indyczych jest ich królem; jest największy, najbardziej z nich inteligentny – ciągnął. – Nie ma drugiej pary tak bystrych oczu. To dlatego jest królem. To on właśnie dostrzeże martwego osła i on pierwszy na nim usiądzie. Podleci do niego pod wiatr, żeby wywąchać, czy naprawdę jest martwy. Wnętrzności i miękkie organy, które wyciągniemy z brzucha osła, ułożymy przy jego zadzie, za zewnątrz. Stworzymy wrażenie, że jakiś dziki kot zdążył już nieco z niego podjeść. Następnie sęp leniwie zacznie się zbliżać do ciała. Nie będzie się spieszył. Będzie podchodził do niego, trochę podskakując, trochę machając skrzydłami, a potem wskoczy na biodro i zacznie nim kołysać. Przewróciłby go na grzbiet, gdyby nie to, że wbijemy w ziemię cztery kije, które będą stanowić część całego rusztowania. Sęp będzie przez chwilę siedział nieruchomo na jego biodrze i będzie to sygnałem dla innych sępów, które wylądują w pobliżu. Dopiero wtedy gdy na ziemi znajdą się trzej albo czterej jego kompani, król zabierze się do roboty.

– A jaka jest moja rola w tym wszystkim, panie Acostą? – zapytałem.

– Ty się ukryjesz wewnątrz osła – odparł ze śmiertelnie poważną miną. – Żadna sztuka. Będziesz siedział w środku i czekał, aż król indyczych sępów swoim potężnym dziobiskiem rozpłata odbyt osła i wsadzi do środka głowę, żeby zacząć ucztę. Wtedy złapiesz go obiema rękami za szyję – dam ci dwie specjalne rękawice skórzane i nie pozwolisz mu się wyrwać.

Moi trzej koledzy i ja na koniach ukryjemy się w głębokiej rozpadlinie. Ja będę obserwował całą operację przez lornetkę. Kiedy zobaczę, że złapałeś króla sępów za szyję, ruszymy pełnym galopem i rzucimy się na ptaka, obezwładniając go.

– Da pan radę obezwładnić tego sępa, panie Acosta? – zapytałem. Nie żebym powątpiewał w jego możliwości; chciałem się po prostu upewnić.

– Jasne, że tak! – odrzekł tonem najpewniejszego człowieka pod słońcem. – Wszyscy będziemy mieć rękawice i skórzane getry. Sęp ma bardzo potężne szpony. Może nimi złamać nogę jak zapałkę.

Nie było ucieczki. Dałem się złapać na haczyk; moje niewiarygodne podekscytowanie nie pozwoliło mi odejść. W tamtej chwili mój podziw dla pana Leandra Acosty nie miał granic. Widziałem w nim prawdziwego myśliwego – zaradnego, przebiegłego, znającego się na rzeczy.

– Dobra, złapmy go! – powiedziałem.

– Zuch chłopak! – odparł pan Acosta. – Spodziewałem się, że się zgodzisz.

Ułożył za swoim siodłem gruby koc, a potem jeden z jego kolegów podniósł mnie i usadził na nim.

– Trzymaj się siodła – powiedział pan Acosta – i jednocześnie koca.

Ruszyliśmy leniwym truchtem. Jechaliśmy może przez godzinę, aż dotarliśmy do suchej, odludnej równiny. Zatrzymaliśmy się przez namiotem, który przypominał stragan na targowisku. Zacieniał go płaski daszek. Pod daszkiem leżał martwy osioł. Chyba nie był stary; wyglądał na dorastające zwierzę.

Ani pan Acosta, ani jego koledzy nie wyjaśnili mi, czy znaleźli tego martwego osła, czy też sami go zabili. Czekałem, aż mi powiedzą, a nie zamierzałem sam ich o to pytać. W czasie przygotowań pan Acosta wyjaśnił mi, że postawili namiot, ponieważ sępy nie próżnują i choć są bardzo daleko stąd, krążąc gdzieś bardzo wysoko, poza zasięgiem naszego wzroku, z pewnością dobrze widzą, co się dzieje na ziemi.

– Te stworzenia to jedne wielkie oczy – powiedział. – Mają beznadziejny słuch, a ich węch też nie jest tak dobry jak wzrok. Musimy zatkać każdą dziurę w ośle. Nie chciałbym, żebyś podpatrywał, bo sępy dostrzegą twoje oko i w ogóle nie przylecą. Nie mają prawa niczego zobaczyć.

Do pustego brzucha osła wsadził kilka kijów i skrzyżował je, zostawiając tyle miejsca, bym mógł się wczołgać do środka. W końcu odważyłem się zadać pytanie, które nie dawało mi spokoju.

– Niech mi pan powie, panie Acosta, ten osioł na pewno zdechł z powodu jakiejś choroby, prawda? Myśli pan, że mogę się od niego zarazić?

Pan Acosta wzniósł oczy ku niebu.

– Dajże spokój! Chyba nie jesteś takim głupolem. Choroby osłów nie przenoszą się na ludzi. Przeżyjmy tę przygodę i nie zawracajmy sobie głowy głupimi szczegółami. Gdybym był niższy, sam bym wlazł do środka. Czy wiesz, co to znaczy złapać króla indyczych padlinożerców?

Uwierzyłem mu. Jego słowa podziałały na mnie tak, jakby ktoś owinął mnie peleryną niesamowitej pewności siebie. Nie zamierzałem zachorować na żadną chorobę i przegapić wydarzenia, które miało wszystkie wydarzenia pod sobą.

Czułem się okropnie, gdy pan Acosta wsadził mnie do wnętrza podłego osła. Następnie wszyscy rozpięli skórę zwierzęcia na rusztowaniu i zaczęli ją zszywać. Zostawili jednak dużą dziurę na spodzie, przy samej ziemi, bym miał dopływ świeżego powietrza. Najgorsza chwila nadeszła wówczas, gdy zszyta skóra przykryła mnie już zupełnie, niczym wieko trumny. Oddychałem ciężko, myśląc jedynie o dreszczu emocji, gdy złapię króla sępów za szyję.

Pan Acosta udzielił mi ostatnich instrukcji. Powiedział, że zagwiżdże jak ptak, gdy król sępów będzie się kręcił w pobliżu i kiedy już usiądzie na ziemi, tak żebym był na bieżąco, nie denerwował się i nie niecierpliwił. Potem usłyszałem, jak składają namiot i odjeżdżają galopem na swych koniach. Dobrze, że nie zostawili żadnej dziury, przez którą mógłbym wyglądać, bo z pewnością tak właśnie bym zrobił. Pokusa, by spojrzeć w niebo i patrzeć, co się dzieje, była niemal nie do opanowania.

Minął długi czas; nie myślałem o niczym. Potem usłyszałem gwizd pana Acosty, więc przyjąłem, że król sępów krąży gdzieś w pobliżu. Moje przypuszczenie przerodziło się w pewność, gdy usłyszałem trzepot ogromnych skrzydeł i nagle ciałem martwego osła zaczęło coś targać, zupełnie jakby na zewnątrz rozszalała się wichura. Następnie poczułem jakiś ciężar i wiedziałem wówczas, że król sępów usiadł na ciele podłego zwierzęcia i znieruchomiał. Usłyszałem trzepot innych skrzydeł i gwizdanie pana Acosty dobiegające z pewnej odległości. Przygotowałem się na nadejście

nieuniknionego. Ciało osła zatrzęsło się i coś zaczęło rozdzierać jego skórę.

Potem nagle olbrzymia ohydna głowa z czerwonym grzebieniem, niesamowicie wielkim dziobem i świdrującym, szeroko rozwartym okiem wdarła się do środka. Wrzasnąłem przerażony i złapałem ptaka za szyję obiema rękami. Wydaje mi się, że król sępów musiał być oszołomiony, bo przez chwilę w ogóle się nie poruszył, co pozwoliło mi wzmocnić uścisk; potem rozpętało się prawdziwe piekło. Oszołomienie sępa zniknęło i ptak pociągnął mnie z taką siłą, że wpadłem w rusztowanie i chwilę później znajdowałem się częściowo na zewnątrz, trzymając się szyi intruza jak tonący brzytwy.

Z dala posłyszałem galopującego konia pana Acosty. Słyszałem, jak krzyczy:

– Puszczaj go, synu, puszczaj, bo odleci razem z tobą!

I rzeczywiście – król sępów był gotów już to wzbić się w niebo razem ze mną, trzymającym go za szyję, już to rozerwać mnie na kawałki potężnymi szponami. Nie mógł mnie dostać, bo głowę miał do połowy utkwioną we wnętrznościach osła i rusztowaniu. Szpony ślizgały mu się na luźno rozrzuconych na zewnątrz jelitach, tak więc nawet mnie nie drasnął. Uratowało mnie jeszcze to, że angażował całą swoją siłę na wyrwanie się z mojego uścisku i dlatego nie mógł wysunąć szponów tak daleko do przodu, żeby mnie zranić. Zaraz potem poczułem, że pan Acosta spadł na sępa dokładnie w chwili, gdy skórzane rękawice zsunęły mi się z dłoni. Pan Acosta nie posiadał się z radości.

– Udało nam się, synu, udało się! – powiedział. – Następnym razem wbijemy dłuższe kije w ziemię, tak że sęp nie da rady ich wyszarpnąć, a ty będziesz przywiązany do rusztowania.

Moja znajomość z panem Acosta trwała wystarczająco długo, bym zdążył złapać jednego sępa. Potem moje zainteresowanie spędzaniem z nim czasu zniknęło równie tajemniczo, jak się pojawiło i tak naprawdę nigdy nie miałem okazji mu podziękować za to wszystko, czego mnie nauczył.

Don Juan powiedział, że nauczył mnie on cierpliwości myśliwego w najlepszym na naukę czasie; nade wszystko zaś pokazał mi, jak czerpać z samotności wszelką pociechę, jakiej potrzeba myśliwemu.

– Nie wolno ci mylić samotności z osamotnieniem – wyjaśnił mi kiedyś don Juan. – Osamotnienie dla mnie jest stanem psychicznym, dotyczącym umysłu. Samotność jest stanem fizycznym. To pierwsze upośledza, to drugie zaś przynosi wytchnienie.

Za to wszystko, jak mi powiedział don Juan, mam u pana Acosty wieczny dług, bez względu na to, czy rozumiem dług tak samo jak wojownicy w podróży, czy nie.

Drugą osobą, wobec której miałem zdaniem don Juana dług, był dziesięcioletni chłopiec, którego znałem, gdy sam byłem dzieckiem. Nazywał się Armando Velez. Podobnie jak jego imię, tak i on był niesamowicie wyniosły, posągowy; taki mały starzec. Lubiłem go bardzo, gdyż był zdecydowany, a przy tym bardzo przyjacielski. Niełatwo byłoby go zastraszyć. Gdyby musiał, biłby się z każdym, a jednak nie należał absolutnie do tego typu ludzi, którzy wyżywają się na słabszych.

Chodziliśmy razem na ryby. Łapaliśmy bardzo małe rybki, które ukrywały się pod kamieniami i trzeba je było wybierać z wody dłonią. Rozkładaliśmy je na słońcu i suszyliśmy, po czym zjadaliśmy na surowo; czasami spędzaliśmy tak całe dnie.

Podobało mi się w nim również to, że był bardzo zaradny i inteligentny, oraz to, że był oburęczny. Lewą ręką rzucał kamieniem dalej niż prawą. Bez końca urządzaliśmy sobie jakieś zawody, w których – ku mojemu wielkiemu rozgoryczeniu – on zawsze wygrywał. Wtedy, przepraszając niejako za to, że mnie pokonał, mówił tak: “Jeśli sobie odpuszczę i pozwolę ci wygrać, znienawidzisz mnie. To będzie afront dla twojej męskości. Musisz się więc bardziej starać".

Z powodu jego wyniosłych manier nazywaliśmy go “Seńor Velez", ale “Senor" był skracany do “Sho", co jest typowym zwyczajem w regionie Ameryki Południowej, z którego pochodzę.

Pewnego dnia Sho Velez poprosił mnie o coś bardzo niezwykłego. Przedstawił mi swą prośbę, rzecz jasna, w formie wyzwania.

– Założę się o wszystko – powiedział – że wiem, czego nigdy nie odważyłbyś się zrobić.

– Co ty wygadujesz, Sho?

– Nie odważyłbyś się popłynąć rzeką na tratwie.

– A właśnie że tak. Już pływałem po rzece w czasie powodzi. Wyrzuciło mnie na wyspę i byłem tam przez osiem dni. Musieli mi przysyłać jedzenie rzeką.

To była prawda. Kiedy nadeszła powódź, razem z moim drugim przyjacielem, o przezwisku

“Zwariowany Pastuch", płynęliśmy po wezbranej rzece. Wyrzuciło nas na wyspę. Nie było sposobu, żeby nas stamtąd wydostać. Ludzie z miasteczka spodziewali się, że powódź pochłonie wyspę i obaj zginiemy. Spuszczali na wodę kosze zjedzeniem, mając nadzieję, że trafią do celu; tak też było. Utrzymywali nas tak przy życiu, aż woda opadła na tyle, że mogli dotrzeć tam na tratwie i ściągnąć nas na brzeg rzeki.

– Nie, to inna kwestia – podjął Sho Velez tonem naukowca. – W grę wchodzi spuszczenie tratwy na podziemną rzekę.

Przypomniał mi, że duży odcinek naszej rzeki przepływa pod górą. Ten podziemny odcinek rzeki zawsze był dla mnie niezwykle intrygującym miejscem. Wejście rzeki u podnóża góry stanowiła złowroga wielka pieczara, w której zawsze pełno było nietoperzy i smrodu amoniaku. Dzieciom z okolicy mówiono, że to wejście do piekła: opary siarki, gorąco, fetor.

– Możesz iść z każdym o zakład, o co tylko chcesz, Sho, że w życiu się nie zbliżę do tej rzeki! – wykrzyknąłem. – W życiu nigdy! Musisz być naprawdę walnięty, żeby robić coś takiego.

Poważna twarz Sho Veleza spospępniała jeszcze bardziej.

– Och – odparł na to – w takim razie będę musiał popłynąć zupełnie sam. Przez chwilę myślałem, że dasz się sprowokować i wybierzesz się ze mną. Pomyliłem się. Moja strata.

– Ty, Sho, co z tobą? Po cholerę miałbyś się pchać w to diabelskie miejsce?

– Muszę – odrzekł swym małym, szorstkim głosikiem. – Bo widzisz, mój ojciec jest tak samo szalony jak ty, z tą różnicą, że on jest ojcem i mężem. Ma sześć osób na utrzymaniu. Gdyby nie to, byłby zwariowany jak nie wiem co. Moje dwie siostry, dwaj bracia, moja matka i ja jesteśmy na jego utrzymaniu. Jest dla nas wszystkim.

Nie miałem pojęcia, jakim człowiekiem jest ojciec Sho Veleza. Nigdy go nie widziałem. Nie wiedziałem, jak zarabia na swoją rodzinę. Sho Velez zdradził mi, że jego ojciec jest biznesmenem i że wszystko, co posiada, zawisło teraz niejako na włosku.

– Ojciec skonstruował tratwę i chce się tam wybrać. Uparł się na tę wyprawę. Moja matka mówi, że on chce się po prostu wyszumieć, ale ja mu nie ufam – ciągnął dalej Sho Velez. – Widziałem to twoje szalone spojrzenie w jego oczach. On to kiedyś zrobi i jestem pewien, że zginie. Tak więc zamierzam wziąć jego tratwę i sam się wybrać na tę rzekę. Wiem, że zginę, ale za to mój ojciec będzie żył.

Poczułem, jak przez szyję przebiega mi coś w rodzaju prądu elektrycznego, i usłyszałem samego siebie, jak krzyczę w niewyobrażalnym uniesieniu:

– Dobra, Sho, dobra! Tak, ale będzie zabawa! Idę z tobą!

Na twarzy Sho Veleza pojawił się krzywy uśmiech. Zrozumiałem, że uśmiecha się z zadowolenia na myśl o tym, że wybieram się z nim, a nie dlatego, że udało mu się mnie podpuścić. Wyraził to w swych kolejnych słowach:

– Wiem, że jeśli będziesz ze mną, wyjdę z tego cało – powiedział.

Nie obchodziło mnie to, czy Sho Velez wyjdzie z tego cało, czy też nie. Zmobilizowała mnie jego odwaga. Wiedziałem, że ma dość ikry, żeby zrobić to, co zapowiadał. On i Zwariowany Pastuch to byli jedyni chłopacy z ikrą w całym miasteczku. Obaj mieli cechę, którą uważałem za coś wyjątkowego i niespotykanego: byli odważni. Nikt poza nimi w całym miasteczku nie miał ani krzty odwagi. Sprawdziłem wszystkich. Moim zdaniem, wszyscy dookoła byli martwi, włącznie z miłością mojego życia, moim dziadkiem. Nie miałem w tym względzie najmniejszych wątpliwości już w wieku dziesięciu lat. Uświadomienie sobie odwagi Sho Veleza było dla mnie czymś wstrząsającym. Chciałem być z nim aż do samego końca.

Umówiliśmy się, że spotkamy się o pierwszym brzasku; tak też się stało. Niosąc lekką tratwę jego ojca, przeszliśmy dobrych kilka kilometrów w niskie zielone wzgórza do pieczary, gdzie rzeka chowała się pod ziemię. Odór odchodów nietoperzy był nie do zniesienia. Na tratwie mieliśmy latarki, które musieliśmy od razu włączyć. Wewnątrz góry panowały nieprzeniknione ciemności; poza tym było parno i wilgotno. Woda była na tyle głęboka, że tratwa mogła płynąć, a nurt na tyle wartki, że nie musieliśmy wiosłować.

Światło latarek tworzyło groteskowe cienie. Sho wyszeptał mi do ucha, że może lepiej w ogóle nie patrzeć, bo widok jest naprawdę przerażający. Miał rację; od patrzenia na cienie robiło się niedobrze, zatykało dech w piersiach. Światło zaniepokoiło nietoperze, które zaczęły latać dokoła nas, trzepocząc bezcelowo skrzydłami. W głębi pieczary już ich nawet nie było; tylko stojące, ciężkie i nie dające się

nabrać w płuca powietrze. Po jakimś czasie, który wydawał się ciągnąć jak długie godziny, dopłynęliśmy do czegoś w rodzaju stawu, gdzie woda była bardzo głęboka; powierzchnia była prawie zupełnie nieruchoma. Wyglądało to tak, jakby główny nurt natrafił na zaporę.

– Ugrzęźliśmy – znów wyszeptał mi do ucha Sho Velez. – Tratwa nie da rady przejść dalej, a my nie damy rady wrócić.

Nurt był o wiele za silny, by nawet próbować wracać. Zdecydowaliśmy, że musimy odnaleźć jakieś wyjście. Spostrzegłem wówczas, że jeśli staniemy prosto na tratwie, będziemy mogli dosięgnąć sklepienia pieczary, co znaczy, że woda została zatamowana prawie na wysokości górnego jej pułapu. Przy wejściu pieczara miała kształt katedry i wysokość może piętnastu metrów. Jedyny wniosek, do jakiego doszedłem, był taki, że znajdujemy się na powierzchni stawu o głębokości około piętnastu metrów.

Przywiązaliśmy tratwę do kamienia i zaczęliśmy nurkować, starając się poczuć ruch wody, jakiś prąd. Na powierzchni wszystko było gorące i wilgotne, ale metr pod wodą było bardzo zimno. Moje ciało odczuło różnicę temperatur i zacząłem się bać; był to dziwny, zwierzęcy strach, którego nigdy wcześniej nie czułem. Wynurzyłem się. Sho Velez musiał poczuć to samo co ja. Zderzyliśmy się na powierzchni.

– Sądzę, że jesteśmy bliscy śmierci – rzekł grobowym głosem.

Nie podzielałem jego grobowego nastroju ani jego pragnienia śmierci. Gorączkowo szukałem jakiegoś przejścia. Powodzie musiały nanieść do pieczary kamienie, które spiętrzyły się w zaporę. Znalazłem otwór na tyle duży, by dziesięciolatek mojej postury zdołał się przezeń przecisnąć. Ściągnąłem Sho Veleza pod powierzchnię i pokazałem mu dziurę. Nie było szans, by tratwa mogła przez nią przejść. Wzięliśmy nasze rzeczy i związaliśmy je w bardzo ciasne zawiniątko, po czym zanurkowaliśmy, i odnalazłszy ponownie otwór, przecisnęliśmy się przez niego na drugą stronę.

Po drugiej stronie woda spływała pochyłym korytem, zupełnie jak na zjeżdżalni w wesołym miasteczku. Dzięki skałom porośniętym mchami i porostami mogliśmy zjechać spory kawał w dół bez jakichkolwiek obrażeń. Następnie dostaliśmy się do olbrzymiej jaskini w kształcie katedry, gdzie płynąca dalej woda sięgała nam do pasa. Na końcu jaskini dostrzegliśmy jasną plamę nieba i brodząc w wodzie, wyszliśmy na zewnątrz. Nie mówiąc ani słowa, rozłożyliśmy nasze ubrania na słońcu; później skierowaliśmy się z powrotem do miasteczka. Sho Velez był niepocieszony, stracił bowiem tratwę swojego ojca.

– Mój ojciec by tam zginął – przyznał w końcu. – Nigdy by się nie przecisnął przez ten otwór, przez który przedostaliśmy się na drugą stronę. Jest na to za duży. Mój ojciec to wielki, gruby mężczyzna – powiedział. – Ale miałby dość sił, żeby przejść na piechotę całą drogę z powrotem do wejścia do pieczary.

Ja nie byłem tego taki pewien. Pamiętałem, że czasami z powodu nachylenia koryta rzeki prąd był oszałamiająco rwący. Przyznałem, że być może jakiś zdesperowany, wielki mężczyzna mógłby w końcu wydostać się stamtąd za pomocą liny; kosztowałoby go to jednak mnóstwo wysiłku.

Nie rozstrzygnęliśmy wówczas kwestii, czy ojciec Sho Veleza zginąłby tam, czy też nie, ale nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Liczyło się to, że po raz pierwszy w życiu poczułem ukłucie zazdrości. Sho Velez był jedyną osobą, której kiedykolwiek w życiu zazdrościłem czegokolwiek. Miał kogoś, za kogo mógł umrzeć, i udowodnił, że jest gotów to zrobić; ja nie miałem nikogo, za kogo mógłbym umrzeć, i nie udowodniłem absolutnie niczego.

Symbolicznie przekazałem całą schedę w ręce Sho Veleza. Jego triumf był całkowity. Uznałem jego wyższość. To miasto było jego, ci ludzie byli jego, a on w mojej opinii był najlepszy spośród nich wszystkich. Kiedy tamtego dnia się rozstawaliśmy, wyrzekłem banał, który przeistoczył się w głęboką prawdę, gdy mu powiedziałem:

– Bądź ich królem, Sho. Jesteś najlepszy.

Już nigdy więcej z nim nie rozmawiałem. Celowo zakończyłem naszą przyjaźń. Czułem, że był to jedyny gest, którym mogłem dać mu do zrozumienia, jak wielkie wrażenie na mnie wywarł.

Don Juan był przekonany, że mój dług wobec Sho Veleza nie da się wymazać, że był on jedyną osobą, która nauczyła mnie tego, iż zanim zaczniemy myśleć, że mamy coś, dla

czego warto żyć, musimy mieć coś, za co jesteśmy gotowi umrzeć.

– Jeśli nie masz niczego, za co jesteś gotowy umrzeć – powiedział do mnie raz don Juan – jak

możesz twierdzić, że masz coś, dla czego warto żyć? Te dwie rzeczy idą ramię w ramię i śmierć nimi kieruje.

Trzecią osobą, u której w przekonaniu don Juana miałem dług wykraczający poza życie i śmierć, była moja babka ze strony matki. W mym ślepym uwielbieniu dla dziadka – mężczyzny – zapomniałem o prawdziwym źródle siły tamtego domu: o mojej niezwykle ekscentrycznej babce.

Wiele lat przed tym, jak zjawiłem się, by zamieszkać u dziadków, uratowała ona pewnego Indianina przed zlinczowaniem. Oskarżano go o to, że jest czarownikiem. Kilku rozjuszonych młodzieńców już go właściwie wieszało na drzewie na ziemi mojej babki. Zjawiła się w porę i przerwała egzekucję. Chyba wszyscy egzekutorzy byli jej chrześniakami i żaden z nich nie ośmielił się jej przeciwstawić. Ściągnęła mężczyznę na ziemię i zabrała go do siebie do domu, by go wyleczyć. Sznur zdążył już zrobić głęboką ranę w jego szyi.

Rana się zagoiła, ale on już nigdy nie odstąpił mojej babki na krok. Twierdził, że jego życie się skończyło w dniu linczu, a jego nowe istnienie nie należy już do niego; należy do niej. Dotrzymał słowa i resztę swego życia poświęcił służbie mojej babce. Był jej lokajem, majordomusem i doradcą. Moje ciotki opowiadały, że to on zasugerował babce adopcję pewnego osieroconego niemowlęcia jako własnego syna; było to przyczyną nie dających się opisać niesnasek w rodzinie.

Kiedy przybyłem do domu mojej babki, jej adoptowany syn miał już pod czterdziestkę. Wcześniej babka wysłała go na studia do Francji. Jednego popołudnia, ni stąd, ni zowąd, z taksówki przed domem wysiadł nadzwyczaj elegancko ubrany, postawny mężczyzna. Kierowca wniósł jego skórzane walizy do patio. Mężczyzna dał mu suty napiwek. Jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że rysy twarzy gościa są bardzo uderzające. Miał długie, kręcone włosy i długie, zakręcone rzęsy. Był niezwykle przystojny, choć nie fizycznie piękny. Najbardziej zwracał uwagę jego promienny, otwarty uśmiech, którym natychmiast mnie obdarował.

– Czy mogę cię spytać o twoje imię, młody człowieku? – zwrócił się do mnie najpiękniejszym scenicznym głosem, jaki kiedykolwiek w życiu słyszałem.

Nazywając mnie młodym człowiekiem, natychmiast mnie sobie zjednał.

– Nazywam się Carlos Aranha, proszę pana – odparłem. – A czy wolno mi wobec tego spytać, jak pan się nazywa?

Mężczyzna udał zaskoczenie. Szeroko otworzył oczy i odskoczył w tył, zupełnie jakby go ktoś zaatakował. Następnie wybuchnął głośnym śmiechem. Na to z patio wyszła moja babka. Kiedy zobaczyła mężczyznę, krzyknęła jak mała dziewczynka i zarzuciła mu ręce na szyję, obejmując go z niesamowitą czułością. Uniósł ją tak, jakby zupełnie nic nie ważyła, i zakręcił się dokoła. Spostrzegłem wówczas, że jest bardzo wysoki. Masywność jego sylwetki maskowała jego wzrost. Rzeczywiście miał wygląd zawodowego boksera. Chyba zauważył, że bacznie mu się przyglądam. Naprężył biceps.

– Trochę się boksowało w swoim czasie, proszę pana – powiedział, dokładnie wiedząc, co mi chodzi po głowie.

Babka przedstawiła mi go. Powiedziała, że jest jej synem, Antoinem, jej dzieciątkiem, oczkiem w głowie; powiedziała, że jest dramaturgiem, reżyserem teatralnym, pisarzem, poetą.

Jego wysportowana sylwetka była dla mnie decydującym atutem. Z początku nie rozumiałem, że został adoptowany. Zauważyłem jednak, że wcale nie przypomina reszty moich krewnych. Każdy członek rodziny był chodzącym nieboszczykiem, on natomiast był żywy, na wskroś przepełniony witalnością. Od razu bardzo sobie przypadliśmy do gustu. Podobało mi się to, że codziennie ćwiczył, boksując worek. Wrażenie robiło też na mnie to, że nie tylko boksował worek, ale także go kopał w niezwykle zadziwiającym stylu. Ciało miał twarde jak skała.

Pewnego dnia Antoine wyznał mi, że jego jedynym gorącym pragnieniem w życiu jest zostać uznanym pisarzem.

– Mam wszystko – powiedział. – Życie obdarowało mnie bardzo hojnie. Jedyna rzecz, której nie posiadam, jest właśnie tą jedyną rzeczą, której pragnę: talentu. Muzy mnie nie lubią. Szanuję to, co piszę, ale nie potrafię stworzyć niczego, co by mi się podobało. Oto jest moja męka; brak mi albo dyscypliny, albo czaru, który przywabiłby do mnie muzy, i dlatego moje życie jest tak puste, jak tylko puste życie może być.

Dalej Antoine powiedział mi, że jedyna rzeczywistość dla niego to jego matka. Nazwał ją swym bastionem, swą podporą, swą bliźniaczą duszą. Na koniec wypowiedział myśl, która zupełnie zburzyła

mój spokój.

– Gdybym nie miał matki – powiedział – nie chciałbym żyć.

Uzmysłowiłem sobie wówczas, jak silne więzy łączą go z moją babką. Nagle z całą wyrazistością stanęły mi przed oczyma wszystkie okropne historie o małym zepsutym Antoinie, które opowiadały mi kiedyś moje ciotki. Moja babka rzeczywiście rozpieszczała go ponad wszelką miarę. Mimo to wyglądali razem na tak szczęśliwych. Widziałem ich, jak godzinami przesiadywali wspólnie, on z głową złożoną na jej kolanach, jakby ciągle był małym dzieckiem. Nigdy nie słyszałem, by moja babka rozmawiała z kimkolwiek tyle czasu.

Nagle Antoine zaczai mnóstwo pisać. Zabrał się do reżyserowania sztuki w miejscowym teatrze; sztuka była jego autorstwa. Po wystawieniu natychmiast odniosła wielki sukces. W lokalnej gazecie publikowano jego wiersze. Wyglądało na to, że Antoine poczuł przypływ twórczej weny. Ale zaledwie kilka miesięcy później wszystko się skończyło. Wydawca miejskiej gazety publicznie napiętnował Antoine'a; oskarżył go o plagiat i wydrukował w gazecie dowód na poparcie swego zarzutu.

Moja babka, ma się rozumieć, nie chciała w ogóle przyjąć do wiadomości występku swojego syna. Tłumaczyła, że wszystko to jest przejawem głębokiej zawiści ludzkiej. Wszyscy w mieście zazdrościli jej synowi elegancji, zazdrościli mu stylu. Ludzie zazdrościli mu osobowości, zazdrościli mu błyskotliwości. Faktycznie, był on uosobieniem elegancji i towarzyskiego obycia. Ale był też bezsprzecznie plagiatorem; co do tego nie było żadnych wątpliwości.

Antoine nigdy się nikomu nie wytłumaczył ze swego zachowania. Za bardzo go lubiłem, żeby zadawać mu jakiekolwiek pytania na ten temat. Poza tym, wcale mnie to nie obchodziło. Gdyby ktoś mnie o to spytał, uważałem, że miał swoje powody i była to jego sprawa. Ale coś pomiędzy nami pękło; od tej pory nasze życie zaczęło biec niczym górski strumień. W domu z dnia na dzień zachodziły tak drastyczne zmiany, że przyzwyczaiłem się do tego, iż w każdej chwili może się wydarzyć coś niezwykłego – wspaniałego lub tragicznego. Pewnego wieczoru moja babka niezwykle dramatycznie wkroczyła do pokoju Antoine'a. Jej oczy miały twardy wyraz, którego nigdy jeszcze u niej nie widziałem. Gdy zaczęła mówić, usta jej drżały.

– Wydarzyło się coś okropnego, Antoine – odezwała się. Antoine jej przerwał. Błagał ją, by pozwoliła mu się wytłumaczyć.

Brutalnie przerwała mu wpół słowa.

– Nie, Antoine, nie – rzekła stanowczo. – To nie ma nic wspólnego z tobą. To chodzi o mnie. W tym bardzo trudnym dla ciebie czasie wydarzyło się coś jeszcze ważniejszego. Antoine, mój drogi synu, mój czas dobiegł końca.

Chciałabym, żebyś zrozumiał, iż to nieuniknione – ciągnęła. – Muszę odejść, ale ty musisz pozostać. Jesteś absolutnie wszystkim, co w tym życiu zrobiłam. Dobry czy zły, Antoine, jesteś wszystkim, kim teraz jestem. Daj życiu szansę. W końcu i tak będziemy znów kiedyś razem. Tymczasem jednak, żyj, Antoine, żyj. Nieważne jak, bylebyś żył.

Widziałem, jak ciałem Antoine'a wstrząsnął dreszcz cierpienia. Widziałem, jak się cały w sobie natężył, wszystkie mięśnie ciała, z całej siły. Wyglądało to tak, jak gdyby wewnętrznie zaczął pracować na wyższych obrotach; jego własny problem był teraz niczym rzeka, którą nagle pochłonął bezkresny ocean.

– Obiecaj mi, że nie umrzesz, dopóki nie umrzesz! – wykrzyknęła do niego. Antoine skinął głową.

Następnego dnia moja babka, idąc za radą swego doradcy-czarownika, sprzedała wszystkie posiadłości, które były całkiem spore, i przekazała pieniądze Antoine'owi. A dzień później, bardzo wcześnie rano, przed moimi oczyma dziesięciolatka rozegrała się najdziwniejsza scena, jakiej kiedykolwiek byłem świadkiem: chwila pożegnania Antoine'a z matką. Była to scena tak nierealna, jak ujęcie z filmu; nierealna w tym sensie, że sprawiała wrażenie spreparowanej, zapisanej gdzieś w scenariuszu, stworzonej przez serię adaptacji, poczynionych przez pisarza, a wcielonych w życie przez reżysera.

Oprawę sceny stanowiło patio domu moich dziadków. Antoine był głównym bohaterem, jego matka zaś aktorką pierwszoplanową. Tego dnia Antoine wyjeżdżał. Udawał się do portu. Chciał złapać włoski liniowiec i dostać się na wycieczkowy rejs przez Atlantyk do Europy. Ubrany był tak elegancko jak zawsze. Kierowca taksówki czekał na niego przed domem, niecierpliwie trąbiąc klaksonem.

Byłem świadkiem ostatniej gorączkowej nocy Antoine'a, kiedy to w skrajnej desperacji usiłował

napisać wiersz dla swojej matki.

– To gówno warte – powiedział do mnie. – Wszystko, co piszę, jest gówno warte. Jestem kompletnym zerem.

Zapewniłem go, choć przecież byłem zerem i nie mogłem go zapewniać o niczym, że wszystko, co pisze, jest świetne. W pewnej chwili dałem się ponieść i przekroczyłem pewną granicę, której nigdy nie powinienem był przestępować.

– Słuchaj, co ci powiem, Antoine – krzyknąłem. – Ja jestem jeszcze gorsze zero niż ty! Ty masz matkę. Ja nie mam nic. Cokolwiek teraz piszesz, jest to wspaniała rzecz.

Bardzo uprzejmie mnie poprosił, bym opuścił jego pokój. Udało mi się doprowadzić do tego, że poczuł się głupio, zmuszony wysłuchać rady dzieciaka, który był zerem. Gorzko pożałowałem mojego wybuchu. Wolałbym, żeby dalej był moim przyjacielem.

Płaszcz Antoine'a był schludnie złożony, przewieszony przez prawy bark. Miał na sobie przepiękny zielony garnitur z angielskiego kaszmiru.

Przemówiła moja babka.

– Musisz się spieszyć, mój drogi – powiedziała. – Czas jest teraz wszystkim. Musisz jechać. Jeżeli tego nie zrobisz, ci ludzie cię zabiją dla tych pieniędzy.

Miała na myśli swoje córki i ich mężów, którzy kipieli z wściekłości, gdy się dowiedzieli, że matka ich po cichu wydziedziczyła i że odrażający Antoine, ich główny wróg, wymknie się ze wszystkim, co się im słusznie należy.

– Przykro mi, że cię w to wszystko wplątałam – przeprosiła babka. – Lecz, jak ci wiadomo, czas jest niezależny od naszych życzeń.

Antoine przemówił swym poważnym, pięknie modulowanym głosem. Przypominał aktora na scenie bardziej niż kiedykolwiek.

– To zabierze tylko chwilkę, mamo – powiedział. – Chciałbym przeczytać coś, co dla ciebie napisałem.

Był to wiersz dziękczynny. Kiedy skończył czytać, zawiesił głos. Powietrze było przeładowane uczuciem, przeładowane drżeniem.

– To była sama rozkosz, Antoine – rzekła moja babka, wzdychając. – Wyraża wszystko, co chciałeś mi powiedzieć. Wszystko, co chciałam usłyszeć.

Na chwilę zamilkła. Nagle jej usta rozchyliły się w przecudnym uśmiechu.

– Plagiat, Antoine? – spytała.

– Oczywiście, mamo – odrzekł. – Oczywiście.

Objęli się, szlochając. Klakson taksówki zabrzmiał jeszcze natarczywiej. Antoine spojrzał na mnie, ukrytego pod schodami. Skinął głową, jak gdyby chciał powiedzieć: “Do widzenia. Uważaj na siebie". Potem odwrócił się i nie patrząc więcej na matkę, pobiegł w kierunku drzwi. Miał trzydzieści siedem lat, ale wyglądał na sześćdziesiąt; zdawało się, że dźwiga na swych barkach kolosalny ciężar. Zanim dobiegł do drzwi, zatrzymał się, słysząc ostatnie napomnienie.

– Nie odwracaj się, Antoine – powiedziała. – Nie odwracaj się i nie patrz wstecz, nigdy. Bądź szczęśliwy i żyj. Żyj! To cała sztuka. Żyj!

Scena ta przepełniła mnie przedziwnym smutkiem, który nie ustępuje po dziś dzień; to nie dająca się niczym wyjaśnić melancholia, która, jak mi objaśnił don Juan, jest moim osobistym przeświadczeniem o tym, że faktycznie nasz czas dobiega kiedyś końca.

Następnego dnia moja babka wyjechała ze swym doradcą-służącym-lokajem do mitycznego miejsca o nazwie Rondonia, gdzie jej czarownik-pomocnik miał zdobyć dla niej lek. Moja babka była śmiertelnie chora; ja o tym nie wiedziałem. Nigdy stamtąd nie powróciła i don Juan wyjaśnił mi, że sprzedanie posiadłości i oddanie pieniędzy Antoine'owi było z punktu widzenia czarownika fantastycznym manewrem jej doradcy, który w ten sposób uniezależnił ją od opieki rodziny. Wszyscy byli tak bardzo wściekli na matkę za to, co zrobiła, że absolutnie ich nie interesowało, czy wróci, czy też nie. Ja miałem wrażenie, że nawet nie zdawali sobie sprawy z tego, iż wyjechała.

Wówczas, na płaskim szczycie góry, przywołałem z pamięci te trzy wydarzenia zupełnie tak, jakby się działy zaledwie przed chwilą. Kiedy wyraziłem moje podziękowania tym trzem osobom, udało mi

się sprowadzić je z powrotem na tamten szczyt. Kiedy mój krzyk przebrzmiał, moja samotność była czymś, czego nie sposób było wyrazić. Płakałem, nie mogąc się pohamować.

Don Juan z wielką cierpliwością tłumaczył mi, że samotność nie ma dostępu do wojownika. Powiedział, że wojownicy w podróży mogą liczyć na jedną istotę, na której mogą skupić całą swoją miłość, całą swą uwagę: na tej cudownej Ziemi, matce, matrycy, centrum wszystkiego, czym jesteśmy, i wszystkiego, co robimy; na tej samej istocie, do której wszyscy powrócimy; na tej samej istocie, która pozwala wojownikom w podróży wyruszyć w ich ostateczną podróż.

Po tych słowach don Genaro z myślą o mnie zademonstrował akt magicznej intencji. Leżąc na brzuchu, wykonał kilka oszałamiających ruchów. Zamienił się w świetlisty bąbel, który sprawiał wrażenie, jakby pływał po ziemi niczym po wodzie w basenie. Don Juan powiedział, że tak właśnie Genaro obejmuje cały bezmiar Ziemi i że pomimo różnicy wielkości, Ziemia przyjmuje gest Genara. Gdy tak patrzyłem na jego ruchy i słuchałem wyjaśnień don Juana, moja samotność ustąpiła miejsca niebiańskiej radości.

– Nie mogę ścierpieć myśli, że odchodzisz, don Juanie – usłyszałem własne słowa. Dźwięk mojego głosu i moje słowa mnie zażenowały. Kiedy bezwolnie zacząłem szlochać, czując litość dla samego siebie, poczułem się jeszcze bardziej upokorzony.

– Co się ze mną dzieje, don Juanie? – wymamrotałem. – Normalnie tak się nie zachowuję.

– Dzieje się z tobą to, że twoja świadomość znów spadła do palców stóp – odrzekł, śmiejąc się.

Wówczas straciłem resztki panowania nad sobą i całkiem poddałem się przygnębieniu i rozpaczy.

– Zostanę zupełnie sam! – wykrzyknąłem cienkim, wysokim głosem. – Co się ze mną stanie? Co ja zrobię?

– Ujmijmy to w ten sposób – powiedział spokojnie don Juan. – Abym mógł opuścić ten świat i stawić czoło nieznanemu, będę potrzebował całej mojej siły, całej mojej wytrzymałości, całego mojego szczęścia; nade wszystko jednak, będę potrzebował całej żelaznej odwagi wojownika w podróży. Abyś ty mógł pozostać i dawać sobie radę, jak przystało na wojownika w podróży, będziesz potrzebował tego wszystkiego, czego i ja potrzebuję. Wypuścić się tam, w nieznane, i to tak, jak my zamierzamy to zrobić, to nie zabawa; ale tak samo jest z pozostaniem tutaj.

Poczułem silny przypływ emocji i pocałowałem go w rękę.

– Hola, hola, hola! – wykrzyknął. – Za chwilę postawisz sanktuarium dla moich sandałów!

Trawiąca mnie udręka zmieniła się z litości dla samego siebie w poczucie niepowetowanej straty.

– Odchodzisz! – wymamrotałem. – Mój Boże! Odchodzisz na zawsze!

W tamtym momencie don Juan zrobił mi coś, co czynił wielokrotnie od pierwszego dnia, gdy go spotkałem. Jego twarz nabrzmiała, rozdęta jakby powietrzem, gdy zrobił głęboki wdech. Mocno klepnął mnie lewą dłonią w plecy i powiedział:

– Podnoś się ze stóp! Dźwigaj się w górę!

Moment później znów byłem spokojny, pełny i całkowicie panowałem nad sobą. Wiedziałem, czego się po mnie spodziewają. Już się nie wahałem ani nie przejmowałem sobą. Nie obchodziło mnie, co się ze mną stanie, gdy don Juan odejdzie. Wiedziałem, że jego odejście to kwestia najbliższych minut. Spojrzał na mnie i w tym spojrzeniu było wszystko.

– Już nigdy nie będziemy razem – powiedział cicho. – Nie potrzebujesz już mojej pomocy; i ja nie chcę ci jej proponować, bo jeżeli jesteś coś wart jako wojownik w podróży, na-plułbyś mi w oko, gdybym ci ją zaproponował. Przychodzi taki moment, że jedyną radością wojownika w podróży jest to, że jest sam. Nie chciałbym też, żebyś ty mi pomagał. Kiedy odejdę, odejdę na dobre. Nie myśl o mnie, bo ja nie będę myślał o tobie. Jeśliś wart miana wojownika w podróży, bądź nieskazitelny! Dbaj o swój świat. Szanuj go; ochraniaj go własnym życiem!

Odsunął się ode mnie. Tamta chwila była ponad litość, łzy czy szczęście. Kiwnął głową, jakby chciał się pożegnać; a może wyraził tym swoje uznanie dla tego, co czułem.

– Zapomnij o sobie, a nic nie będzie dla ciebie straszne, bez względu na to, na którym poziomie świadomości się znajdziesz – powiedział.

Miał jeszcze chwilę wesołości. Po raz ostatni na tej Ziemi zażartował sobie ze mnie.

– Mam nadzieję, że znajdziesz miłość! – powiedział. Wyciągnął dłoń w moim kierunku i

rozczapierzył palce jak dziecko, po czym zgiął je do wnętrza dłoni.

– Ciao – powiedział.

Wiedziałem, że na próżno by się smucić czy żałować czegokolwiek i że tak samo mnie jest trudno pozostać tutaj, jak don Juanowi odejść. Obaj byliśmy w potrzasku nieodwracalnego manewru energetycznego, którego żaden z nas nie był w stanie zatrzymać. Pomimo to, chciałem się przyłączyć do don Juana, pójść za nim, dokądkolwiek się wybierał. Przez głowę przebiegła mi myśl, że może, gdybym umarł, zabrałby mnie ze sobą.

Potem widziałem, jak don Juan Matus, nagual, poprowadził piętnastu widzących, swych kompanów, stróżów i ulubieńców na północ; widziałem, jak po kolei znikają za cienką zasłoną mgły. Widziałem, jak każdy z nich przemienia się w świetlisty bąbel i jak razem wznoszą się ponad szczyt, i wirują nad nim niczym świetliki. Zatoczyli jeszcze wokół niego koło, dokładnie tak, jak mi to wcześniej przepowiedział don Juan; była to ich ostatnia lustracja, rozkosz dla oczu; ostatnie spojrzenie na tę cudowną Ziemię. A potem zniknęli.

Wiedziałem, co muszę zrobić. Mój czas dobiegł końca. Rozpędziłem się, biegnąc co sił w kierunku urwiska, i skoczyłem w przepaść. Przez chwilę czułem na twarzy wiatr, a potem pochłonęło mnie niczym spokojna, podziemna rzeka, bezgraniczne miłosierdzie ciemności.

Powrót

Miałem niejasną świadomość, że słyszę ryk silnika samochodu, pracującego na wysokich obrotach bez obciążenia. Pomyślałem, że ktoś z obsługi parkingu naprawia jakieś auto na tyłach budynku, gdzie miałem moje biuro i mieszkanie. Hałas tak się wzmógł, że w końcu całkowicie mnie obudził. W duchu przeklinałem chłopaków, którzy prowadzili parking, za to, że muszą sobie naprawiać samochód akurat tuż pod oknem mojej sypialni. Było mi gorąco, spływałem potem i czułem się zmęczony. Usiadłem na brzegu łóżka; niezwykle bolesny skurcz chwycił mnie za łydki. Przez chwilę je rozcierałem. Były tak naprężone, że zacząłem się bać, iż będę miał potworne siniaki. Automatycznie skierowałem się do łazienki po olejek do masażu. Nie mogłem iść. Kręciło mi się w głowie. Upadłem, choć nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło. Kiedy odzyskałem nieco kontroli nad moim ciałem, zdałem sobie sprawę, że absolutnie się nie przejąłem skurczem w łydkach. Zawsze balansowałem na krawędzi hipochondrii. Tak niezwyczajny ból, który wówczas czułem, normalnie wpędziłby mnie w stan chorobliwego niepokoju.

Podszedłem do okna, żeby je zamknąć, chociaż nie słyszałem już hałasu silnika. Uzmysłowiłem sobie, że okno jest zamknięte, a na dworze jest ciemno. Była noc! W pokoju było duszno. Pootwierałem okna. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego je zamknąłem. Nocne powietrze było chłodne i świeże. Parking świecił pustkami. Przyszło mi do głowy, że źródłem hałasu musiał być rozpędzający się samochód w alei pomiędzy parkingiem a budynkiem, w którym mieszkałem. Przestałem się nad tym zastanawiać i wróciłem do łóżka. Ułożyłem się w poprzek, ze stopami na podłodze. Chciałem zasnąć w tej pozycji, by pobudzić krążenie w łydkach, które bardzo mnie bolały, ale nie byłem pewien, czy lepiej będzie trzymać je niżej, czy też może wyżej, układając stopy na poduszce.

Gdy ulokowałem się już wygodnie i zacząłem zasypiać, uderzyła mnie pewna myśl z siłą tak ogromną, że natychmiast, w jednym ruchu, stanąłem na wyprostowanych nogach. Przecież skoczyłem w Meksyku w przepaść! Następna moja myśl była niby-logicznym wnioskiem: ponieważ rozmyślnie skoczyłem w przepaść, chcąc się zabić, muszę być teraz duchem. Jakie to dziwne, pomyślałem sobie, że po śmierci powróciłem w takiej postaci do swojego mieszkania na rogu Westwood i Wilshire w Los Angeles. Nic dziwnego, że moje odczucia nie są takie same jak zawsze. Gdybym jednak był duchem, rozumowałem, jak mógłbym czuć podmuch świeżego powietrza na twarzy albo ból w łydkach?

Dotknąłem pościeli na łóżku; wydawała mi się rzeczywista. Tak samo było z metalową ramą łóżka. Poszedłem do łazienki. Spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Sądząc z mojego wyglądu, śmiało mogłem być duchem. Wyglądałem potwornie. Oczy miałem zapadnięte; pod nimi rysowały się grube czarne pręgi. Byłem albo odwodniony, albo martwy. Odruchowo zacząłem pić wodę prosto z kranu. Czułem, jak ją przełykam. Pociągałem łyk za łykiem, zupełnie jak gdybym nie pił od wielu dni. Czułem, jak głęboko oddycham. Żyłem! Boże, ja żyłem! Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości, ale nie czułem uniesienia, które powinienem był czuć.

Wówczas do głowy przyszła mi niezwykle osobliwa myśl: najpierw zginąłem, a potem powróciłem do życia. Byłem do tego przyzwyczajony; nie było to dla mnie nic wielkiego. Myśl ta była jednak tak żywa, że przemieniła się w niby– -wspomnienie. Było to niby-wspomnienie, które nie wypływało z sytuacji, w których moje życie było zagrożone. Miało odmienny charakter: było to raczej niejasne wspomnienie czegoś, co mi się nigdy nie przydarzyło i nie miało prawa gościć w moich myślach.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości co do tego, że skoczyłem w Meksyku w przepaść. Obecnie znajdowałem się w moim mieszkaniu w Los Angeles, pięć tysięcy kilometrów od miejsca, w którym skoczyłem, nie mogąc sobie absolutnie przypomnieć, w jaki sposób udało mi się powrócić. Odruchowo nalałem wody do wanny i zanurzyłem się w niej. Nie czułem ciepła wody; byłem przemarznięty do szpiku kości. Don Juan uczył mnie, że w chwilach krytycznych, takich jak ta, należy do oczyszczenia siebie użyć wody bieżącej. Przypomniałem sobie o tym i wszedłem pod prysznic. Stałem pod strumieniem ciepłej wody może przez godzinę.

Chciałem się spokojnie i racjonalnie zastanowić nad tym, co się ze mną dzieje, ale nie mogłem. Czułem się tak, jakby z głowy wymazano mi wszelkie myśli. Choć miałem w głowie pustkę, to jednak rozsadzały mnie wrażenia, które napływały do całego mojego ciała falami, których nie byłem w stanie dokładnie przeanalizować. Mogłem jedynie przyjmować te ataki i pozwalać na to, by się przeze mnie przetaczały. Świadomie zdecydowałem się jedynie na to, by się ubrać i wyjść z mieszkania. Poszedłem na śniadanie, co zawsze robiłem o wszelkich porach dnia i nocy, do restauracji Shipsa na

Wilshire, kilkaset metrów od mojego mieszkania.

Przebyłem tę drogę tyle razy, że znałem na pamięć każdy jej metr. Tym razem ten spacer był dla mnie czymś nowym. Nie czułem swoich kroków. Było tak, jakbym miał pod stopami poduszki albo na chodniku leżał wyłożony dywan. Praktycznie sunąłem przed siebie. Nagle znalazłem się w drzwiach restauracji, choć sądziłem, że zrobiłem dopiero dwa albo trzy kroki. Wiedziałem, że mogę przełykać jedzenie, bo wcześniej w domu piłem wodę. Wiedziałem też, że mogę mówić, bo chrząkałem i kląłem, gdy stałem pod prysznicem pod strumieniem wody. Wszedłem do restauracji tak jak zawsze. Usiadłem przy barze; podeszła do mnie kelnerka, która mnie znała.

– Nie wyglądasz dzisiaj za dobrze, mój drogi – powiedziała. – Masz grypę?

– Nie – odparłem, starając się, by wypadło to beztrosko. – Za ciężko pracowałem. Siedziałem przez całą dobę nad esejem na zajęcia. A tak przy okazji, którego mamy dzisiaj? Spojrzała na zegarek i podała mi datę; powiedziała, że ma specjalny zegarek z kalendarzem, który dostała od swojej córki. Jeśli chodzi o godzinę, to była: trzecia piętnaście nad ranem.

Zamówiłem stek z jajkami, kulki z ziemniaków i grzankę z białego chleba z masłem. Kiedy odeszła z moim zamówieniem, mój umysł ogarnęła kolejna fala paniki: czy było to tylko złudzenie, że skoczyłem w Meksyku w tę przepaść o zmierzchu poprzedniego dnia? Lecz nawet jeśli sam skok nie był złudzeniem, w jaki sposób mógłbym wrócić z tak odległego miejsca do Los Angeles zaledwie w dziesięć godzin? Czy spałem przez dziesięć godzin? A może było tak, że w dziesięć godzin przyleciałem, przyfrunąłem, przypłynąłem czy Bóg jeden wie co, do Los Angeles? Pokonanie w tradycyjny sposób dystansu do Los Angeles z miejsca, gdzie skoczyłem w przepaść, nie wchodziło w rachubę, jako że sama podróż do Mexico City z miejsca, gdzie skoczyłem, zajęłaby dwa dni.

W głowie zaświtała mi kolejna dziwna myśl. Była tak samo wyrazista jak poprzednie niby-wspomnienie o mojej śmierci i powrocie do życia, i tak samo całkowicie obca: moje poczucie ciągłości zostało nieodwracalnie zerwane. Naprawdę zginąłem – w taki czy inny sposób – na dnie tamtego wąwozu. Nie byłem w stanie ogarnąć tego, że żyję, że jem śniadanie u Shipsa. Nie byłem w stanie spojrzeć za siebie, w przeszłość, i dojrzeć nieprzerwany ciąg zdarzeń, który wszyscy w takich momentach widzimy.

Jedynym wytłumaczeniem, które mi pozostało, było to, że zastosowałem się do wytycznych don Juana; przesunąłem swój punkt połączenia w takie położenie, że zapobiegło mojej śmierci, i z mej wewnętrznej ciszy odbyłem powrotną podróż do Los Angeles. Nie istniał już żaden inny tok rozumowania, którego mógłbym się trzymać. Po raz pierwszy w życiu takie rozumowanie było dla mnie możliwe do zaakceptowania i całkowicie zadowalające. Tak naprawdę niczego nie wyjaśniało, lecz z pewnością wskazało mi na pewną praktyczną procedurę, którą już wcześniej przetestowałem w łagodnej formie, kiedy spotkałem się z don Juanem w tamtym miasteczku, w którym się wcześniej umówiliśmy; ta myśl chyba całkiem mnie uspokoiła.

W mojej głowie zaczęły się pojawiać bardzo wyraźne obrazy. Miały pewną wyjątkową cechę: rozjaśniały mój umysł. Pierwsza nagła myśl dotyczyła czegoś, co męczyło mnie przez cały czas. Don Juan opisywał mi to wcześniej jako powszechną przypadłość mężczyzn-czarowników; chodziło o moją niezdolność do przypomnienia sobie zdarzeń, które miały miejsce w czasie, gdy znajdowałem się w stanach podwyższonej świadomości.

Don Juan tłumaczył podwyższoną świadomość jako bardzo nieznaczne przemieszczenie mojego punktu połączenia, czego dokonywał za każdym razem, kiedy się widzieliśmy, mocno naciskając na moje plecy. Dzięki takim przemieszczeniom pomagał mi uaktywnić pola energii, które normalnie znajdowały się na obrzeżach mojej świadomości. Innymi słowy, pola energii, które mieściły się zazwyczaj na skraju mojego punktu połączenia, znajdowały się po takim przemieszczeniu w samym jego środku. Przemieszczenie tej natury wywierało dwojaki skutek: powodowało niesamowitą jasność myślenia i postrzegania oraz niezdolność do przypomnienia sobie po powrocie do normalnego stanu tego, co zaszło w czasie, gdy przebywało się w odmiennym stanie świadomości.

Przykładem takiego dwojakiego skutku był mój związek z moimi kompanami. Miałem swoich kompanów, innych uczniów don Juana, którzy mieli mi towarzyszyć podczas mojej ostatecznej podróży. Kontakt z nimi nawiązywałem jedynie w stanach podwyższonej świadomości. Ich klarowność i zakres były fenomenalne. Wadą tej sytuacji było dla mnie to, że w codziennym życiu pozostawały one tylko i wyłącznie szarpiącymi za serce niby-wspomnieniami, które doprowadzały mnie do rozpaczy, wzbudzając silny niepokój i niecierpliwość. Mógłbym powiedzieć, że moje normalne życie upływało na nieustannym wyglądaniu kogoś, kto nagle wyrośnie przede mną; być może wyjdzie z jakiegoś biurowca, być może wyłoni się zza rogu jakiegoś budynku i wpadnie na mnie. Gdziekolwiek

szedłem, moje oczy bez ustanku, bezwiednie biegały we wszystkie strony, wypatrując ludzi, których nie było, choć istnieli bardziej niż ktokolwiek inny.

Kiedy siedziałem tak tamtego ranka u Shipsa, wszystko, co mi się przydarzyło przez te lata spędzone z don Juanem w stanach podwyższonej świadomości – wszystko z najdrobniejszymi szczegółami – znów stało się dla mnie nieprzerwanym ciągiem wspomnień. Don Juan ubolewał nad tym, że mężczyzna-czarownik, który jest nagualem, siłą rzeczy musi być rozszczepiony z powodu swej ogromnej masy energetycznej. Powiedział mi, że każda część naguala przeżywa określony wycinek całego zakresu jego działania i że to, co przeżył on w każdym takim wycinku, musi pewnego dnia połączyć w pełny, świadomy obraz wszystkiego, co się wydarzyło w całym jego życiu.

Patrząc mi w oczy, rzekł wówczas, że doprowadzenie do takiego scalenia trwa całe lata, a słyszał nawet o takich nagualach, którzy nigdy świadomie nie ogarnęli pełnego zakresu swego działania i żyli w stanie rozszczepienia.

To, czego doświadczyłem tamtego ranka u Shipsa, przeszło moje najśmielsze wyobrażenia. Don Juan wielokrotnie powtarzał, że świat czarowników nie jest światem niezmiennym, w którym słowo jest czymś ostatecznym i niezmiennym; jest to świat wiecznych fluktuacji, gdzie niczego nie wolno przyjmować za pewnik. Skok w przepaść zmodyfikował mój proces poznawczy w sposób tak drastyczny, że dopuszczał teraz możliwości tyleż złowrogie, ileż nie dające się opisać.

Jednak wszystko, co mógłbym powiedzieć o scaleniu moich odrębnych części poznawczych, blado by wypadło w porównaniu z tym, czym to w rzeczywistości było. Owego przełomowego ranka u Shipsa przeżyłem coś nieskończenie bardziej potężnego niż wówczas, gdy zobaczyłem po raz pierwszy energię w jej ruchu we wszechświecie – tamtego dnia, gdy po zdarzeniu na terenie kampusu Uniwersytetu Kalifornijskiego znalazłem się w swoim łóżku w moim mieszkaniu, a nie trafiłem tam w sposób, którego dopominał się mój system kognitywny, bym mógł uznać całe to wydarzenie za rzeczywiste. U Shipsa doprowadziłem do integracji wszystkich części mojej istoty. W obrębie każdej z nich działałem z doskonałą pewnością siebie i żelazną konsekwencją; pomimo to nie miałem jednak najmniejszego pojęcia, że tak się dzieje. Byłem zasadniczo jedną wielką układanką i ułożenie wszystkich klocków na właściwych miejscach dało efekt, którego nie da się opisać.

Siedziałem przy barze u Shipsa; pocąc się obficie, nadaremno łamałem sobie głowę i obsesyjnie zadawałem sobie pytania, na które nie było odpowiedzi: jak to jest wszystko możliwe? Jakże mogłem być rozszczepiony w taki sposób? Kim tak naprawdę jesteśmy? Z pewnością nie tymi ludźmi, którymi – jak nas wszystkich nauczono wierzyć – jesteśmy. Przypominałem sobie zdarzenia, których nigdy nie było; nie było z punktu widzenia najgłębszego rdzenia mojej istoty. Nie mogłem się nawet rozpłakać.

– Czarownik płacze, gdy jest rozszczepiony – powiedział pewnego razu don Juan. – Kiedy osiąga pełnię, ogarnia go drżenie, które ma wystarczającą moc, by z racji swego natężenia położyć kres jego życiu.

Czułem takie właśnie drżenie! Wątpiłem, czy kiedykolwiek spotkam jeszcze moich kompanów. Zdawało mi się, że wszyscy zabrali się z don Juanem. Byłem sam. Chciałem się nad tym zastanowić, zacząć ubolewać nad tą stratą, tak jak zawsze pogrążyć się w kojącym smutku. Nie mogłem. Nie było nad czym ubolewać, nie było się nad czym smucić. Nic nie miało znaczenia. Wszyscy byliśmy wojownikami w podróży i wszyscy zostaliśmy pochłonięci przez nieskończoność.

Przez cały czas naszej znajomości słuchałem, jak don Juan mówi o wojowniku w podróży. Niesamowicie mi się podobały jego opisy i utożsamiałem się z nimi na gruncie czysto emocjonalnym. Nigdy jednak nie poczułem, co tak naprawdę don Juan ma na myśli, choć tyle razy mi wyjaśniał, jak rozumieć jego słowa. Tamtej nocy, przy barze u Shipsa, zrozumiałem, o czym przez cały czas prawił mi don Juan. Byłem wojownikiem w podróży. Liczyły się dla mnie tylko i wyłącznie fakty energetyczne. Cała reszta to były dodatki, które nie miały absolutnie żadnego znaczenia.

Owej nocy, gdy tak siedziałem, czekając na zamówione śniadanie, w mojej głowie pojawiła się nagle jeszcze jedna myśl. Poczułem przypływ empatii, poczułem, jak utożsamiam się z zasadami don Juana. W końcu spełnił się cel jego nauk: stanowiliśmy jedno tak bardzo jak jeszcze nigdy przedtem. Nigdy nie było tak, że po prostu sprzeciwiałem się don Juanowi czyjego koncepcjom – tak rewolucyjnym, bo nie poddającym się liniowości mojego sposobu myślenia, charakterystycznego dla człowieka Zachodu. Było raczej tak, że precyzja don Juana w prezentacji swoich koncepcji śmiertelnie mnie przerażała. Jego skuteczność na tym polu sprawiała na mnie wrażenie dogmatyzmu. To właśnie to złudzenie zmuszało mnie do szukania wyjaśnień i pod jego wpływem zachowywałem się przez cały czas jak niewierny Tomasz.

Tak, skoczyłem w tę przepaść, powiedziałem sobie, i nie zginąłem, ponieważ zanim spadłem na

dno wąwozu, pozwoliłem, by pochłonęło mnie mroczne morze świadomości. Poddałem się mu bez cienia strachu czy żalu. A mroczne morze świadomości dało mi wszystko, co było niezbędne, bym nie zginął, lecz wylądował we własnym łóżku w Los Angeles. Dwa dni wcześniej takie stwierdzenie nie wyjaśniłoby mi niczego. O trzeciej nad ranem u Shipsa wszystko to było oczywistością.

Walnąłem dłonią w bar, jak gdybym był zupełnie sam na sali. Ludzie popatrzyli na mnie i uśmiechnęli się z wyrozumiałością. Nie obchodzili mnie. Mój umysł był skoncentrowany na nierozstrzygalnym problemie: nadal żyłem, pomimo tego, że dziesięć godzin wcześniej skoczyłem w przepaść, chcąc postradać życie. Wiedziałem, że podobnego problemu nie da się nigdy rozstrzygnąć. Moje normalne rozumowanie domagało się zadowalającego, linearnego wytłumaczenia, a linearne wytłumaczenia nie były możliwe. W tym właśnie tkwił sęk przerwania ciągłości. Don Juan powiedział kiedyś, że to właśnie przerwanie ciągłości jest magią. Zrozumiałem to w tamtym momencie, na tyle jasno, na ile było mi dane. Jakąż słuszność miał don Juan, kiedy mówił, że aby tu pozostać, będę potrzebował całej mojej siły, całej mojej wytrzymałości a nade wszystko całej żelaznej odwagi wojownika w podróży.

Chciałem pomyśleć o don Juanie, ale nie mogłem. Poza tym, don Juan mnie nie obchodził. Istniała pomiędzy nami jakby gigantyczna bariera. W owej chwili byłem najzupełniej przekonany, że owa obca myśl, która nasuwała mi się od czasu, gdy się obudziłem, jest prawdziwa: jestem kimś innym. W chwili skoku doszło do wymiany. Inaczej myśl o don Juanie sprawiłaby mi wielką przyjemność; tęskniłbym za nim. Poczułbym nawet szarpiący żal, że nie zabrał mnie ze sobą. To byłoby moje normalne “ja". Naprawdę nie byłem sobą. Myśl ta przybrała na sile, aż w końcu całkiem mną zawładnęła. Wówczas to, co mogło jeszcze pozostać po moim starym “ja", zniknęło bez reszty.

Ogarnął mnie nowy nastrój. Byłem sam! Don Juan pozostawił mnie we śnie, który sam sprowokowałem. Poczułem, jak moje ciało zaczyna tracić sztywność; stopniowo nabierało elastyczności, aż w końcu mogłem oddychać głęboko i swobodnie. Roześmiałem się w głos. Nie obchodziło mnie to, że tym razem ludzie, którzy wpatrywali się we mnie, nie uśmiechali się. Byłem sam i nie mogłem w żaden sposób temu zapobiec!

Fizycznie czułem, jak zagłębiam się w jakiś korytarz; korytarz był obdarzony własną siłą. Wciągał mnie do środka. Był to milczący korytarz. To don Juan był tym korytarzem, cichym i nieogarniętym. Wówczas to po raz pierwszy w życiu poczułem, że don Juan był pozbawiony wymiaru fizycznego. Nie było miejsca na sentymentalizm i tęsknotę. W żaden sposób nie mogłem za nim tęsknić, ponieważ istniał pod postacią oddzielonej od osobowości emocji, która nęciła mnie ku sobie.

Korytarz był dla mnie wyzwaniem. Poczułem rozradowanie, swobodę. Tak, mogłem ruszyć w podróż tym korytarzem, sam lub w towarzystwie; być może byłaby to wieczna podróż. I nie było to coś, co mi narzucono; nie była to też dla mnie przyjemność. Było to coś więcej niż rozpoczęcie ostatecznej podróży, która jest nieuniknionym przeznaczeniem wojownika w podróży; to był początek nowej epoki. Uświadomiwszy sobie, że znalazłem ten korytarz, powinienem był płakać, ale nie. Stanąłem twarzą w twarz z nieskończonością, u Shipsa! Jakież to niesamowite! Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Usłyszałem głos don Juana, mówiący, że wszechświat jest doprawdy niezgłębiony.

W owej chwili otwarły się tylne drzwi restauracji, które prowadziły na parking, i do środka wszedł dziwny osobnik: był to mężczyzna może nieco po czterdziestce, wymięty i wychudzony, choć rysy twarzy miał bardzo regularne. Przez długie lata widywałem go w różnych miejscach uniwersytetu; kręcił się wszędzie i zagadywał studentów. Ktoś mi kiedyś powiedział, że jest dochodzącym pacjentem w niedaleko położonym Szpitalu Weteranów. Sprawiał wrażenie osoby niezrównoważonej. Widziałem go wcześniej u Shipsa wielokrotnie, zgarbionego nad filiżanką kawy, zawsze przy tym samym końcu baru. Widziałem też nieraz, jak stał na zewnątrz i zaglądał przez okno do środka, gdy akurat ktoś siedział na jego ulubionym stołku, czekał, aż się zwolni jego miejsce.

Kiedy wszedł do restauracji, usiadł tam, gdzie zwykle siadywał, po czym spojrzał na mnie. Nasze oczy się spotkały. Chwilę później usłyszałem jego przerażający wrzask, który zmroził mi i wszystkim obecnym krew w żyłach. Ludzie na sali, z szeroko rozwartymi oczyma, niektórzy z niepogryzionym jeszcze jedzeniem w ustach, spojrzeli na mnie. Najwyraźniej sądzili, że to ja krzyknąłem. Ustanowiłem precedens, waląc dłonią w bar i śmiejąc się w głos. Mężczyzna zeskoczył ze swego stołka i wybiegł z restauracji, odwracając się, by raz jeszcze dobrze mi się przyjrzeć, gestykulując z ożywieniem rękoma ponad głową.

Wiedziony nagłym impulsem, ruszyłem za nim na dwór. Chciałem, żeby mi powiedział, co takiego we mnie zobaczył, że aż krzyknął. Dogoniłem go na parkingu; poprosiłem, żeby mi wytłumaczył swoją reakcję. Zakrył oczy i znów krzyknął, jeszcze głośniej niż przedtem. Był jak dziecko, które wrzeszczy

co sił w płucach, przerażone koszmarnym snem. Zostawiłem go i wróciłem do restauracji.

– Co się stało, mój drogi? – zapytała kelnerka z zatroskanym wyrazem twarzy. – Już myślałam, że mnie zostawiłeś na lodzie.

– Wyszedłem tylko zobaczyć się z przyjacielem – powiedziałem.

Kelnerka spojrzała na mnie, udając rozgniewaną i zaskoczoną.

– Tamten facet to twój przyjaciel? – zapytała.

– Mój jedyny przyjaciel na tym świecie – odrzekłem i była to prawda, jeśli miałbym zdefiniować "przyjaciela" jako kogoś, kto przenika spojrzeniem otaczający cię woal i wie, skąd tak naprawdę jesteś.